

**ROBERT
LITTELL**

**DZIECI
ABRAHAMA**



NOIR SUR BLANC

ROBERT LITTELL

DZIECI ABRAHAMA

Powieść o współsprawstwie

Przełożył
Jan Kraśko

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

W nieodległej przeszłości

W nieodległej przyszłości

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Przypisy

Inne książki Roberta Littella

Tytuł oryginału: VICIOUS CIRCLE

Opracowanie redakcyjne: MAJA LIPOWSKA

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, ANNA KOŁAT

Ilustracja na okładce: © Robert Marien/Corbis/FotoChannels

Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2006 by Robert Littell

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2016, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-587-8

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Książka ta jest dziełem literackim. Wszystkie postaci, organizacje i zdarzenia przedstawione w niniejszej powieści są wytworem wyobraźni autora lub zostały wykorzystane do opisu zmyślonych sytuacji.

*Emirowi i Almie z nadzieją,
że gdy dorosną i przeczytają tę książkę,
Izraelczycy i Palestyńczycy będą żyli już w pokoju.*

Nadto rzekł do niej anioł Pański: Oto poczęłaś i urodzisz syna, i nazwiesz go Ismael... Będzie to człowiek dziki, ręka jego będzie przeciwko wszystkim, a ręka wszystkich będzie przeciwko niemu... Potem Hagar urodziła Abrahamowi syna^[1].

Genesis 16

Na to rzekł Bóg: Nie! Ale żona twoja Sara urodzi ci syna i nazwiesz go imieniem Izaak... Oto pobłogosławię mu i rozplenię go, i rozmnożę go nad miarę... Ale przymierze moje ustanowię z Izaakiem^[2].

Genesis 17

W NIEODLEGŁEJ PRZESZŁOŚCI

Zachodzące krwistoczerwone słońce kreśliło linię horyzontu między niebem a morzem, rzucając długie cienie na płaskie lewantyńskie wybrzeże. W okrucach światła skrzył się złocisty dach Kopuły na Skale na Wzgórzu Świątynnym. Jedną z uliczek Wzgórza Francuskiego, małego osiedla żydowskiego zbudowanego po wojnie sześciodniowej na północno-wschodnim krańcu Jerozolimy, jechała powoli furgonetka dostawcza z odręcznymi hebrajskimi napisami na bokach: „Koszerna pizza” i „Zawsze do usług”. Kierowca, młoda kobieta krótko ostrzyżona – była w ciemnych okularach z boczną ochroną, które całkowicie zasłaniając oczy, uwydatniały jednocześnie znamiona po ospie wietrznej szpecące jej ładną skądinąd twarz – zatrzymała wóz przy przystanku. Sprawdziwszy adres na podkładce z klipsem, otworzyła okno i spytała nastoletnią dziewczynę, czekającą na autobus numer cztery, o drogę do bloku mieszkalnego przy ulicy Etzel, w którym pokoje wynajmowali studenci Uniwersytetu Hebrajskiego na górze Skopus.

– To jest Etzel – odparła po hebrajsku dziewczyna; była w krótkiej spódnicy i obcisłym golfie. – Po zachodzie słońca trudno odczytać numery. To drugi blok po prawej stronie, zaraz za szczytem wzgórza. – Kiedy koszerna pizza jest koszerna? – dodała prześmiewczo. I zanosząc się piskliwym śmiechem, odpowiedziała sama sobie: – Pewnie wtedy, kiedy bekon pobłogosławi ortodoksyjny rabin, który nigdy w życiu nie dotknął miesiączkującej kobiety.

Kobieta za kierownicą furgonetki zagryzła dolną wargę.

– Ja tam nie wiem – mruknęła. – Ja tylko rozwożę towar.

– Mówisz z akcentem – zauważyła dziewczyna. – Skąd pochodzisz?

– Z Jemenu.

– Skąd w Jemenie? – drążyła dziewczyna, lecz kobieta już wrzuciła bieg i ruszyła w górę wzgórza. Za szczytem skręciła na podjazd przed drugim blokiem, prowadzący do drzwi ze zmatowiałego mosiądzu i szkła poplamionego zaciekami od deszczu. Wyłączyła silnik i zastukała dwa razy w przepierzenie.

– Jussuf? – powiedziała cicho po arabsku. – Bóg jest wielki. Przyjechaliśmy.

Z tyłu furgonetki wysiadł młody mężczyzna w żółtym kombinezonie z napisem „Koszerna pizza” wyhaftowanym nad kieszenią na piersi; w rękę miał pudełko i rachunek. Podszedł do przeszklonych drzwi i nacisnął guzik domofonu mieszkania na drugim piętrze, które wynajmowało sześć studentek.

– Pizza – rzucił po hebrajsku, gdy usłyszał kobiecego głos.

Pomyślawszy, że zamówienie złożyła któraś z koleżanek, studentka machinalnie wcisnęła guzik, zezwalając na otwarcie zamka. Jussuf przytrzymał drzwi dla prawie zupełnie ślepego Doktora, który jechał wraz z nim za przepierzeniem w furgonetce. Ten, w grubych jak denko od butelki okularach w drucianej oprawce, postukując długą, cienką bambusową laską, przeciął zapuszczony hol i wszedł na schody, pamiętając, aby trzymać się w pewnej odległości za swoim przewodnikiem.

Na czwartym piętrze Jussuf otworzył drzwi przeciwpożarowe; Doktor, niski, krępy mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach, przystanął niewidoczny na podeście. Siedzący na końcu długiego, wąskiego korytarza krzepki Izraelczyk w ciemnych okularach i rozpiętej pod szyją koszuli, wyłożonej na spodnie, oderwał się od ściany i jego składane metalowe krzesło opadło na cztery nogi. Jussuf przystanął pod lampą i spojrzał na rachunek.

– Gdzie jest czterysta szesnaście? – spytał po hebrajsku.

– Tutaj – odparł Izraelczyk. – Ale nikt nie mówił mi o pizzy.

Kiedy tylko Jussuf ruszył w jego stronę, mężczyzna wstał, sięgnął za plecy i wielką jak bochen dłonią objął uchwyt zatkniętego za pasek rewolweru.

– Ktoś wisi mi trzydzieści osiem szekli – powiedział przyjaźnie Jussuf i z pudełkiem w lewej ręce pokazał mu rachunek.

Nie puszczając uchwytu, Izraelczyk, który przewyższał go co najmniej o głowę, wyciągnął wolną rękę i na chwilę oderwał od niego wzrok. Popełnił błąd. Zauważył numer mieszkania – „m. 416” – napisany atramentem tuż pod adresem przy ulicy Etzel. Na górze rachunku zobaczył słowo „Goodman”, nazwisko młodej Amerykanki wynajmującej mieszkanie. I zaraz potem przestał widzieć, bo zwężające się ku dołowi cienkie ostrze sztyletu, jakim arabscy rolnicy zabijają ptactwo domowe, wbiło się między drugie a trzecie żebro, dotarło do serca, przecięło zastawkę płucną, zalewając je krwią, i pozbawiło go życia.

Chwyciwszy ochroniarza pod pachy, Jussuf posadził go na krześle i poklepał po kieszeniach spodni w poszukiwaniu klucza. Znalazł go w chwili, gdy szurając po linoleum bambusową laską, nadszedł Doktor. Z rewolwerem Izraelczyka w lewej ręce Jussuf włożył klucz do zamka i bezszelestnie otworzył drzwi. Szybko wciągnął trupa do środka, posadził go na podłodze i oparł o syryjskie siodło wielbłądzie w przedpokoju. Doktor położył mu rękę na ramieniu i ruszyli do sypialni. Zza drzwi dochodziło ciężkie sapanie, jakby prowadziły do sali gimnastycznej. Jussuf przekręcił gałkę i weszli do pokoju oświetlonego palestyńskimi świecami z knotem z sitowia i wypełnionego zapachem kadzidła. Nie licząc dużego materaca na podłodze, nie było tam żadnych mebli. Na materacu mocowały się dwie nagie postacie. Błyszczący od potu były generał, obecnie minister bez teki w rządzie koalicyjnym, leżał na plecach, podczas gdy szczupła Amerykanka nazwiskiem Goodman, od siedmiu miesięcy jego kochanka, to unosiła się nad nim i odchyłała, to opadała i pochylała. Minister musiał zauważyć cień na ścianie, bo próbował ją z siebie zepchnąć, tuż zanim Jussuf poderznął jej gardło. Kobieta upadła bezwładnie na ciało kochanka i strużka tryskającej z szyi lepkiej krwi wsiąkła w gąszcz spoconych siwych włosów na jego piersi. Jussuf pochylił się, przybił sztyletem prawą dłoń mężczyzny do materaca i wycelował z rewolweru w jego prawe oko.

– Wal się, gnoju – wycharczał minister znany z legendarnej odwagi na polu walki.

Doktor ukląkł na dywanie i czubkami delikatnych palców dotknął jego głowy, szukając wyraźnego wybrzuszenia kości za uchem. Znalazłszy je, z wewnętrznej kieszeni dwurzędowej marynarki, którą nosił na białej galabii, wyjął berettę z uchwytem z masy perłowej. Wiedząc, że minister zna arabski, wyrecytował fragment ze Świętego Koranu:

– „A ci, którzy nie sądzą według tego, co zesłał Bóg, są niewiernymi. Przepisaliśmy im w niej: «Życie za życie, oko za oko, nos za nos, ucho za ucho, ząb za ząb; a za rany obowiązuje prawo talionu»”^[3].

Trzasnął suwadłem zamka, wprowadzając nabój do komory, przytknął lufę do miejsca tuż pod wybrzuszoną kością i pociągnął za spust. Beretta, którą wybrał ze względu na mały kaliber, wypaliła prawie bez hałasu, posyłając kulę w głąb czaszki ministra. Najpierw był odruchowy skurcz mięśni człowieka o martwym mózgu, a potem całkowity bezwład, oznaka braku życia.

Doktor wstał, wziął laskę, podszedł do okna i rozsunał tanią firankę zaczepioną o ramę. Dostrzegł jedynie rozmazany krąg księżyca wschodzącego nad wzgórzami Judei.

– Widzę tylko cienie – wyszeptał, gdy stanął za nim Jussuf.

– O tej porze każdy widzi tylko cienie.

– Spójrz na nie swoimi młodymi oczami i powiedz, co tam jest.

– Cienie Pustyni Judejskiej.

– A dalej?

– Dalej widać Morze Martwe, srebrzyste w bladym świetle księżyca w pełni.

– Spójrz jeszcze dalej.

– Za Morzem Martwym widzę głębokie cienie wzgórz Moabu w Jordanii.

Doktor kiwnął głową.

– Żydowska Biblia mówi, że królestwo Moabu zamieszkiwali kiedyś potomkowie Lota, siostrzeńca proroka Abrahama.

Jussuf był zaskoczony.

– *Hodza*^[4] czytał żydowską Biblię?

– Poznał ją najwyraźniej sam Prorok, Wysłannik Boga, poprzez kontakty z żydowskimi plemionami w Jatribie, oazie, która stała się potem znana jako Medinat an-Nabi, Miasto Proroka, albo po prostu Medyna. – Doktor odwrócił się od okna i jak tonący w blasku świec duch ruszył do drzwi, cicho mamrocząc: – Zaiste wielki to Bóg, który pozwala swojemu ślepemu słudze zabijać wrogów islamu.

Poranny nalot na mieszkanie w mieście, które Arabowie nazywają Nablusem, a Żydzi Sychem, miał być łabędzią pieśnią Elihu – elitarny oddział Mosadu, którym dowodził Bóg wie jak długo, zdążył już zaprosić go do nadmorskiej restauracji w Jafie, gdzie wydano huczną kolację, by uczcić jego awans na katę. Elihu, uczestnik dwudziestu trzech operacji bojowych – włączając w to słynny nalot Ariela Baraka w centrum Bejrutu – miał od tej pory kierować agentami z tajnego biura Mosadu w Jafie, zamiast osobiście dowodzić nimi podczas akcji.

Żołnierze, ubrani tak jak on w wystrzępione arabskie galabije i luźno zawiązane kefije, byli przesądni – nad ostatnim zadaniem agenta, który kończył czynną służbę, ciążyło złe fatum. Cała piątka chciała, żeby Elihu został w taksówce i obserwował opustoszałą uliczkę, ale on ani o tym myślał: zawsze dowodził zespołem jak oficer armii izraelskiej, stojąc na jego czele. Ostatnie zadanie nie będzie wyjątkiem.

Zaparkowali obok zamkniętej stacji benzynowej. Elihu kazał kierowcy zostać w taksówce – gdyby zaczęło się coś dziać, miał zaalarmować kolegów. Wszyscy żołnierze mieli w uchu mikroskopijny głośniczek i malutki mikrofon przypięty do rękawa galabii. I teraz usłyszeli cichy szept Elihu:

– W Torze jest wskazówka mówiąca, co Żydzi powinni zrobić z tymi, którzy dwanaście dni temu zamordowali ich ministra i młodą Amerykankę. „Oko twoje nie ulituje się: życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę”^[5].

Sprawdzili broń – trzech miało uzi ze składaną metalową kolbą i magazynkami, dla szybszej zmiany sklejonymi na odwyrtkę taśmą; Elihu i jego zastępca Dovid Dror byli uzbrojeni w rosyjskie makarowy z tłumikiem – i wyszli na opustoszałą ulicę Proroków. Idąc bezszelestnie w koszykarskich adidasach, minęli wejście do kamienicy, minęli minimarket z powybijanymi szybami i skręcili w uliczkę cuchnącą odpadkami w przepelnionych metalowych kubłach. Na tyłach kamienicy wdrapali się na drewniany płot, zeskoczyli na ziemię i znaleźli się w ładnie utrzymanym ogrodzie pełnym bugenwilli pnących się po wygiętej w łuk stalowej kracie. Jeden z żołnierzy sforsował wytrychem zamek zsypu węglowego i otworzył pochyłe drewniane drzwiczki. Elihu dał podwładnym znak, by założyli noktowizory, zszedł do zsypu i przez niskie piwniczne pomieszczenia poprowadził ich do wąskich schodów.

Specjalista od zamków wypróbował dwanaście wytrychów, zanim znalazł pasujący do starego zamka. Każąc żołnierzom zaczekać, Elihu stanął na pierwszym stopniu schodów i wytężył słuch. Uznawszy, że w ciszy nie czai się nic złego, wskazał piątego członka zespołu, który natychmiast przycupnął obok drzwi, podczas gdy pozostali ruszyli na górę. Na trzecim piętrze „włamywacz” użył kolejnego wytrychu i znaleźli się w dusznym korytarzu, wciąż pachnącym świeżą farbą. Zajęli pozycje po obu stronach stalowych drzwi prowadzących do mieszkania miejscowego szefa Brygady Męczenników Al-Aksy.

Elihu przyjrzał się im przez noktowizor i widząc dwie zasuwę, o których wspomniano im podczas odprawy, zerknął na podwładnych. Ci skinęli głowami. Elihu podniósł pistolet, przestrzelił zamki, pchnął ramieniem drzwi i wpadł do środka. Tuż zanim wbiegli tam jego zastępca i pozostali, oprócz żołnierza, który przykucnął w progu, żeby mieć oko na korytarz.

Z jednego z pokojów dobiegł kobiecy głos:

– To ty, Mustafa? Idziesz do toalety? – spytała po arabsku.

Elihu osłaniany przez Drora otworzył kopniakiem drzwi z plakatem meczetu Al-Aksa i wpadł do sypialni. Pulchna kobieta leżąca w łóżku z baldachimem przytuliła do piersi poduszkę z nadzieją, że ochroni ją to przed koszmarem, który słyszała, lecz którego nie widziała. Leżący obok niej chudy jak szczapa pięćdziesięcioletni łysielec w piżamie rozpaczliwie wyciągnął rękę w stronę pistoletu na stoliku nocnym – miał tylko jedną, bo drugą stracił przed laty w przedwczesnym wybuchu bomby w liście, którą przygotowywał do wysłania. Elihu podszedł do łóżka, strzelił mu w głowę tuż za uchem, a drugą kulę wpakował w dłoń, żeby nie było wątpliwości, kto dokonał zemsty. Kobieta przeraźliwie krzyknęła. Krzyk odbił się echem w mieszkaniu, potem w budynku, a jeszcze potem w najbliższej okolicy, która szybko ożyła.

– Światła na całej ulicy – zameldował spokojnie kierowca czekającej na dole taksówki.

– Już skończyliśmy – rzucił do mikrofonu Elihu, wychodząc z sypialni.

W drzwiach kuchni stały dwie służące szczelnie owinięte kocami – gapiły się na uzi jednego z żołnierzy.

– Ruchy, ruchy, ruchy! – ponaglił ich Elihu.

Wycofali się z mieszkania w kolejności ustalonej podczas prób w hangarze na terenie bazy. Elihu zabezpieczał tyły. Gdy biegli pod bugenwillami, w oknach kamienicy pokazały się pierwsze twarze. W ciemności zabrzmiały gniewne arabskie głosy. Elihu zdetonował granat dymny, żeby osłonić swoich, gdy będą przeskakiwali przez płot. Już w bocznej uliczce rzucił do mikrofonu kolejny rozkaz:

– Wóz pod minimarket.

Z ulicy Proroków doszedł przeraźliwy pisk hamulców. Komandosi wskoczyli do taksówki, która ruszyła, zanim zdążyli zatrzaskać drzwi. Gdy bez świateł, z poślizgiem skręciła za róg, zabrzmiały wystrzały. Trzech żołnierzy siedzących na tylnym siedzeniu szybko pochyliło się do przodu, bo jedna z kul roztrzaskała tylną szybę, obsypując ich deszczem kawałków szkła. Na końcu wąskiej uliczki kierowca gwałtownie skręcił w bitą drogę

prowadzącą w dół zbocza, przez wysypisko śmieci, które na swojej mapie taktycznej nazwali „Gehenną”.

– Światła – warknął Elihu.

Kierowca pstryknął włącznikiem – w samą porę, bo zdążyli ominąć stado kóz pasących się na polu ze związanymi przednimi nogami, żeby w nocy nie uciekły.

Elihu spojrzął przez ramię. Cały Nablus tonął w światłach. W minarecie na skraju miasta zawyła ręczna syrena alarmowa. Wlekli za sobą tuman kurzu, który niczym burza piaskowa bił w niebo ku ubywającemu srebrystemu księżycowi. Właśnie przemknęli między dwoma wojskowymi dżipami zabezpieczającymi drogę ewakuacji, byli prawie w domu. Taksówka wskoczyła na nasyp i skręciła w brukowaną drogę. Elihu kazał kierowcy zwolnić dopiero wtedy, gdy minęli dwa czołgi z sierżantami salutującymi im z otwartych wieżyczek. On włączył radio, aby nawiązać kontakt z bazą, a jego zmęczeni ludzie osunęli się bezwładnie na tylnym siedzeniu. Z odbiornika popłynął niski, chrapliwy głos dowódcy operacyjnego Mosadu.

– Gratuluję udanego zakończenia ostatniej misji bojowej – powiedział, gdy Elihu wysłał zakodowany sygnał na znak, że cel został zlikwidowany, a jego żołnierze są cali i zdrowi.

– Wygląda na to, że przełamałeś klątwę – rzucił nerwowo Dror.

Ale Elihu, który patrzył na migoczące w oddali światła Jerozolimy, tonął w myślach.

– Nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć. – Chyba nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos.

Siedzący z tyłu żołnierze wymienili spojrzenia.

– Ale o czym? – spytał cicho Dror.

Wydawało się, że Elihu mówi do siebie.

– O tym, że mieszkamy w zakątku świata, w którym absolutnie nikt, a już na pewno nie sto milionów żyjących wokół nas Arabów, nie uznaje słabości. Dlatego kiedy czytany jest ostatni werset każdej księgi Tory,

wołamy: *Chazak, chazak, venit chazak*. Bądź silny, bądź silny i rośnij w siłę.

W NIEODLEGŁEJ PRZYSZŁOŚCI

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu. Jeśli nie wiesz, dokąd idziesz, zaprowadzi cię tam każda droga. (Tę wyjątkową wskazówkę dał nam sam Lewis Carroll). Czy poziom głosu jest dobry? Pewnie i tak nic z tego nie będzie. Nazywam się...

Chwileczkę. Kto? Niech zadzwoni później. Będę zajęty do lunchu. Dopóki nie skończę, proszę mnie z nikim nie łączyć, z wyjątkiem pani prezydent.

Przepraszam. Na czym skończyliśmy?

Nazywam się Zachary Taylor Sawyer, dla przyjaciół Zack i Stary Buldożer dla tych, którzy kojarząc mnie z moim znamienitym przodkiem, dwunastym prezydentem Stanów Zjednoczonych Zacharym Taylorem, myślą, że tak jak on rozgniatam na miazgę każdego, kto wejdzie mi w drogę. Dobijam pięćdziesiątki piątki, ale spokojnie, brakuje mi dobrych kilku miesięcy. Wykładałem historię i nauki polityczne na Harvardzie, ale jedenaście miesięcy temu zaproszono mnie do Waszyngtonu w charakterze doradcy prezydenta do spraw Bliskiego Wschodu. Dla porządku: od dzisiaj biorę udział w harwardzkim projekcie Historia na żywo, w którym proponuje się, żeby urzędnicy rządowi wysokiego szczebla rejestrowali i komentowali swoje decyzje na bieżąco pod warunkiem, że taśmy z tymi nagraniami nie będą upublicznione przed upływem dwudziestu pięciu lat. Jak rozumiem, celem projektu jest zapewnienie przyszłym historykom dostępu do surowych materiałów leżących u podstaw procesu decyzyjnego: niekończących się walk o swoje, pisemnych stanowisk niezajmujących żadnego stanowiska, burzy mózgów, podczas których ciekawe pomysły są regularnie torpedowane przez starych obiboków przed emeryturą, niemających do zaoferowania alternatywnych rozwiązań, wściekłych

pyskówkę skrzętnie zamiatanych pod dywan po to, by stworzyć wrażenie, że ci z najwyższego szczebla rządowego przemawiają jednym głosem.

Naprawdę uważacie, że jestem cyniczny? A ja myślałem, że szczerzy. Jako historyk podejrzewam, że historia mówi nam więcej o nas samych niż o przeszłości: unaocznia nam, jak bardzo wypaczyliśmy to, co postanowiliśmy zapamiętać. Ale to już inna sprawa.

Od czego by tu zacząć? Chyba najlepiej będzie, jeśli powiem, na czym stoimy i jak tu dotarliśmy. Otóż stoimy na tym, że dzieli nas dziewięć dni od podpisania traktatu pokojowego między Izraelczykami a Palestyńczykami i utworzenia suwerennego państwa palestyńskiego z wzajemnie uzgodnionymi granicami. Osobnik, z którym się przed chwilą minęliście, to Manny Krisher, szef protokołu Białego Domu. Dopieszczaliśmy ostatnie szczegóły ceremonii podpisania traktatu. Manny był tak wspaniałomyślny, że przyznał, iż nie wie, jak namówiłem Izraelczyków i Palestyńczyków do tego, żeby usiedli przy jednym stole, nie wspominając już o tym, żeby podpisali traktat pokojowy.

Odpowiedziałem mu dokładnie tak, jak odpowiadam zwykle tym, którzy mnie o to pytają. Trafiłem w dobry moment. Wkroczyłem na arenę wydarzeń na tyle długo po jedenastym września, że świat zdążyła już zmęczyć trwająca bez końca wojna Busha z terroryzmem i tak zwane zderzenie cywilizacji – materialistyczny i świecki Zachód kontra duchowy i radykalny islam – które zraziły do nas wszystkich muzułmanów na ziemskim padole. Wkroczyłem na arenę wydarzeń, gdy radykalni wahabici stworzyli poważne zagrożenie dla monarchii saudyjskiej i gdy cena arabskiej ropy naftowej sięgnęła stu dolarów za baryłkę, napędzając inflację i spowalniając wzrost gospodarczy wszystkich uprzemysłowionych krajów. Wkroczyłem na arenę wydarzeń w chwili, gdy europejscy przywódcy – jak jego ekscelencja brytyjski premier powiedział bez ogródek następcy Busha, w dodatku w mojej obecności – byli gotowi zerwać historyczne więzi z Ameryką, gdyby Waszyngton nie okiełznał Izraelczyków i nie zmusił ich do wyrażenia zgody na utworzenie silnego państwa palestyńskiego, którego powstanie, jak

uważali Brytyjczycy, podetnie nogi wahabitom, ustabilizuje sytuację w Arabii Saudyjskiej i zbije cenę ropy.

Nie, ta część spotkania nie trafiła na łamy „New York Timesa” ani „Washington Post”. Nie bez powodu: napędziłoby to stracha wszystkim europejskim wyborcom. Brytyjski premier, niemiecki kanclerz, francuski prezydent – na szczycie ONZ wszyscy przemawiali tak, jakby natchnęła ich Pytia, podkreślając, że w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych w ich krajach zamieszkuje olbrzymia liczba muzułmanów, którzy wybuchną jak Wezuwiusz, jeśli Palestyńczycy nie dostaną własnego kraju, i to szybko.

Dobre pytanie. Przesadzali? Nawet przesadzone poglądy mogą kształtować rzeczywistość, i tak było w tym przypadku. Krótko mówiąc, europejscy przywódcy połączyli dżihadystowską przynętę, obwiniając Izraelczyków za istnienie islamskiego fundamentalizmu. Tymczasem prawda jest taka, że islamski ekstremizm istniał na długo przed powstaniem Izraela w czterdziestym ósmym i będzie długo istniał po powstaniu niezawisłego państwa palestyńskiego. Prawda jest taka, że arabskie ubóstwo i brak nadziei, że będzie lepiej zamiast gorzej – a tym właśnie karmi się islamski radykalizm – bynajmniej nie znikną, gdy skończy się walka o kawałek Ziemi Świętej.

Tak, tak, zgoda: nawet jeśli uda nam się rozwiązać stuletni konflikt izraelsko-palestyński, jedna czy druga strona na pewno wynajdzie inną jątrzącą się ranę, żeby tylko skrzyknąć swoje wojska. Ale właśnie w tym tkwi całe piękno. Oto, do czego przekonałem naszą panią prezydent: to, że u podstaw europejskich analiz leżała nieznamość islamu i historycznych sił rządzących światem, wcale nie znaczy, że nie musimy im wierzyć albo udawać, że wierzymy. Gdyby Waszyngton zaczął naciskać na Izraelczyków, uznano by, że Stany Zjednoczone robią to w reakcji na uzasadniony niepokój Europy. A rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego – nawet jeśli nie jest to antidotum na ciągotki islamskiego fundamentalizmu do odbudowania siedmiowiecznego kalifatu i tego, co Koran nazywa Hakimijet Allah, prawem Bożym – na dłuższą metę może tylko przysłużyć się

amerykańskim interesom w tym sensie, że trudniej będzie, jeśli w ogóle, winić nas za udrękę Palestyńczyków.

Śmieję się, bo macie rację. Tak jak pani prezydent raczyła zauważyć na ostatniej konferencji prasowej, doprowadzenie obydwu stron do stołu negocjacyjnego wymagało więcej niż dużo szczęścia. Ale zacznijmy od początku. Nie jest tajemnicą, że pani prezydent wezwała mnie do stolicy dlatego, iż zaintrygowała ją moja książka *Przerwać zaklęty krąg*. Zrobił na niej wrażenie zarówno jej duch, jak i zawartość. Jak powiedziała mi podczas naszego pierwszego spotkania, nie zna zbyt wielu ekspertów od Bliskiego Wschodu, łącznie ze swoim mężem, którzy byłiby bardziej bezstronni ode mnie.

Wraz z beznamiętnym obiektywizmem wniosłem do sprawy wyrachowaną herezję, że jedynym wyjściem jest podbicie stawki. Klimat polityczny dojrzał do niej na długo przed delfickimi przepowiedniami europejskich przywódców. Wszyscy mieli świeżo w pamięci lawinę ataków terrorystycznych na izraelskie miasta i odwetowe ataki Izraelczyków na palestyńskie terytoria. Gdy miesiąc po zaprzysiężeniu pani prezydent doszło do kolejnego ataku na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych – mówię tu o samolocie do opryskiwania pól, który próbował rozpylić zarodniki wąglika nad Indianapolis; gdyby wiatr wiał w innym kierunku, liczba ofiar śmiertelnych sięgnęłaby tysięcy zamiast dziesiątek – antyizraelskie nastroje, które zawsze czały się tuż pod powierzchnią, przeniknęły do rozmów publicznych. Wszyscy je słyszeliśmy: w telewizyjnych talk-showach, na przyjęciach czy w windach. Zaczynały się zwykle od zdania: „Gdyby nie Żydzi...”. Korzystając z tego, że ludzie mieli dość obwiniania Ameryki o izraelskie problemy, Kongres przeforsował, a pani prezydent podpisała – wbrew głośnym protestom żydowskiego lobby i jego sojuszników z ewangelicko-chrześcijańskiej prawicy – ustawę zakazującą odliczania od podatku kwot darowanych organizacjom przekazującym pieniądze obcym rządóm czy osobóm prawnym. Źródło zasilające *United Jewish Appeal*^[6] wyszło z dnia na dzień. Kiedy Izraelczycy zorganizowali niezbyt subtelną kampanię przeciwko urzędującej

pani prezydent, spadł drugi but: działając za moją radą, Stany Zjednoczone zawiesiły dostawy broni do dwóch największych odbiorców pomocy zagranicznej, Izraela i Egiptu.

Pamiętacie, co się wówczas stało równie dobrze jak ja. Pociągnięcie to, jeszcze kilka miesięcy wcześniej zupełnie nie do pomyślenia, wywołało potężne trzęsienie ziemi w całej polityce bliskowschodniej. Piloci Izraelskich Sił Powietrznych latają amerykańskimi odrzutowcami i bez części zamiennych musieliby rozbierać jedne samoloty, aby utrzymać w powietrzu inne. Izraelski rząd wściekał się przez kilka dni, a potem rozpadł. Rozpisano wybory i koalicja bardziej umiarkowanych świeckich i religijnych partii zdobyła niewielką większość w Knesecie. Właśnie wtedy zacząłem krążyć między Jerozolimą, Kairem, Rijadem i tym, co zostało z kwatery głównej Autonomii Palestyńskiej w Ramallah po serii izraelskich nalotów lotniczych. Jak zwykle wymachując kijem i marchewką, namówiłem obie strony do zawieszenia broni, na co niechętnie przystały. Autonomia Palestyńska, pod ciągłym naciskiem Egipcjan i Saudyjczyków działających z kolei pod naciskiem stolic europejskich, zgodziła się w końcu uwięzić działaczy Hamasu, Islamskiego Dżihadu, Al-Fatah i Męczenników Al-Aksy oraz zaprzestać samobójczych ataków bombowych. Izraelczycy zaś, bojąc się utraty amerykańskiego poparcia, po raz pierwszy od powstania swojego państwa wycofali wojska z palestyńskich miast na Zachodnim Brzegu, zakazali żołnierzom strzelania gumowymi kulami do rzucających kamieniami dzieci i stopniowo otworzyli granice dla Palestyńczyków z pozwoleniem na pracę w Izraelu. Nie minął tydzień, jak dwadzieścia tysięcy Palestyńczyków dziennie zaczęło przyjeżdżać tam, a wieczorem wracać do domu z pieniędzmi w kieszeni. Ponieważ zawieszenie broni się utrzymało, mimo oporu wojujących stron – według „Washington Post” wierzgały przy tym i wniebogłose krzyczały – posadzono je przy stole negocjacyjnym w hotelu Mount Washington w New Hampshire, gdzie po drugiej wojnie światowej odbyła się konferencja w Bretton Woods.

I tak znaleźliśmy się tu, gdzie obecnie jesteśmy. Jeśli zawieszenie broni utrzyma się do podpisania tego przeklętego traktatu, istnieje nadzieja, że

milcząca większość obydwu stron wyjdzie z lasu...

Chwileczkę, CNN pokazuje właśnie mapę Izraela. Możecie podkreślić głośność? Dzięki.

– ... na żywo z naszym korespondentem w Jerozolimie. Joel?

– Gdy czterdzieści jeden dni temu doszło do wstępnego porozumienia w sprawie traktatu pokojowego w Mount Washington, wszyscy mieszkańcy Izraela wstrzymali oddech. Teraz, gdy od jego podpisania dzieli nas ledwie dziewięć dni, cisza jest wprost ogłuszająca. Ludzie podskakują, gdy w tym prastarym mieście wystrzeli gaźnik samochodowy, trzasną drzwi czy zawyje syrena karetki pogotowia. Jak powiedział mojemu waszyngtońskiemu koledze jeden z wysokich rangą amerykańskich dyplomatów: „Jeśli ktoś wystrzeli, może pan postawić ostatniego dolara na to, że huk ten usłyszy cały świat”. Z upiornie spokojnej Jerozolimy mówił Joel Plummer.

Dobrze, możecie ściszyć.

À propos: ten wysoki rangą amerykański dyplomata to wasz unizony sługa Zachary Taylor Sawyer.

Znad bezkresnej Sahary nadciągnął chamsin, gorący wiatr z piekielnego pieca, najwcześniejszy i najbardziej okrutny od lat, co niektórzy brali za zwiastun nadchodzących nieszczęść. Niczym fala przypływu, podmuchy suchego jak pieprz powietrza coraz bardziej potężniały, pokonując sueski rów tektoniczny, atakując Synaj i płataninę wadi^[Z] na pustyni Negew, paląc ją na wiór i wywołując burze piaskowe, które zniekształcały tarczę zachodzącego słońca. Opadłszy z sił, chamsin skręcił na zachód, by uderzyć w trójkątny kawałek wybrzeża Morza Śródziemnego, który Izraelczycy nazywają Azą, Palestyńczycy Ghazeh, a świat – Gazą.

Wyboistą asfaltową szosą z Jad Mordechaj, izraelskiego kibucu, założonego po drugiej wojnie światowej przez Żydów ocalałych z powstania w getcie warszawskim, pędziły dwa oblepione zapieczonym piaskiem samochody z zamkniętymi oknami, ciemnożółty chevrolet z tylnymi płetwami z lat pięćdziesiątych i jasnoniebieski nissan kombi. W oddali, na bitej drodze biegnącej wzdłuż siatki oddzielającej Izrael od Strefy Gazy, widać było wojskowy džip z przypominającym igłę karabinem maszynowym, który pilnował żydowskich gajów pomarańczowych.

– Życ zgodnie z Torą to za mało – mówił rabin do dziennikarza siedzącego na tylnym siedzeniu kombi. Ochrypł od udzielania wywiadów i powtarzania w kółko tych samych rzeczy, chociaż za każdym razem udawało mu się podejść do tematu z nową świeżością, co stwarzało wrażenie, że mówiąc, na nowo odkrywa siebie. – Proszę mi przerwać, jeśli nie nadążysz pan z notowaniem. Musimy być posłuszni przykazaniom, jakie Bóg dał Żydom, i zasiedlić każdy centymetr kwadratowy obiecanej nam w Torze ziemi. Dopóki naszych podeszew nie przepali pokrywająca ją lawa, będziemy duchowymi kalekami. Ziemia to środek prowadzący do celu, a celem jest zbawienie Żydów i nadejście Proroka.

Dziennikarz, dobijający czterdziestki szczupły Amerykanin nazwiskiem Max Sweeney, siedział pochylony nad pobrudzonym kawą dziecięcym zeszytem, notując słowa Skrzyпка na dachu (nazwał tak rabina, kiedy tylko zobaczył jego wybałuszone oczy i roztańczone pejsy).

– Był pan jednym z założycieli żydowskiego osiedla Beit Avram na wzgórzach Hebronu...

– W Hebronie wszystko się zaczęło – przerwał mu rabin. Zdjął okrągłe okulary w stalowej oprawce, z kieszeni dwurzędowej marynarki wyjął olbrzymią chustkę do nosa i zaczął czyścić nią szkła. – Przeczytaj pan dwudziesty trzeci rozdział Genesis – ciągnął, a z jego oczu mimo katarakty biła energia szaleńca. – To tam Abraham kupił pierwszy dunam^[8] świętej ziemi, to tam Dawid, dowódca izraelskich zastępów, założył stolicę, by następnie przenieść ją do Jerozolimy, to tam pochowani są nasi patriarchowie, Abraham, Izaak i Jakub.

Patrząc, jak Sweeney notuje, rabin starannie założył okulary najpierw na jedno odstające ucho, potem na drugie; miał tak kiepski wzrok, że nawet kiedy patrzył przez szkła, pismo dziennikarza wyglądało jak góry i doliny na wykresie wykrywacza kłamstw. Nagle stwierdził, że nie sprawdził jego referencji i że Sweeney może być na przykład dziennikarzem pracującym dla CIA. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie, bo liczyła się tylko reklama.

– Każdy – ciągnął zmęczonym, ochrypłym głosem – kto uważa, że powinniśmy wyjść z Hebronu, sprzeniewierza się Bogu. Właśnie to przesłanie przekazałem Żydom na dzisiejszym spotkaniu w Yad Mordechaj.

– Jeśli Izraelczycy i Palestyńczycy podpiszą układ pokojowy, który Amerykanie wcisnęli im do gardła – odezwał się Sweeney – będziecie musieli opuścić i Hebron, i sto innych osiedli na Zachodnim Brzegu.

– Do ceremonii pozostało jeszcze dziewięć dni – zauważył rabin. – Do tego czasu wszystko może się zdarzyć.

– Zawieszenie broni utrzymuje się od trzech miesięcy.

Rabin zachichotał.

– Następca Arafata ma między uszami więcej mózgu niż Arafat. Utemperuje swoich ludzi, uzyska podczas negocjacji tyle, ile będzie mógł, a potem weźmie głęboki oddech i wróci po więcej. Możesz pan na to liczyć.

– Nie jest tajemnicą, że jest pan zagorzałym przeciwnikiem procesu pokojowego – drażył Sweeney. – Do czego by się pan posunął, żeby go wykoleić?

Rabin zakrztusił się śmiechem i Sweeney pomyślał, że słyszy śmiech szaleńca.

– Gdybym uważał, że proces ten położy kres durnej polityce rządowej wymiany świętej ziemi na bluźnierczy pokój, przeszedłbym na islam.

– Prędzej piekło zamarznie, niż rabe przejdzie na islam! – prychnął z satysfakcją kierowca, rosyjsko-żydowski syjonista z nabitym uzi na kolanach.

– Dojeżdżamy do rozjazdu w Aszkelonie – powiedział siedzący obok niego Efraim Blumenfeld, młody student rabiniczny i sekretarz rabina.

Samochody przemknęły obok zażywnego izraelskiego Araba w długiej szarej galabii, siedzącego na grzbiecie wychudzonego osiołka i okładającego jego bok gałązką oliwną. Z głośników na minarecie rozpadającego się meczetu w oddalonej od drogi arabskiej wiosce niósł się głos muezina zwołującego wiernych na modlitwę. *Allahu Akbar, Allahu Akbar*. Rabin, który nauczył się arabskiego, wychodząc z założenia, że znając język wroga, jest się lepiej uzbrojonym, przetłumaczył te słowa dziennikarzowi.

– Mówi, że Bóg jest wielki. Mówi: „Zaświadczam, że nie ma boga prócz Boga, i zaświadczam, że Mahomet jest Jego wysłannikiem”^[9]. – Spoglądając w oblepione piaskiem okno, nie próbował nawet ukryć pogardy. – Ładny mi wysłannik! Ładne mi przesłanie! Ale czegoż można się spodziewać po bełkotliwych bredniach niedouczzonego poganiacza wielbłądów?

Dziennikarz zerknął na Skrzypka, który masował właśnie fioletowawy siniak na bladym czole.

– Już dawno chciałem pana o to spytać – powiedział. – Skąd ten siniak?

– Od modlitw pod Ścianą Płaczu.

– Pan żartuje.

– Rozmawiając z Bogiem, rabe uderza w nią głową – rzucił przez ramię sekretarz. – Tylko tam może stanąć twarzą w twarz z kimś, kto jest równie uparty jak on. Można powiedzieć, że modląc się, jest tak zirytowany, że dosłownie chodzi po ścianach.

Sweeney, który zbierał materiały do artykułu o żydowskich bojownikach z Zachodniego Brzegu w ogólności i o Skrzyпку w szczególności, czekał, aż tamci się roześmieją. Kiedy się nie roześmiali, zrozumiał, że odpowiedź była jak najbardziej poważna i skrzętnie ją zanotował.

– Wiadomo jest, że żydowski ekstremista, który w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym zastrzelił premiera Rabina, był pana uczniem w Beit Avram. Przed zamachem czytał podobno pańską książkę *Jedna Tora, jedna ziemia*.

– W Beit Avram Torę studiowały setki słuchaczy. Dziesiątki tysięcy czytało moją książkę, która mówi o nierozzerwalnej więzi między *ha-aretz*, ziemią Izraela, a Torą. To, co moi uczniowie i czytelnicy robią z tą wiedzą, to ich sprawa. To nie moja wina, że jeden z nich postanowił odcieleścić premiera.

– Odcieleścić?

Efraim odwrócił się i poprawił pas.

– Tora mówi: „Nie będziesz zabijał”, i rabe wyciąga z tego logiczny wniosek: słowo „zabić” nie przejdzie mu przez usta.

– Rozumiem. Spróbujmy więc z innej strony. Krążą pogłoski, że Beit Avram jest główną siedzibą podziemnego ruchu Keszet Jonatan, Łuku Jonatana, że jest pan jego duchowym przywódcą i guru tajemniczego lidera podpisującego się imieniem Jair.

– „Przed krwią pobitych, przed tłuszczem bohaterów nie cofał się nigdy łuk Jonatana”^[10]. – Rabin, fanatyk amatorskiego pokera słynący z tego, że zawsze trzyma karty przy orderach, pozwolił sobie na enigmatyczny

uśmiech; równie dobrze mógł mieć w ręku pokera, jak i parę trójek. – Druga Księga Samuela, rozdział pierwszy, werset dwudziesty drugi. Myślałem, że poważny dziennikarz z poważnej gazety zajmuje się ciekawszymi rzeczami niż sprawdzaniem niedorzecznych plotek.

Sweeney machinalnie dotknął środkowym palcem małego plastikowego urządzenia w lewym uchu; pękł mu bębenek, gdy w Bejrucie, kilka wojen wcześniej, obok jego samochodu eksplodował pocisk z mózdzierza. Prawe ucho było w porządku, ale koledzy wiedzieli, że lewym rozróżnia dźwięki tylko dzięki temu małemu plastikowemu aparatowi.

– Zaprzecza pan, że istnieje żydowskie podziemie? – spytał. – Czy że jest pan jego duchowym przywódcą?

Rabin – nazywał się Izaak Apfulbaum – wzruszył chudymi ramionami.

– Nie potwierdzam ani tego, ani tego. Ani temu nie zaprzeczam.

Kierowca włączył wycieraczki i spryskiwacz, żeby usunąć piasek z przedniej szyby. W oddali widać było rozjazd w Aszkelonie z przezroczystymi wiatami przystanków autobusowych po obu stronach i chmarą żołnierzy próbujących złapać okazję. Kierowca zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Rabin wysiadł i wraz z dziennikarzem podszedł do żołnierzy, żeby uścisnąć im rękę; Sweeney pomyślał, że wygląda jak amerykański polityk, który wchodzi w tłum, żeby głosić dobrą nowinę wśród wyborców i zapewnić sobie reelekcję. Gdy wyciągnął rękę do młodego izraelskiego oficera, ten schował swoją głębooko do kieszeni.

– Wiem, kim jesteś – powiedział po hebrajsku. Zauważył, że za rabinem stoi ktoś wyglądający na dziennikarza, notując zawzięcie w zeszycie, i przeszedł na angielski. – Opowiadasz się za wszystkim tym, czym gardzę.

Rabin przyjął tę zniewagę z podniesionym czołem; odkąd wraz z czternastoma należącymi do kongregacji rodzinami wyemigrował do Izraela z brooklyńskiego Crown Heights i założył Beit Avram, porósł grubą skórą.

– Opowiadam się za narodem izraelskim na izraelskiej ziemi – odparł ze znużeniem. – Opowiadam się za Bogiem.

Odprowadził dziennikarza do samochodu, zaparkowanego przed spotkaniem po drugiej stronie szosy.

– Podobno jesteś pan uprzedzony do naszego państwa. – Rabin przekrzywił głowę. Grube szkła jego okularów złapały światło i zmatowiały. Rabin przestąpił z nogi na nogę. – Podobno wszystkie pańskie artykuły są bardzo antyizraelskie.

– Jeśli uważa pan, że jestem stronniczy, dlaczego zgodził się pan udzielić mi wywiadu? – odparł Sweeney.

Rabin przyjrzał mu się w gasnącym świetle dnia.

– Jeśli nie przekręcisz pan mojego nazwiska, nazywam się Izaak Apfulbaum, z „f” po „p”, i będziesz mnie pan dokładnie cytował, moje argumenty oprą się wszelkim próbom ich zniekształcenia. Krótko mówiąc, jestem religijnym syjonistą. Mam zepsute zęby, ponieważ jestem zbyt zajęty studiowaniem Tory, żeby pójść do dentysty. Noszę kipę z dzianiny i nosiłbym również pistolet, gdybym widział na tyle dobrze, żeby zamiast wroga nie postrzelić przyjaciela. Jestem absolutnie przekonany, że utworzenie państwa izraelskiego w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku było wydarzeniem religijnym. Wierzę, że nasze zwycięstwo w sześćdziesiątym siódmym, które na powrót przyłączyło do Izraela to, co wy nazywacie Zachodnim Brzegiem, a my biblijnymi prowincjami Judei i Samary, było dziełem Boga. Dla mnie sercem Tory jest ósmy werset siedemnastego rozdziału Genesis, w którym Bóg darowuje Abrahamowi i jego potomnym cały Kanaan na wieczne posiadanie. Zbyt długo Żydzi byli ludem bez ziemi, a Palestyna ziemią bez ludu. Teraz ziemia i lud stały się jednością i nikt, ani obłąkani izraelscy politycy, ani dręczeni wyrzutami sumienia Żydzi z diaspory, ani sfiksowani islamscy ekstremiści, ani nawet uprzedzony gojowski dziennikarz, absolutnie nikt tego nie zmienia.

„Gojowski” – Sweeney poczuł się tak, jakby go spoliczkowano. Zamknął zeszyt i schował go do kieszeni znoszonej kurtki.

– Wielu życzliwie nastawionych ludzi, zarówno Żydów, jak i gojów, twierdziłoby, że Palestyna nigdy nie była ziemią bez ludu. Gdy w tysiąc

dziewięćset osiemnastym Brytyjczycy przeprowadzili spis, okazało się, że mieszka tam siedemset tysięcy Arabów i pięćdziesiąt sześć tysięcy Żydów...

– W historii świata nigdy nie było czegoś takiego jak naród palestyński – przerwał mu stanowczo rabin. – Żydzi zamieszkali te ziemie trzy tysiące lat temu, na długo przed hordami islamskich bandziorów z arabskiej pustyni, które ściągnęły tu, żeby splądrować Palestynę. – Zmrużył oczy i spojrzał na spuchnięte słońce, które utknęło w drutach kolczastych na siatce otaczającej stację przesyłową. – Moglibyśmy dyskutować tak godzinami, ale muszę wracać do Beit Avram na spotkanie.

Nie podali sobie rąk.

– Może innym razem – powiedział Sweeney.

– Przefaksuj pan artykuł do mojego biura. Wtedy zobaczymy.

Rabin odwrócił się na pięcie i rozchlapując kałużę rozlanej ropy, przeszedł na drugą stronę szosy, gdzie czekało kombi. Trzech młodych religijnych Żydów, jego ochroniarzy, pstryknęło niedopałkami papierosów, sprawdziło broń i wsiadło do chevroleta. Kierowca – w chwilach wolnych od studiów Tory w Beit Avram porucznik rezerwy oddziału zwiadowczego – otworzył okno, spojrzał na rosyjsko-żydowskiego syjonistę za kółkiem nissana i zawołał:

– Trzymaj się blisko mnie. I pod żadnym pozorem się nie zatrzymuj.

Chevrolet ruszył przodem i samochody popędziły w kierunku Beit Avram, zamieszkanego przez trzysta dusz żydowskiego osiedla przypominającego jarmużkę na szczycie judejskiego wzgórza w łańcuchu górskim między Morzem Śródziemnym a Morzem Martwym.

Gdy zmierzch przeszedł w noc, włączyli reflektory. Zdrożony rabin próbował zdrzemnąć się na tylnym siedzeniu, ale przeszkadzały mu światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów.

– Długo jeszcze? – spytał kierowcę.

– Czterdzieści pięć minut do godziny, zależy od ruchu.

– Chyba się spóźnimy – dodał Efraim.

– Nie zaczną, dopóki nie przyjadę – rzucił oschle rabin.

Efraim odwrócił się, spojrział w mrok na tylnym siedzeniu i spytał:

– Rabe, śpisz?

– Gdybym spał, nie słyszałbym, że o to pytasz.

– Przepraszam, ale co rabe miał na myśli, mówiąc rano, że modlitwa to strata czasu?

– Modlitwa nie jest najgorszym sposobem wykorzystania czasu, ale jest jego stratą w tym sensie, że można wtedy robić coś innego.

– Na przykład? – dążył Efraim.

Minęła ich z rykiem szesnastokółowa ciężarówka. Apfulbaum zaczekał, aż hałas ucichnie, i odrzekł:

– Mój brooklyński rabin nauczał, że gdyby Tora nie kazała Żydom się modlić, to zamiast tego studiowałby Torę.

– A więc studiowanie Tory to najlepsze, co Żyd może zrobić z czasem?

– Najlepsze, co Żyd może zrobić z czasem, to studiować Torę i wypełniać Boże przykazanie, które każe zasiedlić obiecaną nam ziemię.

– A jeśli ktoś już tę ziemię zajął?

– Pamiętasz, co się stało z Amalekitami, którzy zaatakowali uciekających z Egiptu Izraelitów?

Efraim, który studiował Torę od dziecka, uśmiechnął się promiennie.

– Bóg kazał Mojżeszowi wymazać im pamięć.

– A czy słyszałeś kiedyś o Organizacji Wyzwolenia Amalekitów? – Rabin roześmiał się cicho ze swojego żartu.

Efraim myślał przez chwilę.

– Rabe?

– Co znowu?

– Jeśli nasz obłąkany premier podpisze ten traktat, to będziemy musieli zwrócić Palestyńczykom dużo ziemi obiecaną nam w Torze. Jeżeli ją zwrócimy, to jak wypełnimy przykazanie, żeby zasiedlić całą?

– Jestem pewien, że Bóg w ostatniej chwili powstrzyma jego rękę.

– Tak jak powstrzymał rękę Abrahama, który już-już miał zabić swojego syna?

– Mniej więcej.

Gdy wjechali w zakręt koło zbiornika wodnego Zohar, światła reflektorów omyły biały kamper stojący na poboczu drogi. Wysoki ortodoksyjny Żyd z pejsami – był w długim do kostek chałacie i wysokim czarnym kapeluszu – zamachał rękami. Obok niego stała młoda kobieta ze spuszczonej oczami, sądząc po chuście, toczku i długiej do kostek spódnicy, również ortodoksyjna Żydówka.

– *Haredim* – mruknął kierowca jadącego przodem chevroleta, używając hebrajskiego określenia na ultraortodoksyjnych Żydów.

– Jedź, nie zatrzymuj się – rozkazał siedzący obok niego ochroniarz, ale ponieważ kierowca samochodu rabina już zwalniał, trąbiąc klaksonem, zatrzymali się i oni. Wszyscy trzej odbezpieczyli pistolety maszynowe i wysiedli na suchy pustynny wiatr, który rozwiewał ich pejsy i frędzle małych tałasów pod ubraniem.

Kombi stanęło obok kampera i kierowca wyszedł na drogę z palcem na spuście ukrytego pod chustą uzi. Apfulbaum otworzył okno.

– Co się stało? – zawołał w jidysz do Żyda w kapeluszu.

– Zabrakło nam benzyny – odparła po hebrajsku Żydówka; miała twarz zeszeconą dziobami po ospie.

Żyd podszedł do samochodu.

– Wracamy do Aszkelonu – powiedział po hebrajsku z akcentem, którego Apfulbaum nie potrafił początkowo umiejscowić. – Macie może zapasowy kanister? Zapłacimy.

Poboczem nadbiegł kierowca chevroleta.

– Coś tu nie gra! – krzyknął. – Oni mówią po hebrajsku zamiast w jidysz...

Ostrzeżenie – *Haredim* mówili po hebrajsku, tylko studiując Torę albo rozmawiając z Bogiem – przyszło za późno.

Młoda Żydówka wyjęła spod chusty uzi i chwyciwszy go obiema rękami, przeszyła pierś kierowcy gradem kul. Z ciemności na poboczu buchnęły wystrzały i dwaj ochroniarze stojący obok chevroleta runęli na ziemię, nie zdążywszy nawet pociągnąć za spust. Kierowca nissana rzucił się na asfalt i wypruł cały magazynek w stronę rozbłysków z luf na poboczu szosy. Właśnie próbował włożyć drugi, przyklejony na odwyrtkę taśmą do pierwszego, gdy po szosie potoczył się granat, który eksplodował tuż u jego stóp.

W ciemności i zamieszaniu jeden z ochroniarzy rabina, ranny w głowę i brzuch, zdołał wczołgać się w gęste krzaki na poboczu. Wytarł rękawem zakrwawione oczy i wyjrzał na drogę. Zza wydm przy autostradzie wypadły dwa mercedesy, które z piskiem hamulców zatrzymały się obok kampera. W świetle reflektorów zamajaczyły postacie w dżinsach, czarnych golfach i czarno-białych kefijach – dopadły nissana, otworzyły drzwi, wywlekły z samochodu rabina i jego sekretarza i wepchnęły ich na tylne siedzenie stojącego najbliżej mercedesa. Przed kombi wyrósł niski krępy mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach. Był w długiej białej galabii i dwurzędowej marynarce. Jego cień padał na szosę i tył chevroleta. Arab ukląkł na jedno kolano obok rosyjskiego kierowcy, który drgał w agonii po wybuchu granatu. Gdy drgawki nagle ustały, zbadał mu puls, pochylił się i przytknął ucho do jego ust. Pewnie stwierdził, że Rosjanin wciąż żyje, bo czubkami palców pomacał za jego uchem i wyjął mały pistolet z wewnętrznej kieszeni marynarki. Przytknął lufę do głowy i ukrywający się w krzakach ranny ochroniarz usłyszał ciche puf! wystrzału małokalibrowej broni. W pobliżu rozległy się mówiące po arabsku głosy. Na szosie zatańczyło światło silnych latarek. Jeden z napastników otworzył duży scyzoryk i ranny dostrzegł błysk ostrza, gdy Arab pochylił się nad martwym mężczyzną leżącym obok chevroleta. Pozostali zaczęli szukać brakującego ochroniarza. Jeden z nich zauważył ślady krwi na asfalcie i oświetlił latarką krzaki po drugiej stronie drogi. Gdy ruszył w tamtą stronę, na szczycie wzgórza kilometr dalej błysnęły reflektory nadjeżdżającego samochodu.

Krępy Arab w marynarce coś krzyknął i dwóch mężczyzn w golfach ułożyło rannego kolegę na tylnym siedzeniu mercedesa. Trzasnęły drzwi. Zapłonęły żółtawe światła mijania, zapiszczały opony i samochody pomknęły w kierunku Gazy.

Bitą drogą, bród w płytkim strumieniu, oznaczony dwoma wbitymi w brzeg palami – mercedesy zatrzymały się w sadzie jabłkowym. W oddali mrugały światła na szczycie siatki otaczającej kibuc i przy odrobinie wyobraźni można było wziąć go za okręt, a roztaczający się wokół bezkres nieprzeniknionej czerni za Morze Śródziemne. Na tylnym siedzeniu pierwszego mercedesa czekali w ciemności rabin i jego sekretarz ze związanymi z przodu rękami i w skórzanych kapturach na głowach. Zesztywnieli, słysząc zbliżające się kroki. Niski, krępy mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach stanął za samochodem i skinął na jednego z podkomendnych.

– Rozetnij im rękawy – rozkazał po arabsku.

Po raz drugi tego wieczoru młody mężczyzna nazwiskiem Jussuf Abu Saleh otworzył scyzoryk, pochylił się i rozciął uprowadzonym rękawy marynarki i koszuli. Sekretarz rabina głośno sapnął. Rabin tylko wstrzymał oddech, nie wydając żadnego dźwięku.

Arab o krótko ostrzyżonych włosach, znany podwładnym jako Doktor, wyjął z małego metalowego pudełka dwie strzykawki, które przygotował po południu. Gdy igła przebiła skórę, rabin oddychając przez nos, mocno zacisnął zęby.

– Boże, zabiliście go! – wykrzyknął spod kaptura Efraim.

Czując, jak palce Doktora szukają żyły na jego przedramieniu, zaczął się trząść jak liść osiki. Gdy ukłuła go igła, zaczął monotonnie recytować fragment Księgi Powtórzonego Prawa:

– *Szema yisro'eyl, adojnoj elohejnu, adojnoj...*^[11] – Zaraz potem głowa opadła mu na pierś.

Czterech porywaczy zaniósł odurzonych narkotykiem więźniów do małej furgonetki parkującej obok poobijanego srebrzystego suzuki z izraelskim numerem rejestracyjnym; na jej bokach widniał angielski napis: „Najlepsze beduińskie szaty i dywany”. Wcisnęli ich do dużych wiklinowych koszy i przykryli grubą warstwą ubrań i dywanów. Potem załadowali kosze do furgonetki i ustawili na nich kilka innych, pełnych podobnego towaru. Jussuf zamknął tylne drzwi i przez okno podał klucze kierowcy, dziobatemu Beduinowi, który palił cuchnącego skręta, słuchając popularnego egipskiego piosenkarza z magnetofonu. Obok niego siedziała młoda kobieta, która zatrzymując samochód rabina, udawała chasydkę. Miała na imię Khloud, ale wszyscy znali ją jako Petrę, od zniszczonego nabatejskiego miasta w górach Moabu, gdzie się urodziła. Zdążyła już przebrać się w długą suknię i włożyć na głowę hidżab^[12] w kolorze złamanej bieli.

– Jedź powoli – polecił Jussuf. – Do Zachodniego Brzegu nie korzystaj z głównych dróg, żeby uniknąć izraelskich posterunków kontrolnych. Do Jerozolimy wjedź od strony Jerycha, a kiedy będziesz już na Starówce, stań przed swoim sklepem i dwa razy zamrugaj światłami. Nasi ludzie zajmą się resztą.

Uśmiechnął się do Petry i przybił z Beduinem piątkę przez otwarte okno. Silnik zacharczał i ożył. Nie zapalając świateł, furgonetka wjechała ostrożnie na bitą drogę, która okrążała kibuc i wiodła przez pola na Zachodni Brzeg i do Jerozolimy.

Jussuf podszedł do mercedesa. Na tylnym siedzeniu leżał Palestyńczyk, którego ranił kierowca rabina, strzelając do niego z uzi. Z samochodu wysiadł Doktor; próbował zatamować krwotok, lecz na próżno.

- Pluje krwią – zauważył Jussuf.
- To znaczy, że ma przestrelone płuca – powiedział Doktor.
- Nie możemy pozwolić, żeby wpadł w ręce Żydów. Za dużo wie.
- Musimy dojechać do Gazy przed świtem – rzucił nerwowo jeden z Palestyńczyków.

Doktor poczuł gorący oddech chamsina na policzkach.

– Dajcie mi chwilę. – Wsiadł do mercedesa i usiadł obok rannego mężczyzny. Utulił w ramionach jego głowę. – Anwar – szepnął. – To ja, Doktor.

Dwudziestokilkuletni Anwar otworzył oczy. Odkasznął krwią, z trudem łapiąc oddech. Z niebywałą delikatnością Doktor wsunął palce pod jego golf i wymacał otwór rany wlotowej. Znalazł go tuż nad *latissimus dorsi*, mięśniem najszerszym grzbietu, i stwierdził, że kanał rany biegnie w stronę lewego płuca. Rany wylotowej nie było, co znaczyło, że kula trafiła prawdopodobnie w żebro, powodując rozległe obrażenia wewnętrzne.

Z gardła rannego dobyło się ohydne bulgotanie.

– Wyjdę z tego, tak? – szepnął chłopak.

Doktor nachylił się, dotykając ustami jego ucha.

– Wyjdę to mało powiedziane. Będziesz dzisiaj zasiadał w towarzystwie siedemdziesięciu dwóch dziewczyc, będziesz rozmawiał z Prorokiem. – Dotknął ręką jego mokrej od potu głowy i czubkami palców odszukał wyraźne wybrzuszenie kości za uchem. – „A kto walczy na drodze Boga – wymamrotał, cytując swój ulubiony fragment Koranu – i zostanie zabity albo zwycięży, otrzyma od Nas nagrodę ogromną”^[13]. – Wyjął z kieszeni berettę z perłowym uchwytem, odsunął suwadło, wprowadzając nabój do komory, ogrzał w dłoni wylot lufy i przytknął ją do miejsca tuż pod wybrzuszeniem. Potem lekko przycisnął głowę rannego do podłokietnika i pociągnął za spust. Rozległ się głuchy huk, coś jak przytłumione kasznięcie, i pocisk przebił czaszkę. Palestyńczyk drgnął i opadł bezwładnie na siedzenie.

Chwilę później dwa mercedesy, z wciąż ciepłym ciałem świętego męczennika na podłodze tego jadącego z tyłu, pędziły już na zachód do Strefy Gazy. Zdezelowane suzuki z izraelskim numerem rejestracyjnym i dwoma pasażerami – obydwaj mieli fałszywe dokumenty, według których byli Arabami z Abu Tor, na wpół palestyńskiej, na wpół żydowskiej wioski pod Jerozolimą – zmierzało na północ, w kierunku głównej autostrady. W Abu Tor Doktor zamierzał przywarować. Potem, kiedy wszystko

przycichnie, postukując laską, przejdzie przez izraelskie posterunki kontrolne, zaszyje się w labiryncie uliczek Dzielnicy Chrześcijańskiej Starego Miasta w Jerozolimie i jeśli Bóg da, zacznie przesłuchiwać rabina.

Przycupnąwszy za stertą pustaków, Jussuf Abu Saleh zaczekał, aż izraelski patrol przejedzie drogą rozdzielającą żydowską i palestyńską część Abu Tor. Dzwon na wieży Bazyliki Grobu Świętego na Starym Mieście za Doliną Hinnom – Gehenną, gdzie w czasach islamskiego wysłannika Jezusa^[14] palono śmieci – wybił godzinę. Gdy przebrzmiało echo, Jussuf wdrapał się na mur i zeskoczył do ogrodu swojego teścia. W jednym z domów na szczycie wzgórza zawył pies do księżycyca wiszącego nad górą Skopus. Odpowiedziało mu kilka psów z arabskich domów u stóp wzgórza. Wiekowy chart perski uwiązany do drzewa wstał i zaczął niespokojnie węszyć, lecz rozpoznawszy intruza, ponownie zaległ na trawie. Jussuf przeciął ogród i po kracie porośniętej starą dziką różą wspiął się na mały balkon na drugim piętrze. W willi było ciemno. Jussuf poskrobał palcem szybę. W pokoju zapłonęła zapałka, a po chwili jasny płomień świecy. Kilka sekund później okno się otworzyło i Palestyńczyk wpadł w ramiona żony.

– *Ahlan wa sahlan* – wymruczała Maali z ustami przyciśniętymi do jego szyi. – Mój dom jest twoim domem.

– Twój ojciec tak nie uważa – zauważył Jussuf.

– Ojciec jest prawnikiem. Widzi tylko prawne aspekty tego, co robisz. Nie wie już, kto ma rację, a kto nie. – Maali dostrzegła krew na ręce męża w miejscu, w którym drasnął go kolec różany, i scałowała ją. Zsunęła cienkie ramiączka koszuli nocnej. Zdjęła z męża golf i przyłgnęła do jego ciała. – Serce moje, mężu mój, witaj w izbie małżeńskiej, witaj w małżeńskim łóżku.

– Jesteś taka piękna – szepnął Jussuf. – Dwa tygodnie to bardzo długo.

Maali zaprowadziła go do mosiężnego łóżka i pociągnęła na siebie.

– Szesnaście dni i szesnaście nocy, ukochany, serce ty moje. Gdzie byłeś?

Jussuf przeczesał ręką jej kruczoczarne włosy i spojrzał jej w oczy, by sprawdzić, czy wciąż płonie w nich ogień.

– Pewnych pytań żona nigdy nie zadaje. – Ucałował jej ramię, piersi i usta. Potem usiadł. – Dzisiaj mija pół roku, odkąd się pobraliśmy. Z tej okazji mam dla ciebie prezent.

– Ty jesteś moim prezentem – szepnęła Maali, mimo to uśmiechnęła się radośnie.

Jussuf wyjął z kieszeni pierścień z herbem w kamieniu. Maali podniosła świecę, żeby go obejrzeć. Na wewnętrznej stronie pierścienia zobaczyła napis „Erasmus Hall” i datę „1998”.

– Nigdy takiego nie widziałam. Skąd go masz?

– Od Żyda nazwiskiem Erasmus Hall.

– Chcesz, żebym nosiła pierścień, który kupiłeś od Żyda?

– Odebrałem mu go – odparł z uśmiechem Jussuf. – Nie protestował, bo już nie żył.

– Kto go zabił?

– Ja i moi przyjaciele. Miał go na małym palcu. Nie mogłem go zdjąć, więc obciąłem palec scyzorykiem.

Jussuf spróbował włożyć żonie pierścień na czwarty palec lewej ręki, który łączył się podobno z sercem. Ponieważ nie chciał przejść, poślinił palec żony, zdjął obrączkę ślubną, precyzyjnie przesuwał pierścień przez staw i na powrót włożył obrączkę.

– Pierścień należący do Erasmusa Halla jest tak mały, że nie zdjęłabyś go, nawet gdybyś chciała.

Maali podniosła rękę.

– Ty naprawdę odebrałeś go martwemu Żydowi! – szepnęła.

– Nienawidzę Żydów. Zabić ich to za mało po tym, co zrobili mnie, mojej rodzinie, rodakom i religii. – Ścisnął jej ramiona. – Obciąłem mu palec i w Abu Tor rzuciłem go psu na pożarcie.

– Z dumą będę nosiła trofeum twojego zwycięstwa – oświadczyła wzruszona Maali.

Jussuf rozebrał się, stanął na małym beduińskim dywanie, a ona wzięła gąbkę, zanurzyła ją w emaliowanej misce z wodą z kwiatu pomarańczy i obmyła jego ciało. Potem nakarmiła go daktylami i kawałkami jabłka; właśnie kończył się ramadan. Wreszcie wzięła go za rękę i zaprowadziła do łoża, by przerwać post małżeński.

Tuż po północy wokół rannego młodego mężczyzny na wózku w jaskrawo oświetlonym czyściutkim korytarzu szpitala Hadassah kręcił się wysoki, szczupły mężczyzna w garniturze w prążki. Po drugiej stronie wózka truchtał sanitariusz, trzymając w podniesionej ręce plastikowy pojemnik z glukozą, która spływała rurką do przedramienia mężczyzny. Włosy na jego piersi były pozlepiane krwią, z głowy zwisał mu płat skóry, odsłaniając fragment czaszki koloru chodnika. Poruszał szczęką, jakby przeżuwał słowa i nie mógł ich połknąć.

– ...niski... krępy... krótkie włosy...

Mężczyzna w garniturze nachylił się nad nim, żeby usłyszeć resztę, ale przed podwójnymi drzwiami sali operacyjnej wyrósł kolejny sanitariusz.

– Policja nie ma tu wstępu – oznajmił.

Mężczyzna wyprostował się i spojrział w okno, za którym sześciu lekarzy w jasnozielonych fartuchach i maskach chirurgicznych, poruszających się powoli, jakby się znajdowali pod wodą, pochyliło się nad rannym. Wtedy pielęgniarka zaciągnęła zasłonę.

Gdy wschodnia część nieba pojaśniała od pierwszego brzasku, Maali obudziła się gwałtownie, by usłyszeć skwierczenie prawie do końca wypalonej świecy i zobaczyć ciemne oczy Jussufa, który patrzył na nią tak, jakby już nigdy nie miał jej zobaczyć, jakby pamięć o niej była jedyną rzeczą, którą mógł ze sobą zabrać.

– Musisz wyjść przed świtem. – Maali zadrżała. – Żydzi przychodzą tu co parę dni i pytają o ciebie.

– Co im mówicie?

– Ojciec, że jesteś wyjęty spod prawa i nie chce widzieć cię pod swoim dachem. Ja, że jestem żoną świętego wojownika świętej wojny.

Jussuf uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak żona stawia czoło swojemu ojcu i Żydom.

– Jak na to reagują?

– Ten w okularach, z insygniami oficera na ramionach, się śmieje. Ten wysoki, który jak kobieta nosi kolczyk w uchu, nazywa mnie dziwką. Grozi, że cię zabije i odbędzie ze mną stosunek seksualny, tylko nazywa to inaczej, tak wulgarnie. – Maali przytuliła męża i zniżyła głos. – Jestem żoną służki mudżaddida, ale tego im nie mówię, bo słowa te nie przejdą mi przez usta nawet wtedy, kiedy rozmawiam z ojcem. Wypowiadam je do siebie tylko szeptem.

– Doktor tego nie potwierdza.

– Ale i nie zaprzecza.

– Przyznaje tylko, że to możliwe. – Jussuf przytknął usta do jej ucha. – Nosi na czole znak Allacha, trwały siniak od bicia głową w podłogę podczas modlitwy. To święty człowiek, rozmawia z Bogiem.

– Powtórz mi jego przesłanie.

Jussuf skupił wzrok na roztańczonym płomieniu dopalającej się świecy – bijący z niej blask stał się nagle tak intensywny, że zapiekły go oczy i musiał odwrócić głowę.

– Wierzy w uniwersalny islam wznoszący się ponad podziałami między sunnitami i szyitami. Naucza, że to nie islam zawiódł muzułmanów, tylko że my zawiedliśmy islam. Że albo jest się prawdziwie wierzącym, albo kafirem, niewiernym, który odrzuca przesłanie islamu i Wysłannika Bożego. Nie można stać pośrodku. Naucza, że islam zjednoczył plemiona muzułmańskie pod wodzą Proroka Mahometa, że plemiona te, działając w imieniu Allacha, Miłosiernego, Litościwego, który jest nam bliższy niż nasze najczulsze miejsce, rozgromiły bizantyjskie i perskie wojska, podbiły Irak i Syrię, Palestynę i Persję, Egipt i Maroko oraz Libię i Hiszpanię. Że płynąca z historii nauczka jest jasna dla każdego, kto chce ją zrozumieć: zwycięstwo muzułmanów zależy od wiary w Słowo Boże i wiary w przykład, jaki daje im Prorok. Klęska to cena, jaką musimy zapłacić za jej brak.

Maali przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

– Martwię się o ciebie. Mam straszne sny, w których torturują cię na śmierć. Boję się, że ktoś cię zdradzi...

Jussuf pocałował ją w szyję.

– To niemożliwe. – Wyciągnął rękę, wyjął portfel z kieszeni koszuli, a z portfela złożył karteczkę. – Spójrz. Noszą to przy sobie wszyscy członkowie brygady Abu Bakra: to nasz tajny identyfikator. Wszystkie egzemplarze są ponumerowane. Mój ma numer siedem. To coś w rodzaju zaszyfrowanej struktury organizacyjnej. Doktor zorganizował brygadę na wzór ludzkiego systemu nerwowego. Każda komórka jest całkowicie niezależna od pozostałych. Rozkazy powstają w komórce Doktora; przenoszą je odchodzące od niej dendryty. Polecenia dla innych komórek są przekazywane tak zwanym aksonem, długim włóknem wychodzącym z komórki głównej, które jednak nie styka się z pozostałymi. Wiadomość z jednej do drugiej przeskakuje przez tak zwaną synapsę, lukę w miejscu, w którym komórki się do siebie zbliżają.

Maali zdała sobie sprawę, że widzi kolor jego oczu. Pośliniła palce i zgasiła świecę. Westchnęła, szybko wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

– Gdzie jedziesz tym razem? – spytała.

– Już mówiłem, pewnych pytań żona... – Jussuf pokręcił głową. Maali, która tak dzielnie stawiała czoło ojcu i Żydom, mógł spokojnie zaufać. – Do Jerozolimy. Na Starówkę.

Maali zawiązała na głowie bawełniany hidżab.

– W towarzystwie kobiety będziesz mniej rzucał się w oczy.

– Nigdzie nie pójdziesz, nie ma mowy.

Jej oczy zapłonęły między fałdami hidżabu.

– Nie ma mowy, żebym z tobą nie poszła. Poza tym to za daleko, żeby iść na piechotę.

Jussuf uległ jej z uśmiechem.

– Dobrze, pozwalam ci ze mną jechać, ale tylko do Bramy Damasceńskiej.

Maali roześmiała się przebiegle.

– A ja pozwalam ci pozwolić.

Wyprowadziła skuter z szopy na końcu ogrodu i nie włączając silnika, szła z boczem w dół wzgórza, aż dom ojca zniknął jej z oczu. Z bocznej uliczki wyszedł Jussuf, który wsiadł na skuter i kopnął pedał startera. Maali, z jedną ręką wokół jego pasa i drugą na ramieniu, usiadła po damsku za nim. Podskakując na nierównościach, pojechali drogą Siloam biegnącą u stóp wzgórza, którą chrześcijanie nazywają Górą Oliwną, a potem skręcili na Jerycho. Na drodze Sułtana Sulejmana prowadzącej do Bramy Damasceńskiej, głównego arabskiego wejścia do otoczonego murami Starego Miasta, zbiegał się cały okoliczny ruch i pełno tam było furgonetek wyładowanych skrzynkami warzyw, dzbanami oliwy i bambusowymi klatkami z ptactwem domowym.

Zatrzymali się przed bramą i Maali pożegnała się z mężem.

– Będziemy znowu leżeć razem w łóżu – zapewniła go żarliwie. – Tak jest nam pisane.

– *Inszallah* – powiedział Jussuf. – Jak Bóg da. – Musnął jej dłoń wierzchem dłoni. I pod wpływem chwili szepnął: – Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zostaw wiadomość dla kwiaciarza Tajzira u kulawego szewca naprzeciwko meczetu El Khanqā w Dzielnicy Chrześcijańskiej. To nasza synapsa, miejsce, gdzie wszystkie komórki zbliżają się do siebie, lecz się nie stykają.

– Wiadomość dla Tajzira kwiaciarza – powtórzyła Maali dumna, że powierzył jej tę informację. – U kulawego szewca naprzeciwko meczetu El Khanqā w Dzielnicy Chrześcijańskiej.

Jussuf ruszył w stronę bramy. Gdy obejrzał się za siebie, zdjęła hidżab, rozpuściła długie czarne włosy i w dumnym pozdrowieniu podniosła rękę z żydowskim pierścieniem na serdecznym palcu. Mąż pomachał do niej. A potem, wetknąwszy brzeg kefiru pod opaskę na głowie i zasłoniwszy dolną część twarzy, minął niespiesznie izraelskich komandosów objających się w sklepionym przejściu.

– Tu jednostka mobilna numer cztery – powiedział ten, z którego plecaka wystawała antena. – Brama Damasceńska, godzina siódma trzydzieści. Spokój.

W pobliskiej bramie pan Hadż, przygarbiony Palestyńczyk, który od niepamiętnych czasów pilnował walizek i wymieniał turystom pieniądze, wypisywał na tablicy aktualne kursy dnia.

– Niestety, przykro mi... – mówił do Beduinki, która stała przed nim, trzymając za nogi dwa żywe kurczaki. Zmrużył oczy i ponad jej ramieniem spojrzał na młodą kobietę, którą zauważył przed bramą. Chyba skądś ją znał. – Nie wymieniam rubli – wymamrotał, błędząc myślami gdzie indziej.

We wszystkich krajach Lewantu muzułmanie zasiadali do wieczornego iftaru. Z izraelskiego wybrzeża widać było błyskające w mroku światła pozycyjne tankowca, który niczym krab sunął powoli w kierunku Hajfy. Osiem minut później jego fala dziobowa dotarła do Jafy, by z cichym pluskiem omyć brzeg pod tarasem restauracji specjalizującej się w potrawach z owoców morza, prowadzonej przez Uriego Almoga, generała w stanie spoczynku, który jako wolny strzelec pracował teraz dla Mosadu, a konkretnie dla *Pahy*, wydziału zajmującego się zwalczaniem palestyńskich ugrupowań terrorystycznych. Na podświetlonym przez dwa reflektory billboardzie na dachu restauracji widniała jej napisana po hebrajsku nazwa oraz cztery słowa po angielsku: „Posiłek jak dla wieloryba”. Billboardu nie ustawiono tam jedynie w celach reklamowych: ukrywała się za nim bateria anten do odbioru i nadawania na falach krótkich i średnich i ten, kto by je wypatrzył, domyśliłby się bez trudu, że w restauracji smażono nie tylko ryby. Parking był wypełniony po brzegi, ale nie wszystkie samochody należały do gości. W samej zaś restauracji między kuchnią a stolikami biegali kelnerzy w białych fartuchach, roznosząc tace ze świeżymi makrelami, okoniami morskimi i daniem dnia – rekinem. Mieszczące się za kuchnią skrzypiące drewniane schody prowadziły do grubej zasłony, za którą były stalowe drzwi obserwowane przez oko ukrytej kamery. W wąskim korytarzu za drzwiami siedział krzepki mężczyzna, były komandos z obrzynem, strzelbą typu pump-action z uciętą lufą. Przed dużym telewizorem Sony w mrocznym pokoju na końcu korytarza zgromadziło się sześciu mężczyzn w cywilnych ubraniach. Ziarnisty i trochę niewyraźny obraz na ekranie telewizora pokazywał rabina Apfulbauma, który ze skutymi rękami na kolanach siedział na ciężkim drewnianym krześle na tle zamurowanego okna. Był blady jak śmierć, ale

ci, którzy widzieli go na żywo albo w telewizyjnych talk-showach, wiedzieli, że wygląda tak zawsze. Co ciekawe, nie robił wrażenia przerażonego, a na jego cienkich ustach błędził lekki uśmiech zadowolenia, jakby od początku się tego spodziewał. Rozcięto mu lewy rękaw marynarki i koszuli i gdy próbował odpędzić muchę, zwisający materiał owinął mu się wokół nadgarstka. Stale zmrużonymi oczami patrzył prosto w obiektyw kamery, a więc tym samym na mężczyznę przed telewizorem.

– Mruży oczy – rzucił ktoś po hebrajsku; mówił trochę niewyraźnie, lekko zniekształcając słowa. – Bez okularów nie może skupić wzroku, a okulary znaleźliśmy na miejscu porwania. Bez nich jest dosłownie ślepy, widzi tylko kształty i cienie. Jeśli chodzi o te rękawy, nasi ludzie przypuszczają, że po uprowadzeniu terrorysty uśpili go zastrzykiem.

– Zwróćcie uwagę na ten siniak – powiedział Baruch, detektyw z Miszteret Yisra'el, izraelskiej policji, przeczesując ręką grzywę przedwcześnie osiwiałych włosów; mawiał, choć zdarzało się to bardzo rzadko, że każdy z nich zastępuje łzę, której nie uronił. – W kręgach religijnych powiadają, że rabin ma go od uderzania głową w kamień podczas modlitw pod Ścianą Płaczu.

Obiektyw kamery minął jednego z porywaczy i pokazał Efraima, sekretarza Apfulbauma, który siedział sztywno na krześle obok. On też miał skute ręce i mocno zaciśnięte powieki, a na jego szyi widać było roztańczone jabłko Adama. Kamera wróciła do terrorysty stojącego za krzesłami na tle przypiętej do ściany palestyńskiej flagi. Porywacz – był w koszuli z krótkimi rękawami i obcisłej kominiarce z wąskimi szparami na oczy – miał na piersi rosyjski AK-47 ze składaną kolbą. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kartkę.

– W imię Boga Miłościwego i Współczującego – zaczął po angielsku z silnym obcym akcentem i mocno wibrującym „r”. – Islamska Brygada Abu Bakra uczciła święty ramadan, biorąc do niewoli dwóch jeńców wojennych. W zamian za Efraima Blumenfelda żądamy uwolnienia El Sayyida Nosaira, palestyńskiego patrioty odsiadującego karę dożywotniego więzienia za zabójstwo żydowskiego terrorysty, rabina Meira Kahany.

W zamian za rabina Apfulbauma żądamy uwolnienia stu czterech patriotów przetrzymywanych w żydowskim więzieniu na południe od Beersheba. Na uwolnienie El Sayyida Nosaira izraelski rząd ma pięć dni, a na uwolnienie stu czterech patriotów będziemy czekać do *Id al-Fitr*. Konsekwencją odmowy spełnienia naszych uzasadnionych żądań będzie wykonanie kary śmierci na rabinie Apfulbaumie i jego sekretarzu Blumenfeldzie.

– *Id al-Fitr*, Święto Przerwania Postu, to koniec ramadanu – wyjaśnił Wozzeck, arabista wypożyczony z finansowanego przez Szin Bet think tanku.

– Ten termin daje nam niewiele czasu na znalezienie i uwolnienie zakładników – zauważył Dovid Dror, młody podpułkownik z niemal legendarnego oddziału komandosów Sztabu Generalnego Sił Obronnych Izraela.

– Brygada Abu Bakra? Kto to właściwie jest? – spytał Baruch, gdy emerytowany generał i właściciel restauracji, Uri Almog, zaczął przewijać taśmę. – To coś zupełnie nowego.

Altmann, delegowany przez Szin Bet specjalista od palestyńskich ugrupowań terrorystycznych, rozważył kilka możliwości.

– Może to być grupa frustratów z Fatah Hawks, zbrojnego skrzydła ruchu Arafata. Albo banda niemogących usiedzieć na miejscu bojowników z *al-Ikhwan al-Muslimeen*, działającego w Egipcie Bractwa Muzułmańskiego; nie pierwszy raz miejscowi ekstremiści zaprzęgliby do brudnej roboty swoich islamskich braci z Kairu. Może to być również Islamski Dżihad, szyicki Hezbollah z Libanu, a nawet niedobitki Al-Kaidy z Afganistanu. Albo nowe wcielenie hamasowskich Brygad al-Kassama; nasz wywiad donosi, że są coraz aktywniejsi.

– Kimkolwiek są – zauważył policyjny wół roboczy Baruch – to na pewno nie amatorzy. Nie chcą negocjować, więc nie sposób ich wytropić, to prawie niemożliwe. Jeśli nie nawiążemy z nimi kontaktu, nic z tego nie będzie.

– Zatrzymaj – rozkazał głównodowodzący międzyagencyjnej grupy roboczej do sprawy uprowadzenia rabina Apfulbauma. Znany jako Elihu,

był katasą, oficerem operacyjnym tymczasowo oddelegowanym do zespołu przez Ha-Mossad le-Modi'in ule-Tafkidim Mejuhadim, Instytut do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych, lepiej znany jako Mosad. Kierował Metsadą, Departamentem Operacji Specjalnych, któremu podlegali izraelscy agenci działający nielegalnie w krajach arabskich. Żywa legenda wśród tych, którzy go znali – zanim został katasą, brał udział w dwudziestu czterech akcjach bojowych wymierzonych w palestyńskich terrorystów – lubił garnitury w prążki i koszule ze spinkami i wyglądał w nich bardziej jak londyński bankier niż jak sabra urodzony i wychowany na dzikiej pustyni Negew. Wysoki, szczupły, sztywno wyprostowany i charyzmatyczny nosił się z instynktowną pewnością siebie człowieka, który wykorzystuje swój autorytet bardziej, niż wymaga tego jego praca. Patrząc na ekran telewizora i mówiąc, ssał ustnik niezapalanej fajki, dlatego niektóre słowa brzmiały trochę niewyraźnie. – Na ścianie za porywaczem jest palestyńska flaga. Uri, możesz zrobić zbliżenie prawego dolnego rogu?

Generał, który piętro restauracji wynajął międzyagencyjnej grupie roboczej – żadna z organizacji macierzystych nie chciała, żeby do spotkania doszło u przeciwnika, a jego dom uznano za teren neutralny – ponownie przewinął taśmę. Zatrzymał obraz i pokręcił gałkami. Fragment obrazu z flagą zaczął się powiększać, aż wypełnił cały ekran.

– Obok flagi coś jest – dodał Elihu.

Obraz wyostrzył się i zobaczyli fragment czegoś, co mogło być krawędzią ulotki albo broszury reklamowej.

– To chyba plakat – mruknął Altmann.

– Moment. – Wozzeck ukląkł przed telewizorem. – Spójrzcie: papier jest podzielony na kwadraty. Ale widać tylko rząd po lewej stronie...

– To kalendarz – powiedział Uri.

– Na marginesie jest jakiś napis – zauważył Elihu. – Dasz radę go powiększyć?

Ekran wypełniły rozmyte litery, które nagle nabrały ostrości. Sześciu mężczyzn przekrzywiło głowy, żeby odczytać pionowy napis.

– To po arabsku – stwierdził Wozzeck. Dotknął ekranu czubkami palców.
– „Centralny Bank Importowo-Eksportowy w Gazie”.

Na znak Elihu generał wyłączył telewizor i zapalił nagą żarówkę pod sufitem. Oślepieni światłem mężczyźni usiedli przy owalnym stole zastawionym popielniczkami, kieliszkami i butelkami wody mineralnej z restauracji na dole.

Długo wbijali wzrok w blat. Ciszę przerwał Dror, weteran wojenny, zastępca Elihu podczas jego ostatniej akcji bojowej w Nablusie.

– *Mechabel*^[15] w czarnej kominiarce jest w koszuli z krótkimi rękawami. Pamiętacie ten dziwny chamsin, który choć raz ominął Jerozolimę i Zachodni Brzeg? Oni są w Azie^[16]. Gdyby ukrywali się na wzgórzach pod Jerozolimą albo w górach Judei, miałyby na sobie koszulę z długimi rękawami albo i sweter.

– Tak, rabin jest w Azie, ale nie dlatego – odezwał się Wozzeck. Popatrzył na kolegów. – Sprawa jest bardzo prosta: koszula z krótkimi rękawami i kalendarz to oczywista podpucha. Owszem, mieliśmy pomyśleć, że rabin jest w Azie, ale oni nie są głupi. Wiedzieli, że ich przejrzymy i uznamy, że jest gdzie indziej. Co znaczy, że musi być w Azie.

Głos zabrał Baruch, rosły mężczyzna, który zawsze patrzył ludziom w oczy i mówił to, co myślał.

– Znowu rozmawiamy o inteligencji Palestyńczyków. – Jego wzrok spoczął na Wozzecku. – Nie wiem dlaczego, ale zawsze dochodzimy do wniosku, że jesteśmy bystrzejsi od nich. Zgoda: musimy zacząć od założenia, że chcą nas zmylić, dając nam do zrozumienia, że rabin jest w Azie, ale ja doceniam ich inteligencję bardziej niż ty. Moim zdaniem podsuwają nam Azę, ponieważ o krok nas wyprzedzają. Z podanych przez ciebie powodów spodziewają się, że tak pomyślimy, co znaczy, że rabina tam nie ma.

Wozzeck nalał sobie wody i trzymając kieliszek za długą nóżkę, przyjrzał się jej jak staremu winu.

– Palestyńczycy nie są tak subtelni – stwierdził.

Uri Almog pokręcił głową.

– Obydwaj podchodzicie do tego zbyt intelektualnie. Kasetę, którą przed chwilą obejrzelіśmy, nadano w głównym urzędzie pocztowym w Azie.

Baruch, archeolog amator specjalizujący się w tropieniu zaginionych starożytnych ludów, postukał palcem w nos.

– Jeszcze dziś wieczorem mógłbym wysłać do Tel Awiwu list ze znaczkiem ostemplowanym na Atlantydzie, która poszła pod wodę trzy i pół tysiąca lat temu.

Spod podłogi doszedł przytłumiony brzęk talerzy i głos kogoś krzyżącego po hebrajsku:

– Dwa koniaki i rachunek dla czternastki!

Elihu posaż głośno ustnik fajki.

– Czy ty ją kiedykolwiek palisz? – warknął poirytowany Altmann.

Elihu wymamrotał coś o tym, że rzucił palenie w dniu czterdziestych piątych urodzin, żeby dożyć pięćdziesiątych. Po chwili dodał:

– Zgadza się z Urim: niepotrzebnie to komplikujemy. Nawet jeśli zapomnimy o kalendarzu, koszuli z krótkimi rękawami i znaczku pocztowym na przesyłce z kasetą, wciąż pozostaje kwestia tych samochodów. Jako pierwszy na miejscu porwania zjawił się kierowca furgonetki i ochroniarz, który przeżył napad, powiedział mu, że rabina i sekretarza uprowadzono dwoma mercedesami. Na przydrożnych wydmach znaleźliśmy ślady opon, stąd wiemy, że nie zmyślał. Ślady prowadziły przez pustynię do Strefy, miejsca między dwoma izraelskimi posterunkami, gdzie przecięto siatkę. Dziś o szóstej czterdzieści pięć w sadzie owocowym w pobliżu Gazy palestyńska policja znalazła dwa porzucone mercedesy. – Elihu postukał fajką w otwartą dłoń. – Dopóki nie znajdziemy dowodów podważających tę tezę, trzeba założyć, że rabin i jego sekretarz są w Azie.

Baruch, który nie pasował do reszty towarzystwa w tym sensie, że jako jedyny nie był samozwańczym arabistą, powrócił do problemu samochodów.

– Za pozwoleniem władz Autonomii dwóch naszych ludzi przyjrzało się tym mercedesom. Tak się złożyło, że jednym z nich byłem ja. Z kierownicy i klamek starto odciski palców. Na tylnym siedzeniu drugiego samochodu wciąż leżało ciało terrorysty, który najwyraźniej oberwał podczas napadu. Dziś po południu dostaliśmy protokół sekcji zwłok, który potwierdził to, czego mógłby się domyślić każdy idiota. Facet miał przebite lewe płuco i doszło do krwotoku wewnętrznego, ale bezpośrednią przyczyną śmierci była kula małego kalibru, którą wpakowano mu w głowę tuż za uchem.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Do pokoju weszła jedna z młodych kobiet pracujących na nocną zmianę w centrali telekomunikacyjnej. W minispódniczce i na bosaka – miała pęcherz na pięcie – niosła plastikową tacę zastawioną kubkami kawy.

– Czym chata bogata – powiedziała, stawiając ją z trzaskiem na stole. – Zapomnieliśmy kupić chudej śmietanki. – W progu potrząsnęła głową, odrzucając do tyłu niesforne kosmyki farbowanych henną włosów. – Nikt nie jest doskonały. – I zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, zamknęła za sobą drzwi.

– Rozmawialiśmy o małokalibrowym pocisku w głowie tego Palestyńczyka – przypomniał wszystkim generał.

Elihu westchnął.

– Musieliśmy to poruszyć prędzej czy później. – Z kieszeni marynarki wyjął mały notes, przerzucił kilka kartek, wreszcie znalazł to, co zapisał tamtego ranka. – Pojechałem do szpitala Hadassah i udało mi się porozmawiać z tym rannym ochroniarzem. Wieziono go właśnie na operację i byłem ostatnią osobą, która rozmawiała z nim przed śmiercią. Widział Araba dowodzącego atakiem. Opisał go jako niskiego, krępego mężczyznę o krótko ostrzyżonych włosach. Był w długiej białej galabii i marynarce. Ukląkł w świetle reflektorów samochodu rabina, żeby obejrzeć kierowcę, którego raniły odłamki granatu. Zbadał mu puls, nachylił się, przytknął ucho do jego ust...

– Żeby sprawdzić, czy oddycha – przerwał mu generał. – W warunkach bojowych robimy tak samo.

– Ten opis – dodał Baruch, który uwielbiał stawiać kropkę nad i – może świadczyć o tym, że facet jest pielęgniarzem albo sanitariuszem.

– Musiał zauważyć oznaki życia – ciągnął Elihu – bo wyjął mały pistolet z kieszeni marynarki, pomacał czubkami palców za uchem rannego, przytknął tam lufę i pociągnął za spust. Według protokołu sekcji zwłok zarówno kierowca rabina, jak i palestyński terrorysta, którego ciało znaleziono w mercedesie, zginęli dokładnie w ten sam sposób: od pojedynczej kuli kalibru pięć przecinek sześć dziesiątych milimetra, z chirurgiczną precyzją wystrzelonej z przystawienia w *medulla oblongata*, rdzeń przedłużony kontrolujący pracę serca i oddychanie. W obydwu przypadkach śmierć była natychmiastowa.

– Zabił, bo kierowca był Żydem – rzucił z odrazą Wozzeck; kiedy się denerwował, mówił z wyraźnym polskim akcentem. – Zamordował swojego towarzysza, bo nie chciał, żeby ten wpadł w nasze ręce i wydał swojego przywódcę.

Baruch ujął w słowa to, o czym wszyscy myśleli.

– Sposób egzekucji, pojedyncza kula kalibru pięć przecinek sześć dziesiątych milimetra wystrzelona w *medulla oblongata*, pasuje do sposobu działania zabójcy, który po raz pierwszy zwrócił uwagę policji, mordując przed kilkoma laty naszego ministra bez teki. Podczas intifady ten sam człowiek zabił osiemnastu Palestyńczyków oskarżonych o współpracę z Izraelczykami. Sporządziliśmy jego portret psychologiczny. Wynika z niego, że morderca żywi osobistą urazę do kolaborantów, sięgającą daleko poza ideologiczne odrzucenie tych, którzy pomagają wrogowi. Jest prawdopodobne, że zdradzony przez konfidenta przesiedział wiele lat w naszych więzieniach.

– Czy warto skrzykiwać braci Karamazow i naprowadzać ich na właściwy trop? – spytał Altmann. Mówił o dwóch obłożonych karą suspensy rosyjskich rabinach, znanych w ich świątku jako Absalom i Azazel, nadzorców kilku piwnic wypełnionych starymi policyjnymi dokumentami, których z braku funduszy nie zdigitalizowano.

– I kogo mieliby szukać? – spytał retorycznie Baruch. – Niskiego, krępego Araba, który spędził Bóg wie ile lat w jednym z naszych wiejskich klubów na pustyni Negew po tym, jak zdradził go konfident? Dajcie spokój. Absalom pękłby ze śmiechu. Ten opis pasuje do tysięcy Palestyńczyków.

Elihu zamknął notes.

– Urowadzenie rabina i jego sekretarza zmusza nas do przyjęcia najgorszego scenariusza: zabójca i jego wspólnicy, zwący się Islamską Brygadą Abu Bakra, mordują Żydów, żeby zburzyć rozejm i uniemożliwić podpisanie traktatu pokojowego w Mount Washington.

– Zaatakowali pierwszy samochód, jaki im się nawinął? – myślał na głos Altmann. – Czy polowali na Apfulbauma?

Baruch niecierpliwie machnął ręką.

– Gdyby chcieli porwać pierwszego lepszego Żyda, nie zaatakowaliby dwóch samochodów, w tym wozu pełnego młodych ochroniarzy uzbrojonych w uzi. Nie, nie, trzeba założyć, że chodziło im o rabina.

– Wiedzieli, że zaproszono go do Yad Mordechaj – zgodził się z nim Dror. – O zlocie Żydów wygnanych w dwa tysiące piątym z osiedli w Gazie pisano w gazetach. Wiedzieli również, że wieczorem Apfulbaum będzie wracał do Beit Avram.

– Ale dlaczego akurat on? – drążył Altmann.

Elihu odsunął się z krzesłem od stołu, postukał fajką w otwartą dłoń, wstał i podszedł do okna. Piętro niżej z restauracji wychodziły trzy pary, trzy kobiety pod rękę z trzema mężczyznami. Wszyscy byli wstawieni i śpiewali Hatikwę, hymn Izraela, który brzmiał ponuro nawet wtedy, gdy wykonywano go poprawnie. Elihu uśmiechnął się do siebie i odwrócił.

– Odpowiedzi należy szukać w Beit Avram, zamieszkanym przez religijnych ekstremistów, wściekłych, że rząd chce prehandlować świętą ziemię za niepewny pokój. Trzeba jej szukać w pogłoskach o żydowskiej podziemnej komórce, która tam powstała. Terrorysty uprowadzili Apfulbauma, ponieważ tak samo jak my myślą, że dla żydowskich ekstremistów rabin jest strażnikiem płomienia, zna tożsamość tajemniczego

Jaira, przywódca żydowskiego podziemia, który sygnuje ich manifesty, chwając się zamachami na miejscowych przywódców palestyńskich, i że jeśli zmuszą go do mówienia, to, co powie, zaszkodzi Izraelowi dużo bardziej niż jakakolwiek podłożona przez Hamas bomba.

– Dla dobra Jaira – rzucił od stołu Baruch – mam nadzieję, że Apfulbaum nie zna odpowiedzi na ich pytania.

– Dla dobra rabina też – dodał z krzywym uśmiechem Wozzeck.

– Poruszyliśmy wszystkie podstawowe sprawy? – spytał Elihu.

– Pomińcieś ciekawą kwestię tego brakującego palca – odparł Baruch. Urodzony i wychowany pod ostrzałem syryjskich moździerzy w kibucu w północnej Galilei, jako jedyny w pokoju nie czuł przed szefem respektu. – Koroner zauważył coś, co nasi ludzie przeoczyli, a mianowicie to, że jeden z ochroniarzy, pochodzący z Brooklynu chłopak nazwiskiem Ronnie Goldman, który przyjechał tu ze Stanów przed czterema laty, nie ma małego palca u lewej ręki. Początkowo myślano, że odstrzelono mu go podczas walki. Ale potem ranie przyjrzał się ktoś bardziej doświadczony, kto stwierdził, że palec został niezdarnie amputowany tuż poniżej kłykcia. – Baruch pokręcił dużą głową. – Tylko nie pytajcie mnie, co to znaczy. Nie mam zielonego pojęcia.

Do stojącego przy oknie Elihu podszedł Dror, stary weteran wojenny z siną blizną od szrapnela na prawym policzku. Kiedy jego ojca oddelegowano do ambasady izraelskiej w Stanach Zjednoczonych, mieszkał tam przez kilka lat i zrobił dyplom z literatury na Uniwersytecie George’a Washingtona. Wsłuchiwali się przez chwilę w cichy chłopot omywających brzeg fal.

– Serce nie zna poświęcenia większego niż ofiara, jaką składa morzu brzeg – powiedział po angielsku Dror. – I szybko dodał: – To cytat z amerykańskiego poety Frosta.

Legendarny *katsa* zagryzł ustnik fajki i niewyraźnie wymawiając słowa, odparł:

– Moje serce zna. To ochrona żydowskiego życia w żydowskim państwie. – I jakby zawstydzony tym wybuchem odwrócił się gwałtownie

do kolegów. – Pora wziąć się do roboty i zarobić na chleb, panowie. Musimy znaleźć rabina i jego sekretarza, zanim ten niski, krępy morderca wpakuje im kulę w łeb.

– Bez negocjacji – mruknął Baruch – bez żadnego kontaktu nie wiadomo nawet, od czego zacząć.

– Mam coś w zanadrzu – powiedział Elihu. – Szanse są małe, ale...

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Z oczywistych powodów nie mogę poświęcić wam dzisiaj zbyt dużo czasu. Pewnie wiecie już, co się tu rozbryzgnęło. No właśnie. Jak się o tym dowiedziałem? Jednym okiem jak zwykle oglądałem CNN i zobaczyłem na ekranie mapę Izraela. Potem pokazali trzy trupy na drodze, rannego ochroniarza na wózku w szpitalu, premiera odpędzającego kamerzystę słowami: „Bez komentarza” – ach, ta jego angielszczyzna – i palestyńskiego przywódcę potępiającego pogwałcenie zawieszenia broni, jak zwykle po angielsku zamiast po arabsku. Ledwie reportaż się skończył, gdy na moim biurku zadzwonił telefon. Szukał mnie sekretarz prasowy pani prezydent; był trochę roztrzęsiony i prosił o wskazówki. Kazałem mu powiedzieć, że dopóki dym się nie rozwieje, ani ja, ani nikt z Białego Domu nie wyda żadnego oświadczenia. Obiecałem, że zadzwonię do izraelskiego premiera i przewodniczącego Autonomii Palestyńskiej, a potem zdam sprawozdanie pani prezydent. Po rozmowie z panią prezydent skontaktuję się z nim i ustalimy, jak rozegrać to z prasą.

Tak, z prasą takie rzeczy się rozgrywa, bez tego nikt tu nie przeżyje ani jednego dnia, nie w tym mieście.

Zadzwoniłem do przywódców Izraela i Palestyny. Ich bramkarze próbowali odesłać mnie do zastępców, więc przeszedłem na tryb Starego Buldożera. Oświadczyłem, że pogaduchy z zastępcami mnie nie interesują, że nie chcę rozmawiać ani z rzecznikami, ani rzecznikami prasowymi, że domagam się rozmowy z szefem, usta w usta i ucho w ucho. Jeśli z jakichś powodów nie mogą podejść do telefonu i porozmawiać z przedstawicielem prezydenta Stanów Zjednoczonych, niech ktoś zanieś im telefon, ponieważ leży to w ich najlepszym interesie. Nie muszę chyba mówić, że połączono mnie z jednym i drugim i odniosłem wrażenie, że tak jak ja dowiedzieli się o wszystkim z CNN-u. Obaj zapewnili mnie, że aby nie pogarszać sytuacji,

przez dwadzieścia cztery godziny nic nie zrobią ani niczego nie powiedzą. Innymi słowy, zyskaliśmy czas na głęboki oddech. Złożyłem sprawozdanie pani prezydent, a potem zadzwoniłem do dyrektora CIA i poprosiłem, żeby jego ludzie informowali mnie o wszystkim co pół godziny; oczywiście ująłem to trochę inaczej, ale tak, do tego się to sprowadzało: po prostu chciałem wiedzieć ociupinkę więcej niż ci z CNN-u. Potem zleciłem sekretarce wezwać do centrum operacyjnego wszystkich spiskowców, czyli tych co zwykle. Zamierzaliśmy schronić się tam i przejść na tryb szacowania strat. Jeszcze potem usiadłem wygodnie w fotelu, zamknąłem oczy i odetchnąłem – dopiero wtedy.

Tak, szczerze mówiąc, czytałem artykuł w „New York Review”, ten o negocjacjach pokojowych. Prosił mnie o wywiad, ale grzecznie odmówiłem. Jestem zwolennikiem zasady, że najlepszymi prezydenckimi doradcami są ci, których nie widać ani nie słychać. Owszem, część z tego, co napisał, odpowiada prawdzie, lecz na pewno nie wszystko. Że za wolno się to rozkręcało? Że byliśmy ślamazarni? Nie, to nie tak. Początkowe rozmowy w Mount Washington nie były ślamazarne – były koszmarne. Podczas pierwszego spotkania obie strony wyklócały się dosłownie o wszystko: o kształt stołu negocjacyjnego, o szczebel reprezentacji, o to, czy Amerykanie mają siedzieć przy stole, czy czuwać w pokoju obok i interweniować, gdyby rozmowy utknęły w martwym punkcie, o to, czyich map będą używać, decydując o kształcie nowych granic, o to, czy powinna się w to zaangażować Organizacja Narodów Zjednoczonych i jak będą rozgrywać to z prasą. Pięć dni trwało samo uzgodnienie składu i liczebności podkomisji mających wypracować kompromis co do tego, które osiedla zostaną zlikwidowane i jaki status będą miały te, które pozostaną na terenie nowego państwa palestyńskiego, co do prawa wodnego, dostępu Palestyńczyków do portów izraelskich, kontroli nad palestyńską przestrzenią powietrzną i liczebności palestyńskiej milicji, co do tego, jakiej ta milicja będzie używała broni, ilu palestyńskich uchodźców będzie mogło wrócić do Izraela i jakie odszkodowanie dostaną pozostali. Gdy po trzech tygodniach negocjacje utknęły w martwym punkcie, osobiście zainterweniowała pani prezydent. Wszyscy pamiętamy jej przemówienie.

Oświadczyła, że Ameryka nie zamierza dłużej tolerować sytuacji, w której politykę dyktują ekstremiści z jednej czy drugiej strony, a potem po raz pierwszy w historii przedstawiła ogólną wykładnię amerykańskiego planu pokojowego, co było gigantycznym odstępstwem od naszego poprzedniego stanowiska, które popierało jedynie sam proces mający doprowadzić do tego, że plan taki powstanie.

To prawda, jestem autorem fragmentów przemówienia o amerykańskim poparciu dla planu zamiast procesu pokojowego, ale pani prezydent zasługuje na uznanie za to, że w ogóle je wygłosiła.

Za kulisami podbiliśmy stawkę: ogłosiliśmy, że jeśli Izraelczycy i Palestyńczycy nie zgodzą się na nasz plan, Stany Zjednoczone zawieszają pomoc gospodarczą i wojskową dla Bliskiego Wschodu oraz nie zawetują uchwał Rady Bezpieczeństwa wzywających do narzucenia obecności oenzetowskich rozjemców pokojowych w Izraelu i Palestynie. Jedna po drugiej, różnice między zespołami negocjacyjnymi zostały złagodzone i pasowały teraz do „ogólnej wykładni” pani prezydent. Praca na etapie „ostatnich pięćdziesiąt”, by użyć pamiętnego określenia Sołżenicyna^[17], była koszmarem dla obydwu stron, nie wspominając już o nas. Autonomia niechętnie zrezygnowała z prawa do powrotu milionów palestyńskich uchodźców do Izraela, Izrael obiecał przyznać odszkodowanie tym, którzy musieli opuścić swój dom w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. W zamian za solenne przyrzeczenie wszystkich krajów arabskich regionu, że uznają one prawo Izraela do istnienia w powszechnie respektowanych granicach, Izraelczycy zgodzili się również ewakuować większość osiedli żydowskich z Zachodniego Brzegu oraz zwrócić Palestyńczykom arabską część Jerozolimy i połowę Starego Miasta. Ostatnią przeszkodę – Izraelczycy upierali się, żeby stworzyć strefę bezpieczeństwa wzdłuż rzeki Jordan – usunięto, gdy namówiłem Pentagon, żeby zagwarantował Izraelowi dostęp do amerykańskich satelitów obserwacyjnych, przetwarzających dane w czasie rzeczywistym i kontrolujących cały Bliski Wschód.

Moje samopoczucie? Dobre pytanie. Próbuję chyba nie poddawać się rozpacz. Coś mi mówi, że jest to ostatnia chwila błogiego spokoju, że lada dzień nadejdzie straszliwy chamsin, który zbudzi lewentyńskie demony ognia i furii z zemsty za to, że pewien postrzelony żydowski rabin dał się komuś porwać.

Zamknawszy i zostawiwszy samochód na rozległym parkingu, Sweeney ruszył na piechotę w kierunku ropiejącej rany zwanej Erezem, głównego przejścia granicznego między Izraelem a Strefą Gazy. Od porwania Skrzypka jak nigdy dotąd zaostrozono środki bezpieczeństwa. Obserwując długie rzędy ponurych Palestyńczyków udających się do pracy na polach i w fabrykach na izraelskim wybrzeżu, nerwowi żydowscy strażnicy nie zdejmowali palca ze spustu i mieli nabite magazynki. Izraelski oficer na niskiej wieżyczce krzychał przez megafon – po arabsku – do kierowcy palestyńskiej ciężarówki, każąc mu stanąć przed pierwszą na szerokiej alei zaporą z cementu i worków z piaskiem. Czuwający za sąsiednią zaporą pulchny sierżant w pokrytym siatką hełmie i sięgającej szyi kamizelce kuloodpornej obrócił karabin maszynowy i wycelował w opony, gotów je przestrzelić, gdyby kierowca natychmiast nie posłuchał rozkazu.

Rozgrywający się tu spektakl nigdy nie przestawał Sweeneya zadziwiać: ledwie godzina i dziesięć minut jazdy od wygodnej Jerozolimy – mieszkania z tarasem w Jemin Mosze z fantastycznym widokiem na mury Starego Miasta, od kostek lodu grzechoczących w najbardziej wytrawnym martini na tym brzegu Jordanu, które pijał z ręką na najbardziej pociągającym kobiecym udzie na Ziemi Świętej – i pukało się już do bram piekła Dantego.

Nie, żeby z wejściem do Gazy był jakiś problem. Problemem dla Palestyńczyka było wyjście: nie mógł mieć przeszłości kryminalnej ani krewnych w organizacjach fundamentalistycznych, no i musiał nosić przy sobie specjalną kartę magnetyczną, którą Izraelczycy wymieniali na nową, jeśli chcieli zająć mu za skórę. Natomiast wejść do Strefy było bardzo łatwo, bułka z masłem. Ledwie zerknawszy na jego amerykański paszport i wydaną przez rząd legitymację prasową, strażnik o dziecięcej twarzy,

który chyba nigdy się jeszcze nie golił, machnął ręką, przepuszczając go przez zabudowany posterunek graniczny. Gest ten zdawał się mówić: wyglądasz na świadomego swych czynów faceta, wiesz, co robisz. Jeśli jesteś na tyle głupi, żeby wchodzić do piekła, nie będziemy cię zatrzymywać.

Sto metrów dalej, za niekończącymi się rzędami ułożonych w harmonijkę drutów kolczastych i najeżonych stalowymi kolcami zapór drogowych, dotarł wreszcie do grupy miejscowych Palestyńczyków, którzy przyjeżdżali po klientów stareńkimi samochodami, nie bacząc na to, że po odpaleniu silnika ich wehikuły wyrzucają w powietrze kłęby gęstego brązowego dymu. Za sto dolarów dziennie – gotówka na stół – wozili każdego na spotkania w Gazie albo do jednego z przepelnionych obozów dla uchodźców. Za kolejną setkę szofer mógł na oczekaniu zorganizować demonstrację za lub przeciwko czemuś lub komuś, wszystko jedno komu – wystarczyło tylko powiedzieć – a za dodatkową tłumaczył hasła wypisane na każdej nagiej ścianie w Gazie. Dwaj chrześcijańscy Arabowie, reporterzy z miejscowej agencji prasowej, ładowali telewizyjne kamery do poobijanego buicka kombi. Znany prezenter wiadomości, którego Sweeney pamiętał z Bejrutu – facet próbował coś z niego wyciągnąć w zamian za trzydniową kolację w hotelu St. George – rozdawał amerykańskie papierosy wychudzonym palestyńskim dzieciakom z malutkimi kubeczkami mocno słodzonej kawy.

– Sweeney, przyjacielu! – zawołał. – Jak się masz?

– Jakoś się mam – odparł Sweeney. – Nagrałeś coś sobie?

– W południe jestem umówiony na wywiad z capo di tutti capi. Obiecałem mu sześć minut bez reklam pod warunkiem, że wystąpi w tej kraciastej chuście... Cholera, jak one się nazywają?

– Kefije – mruknął Sweeney, który jako szef biura prasowego w Jerozolimie od ośmiu miesięcy nie umówił się na wywiad z nikim postawionym wyżej niż miejski hycel.

– Właśnie, kefije. Wiedziałem. Zapomniałem tylko, jak to się wymawia. Na starość ma się trzy problemy. Pierwszy, to że traci się pamięć. Cholera!

Zapomniałem, jaki jest drugi i trzeci. – Prezenter śmiał się ze swojego dowcipu, dopóki nie zabrakło mu tchu.

Szofer Sweeneya, powszechnie znany jako Roger, ponieważ naoglądawszy się amerykańskich filmów wojennych, potwierdzał wszystkie polecenia słowem „Roger”, zaparkował na końcu rzędu samochodów. Jeździł zdezelowaną ładą i Sweeney pomyślał, że tylko Bóg wie, jakim cudem wóz skonstruowany w Rosji skończył w Strefie Gazy. W końcu jednak wszystkie samochody kończyły na złomowisku, więc może była w tym jakaś logika.

Brzuchaty Roger, jak zwykle w zapiętej pod szyję indyjskiej koszuli, brązowym garniturze i sandałach, z trudem wcisnął się za kierownicę.

– Dokąd dzisiaj, panie Max? – spytał, gdy Sweeney usiadł obok niego.

– Na czuwanie.

– Roger, panie Max – powiedział Roger i na jego okrągłej twarzy zagościł ochoczy uśmiech, który odsłonił błyszczące złote koronki na dolnej szczęce. – Mówisz i masz.

Zazgrzytały biegi, pod maską coś gwałtownie zadygotało, wystrzelił gaźnik – kilku stojących w pobliżu mężczyzn natychmiast rzuciło się do ucieczki – i ruszyli. Sto metrów dalej stanęli na posterunku kontrolnym Autonomii Palestyńskiej. Kolejny żołnierz o dziecięcej twarzy – ten był w świeżo wyprasowanym niebieskim mundurze i niebieskim berecie, z nowiuteńkim chińskim kałasznikowem pod pachą – wziął od Sweeneya paszport i podał go niskiemu wąsaczowi w przypominających gogle ciemnych okularach i zielonym płaszczu przeciwdeszczowym z paskiem.

Zielony Szerszeń, jak nazwał go Sweeney, zerknął na niego znad paszportu.

– Max to również żydowskie imię – oznajmił doskonałą angielszczyzną, przyglądając mu się przez otwarte okno.

– Tak jak Jezus – odparował Sweeney.

– Jezus nie był syjonistą – zaatakował Szerszeń.

– Między innymi. Nie był również chrześcijaninem.

– Wy z Zachodu ciągle nas pouczaacie – zauważył Szerszeń. – Pewnego dnia dotrze do was, że od nas też można się czegoś nauczyć.

Sweeney uśmiechnął się nieswojo. Nie zamierzał wdawać się w dyskusję teologiczną z przełożonym palestyńskiego policjanta, stojącego obok z palcem na spuście kałasznikowa.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Nie jestem Żydem. Sweeney to irlandzkie nazwisko, irlandzkie i katolickie.

Roger nachylił się w stronę okna.

– Sweeney jest przyjacielem Palestyńczyków – powiedział po angielsku. (Na koniec dnia dostawał suty napiwek i bardzo mu zależało, żeby Sweeney nie zapomniał o tym dobroczynnym geście).

Zielony Szerszeń zwrócił paszport i odszedł w stronę następnego samochodu. Walcząc ze skrzynią biegów, Roger wrzucił jedynkę i po serii gwałtownych szarpnięć łada ruszyła w kierunku miasta.

Wyprzedziła ich pełna Arabek taksówka ze stertą waliz na dachu – spod kół buchnęły kłęby białego jak kreda pyłu i Sweeney musiał zasłonić chustką usta i nos. Śmiejąc się z jego dyskomfortu, Roger ominął beduińskiego chłopca, który z kozą na ramionach prowadził rząd wielbłądów, potem osiołka ciągnącego wózek uginający się pod ciężarem stosu pomarańczy, jeszcze potem przejechał przez grząską kałużę miejskich ścieków, wreszcie skręcił w boczną ulicę i kilka minut później byli już w centrum Gazy.

Ponieważ przypuszczano, że porywacze przetrzymują tu uprowadzonego Skrzypka, środki bezpieczeństwa zaostrzono i po tej stronie granicy – na każdym skrzyżowaniu stały dżipy i palestyńscy policjanci, którzy z pistoletami maszynowymi w rękach uważnie obserwowali ruch. Na ulicach, zakurzonych i cuchnących gnijącymi śmieciami, roiło się od bosonogich dzieci i kobiet w czadorach dźwigających kosze z warzywami. Siedzący w ponurych kawiarniach brodaci mężczyźni palili skręty i grali w tryktraka. Na każdym rogu przeraźliwie trąbiły klaksony; w Gazie było bardzo mało sygnalizatorów, więc każde skrzyżowanie stanowiło próbę odwagi dla wszystkich ryzykantów, którzy usiłowali przez nie przejechać.

Łada minęła duży kompleks biurowy znany jako Al Saraya, siedzibę władz Autonomii Palestyńskiej; robotnicy na bambusowych rusztowaniach odbudowywali właśnie skrzydło gmachu zburzone przed zawieszeniem broni podczas nalotu izraelskich śmigłowców. Trąbiąc klaksonem, centymetr po centymetrze Roger przebił się przez tłum gości czekających na nowożeńców przed pałacem ślubów, skręcił i znaleźli się w dzielnicy Szajajja.

– Męczennik mieszkał w rodzinnym domu przy tej ulicy. – Wjechał na chodnik, zgasił silnik, starannie zamknął samochód i poprowadził Sweeneya w stronę drzwi w pokrytej sztukaterią białej ścianie. Wskazał widniejący nad drzwiami napis. – *Szahid*. „Męczennik”, tak to tłumaczą, ale tak naprawdę to znaczy „świadek”. Ten zabity chłopak – miał na imię Anwar – dawał świadectwo Bogu i Prorokowi.

Zapukał do drzwi. Otworzył je nastolatek w bluzie sportowej z palestyńską flagą na piersi. Roger zagadał do niego po arabsku i z gracją baletmistrza chłopak zaprosił ich gestem do środka.

Wyszli na betonowy dziedziniec zastawiony rzędami białych plastikowych krzeseł. Wokół otwartego paleniska, na którym parzyła się kawa, siedziało w milczeniu trzydziestu mężczyzn w poliestrowych spodniach i sandałach. Na ścianie wisiało olbrzymie zdjęcie Anwara; zrobiono je w zakładzie fotograficznym w Gazie, ale wyglądało tak, jakby zmarły pozował na tle jerozolimskiej Kopyły na Skale. Pod zdjęciem widniał arabski napis i Roger przetłumaczył go Sweeneyowi.

– To *Szahada*. Najważniejszy werset ze Świętego Koranu, który niewierny recytuje, przechodząc na islam, a muzułmanin w chwili śmierci. *Asz’hadu an la illahu illa Allah, wa’asz’hadu anna Muhammadan rasulu Allah*. „Zaświadczam, że nie ma innego boga poza Bogiem Jedynym i że Mahomet jest wysłannikiem Allacha”.

Chłopak w bluzie, który okazał się młodszym bratem Anwara, przeszedł przed żałobnikami z zaśnieżoną miedzianą tacą pełną ciasteczek z migdałami i kubeczków słonawej kawy. Roger podał jeden Sweeneyowi, a drugi wziął dla siebie.

– Kawa jest gorzka, chociaż w domu męczennika jest zwykle słodka. To dlatego, że jego ojciec jest rozgoryczony po śmierci syna, który odszedł w tak młodym wieku.

– Podobno rzucił śmieci pod nogi miejscowego imama, który przyszedł złożyć mu wyrazy szacunku.

– Możliwe – odparł Roger sprytnie i enigmatycznie.

– Który to jego ojciec?

– To ten starszy pan ze zwieszoną głową, ten w skórzanych lakierkach.

– Chciałbym zadać mu kilka pytań.

Roger powiedział coś do siedzącego obok wymizerowanego Palestyńczyka. Ten wstał, podszedł do ojca zabitego chłopaka, pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Mężczyzna podniósł wzrok, przyjrzał się Sweeneyowi i kiwnął głową.

– Ojciec Anwara odpowie na pytania – szepnął Roger.

– Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci syna – zaczął Sweeney.

Roger to przetłumaczył. Ściągnięta twarz, powieki ciężkie od smutku – ojciec zabitego ponownie skinął głową.

– Czy kawa, którą podajecie, jest gorzka dlatego, że kulę, która go zabiła, wystrzelił Palestyńczyk?

Roger się zawahał.

– Przetłumacz – rzucił Sweeney tonem niedającym mu pola manewru.

– Roger. – Szofer spojrzał na starca i powtórzył pytanie po arabsku. Sądząc po tym, że siedzący najbliżej żałobnicy cicho sapnęli, przetłumaczył je poprawnie.

Ojciec Anwara długo myślał. Potem, starannie ważąc słowa i mówiąc z wielką godnością, wygłosił długą przemowę. Sweeney zerknął na Rogera.

– Mówi – szeptał Roger, podczas gdy Sweeney szybko notował na drugiej stronie kartek z wywiadem, jakiego udzielił mu rabin Apfulbaum – że nie znalazłby pocieszenia, gdyby zabiła go izraelska. Że on sam popiera

traktat pokojowy, chociaż Żydzi wejdą dzięki niemu w posiadanie arabskich ziem. Że po śmierci syna odczuwa gorzki żal, lecz rozumie rozczarowanie, które pchnęło go do walki zbrojnej z Żydami... – Siedzący na dziedzińcu Palestyńczycy pokiwali się w milczeniu do przodu i do tyłu na znak, że się z nim zgadzają. – Że podczas intifady Żydzi złamali synowi rękę, bo rzucał kamieniami w izraelski patrol. Że kości się zrosły, lecz zraniona duma nie ozdrowiała. Mówi, że pracuje w urzędzie skarbowym Autonomii i wie, że ponad milion Arabów, połowa z nich w wieku poniżej szesnastu lat, żyje stłoczona w tym długim na czterdzieści kilometrów obozie koncentracyjnym na otwartym powietrzu. Że tylko nieliczni szczęśliwcy dostają pozwolenie na pracę w Izraelu, że zarobki każdego z nich idą na utrzymanie dwudziestu innych, którzy przesiadują w kawiarniach, grając w szeszbesh^[18] i knując zemstę na Żydach.

W oddali przeraźliwie załkała policyjna syrena. Roger umilkł. Zgorzkniały ojciec odchrząknął, pokręcił głową i powiedział coś jeszcze.

– Prosi – przetłumaczył szofer – żeby teraz pan odpowiedział na jego pytanie. Jaką nadzieję możemy w tej sytuacji dać naszym dzieciom?

Sweeney podniósł wzrok i spojrzał w oczy ojcu chłopaka, którego według izraelskiej prasy zastrzelono, żeby nie wpadł w ręce Szin Bet.

– Powiedz mi, że zadaję tylko pytania, że nie znam odpowiedzi. Powtórz, że bardzo mi przykro z powodu straty, jaką poniosła jego rodzina.

Roger przetłumaczył, wysłuchał odpowiedzi i cichutko szepnął:

– Mówi, że każdy, kto z nim rozmawia, zadaje tylko pytania, lecz nie zna odpowiedzi. Dziękuję panu z całego serca, że odwiedził go pan w dniach żałoby.

Wróciwszy do łady, zaskoczony Sweeney zobaczył, że o błotnik samochodu opiera się piękny młodzieniec. Ze szpiczastą bródką, w okrągłych niebieskich okularach, był pewnie kimś w rodzaju kleryka, bo miał na głowie czapkę modlitewną, a w długiej białej galabii wyglądał jak męski odpowiednik westalki. Sweeney natychmiast go tak ochrzcił. Westalka machnął ręką, odpędzając muchy, i wyszukaną angielszczyzną powiedział:

– Miłego dnia życzę, panie dziennikarzu Sweeney.

– Wzajemnie – odparł Sweeney i zerknąwszy na Rogera, zobaczył, że ten przygląda się podejrzliwie brodaczowi.

– A więc tak: istnieje pewna islamska tradycja sięgająca czasów sprzed Proroka, gdy świecka koncepcja islamu wymagała, by walcząc o honor plemienia, rzucić wyzwanie śmierci. Od tego dnia ilekroć na polu walki ginie jakiś męczennik, natychmiast zastępuje go inny.

– To dobrze dla islamu – stwierdził z kamienną twarzą Sweeney.

– Czy zainteresowałoby pana spotkanie z wojownikiem, który dołączy do naszych szeregów, zastępując poległego męczennika Anwara? Zdobyłby pan niechybnie coś, co amerykańscy dziennikarze nazywają sensacyjnym materiałem.

Sweeney spojrzał na Rogera, który niemal niedostrzegalnie wzruszył tłustymi ramionami.

– Pan Sweeney jest przyjacielem Palestyn... – zaczął, lecz Westalka przerwał mu potokiem słów po arabsku. Potem znowu zwrócił się do Sweeneya.

– Powiedziałem, że gdybyśmy nie wiedzieli, iż jest pan przyjacielem Palestyńczyków, nie proponowałbym panu spotkania z męczennikiem mudzaddida. – Cofnął się kilka kroków i szeroko rozłożył ręce. – A gdybym zamierzał pana porwać, nie zapraszałbym pana na spacer. Wyjąłbym broń i nie dałbym panu wyboru. Chodźmy. Jak powiedział kiedyś amerykański prezydent Roosevelt, jedyną rzeczą, jakiej powinniśmy się bać, jest sam strach. – Spojrzał na Rogera. – A ty – rozkazał po angielsku, żeby Sweeney go zrozumiał – zaczekasz na niego tutaj.

Sweeneyowi przypomniała się słynna kwestia Tallulah Bankhead^[19].

– Jeśli nie wrócę za godzinę, zaczynaj beze mnie.

– Ale co? – spytał żałośnie szofer, lecz Sweeney ruszył już za Westalką.

Idąc szybkim krokiem i nie oglądając się na Amerykanina, kleryk poprowadził go labiryntem ulic i bocznych uliczek miejscowego suku. Mijali rzędy straganów uginających się pod ciężarem jabłek, ogórków,

daktyli i tanich plastikowych blond lalek. Przeszli nad walizkami pełnymi chust, małych japońskich radioodbiorników tranzystorowych i nakręcanych na sprężynę maszynek do golenia. Minęli zarośniętego Araba o kulach, który sprzedawał płyn po goleniu z torby na plecach towarzyszącej mu młodej kobiety. Sweeney zauważył, że kiedy tylko ktoś zobaczył zbliżającego się kleryka, zbite grupki ludzi rozstępowały się przed nim jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przeszedłszy na ukos przez plac zavalony rdzewiejącymi częściami samochodów i traktorów, znaleźli się w Jabalii, największym w Gazie obozie dla uchodźców.

– Co to znaczy *mudzaddid*? – spytał Sweeney, lecz Westalka, który zwinnie omijał otwarte kanały ściekowe i baraki pokryte dachami z falistej blachy, nie raczył odpowiedzieć.

Obeszli stadko kóz pasących się w ruinach zburzonego domu. Smród bijący z kanałów, palących się opon i stosów śmieci pod ścianami mieszał się z aromatycznym zapachem świeżego chleba i anyżku. W cieniu chylącego się ku ruinie meczetu przywarowały psy ze sterczącymi żebrami i podwiniętymi ogonami. Przez otwarte okno Sweeney zobaczył kilka okutanych chustami kobiet oglądających egipską telenowelę na ekranie olbrzymiego kolorowego telewizora.

Kleryk zanurkował w wąską uliczkę i wszedł do sklepu z pustymi półkami i odłazącą ze ścian farbą. W pomieszczeniu na zapleczu na tkanych matach siedziało trzech brodatych Palestyńczyków, którzy podnieśli wzrok na widok Amerykanina. Nie czekając na zaproszenie, Sweeney usiadł po turecku obok nich. Jeden z brodaczy podsunął mu talerz z częstkami pomarańczy i zielonymi winogronami. Otworzyły się tylne drzwi i prosto z ulicy do pokoju wszedł młody chłopak o zaczesanych do tyłu czarnych włosach; wyglądał na góra szesnaście lat. Gdy usiadł na macie, Westalka oświadczył:

– Może pan pytać o wszystko, tylko nie o jego nazwisko.

Sweeney wrzucił do ust kawałek pomarańczy i przyjrzał się nowo przybyłemu. Chłopak – był w długiej białej szacie i sandałach – miał brudne nogi i żuł gumę.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia dwa – odparł tamten.

– Kiedy się urodziłeś? – Palestyńczyk nie odpowiedział i Sweeney spojrział na Westalkę. – Jest tak: wywiad ma sens tylko wtedy, kiedy wiem, że mój rozmówca mówi prawdę.

– Ma siedemnaście lat. Jak wszyscy chłopcy w jego wieku, lubi się postarzać.

Sweeney spojrział na chłopaka.

– Nie boisz się?

Kleryk przetłumaczył to na arabski. Przyszły męczennik wyjął gumę z ust i poczęstował się winogronami. Wypluł pestki na dłoń i coś powiedział.

– Odpowiada pytaniem – przetłumaczył Westalka. – Dlaczego miałbym się bać? W tym życiu święci wojownicy otrzymują w nagrodę zwycięstwo i łupy wojenne. Ci, którzy polegą w walce, zostaną męczennikami i dostaną w nagrodę całą wieczność. Życie jest piękne, lecz śmierć męczennika jest jeszcze piękniejsza. Kiedy przyjdzie kolej na mnie, stanę przez tronem Boga, a On osądzi mnie wedle tego, co jest zapisane w Księdze Uczynków. Miejsce męczenników jest u stóp Proroka, który zasiada po Jego prawicy.

– Możesz opisać, jakie życie czeka cię po śmierci?

– Koran naucza, że Dzannah^[20] jest niebiańskim pałacem wiecznej szczęśliwości, gdzie wśród pięknych ogrodów płyną rzeki i gdzie łzy matek zmieniają się w róże i kwiaty jaśminu.

– Możesz opisać Boga?

– Nie. Koran Go nie opisuje, mówi tylko, że Bóg jest źródłem wszelkiego stworzenia. – Chłopak poruszał palcami u stóp, podniósł wzrok i wysokim głosem chórzysty zaintonował: „Nie dosięgną Go spojrzenia, lecz On dosięga spojrzenia. On jest Przenikliwy, Świadomy!”^[21].

Sweeney miał neodparte wrażenie, że słucha nagranego wyznania wiary. Ale nawet jeśli kleryk wyciągnął z lamusa studenta nauk koranicznych,

jego słowa były całkiem niezłą podróbką odpowiedzi ambitnego terrorysty. Poza tym chłopak miał coś w oczach, tę iskierkę fanatyzmu... Może rzeczywiście był zdolny do tego, żeby wysadzić się w powietrze w izraelskim autobusie albo strzelać do Żydów w przydrożnej zasadzce. Może rzeczywiście siedziała przed nim kolejna ofiara małokalibrowej kuli z chirurgiczną precyzją (jak z lubością ujmowały to izraelskie gazety) wystrzelonej w głowę tuż za uchem. Spróbował z innej beczki.

– Ponieważ w Waszyngtonie ma zostać podpisany traktat pokojowy, władze Autonomii Palestyńskiej posyłają takich jak ty do więzienia. Jesteś wygnańcem we własnym domu. Nie przeszkadza ci to?

– Władze Autonomii robią straszny błąd – odparł Palestyńczyk. – Podający się za naszych przywódców politycy zostali oszukani, zmuszeni do tego podstępem, dlatego teraz aresztują tych, którzy poświęcili życie wyzwoleniu Palestyny. Między nami a Żydami nie będzie pokoju, dopóki nie zwrócą nam skradzionej ziemi.

– Z wojskowego punktu widzenia Izraelczycy są dużo silniejsi niż wy. Jak chcecie ich do tego zmusić?

– Nie możemy przegrać, a to dlatego, że Żydzi cenią sobie życie, a my śmierć. – Chłopak uśmiechnął się świadom wywołanego przez siebie wrażenia i dodał: – Koran naucza, że jeśli kroczy się prostą ścieżką, ścieżką Boga, do którego należą wszystkie rzeczy w niebie i na ziemi, zwycięstwo jest nieuniknione. Jeśli Żydzi zwyciężają teraz w bitwach, to nie dlatego, że mają więcej czołgów i samolotów. Jest tak dlatego, że muzułmanie zawiedli islam. Tak naucza *mudżaddid* Abu Bakr.

Sweeney spojrzał na Westalkę.

– Słyszę to słowo już drugi raz. Co to znaczy?

– *Mudżaddid* – odparł kleryk z taką żarliwością, że przyszyły męczennik wstrzymał oddech, choć nie znał angielskiego – to odnowiciel, którego Bóg zsyła na przełomie stuleci, by odnowił islam. Niektórzy spośród nas uważają, że długo oczekiwanym mudżaddidem może być Abu Bakr.

– Dałbym uciąć sobie prawą rękę, żeby przeprowadzić z nim wywiad. – Sweeney dotknął palcem ucha. – To naprawdę byłoby coś, co amerykańscy

dziennikarze nazywają sensacyjnym materiałem.

Westalka dopiero teraz zauważył jego aparat. Wyjął mu go z ucha i włożył do swojego.

– Niech pan coś powie – warknął.

– Jasir Arafat był ukrytym Żydem i aż do śmierci potajemnie jadł koszerne potrawy.

Kleryk uśmiechnął się i zwrócił mu aparat.

– Co się stało z pana uchem?

– Niepotrzebnie coś podsłuchałem. W Bejrucie.

– Co pan podsłuchał?

– Pocisk z mózdzierza, który wybuchł tuż obok mojego samochodu.

Nad dachami miasta popłynął nagrany głos muezina wzywającego wiernych na drugą modlitwę dnia.

– Koniec wywiadu – oznajmił Westalka. Dał znak chłopakowi, który wrzucił gumę do ust, szybko wstał i zniknął za drzwiami. – Jeden z moich kolegów odprowadzi pana do samochodu.

– Jak mogę się z panem skontaktować? – spytał w progu Sweeney.

– Nijak, panie dziennikarzu – odparł kleryk z przebiegłym uśmiechem. – Kiedy wydarzy się coś sensacyjnego, wartego uwagi przyjaciela wszystkich Palestyńczyków, to my skontaktujemy się z panem.

Dwadzieścia minut później Sweeney stał już obok grzebiącego pod maską łady Rogera.

– Pan Max! – rzucił wesoło szofer. – Wywiad się udał?

– Co wiesz o kimś, kogo nazywają tu mudzaddidem?

Roger natychmiast spoważniał.

– Nie ma kogoś takiego – odparł gwałtownie. – To wytwór islamskiej wyobraźni. Jeśli odnowiciel naprawdę istnieje, zdrowiej dla mnie będzie nie odpowiadać, a dla pana nie pytać. – Zamknął się w sobie, odpalił silnik starego samochodu, skupił się na drodze i pełnymi dziur ulicami Gazy pojechali w kierunku przejścia w Erezie.

Elihu przeglądał właśnie raporty sytuacyjne i parafował rozszyfrowane meldunki, gdy w końcu dodzwonił się do niego Baruch.

– Włącz scrambler – powiedział i obydwaj pstryknęli przełącznikami na konsolach. – Jest coś z Azy?

– Ni cholery – oparł Elihu. – Palestyńska policja przeczesuje całą Strefę. Nasi są w ciągłym kontakcie z kilkoma agentami, których tam zostawiliśmy. I nic, wielkie zero. Jakby Apfulbaum i jego sekretarz zapadli się pod ziemię.

– Dzwonię z Jerozolimy – powiedział Baruch. – Przeglądałem meldunki informatorów i nagle sobie coś przypomniałem. Pamiętasz tę wytwórnię bomb w Nablusie, którą latem zeszłego roku zlikwidowali Palestyńczycy? Oprócz nawozów sztucznych i zapalników, z których można było zrobić dziesiątki bomb, nakryli tam dwóch koleśków, ale główny *mechabel*, ich szef, dwudziestosiedmioletni ekstremista nazwiskiem Jussuf Abu Saleh, wyślizgnął się im z rąk.

– Abu Saleh... Brzmi znajomo. To nie ten z Hamasu, któremu kilka lat temu zastrzelono w Jeninie^[22] dwóch braci?

– Tak. Został ranny i skazano go na więzienie, ale uciekł z obozu dla internowanych na pustyni Negew i zniknął z naszych radarów. Otrzymaliśmy meldunek, że widziano go w tajnym obozie szkoleniowym Al-Kaidy na terenach plemiennych pogranicza afgańsko-pakistańskiego. Gdy po jedenastym wrześniu Amerykanie zaatakowali Afganistan, zniknął w Pakistanie. Mniej więcej rok temu zaczęły krążyć pogłoski, że wypłynął w Nablusie, gdzie wstąpił do jakiejś nowej frakcji fundamentalistycznej, czym wkurzył tych z Hamasu. Podobno zabrał ze sobą połowę miejscowych cyngli i mnóstwo broni. Hamas wściekł się do tego stopnia, że wyznaczył nagrodę za jego głowę. Oni są jak mafia, dezercja to dla nich

największa zbrodnia. Zaraz potem rozeszły się pogłoski, że Saleh werbuje ludzi do porwania, którego celem miało być zerwanie negocjacji i niedopuszczenie do podpisania traktatu pokojowego w Mount Washington. Kiedy o tym usłyszałem, trochę poszperałem i udało mi się wygrzebać ciekawy szczegół: Jussuf jest żonaty. Wiedzieliśmy, że będzie trzymał się z daleka od żony, ale różnie bywa, nie? Napalony pies przeskoczy nawet przez płot pod napięciem. Dlatego wywarliśmy na nią delikatną presję...

– Dlaczego delikatną? – przerwał mu Elihu, który należał do wyznawców teorii, że przemoc należy stosować siłą.

– Jest córką bogatego prawnika z Abu Tor – wyjaśnił Baruch.

– No dobra, i co ta łagodna presja wam dała?

– Nic. Nie ukrywała, że jest dumna z męża. Ale przysięgała, że nie widziała go od nocy poślubnej i nie wie, gdzie przepadł. Kupiliśmy jedno i drugie.

– Wyrzucone pieniądze – mruknął Elihu.

– Ale chyba mamy przełom – ciągnął Baruch. – Dlatego dzwonię. Kiedy Saleh uciekł z Nablusu, nasi ludzie rozesłali informatorom zdjęcie jego żony. Według ostatnich doniesień jeden z nich mógł widzieć ją rano przed Bramą Damasceńską. Twierdzi, że młoda kobieta zdjęła hidżab i pomachała komuś ręką.

– I twoi sprytni chłopcy nie rzucili się na to, kiedy trop był jeszcze świeży?

– Uznali, że mogła machać do każdego, do przyjaciółki czy kogoś, z kim pracuje. Ale przypomniało mi się, że zdjęła hidżab. Pobożna muzułmanka nie pokazuje twarzy nikomu oprócz ojca, brata i męża. O tej porze jej ojciec i bracia jeszcze spali. Więc pomyślałem, że mogła machać do napalonego psa.

– Przyduście ją – poradził Elihu. – Tym razem bez rękawiczek. To może pomóc nam w dochodzeniu, jak mawiają Anglicy.

Maali, która dwanaście godzin tygodniowo pracowała jako wolontariuszka w przychodni Czerwonego Półksiężycy we wschodniej części Jerozolimy, sprawdziła w recepcji, kiedy ma znowu przyjść. Wciąż w długim do kostek fartuchu na białej szacie, włożyła hidżab i pchnąwszy ciężkie drzwi, wyszła na dziedziniec, gdzie czekał przypięty do słupa skuter. Kopnęła pedał startera, wsiadła i wyjechała na zakorkowaną ulicę Nablus. Chcąc, żeby ojciec kupił jej włoski skuter, przed czterema laty zaszantażowała go, grożąc, że ucieknie z pierwszym lepszym Syryjczykiem, czego wcale nie zamierzała robić, ale cóż, żeby coś od ojca wydebić, gotowa była posunąć się do wszystkiego. Potem poznała Jussufa, została jego żoną i pod wpływem męża stała się bardzo religijna. Wstydziła się swoich młodzieńczych eskapad – rolę zepsutej księżniczki grała do upadłego – lecz nigdy nie żałowała skutera, dzięki któremu mogła poruszać się swobodnie po swoim ukochanym mieście, jednego dnia studiując Koran w meczecie, drugiego pracując w Czerwonym Półksiężycu, a trzeciego spotykając się z Jussufem w domach zaufanych przyjaciół.

W połowie ulicy ruch zgęstniał jeszcze bardziej z powodu wypadku, skręciła więc w Amer Ibn El-Atz, zamkniętą dla samochodów ze względu na remont jezdni. Jadąc chodnikiem, zobaczyła ognistą kulę słońca odbijającą się w wysokim oknie gmachu na końcu ulicy, tak jasną, że przez chwilę myślała, iż wybuchł tam pożar. Tuż przed skrzyżowaniem Amer Ibn El-Atz z Salah El Din wyprzedził ją motocykl BMW z dwoma mężczyznami na siodełku, który gwałtownie skręcił, spychając ją na wąski podjazd. Rozwścieczona już miała posłać im wiązaną przekleństw, której nauczyła się od młodszego brata – kilka słów podających w wątpliwość ich męskość – gdy runął na nią wielki jak niedźwiedź kierowca w skórzanym hełmie i goglach. Zanim zdążyła krzyknąć, przygniótł ją do ziemi, ściągając

z głowy hidżab, po czym zatkał jej usta i nos chustką pachnącą czymś słodkim.

Ocknęła się w furgonetce dostawczej pełnej worków jutowych z orzeszkami pistacjowymi. W brudnym świetle, sączącym się przez małe okno w tylnych drzwiach, zobaczyła tego w skórzanym hełmie i goglach: z wyprostowanymi nogami siedział pod ścianą naprzeciwko, spokojnie rozłupując orzechy i wrzucając je do ust. Nie wiedziała, czy jest Palestyńczykiem, czy Żydem. Gdy zaoferował jej garść orzeszków, odwróciła głowę.

– Twoja matka była kurwą – burknęła po arabsku z nadzieją, że odpowiadając, mężczyzna zdradzi swoje pochodzenie, ale on tylko roześmiał się pod nosem.

Nagle przypomniała sobie o pierścieniu, który Jussuf odebrał martwemu Żydowi nazwiskiem Erasmus Hall. Niezdarnie usiadła, schowała ręce za plecami i spróbowała go zdjąć, lecz utknął przed stawem.

Walczyła z nim dobre dwadzieścia minut, gdy nagle furgonetka podskoczyła – chyba na torach – skręciła na rampę i wjechała tyłem do jakiejś hali. Zgasł silnik. Motocyklista wyjął przepaskę na oczy i gestem ręki kazał jej ją włożyć.

– Kategorycznie odmawiam – oznajmiła, dumnie zadzierając głowę i przekręcając pierścień, tak żeby oczko znalazło się po wewnętrznej stronie dłoni.

– W takim razie cię zastąpię. – Mężczyzna mówił doskonałą arabszczyzną i powiedział to tak spokojnie, że przeszedł ją dreszcz.

Zawiązała opaskę. Motocyklista nachylił się, poprawił ją i zastukał dwa razy w ścianę furgonetki. Maali usłyszała, że otwierają się tylne drzwi. Ktoś chwycił ją silnymi rękami i pomógł jej wysiąść. Potem przytrzymało ją za łokcie i poprowadzono. Najpierw były kamienne schody i drzwi, potem znowu schody, długie i metalowe, jeszcze potem bardzo ciepłe pomieszczenie, gdzie pchnięto ją na ścianę. Usłyszała:

– Zdejmij przepaskę.

Zsunęła opaskę na szyję i natychmiast zrozumiała, skąd to ciepło: stała przed baterią oślepiających reflektorów. Dobiegł ją szmer głosów rozmawiających z tyłu ludzi, a potem ktoś powiedział po arabsku:

– Tak, to ona, nie mam żadnych wątpliwości.

Dwie muskularne kobiety w dżinsach i golfach pchnęły ją w stronę wyjścia. Zanim tam doszła, ktoś nieopatrznie zgasił reflektory. Jakiś mężczyzna zaklął po hebrajsku, a jedna z kobiet szybko założyła jej przepaskę, lecz było już za późno: zdążyła zerknąć przez ramię i zobaczyć przygarbionego Araba, który pospiesznie próbował zasłonić twarz kefiją. Mogłaby przysiąc, że skądś go zna – i nagle ją olśniło. Oczywiście! To był pan Hadż, cinkciarz spod Bramy Damasceńskiej, u którego wymieniała funty egipskie na szekle po wycieczce do Kairu.

Prowadzono ją długim korytarzem. Słyszała metaliczny szcęk zamykających się z tyłu drzwi i dobiegające z boku ciche głosy kobiet dodających jej otuchy. Wepchnięto ją do jakiegoś pomieszczenia i kazano zdjąć przepaskę. Zdjęła ją i szybko zamrugła – była w małym pokoju o bielonych ścianach; pod jedną z nich stał stół z nierdzewnej stali. Strażniczka wydała jej polecenie po hebrajsku, języku, który Maali знаła, lecz w którym nie chciała rozmawiać. Tamte chciały, żeby rozebrała się do naga. Gdy ani drgnęła, kobieta uniosła podkreślone ołówkiem brwi.

– Czego się wstydzisz? – spytała.

Maali słyszała, że izraelscy policjanci lubią poniżać więźniów przed przesłuchaniem. Postanowiła zachować spokój.

– Czy jestem aresztowana? – spytała, lecz zamiast odpowiedzi, strażniczki znowu kazały jej się rozebrać.

Do celi weszła tęga kobieta w białych spodniach i białym żakiecie pielęgniarki.

– Rób, co mówią – powiedziała po arabsku. – Jeśli się nie rozbierzesz, zawołają mężczyzn, którzy zrobią to za ciebie.

Maali zaczęła się niespiesznie rozbierać, układając ubranie na stole, i w końcu stanęła na środku celi, prawą ręką zasłaniając pierścion na lewej,

a lewą włosy łonowe. Kobieta w bieli włożyła gumową rękawiczkę, zanurzyła palec w słoiku z wazeliną i dała znak: aresztantka ma się pochylić i złapać za kostki. Strażniczki złożyły Maali wpół jak kartkę papieru i z jej oczu popłynęły łzy. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy pielęgniarka brutalnie zbadała palcem jej pochwę i odbył. Potem wyprostowała się, chwyciła bezkształtną szarą koszulę, którą rzuciła jej jedna ze strażniczek, i szybko ją włożyła. Ta w bieli podeszła do niej z małym kartonowym pudełkiem i wskazała srebrne kolczyki. Maali zdjęła je i wrzuciła do pudełka. Kobieta wskazała złoty medalion na szyi i pierścionki na rękach. Maali z bólem serca zdjęła pierścionek zaręczynowy i obrączkę. Wtedy tamta wskazała złoty pierścień na czwartym palcu. Maali bez przekonania spróbowała go zdjąć, w końcu wzruszyła ramionami.

– Jest za ciasny – powiedziała.

– Przepisy to przepisy. – Kobieta posmarowała palec wazeliną i ruszała pierścieniem, dopóki nie zszedł. Już miała wrzucić go do pudełka, gdy zauważyła napis na jego wewnętrznej stronie. Podniosła go do światła i powoli przeczytała.

– E...ras...mus Hall. – Spojrzała na nią. – Dziwny pierścionek jak na Arabkę. Skąd go masz?

Gdy słońce przepaliło niskie chmury nad Wyżyną Judzką, z minaretu górującego nad meczetem Al-Omari na Starym Mieście rozbrzmiał echem głos muezina wzywającego wiernych na czwartą modlitwę dnia.

– *Allahu Akbar, Allahu Akbar* – zawodził nagrany głos. – Przyjdźcie na modlitwę, przyjdźcie na modlitwę. Przyjdźcie po zbawienie. Bóg jest wielki, Bóg jest wielki. Nie ma boga prócz Allacha.

W kryjówce mieszczącej się na uboczu jednej z głównych ulic Dzielnicy Chrześcijańskiej, do której prowadził labirynt zaułków, schodów i przejść po dachach domów, Doktor padł na twarz przed mihrabem, wykutą w ścianie niszą wskazującą kierunek Kaby zbudowanej przez wysłannika Ibrahima w sercu świętej Mekki. Uderzając posiniaczonym czołem w spękane mauretańskie płytki i delectując się bólem, zaczął recytować początkowe wersety Koranu.

– „W imię Boga Miłosiernego, Litościwego! Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu, Litościwemu, Królowi Dnia Sądu. Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś dobrodziejstwami...”^[23].

W słuchawkach, monitorując ruch na częstotliwościach wojskowych i policyjnych, przy zielonym izraelskim radiu polowym tuż obok zbrojonych stalowymi płytami drzwi siedziała młoda Beduinka znana jako Petra. Była w dzinsach i haftowanej beduińskiej szacie. Krótkie włosy miała zasłonięte luźno narzuconą chustą. W zasięgu jej ręki stały dwa kałasznikowy i pudło pełne nabitych magazynków i granatów. Nad zamurowanym oknem w ścianie naprzeciwko wisiała opatrzona arabskimi nazwami duża mapa Brytyjskiego Mandatu Palestyny. Na kuchennym stole, który służył również za biurko, pod szklanymi przyciskami w kształcie kuli

ze śnieżnymi szwajcarskimi krajobrazami leżały pliki meldunków i wycinków z gazet.

Widząc, że Doktor kończy się modlić, Petra, która mówiła po hebrajsku jak rodowita Izraelka i przebrana za ortodoksyjną Żydówkę pomogła zatrzymać samochód rabina koło zbiornika wodnego Zohar, zdjęła niewygodne słuchawki i na znak końca postu postawiła na niskim stoliku dzbanek słodkiej herbaty i ciasteczka na miodzie. Doktor usiadł po turecku na beduińskiej poduszce, nalał sobie filiżankę gorącego naparu i głośno podmuchał, żeby go ostudzić. Pochyliwszy się nad stolikiem, z dłonią złożoną w miseczkę na okruszki, zjadł ciasteczko i pierwszym łykiem herbaty popił tabletkę amfetaminy. Przed mihrabem na drugim końcu pokoju na kolana opadł Jussuf Abu Saleh, by jak co wieczór recytować wersety Koranu. Każdego dnia ramadanu czytał na głos jedną trzydziestą Świętej Księgi, tak aby skończyć w *Id al-Fitr*, Święto Przerwania Postu.

– „Bóg zna dobrze waszych wrogów – zaczął. – Niektórzy spośród Żydów zmieniają słowom ich miejsca... Wykręcają sobie języki i zadają cios religii. A jeśli by powiedzieli: «Słyszeliśmy i posłuchaliśmy»... to byłoby lepiej dla nich i prościej. Lecz przeklął ich Bóg za ich niewiarę...”^[24].

Skończywszy posiłek, Doktor podszedł do zlewu w kącie pokoju. Odkręcił kran, zdjął marynarkę, podwinął rękawy galabii, mydłem i szczoteczką starannie wyszorował dłonie, nadgarstki i przedramiona, po czym podniósł ręce nad głowę i potrząsnął nimi, by szybciej wyschły. Włożył marynarkę i dał znak Petrze, żeby zakręciła kran.

Pchnąwszy wzmocnione stalą drzwi czubkiem miękkiego buta i zostawiwszy je otwarte, wszedł do prostokątnego pomieszczenia, w którym dzień i noc płonęła stu pięćdziesięciowatowa żarówka zwisająca z sufitu na plecionym kablu. Dwaj uzbrojeni strażnicy, bracia el-Tel, Aziz i Aown – jeden leżał na łóżku polowym pod zamurowanym oknem, drugi siedział okrakiem na ustawionym odwrotnie krześle, obserwując więźniów – powitali go uśmiechem. Młodszy, Aziz, zerwał się na równe nogi i odwrócił krzesło, żeby Doktor mógł normalnie usiąść.

Wydłubując okruch ciasteczka spomiędzy zębów, hodża usiadł, zdjął grube okulary w drucianej oprawce i rąbkim długiej szaty starannie wytarł szkła. Ze zmęczenia miał jak zwykle zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Nie starczało mu godzin dnia ani dni życia, dlatego żeby nie spać, brał amfetaminę. Włożył okulary, zmrużył oczy, aby świat nabrał ostrości, i przyjrzał się dwóm zakapturzonym więźniom śpiącym na ciężkich drewnianych krzesłach pod ścianą z palestyńską flagą i kalendarzem Centralnego Banku Importowo-Eksportowego w Gazie. Koszula z krótkimi rękawami i kalendarz były pomysłem Jussufa, który rozumował tak: jeśli podsunie my Żydom kilka wskazówek, że rabin jest w Gazie, ci pomyślą, że próbujemy ich przekonać, iż go tam nie ma, i założą, że jednak tam jest. Wydawało się, że podstęp zadziałał i Żydzi zgubili trop; publiczne oświadczenia w izraelskim radiu i telewizji, jak również meldunki wywiadowcze docierające do Doktora z Gazy wskazywały na to, że Izraelczycy myślą, iż uprowadzeni przebywają gdzieś w Strefie. Poza tym Petra, która prowadziła nasłuch na ich częstotliwościach, nie wykryła jak dotąd żadnych podejrzanych ruchów policji czy wojska na terenie Jerozolimy.

Stopy więźniów były przywiązane do grubych nóg krzesel, a ręce skute z przodu. Młodszy osunął się na siedzeniu; oddychał nerwowo i chrapliwie. Starszy, rabin, siedział sztywno wyprostowany, to opuszczając, to gwałtownie podnosząc głowę.

Doktor nachylił się i ściągnął gruby skórzany kaptur. Potem trzasnął drewnianą zapalką, musnął płomieniem czubek mocnego palestyńskiego farida i zaczął pykać z niego jak z fajki, krótkimi, niecierpliwymi wdechami, jakby palił pierwszy raz w życiu. Zaprzeczając prawu grawitacji, słupek popiołu robił się coraz dłuższy i dłuższy, w końcu spadł na klapę dwurzędowej marynarki. Przyglądający się więźniowi Doktor nawet tego nie zauważył. Cuchnący dym musiał zirytować rabina, bo odwrócił głowę i podniósł skute ręce, żeby go rozpędzić.

– W Ameryce – wymamrotał, mrużąc oczy, żeby dostrzec swego prześladowcę – na każdej paczce papierosów jest napis mówiący, że palenie

szkodzi zdrowiu.

Doktor chrząknął.

– Zdrowiu – powiedział po hebrajsku – szkodzi również bycie islamistą w kraju okupowanym przez syjonistów. Albo to, że ma się rację, podczas gdy wszyscy wokół się mylą. – Roześmiał się smutno z głębi trzewi. – Tak czy inaczej, kwestia jest czysto akademicka, ponieważ, jak mówi Święty Koran, nikt nie żyje ani ułamek sekundy dłużej, niż Bóg pozwala mu żyć. – Wziął rabiną za rękę, zbadał mu puls i po chwili, wciąż po hebrajsku, dodał: – Zważywszy okoliczności, jesteś w miarę zdrowy. Ile masz lat?

– Pięćdziesiąt trzy – odpowiedział po arabsku rabin.

– Czy ktoś w twojej rodzinie miał niskie albo wysokie ciśnienie krwi? Skarżył się na osłabienie? Narzekał na serce?

– *Min fadlikoum* – rzucił gniewnie rabin. – Proszę. Skończ z tą farsą i nie wypytuj o zdrowie kogoś, kogo zamierzasz zabić.

Doktor przeszedł na angielski.

– *Ja'ani*, ty mówisz po arabsku, ja po hebrajsku, to niewygodne. Proponuję, żebyśmy się spotkali na angielskiej ziemi niczyjej.

Apfulbaum nerwowo oblizał spierzchnięte wargi. Wyczuł, że wygrał pierwszą potyczkę.

– Jeśli ci to odpowiada, proszę bardzo. Tylko się nie łudź: dla ciebie i dla mnie nie ma czegoś takiego jak ziemia niczyja. Obydwaj chcemy tego samego kawałka Ziemi Świętej, a ja zamierzam go zdobyć.

Doktor uśmiechnął się chłodno.

– Takich jak ty, *ja'ani*, izraelskie gazety nazywają maksymalistami. Nie uznajesz kompromisu. Twoim credo jest wszystko albo nic. Natomiast ja jestem gotów negocjować sprawiedliwy układ. Zgodzić się na to, żeby Żydzi urodzeni w Palestynie przed tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym pozostali w naszym przyszłym państwie, ale pod warunkiem że przejdą na islam.

– A ci, którzy odmówią?

– Niech idą do diabła.

Nieokiełznane brwi rabina zatańczyły nad wyłupiastymi oczami.

– Nareszcie! – wykrzyknął podekscytowany do swojego sekretarza. – Oto członek założyciel Organizacji Wyzwolenia Amalekitów! – Odwrócił się do Doktora. – No dobrze, zatem karty na stół, *ja’ani*. Bóg obiecał Abrahamowi i jego potomkom, w tym mnie, całą ziemię od egipskiego strumyka, jak nazywamy Nil, do wielkiego Eufratu. Wbrew temu, co o mnie piszą, uważam się za minimalistę, ponieważ jestem skłonny przyjąć mniej, niż Bóg zaproponował Abrahamowi. Chętnie przystąpię do negocjacji nad sprawiedliwym układem, który da Żydom wszystko między Morzem Śródziemnym i rzeką Jordan. Gdy już to spożytkujemy, powiedzmy za trzydzieści, pięćdziesiąt lat, zadzwonimy do was i umówimy się na rozmowy w sprawie Eufratu.

Doktor przystąpił do gry.

– A co proponujesz zrobić z Palestyńczykami, którzy już tam mieszkają? Apfulbaum pogardliwie prychnął.

– Mogą wyemigrować do Syrii, przy której piekło to pryszcz. Żydzi zajmują jedną szóstą procent wszystkich arabskich ziem, coś, co w tysiąc dziewięćset siedemnastym, planując utworzenie „żydowskiej siedziby narodowej”, lord Balfour nazwał „malutkim kawałkiem”. Powiem szczerze: pierwsi aniołowie porzucą niebo i zaczną sprzedawać używane egipskie samochody w Tel Awiwie, pierwsi Bóg, błogosławione imię Jego, zostanie gwiazdorem w telewizji, niż ktokolwiek odbierze nam choćby piędź tej świętej ziemi.

Opierając się o ścianę, Aziz patrzył, jak dwóch prawie ślepych mężczyzn przeszywa się bez słowa wściekłym spojrzeniem. Zastanawiał się, jak długo więźniowie pozostaną przy życiu; zastanawiał się, jak długo przy życiu pozostanie on i jego brat. Raz mu się zwierzył, że kiedy Doktor wchodzi do pokoju, ma wrażenie, że rośnie temperatura. Zdawało się, że jego prawie nic niewidzące oczy płoną dzikim gniewem, który hodza w sobie tłumi. Rzadko kiedy wpadał w złość, chociaż byłoby lepiej, gdyby od czasu do czasu trochę tego gniewu z siebie wypuszczał. W głębi ducha bali się go nawet ci, którzy uważali się za jego uczniów, jak choćby on, bali się

i podejrzewali, że Doktor jest długo oczekiwanym odnowicielem. Z doświadczenia wiedzieli, że hodża może wybuchnąć w każdej chwili – wiedzieli również, że tak jak Żydzi oni też mogą stać się jego ofiarami, jeśli Doktor uzna, że ich śmierć posłuży sprawie.

W pełnej napięcia ciszy niósł się cichy głos Jussufa czytającego Koran.

– „A kto posłucha Boga i Jego Posłańca, będzie wraz z tymi, którym Bóg okazał dobroć: z prorokami i sprawiedliwymi, z męczennikami i świętymi...”^[25].

Petra wślizgnęła się do pokoju z kubkiem zielonej herbaty i podała go rabinowi. Nie odrywając wzroku od Doktora, Apfulbaum ujął go obiema rękami i podniósł do ust.

– Zgubiłem gdzieś okulary. Pewnie podczas zamieszania, jakie wybuchło, kiedy napadliście na mój samochód.

– Przed wielu, wielu laty studiowałem na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie – powiedział Doktor – i nauczyłem się wtedy kilku kolokwialnych zwrotów po arabsku. Kiedy libański Arab wygrywa z przeciwnikiem, mówi: „Zepsułem ci oko, *ja’ani*”. – Długimi palcami zaczął bawić się guzikiem marynarki. – Teraz już wiem, że spodobają mi się nasze rozmowy. Wyznam ci coś, co cię zaskoczy: nigdy dotąd nie rozmawiałem poważnie z Żydem, którego się nie bałem, co jest skądinąd zrozumiałe, ponieważ w znakomitej większości albo mnie przesłuchiwali, albo torturowali, albo sądzili, albo więzili. Spędziłem w żydowskich więzieniach dwanaście lat. Dwanaście lat, *ja’ani*! Każda rozmowa z Żydem była udręką. Bałem się, że zabiorą mi okulary, bez których jestem dosłownie ślepy. Bałem się, że zabiorą mi książki, papierosy czy prawo do jednej wizyty w miesiącu. Bałem się, że wykopią spode mnie krzesło, a potem uśmiechną się przymilnie i spytają, czy dobrze spałem. Otwarcie mówię, że bywały chwile, kiedy bałem się, że mnie zabiją. Bywały i takie, kiedy bałem się, że mnie oszczędzą.

Rabin nie mógł się powstrzymać.

– Wyznanie za wyznanie. Nigdy dotąd nie rozmawiałem poważnie z Arabem, który by się mnie nie bał. Który nie chciałby mi pomóc, nie

płaszczyl się przede mną, nie chciał udzielić mi wskazówek czy się ze mną nie zgadzał.

Doktor wstał.

– Wy, Żydzi, za długo widzieliście terrorystę w każdym Palestyńczyku i muzułmaninie. Teraz macie szczęście stawić czoło terrorystyce z krwi i kości, komuś z waszych najgorszych koszmarów, kto rozpęta wojnę w imię Allacha i islamu. Nawet bez okularów, *ja'ani*, nawet bez oczu można uczyć się z doświadczenia. Jeśli przyjrzesz się temu swoim słabym wzrokiem, zobaczysz coś głębszego niż terroryzm: pragnienie służenia Bogu i Jego woli.

Apfulbaum ujrzał nagle siebie jako chłopca tuż po bar micwie, kiedy to ledwie sięgając nogami podłogi, siedział przy wielkim stole w brooklyńskiej jesziwie, udzielając szokujących odpowiedzi na talmudyczne pytania starego rabina. „Za kogo on się uważa? – skarżył się często rabin. – Za Mesjasza?”. A teraz, twarzą w twarz z muzułmańskim terrorystą, Apfulbaum nie mógł się powstrzymać i zaszokował go.

– Mimo słabego wzroku widzę obłąkanego wyznawcę obłąkanej religii.

Efraim zaczął głośno rzezić. Myśląc, że sekretarz się dusi, Doktor wyciągnął rękę i zdjął mu kaptur. Gwałtownie wciągając powietrze, sekretarz spojrział z przerażeniem na swojego prześladowcę.

Doktor przeniósł wzrok na Apfulbauma, ukradkiem przesunął dłoń w stronę kieszeni na piersi i objął palcami perłowy uchwyt pistoletu. Miał ochotę zastrzelić rabina za bluźnierstwo, lecz w cudowny sposób przypomniały mu się napomnienia z Koranu: „Działajcie według waszych możliwości...”^[26]. „Poczekajcie więc!”^[27]. Zabrał rękę.

– Na pierwszy rzut oka – powiedział – każda religia wydaje się obłąkana, nawet twoja, *ja'ani*. Bo wytłumacz mi, proszę, jak Jahwe mógł wzywać Mojżesza do wyprowadzenia Żydów z Egiptu przy gorejącym krzaku, by zaraz potem próbować go zabić, i to bez najmniejszego powodu? Wytłumacz, dlaczego twój Bóg karze Adama i Ewę za jedno wykroczenie, zalewa ziemię potopem za niejasne grzechy ludzkości, a potem chwali Józefa za wspaniałomyślność, jaką wykazał, wybacząc braciom to, że

sprzedali go w niewolę. To właśnie to obłąkanie albo, by ująć to inaczej, to wyolbrzymienie, ta sprzeczność z ludzką logiką nadaje islamowi samoistne piękno. Porozmawiamy jutro, po tym, jak zjem z kolegami wieczerzę na przerwanie postu. Będziemy rozmawiali codziennie. Wypytam cię o twoją społeczność w Beit Avram. Wypytam o żydowski ruch oporu, którego jesteś podobno duchowym przywódcą. Wypytam o żydowskiego terrorystę, który przyznając się do zabójstw Palestyńczyków, każde sygnuje imieniem Jair.

– A pytaj siebie, pytaj – zahuczał jak sowa rabin. – Bóg rozdał karty, więc będę w nie grał, dopóki mogę. Rozumiem, że kiedy się znudzisz, naciągniesz mi na głowę ten śmierdzący kaptur. I że kiedy będziesz miał dość tego, że nie umiem na coś odpowiedzieć, po prostu mnie zabijesz.

Zza uchylonych drzwi wciąż dobiegał głos Jussufa.

– „Gdziekolwiek byście byli, dosięgnie was śmierć, nawet gdybyście byli na wyniosłych wieżach...”^[28].

– Źle rozumiesz zasady tej gry, *ja’ani*. – Doktor włożył mu kaptur. – Dotarłeś do miejsca, które wyznawcy wysłannika Jezusa nazywają ostatnią stacją drogi krzyżowej. Nie proponuję ci wymiany odpowiedź za życie. Proponuję ci wymianę odpowiedź za godność. Ty i twój przyjaciel będziecie żyć lub umrzecie w zależności od tego, czy wasz rząd spełni moje żądania. Będziecie żyć lub umrzecie, godnie lub niegodnie, w zależności od tego, czy spełnicie je i wy.

Wróciwszy do drugiego pokoju, Doktor natychmiast podszedł do zlewu, żeby oczyścić się po kontakcie z niewiernym. Petra, która co rano robiła zakupy i przynosiła gazety, ugotowała wieczerzę na maszynie elektrycznej i podała ją w porcelanowych naczyniach: faszerowaną mięsem cukinię z mlecznym sosem, biały ser, pitę, herbatę i ciasteczka z migdałami. Jussuf skończył czytać Koran i dołączył do Doktora przy niskim stoliku.

– Jak poszło? – spytał. – Powie coś, zanim nadejdzie termin i będziemy musieli go zabić?

– Siłą jego ducha – myślał na głos Doktor – jest niewzruszona arogancja, siłą zaś arogancji pozornie niezachwiane przekonanie, że Żydzi są kimś lepszym od muzułmanów, Izraelczycy od Palestyńczyków, a on ode mnie.

Jeśli z Bożą pomocą uda mi się tym przekonaniem zachwiać, jeśli zmuszę go do tego, by mnie szanował, a nawet pokochał, arogancja go opuści i duch upadnie, a wtedy rabin powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć; będzie sypał szczegółami, by przekonać nas, że nie zmyśla. – Przypomniał mu się werset ze Świętego Koranu i uśmiechnął się do siebie. – „My poprowadzimy ich stopniowo tak, iż oni wcale nie będą wiedzieli... – wymruczał. – Mój podstęp jest niezachwiany”^[29].

Nadeszła pora, żeby teraz to Aziz wyciągnął się na polówce. Aown ziewnął, nałożył Efraimowi kaptur na głowę, poczłapał w klapkach do tureckiej ubikacji w kącie pokoju, zsunął spodnie i przykucnął nad otwartą dziurą.

Kiwając się na krześle i dusząc od smrodu bijącego ze skórzanego kaptura, sekretarz jęknął:

– Zabiją mnie, zabiją mnie...

– Przestań się mazać i weź się w garść – zganił go szeptem rabin. – Wszystkich nas czeka śmierć. Nasz przyjaciel ma rację: nikt nie żyje ani ułamek sekundy dłużej, niż Bóg pozwala mu żyć.

Efraim był wstrząśnięty.

– Rabe, ty cytujesz Koran!

– Koran kradł z Tory, a Mahomet plagiatował Mojżesza. A boscy wysłannicy są dla islamistów kolejnym wcieleniem Abrahama, patriarchy Żydów.

Efraim ledwo go słyszał. Rozpaczliwie szukając znaków, znalazł coś, co pozbawiło go tchu.

– On się mi pokazał. To znaczy, że nie wyjdę stąd żywy.

– Jak wygląda?

– Ma twarz człowieka, który nie zna uśmiechu. Jest pyszałkowaty i zadowolony z siebie. Myśli, że Bóg jest po jego stronie.

– Tyle poznałem po jego głosie. Pytałem o cechy fizyczne.

– Jest niski, ma krótkie włosy i palce pianisty. Nosi małe, okrągłe okulary, tak grube, że powiększają mu źrenice.

– Cierpi na widzenie tunelowe – domyślił się rabin. I prychnął: – Boska metafora.

– Na czole ma krwiak, tak jak ty, rabe. Skóra jest sina, a czaszka wybrzuszona, jakby codziennie walił głową w mur.

– Opiszysz sfrustrowanego Palestyńczyka.

– Co znaczy to *ja'ani*, które ciągle powtarza?

– To takie wtrącenie, odpowiednik „cóż” albo „no wiesz”. Na pewno nie jest to czułe słówko.

– On nas zabije – powtórzył sekretarz. – Nasz rząd nie wymienia żydowskich zakładników na arabskich terrorystów.

– Kiedy nadejdzie pora – powiedział rabin – trzeba umrzeć z taką godnością, żeby zabójcy zrozumieli, że Żydzi są narodem wybranym przez Boga. – I dodał: – Chcą się bawić w godność? Proszę bardzo, chętnie się pobawię.

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Trzeba przyznać, że zadajecie dobre pytania. Musicie wiedzieć, że nawet w najlepszych czasach Bliski Wschód jest jak puszka Pandory. Prezydencki doradca do spraw Bliskiego Wschodu musi nieustannie balansować między żydowskim lobby w Ameryce a arabską rzeczywistością w tamtym rejonie, między Departamentem Obrony a CIA, Białym Domem a Departamentem Stanu, jastrzębiami z Kongresu, gotowymi walczyć do ostatniej kropli izraelskiej krwi, a gołębiami, których polityka ustępstw niczego nie nauczyła. Kiedy mowa o Izraelczykach i Arabach, w każdej administracji znajdują się tacy, którzy natychmiast wyjmą długie noże i zaczną je ostrzyć. Co wyjaśnia, dlaczego widzieliście, jak moja sekretarka wkłada słuchawki i zaczyna stenografować rozmowę z panią prezydent. Podobnie robił Henry Kissinger, kiedy siedział w piwnicy pod Białym Domem, pracując dla Richarda Nixona. Tak jak on chcę się zabezpieczyć na wypadek, gdyby sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót i pretorianie z Białego Domu zdecydowali, że ktoś musi za to zapłacić.

Jak się pewnie domyślacie, tym kimś na pewno nie będę ja.

Wracając do rozmowy z panią prezydent: czekałem całą wieczność, zanim podeszła do telefonu. Nie było żadnych przeprosin, żadnej gadki szmatki. „Co pan myśli o tym porwaniu, Zack?” – spytała jak zawsze szorstko i opryskliwie. Chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać to, że podczas wystąpień publicznych potrafi być tak czarująca, a tak bezwzględna prywatnie. Raz widziałem, jak z przyklejonym do ust uśmiechem – parę kroków dalej stały kamery – mówiła półgłosem do podsekretarza stanu: „Mam gdzieś, co o tym myślisz. Po prostu to zrób”.

Słusznie, odbiegam od tematu.

A tematem jest Izrael. Tematem jest uprowadzenie tego szalonego rabina, jak mu tam... Właśnie. Apfulbauma. Zameldowałem pani prezydent, że przeszliśmy na tryb szacowania strat, że naszym celem jest utrzymanie tego w tajemnicy do podpisania traktatu. Powiedziałem, że rano rozmawiałem z szefami obu stron. I że krótko mówiąc, Izraelczycy nie włożą włosienicy i nie zaczną posypywać głowy popiołem, jeśli Apfulbaum skończy na cmentarzu; jeden krytyk traktatu mniej, tak to widzi ich premier. Natomiast ci z drugiej strony płotu, Palestyńczycy, mniej więcej z tego samego powodu nie zapalą świeczki dla brygady Abu Bakra.

„A więc mam święty spokój” – skostatowała pani prezydent. (Oczywiście nie umknęło mi, że powiedziała to w pierwszej osobie liczby pojedynczej: z punktu widzenia Białego Domu stawką jest Pokojowa Nagroda Nobla, jak również bezpieczeństwo i stabilizacja w regionie). „A więc mam święty spokój”. Tak, dokładnie tak powiedziała, jeśli chcecie, moja sekretarka pokaże wam notatki. I dodała: „Pojawią się w Waszyngtonie, nawet jeśli dojdzie do jakiejś strzelaniny, tak?”.

Na co powiedziałem coś w rodzaju: „Nie, pani prezydent. Oficjalnie rzecz biorąc, spotkanie jest wciąż aktualne, ponieważ żadna ze stron nie chce odstąpić od traktatu jako pierwsza. Natomiast nieoficjalnie obie mówią to samo: boją się, że znowu wciągnie ich zakłęty krąg. Dlaczego? Dlatego że prześladuje ich zasada: jeśli izraelski polityk ma przetrwać, zamordowani przez Palestyńczyków Żydzi muszą zostać pomszczeni. I vice versa.

Odniosłem wrażenie, że cierpliwość pani prezydent została wystawiona na ciężką próbę. „Proszę posłuchać, Zack – powiedziała; znowu cytuję z pamięci. – Niech pan przywoła ich do porządku. Niech pan wyrze na nich presję: prezydent Stanów Zjednoczonych chce, żeby potraktowano to jak odosobniony incydent. Niech zajmie się tym policja. Prezydent Stanów Zjednoczonych nie pozwoli, żeby ogon machał psem, nie pogodzi się z poprzednim status quo, kiedy polityką sterowały odłamy obłąkanych ekstremistów z obydwu stron. Niech pan przypomni Izraelczykom, że polityka twardej ręki, jaką wobec nich zastosowałam, spotkała się tu

z zaskakująco pozytywnym odzewem. A drugiej stronie niech pan przypomni, że palestyńskich wyborców można tu policzyć na palcach jednej ręki. Cholera jasna, nie zaszłam tak daleko tylko po to, żeby ta historia z traktatem wyślizgnęła mi się z rąk”.

Zgadza się. Dokładnie tak powiedziała. „Ta historia z traktatem”.

Nie, nie było żadnego pożegnania. W uchu zadzwoniło mi tylko od przenikliwego sygnału.

Mandaryni z Szin Bet nie owijali niczego w bawełnę.

– Dziękujemy, że tak szybko pan przyszedł – zaczął łysielec, który przewodniczył porannej sesji w sali konferencyjnej w Tel Awiwie. Siedzących przy stole przedstawił po imieniu: – Ja jestem David, to jest Zev, a to Itamar.

– Za nic nie odrzuciłbym zaproszenia z ust tak znamienitej organizacji – powiedział grzecznie Sweeney. – Przecież jesteście jak nasze FBI. – Ruchem głowy wskazał zażywnego mężczyznę w okularach, który siedział na parapecie okna. – A on to kto? Edgar Hoover?

– Nie, to przedstawiciel Amnesty International – odparł z kamienną twarzą David. – Pilnuje, żebyśmy nie załaskotali pana na śmierć.

– Figlarze z was, oj, figlarze. Macie nazwiska czy idziecie przez życie tylko z imionami?

Siedzący przy stole mężczyźni próbowali uciec wzrokiem w bok. Ale ten na parapecie, J. Edgar, jak natychmiast ochrzcił go Sweeney, uśmiechnął się ospale.

– Nasi specjaliści od prasy natrafili na pański artykuł o czuwaniu w Azie – powiedział David. – Niezwykle poruszający. Bardzo współczujemy biednemu Anwarowi, który miał pecha i dał się zranić, mordując czterech Żydów i porywając dwóch innych, i który potem oberwał kulę w łeb od swoich, żeby nie wpadł w nasze szpony.

– Tak, wojna to piekło – mruknął Sweeney.

Odezwał się Itamar.

– Przebywa pan w Izraelu na tyle długo, by wiedzieć, że Szin Bet prowadzi śmiertelną walkę, broniąc Żydów przed atakami terrorystycznymi. Ułatwiłby pan nam zadanie, zdradzając więcej

szczegółów o tym mudzaddidzie czy odnowicielu, o którym wspomina pan w artykule.

– Czy ten cały Abu Bakr – spytał David – kimkolwiek jest, naprawdę uważa się za odnowiciela, czy twierdzą tak w jego imieniu islamscy ekstremiści? Jaki jest związek między osobnikiem podającym się za Abu Bakra a brygadą Abu Bakra, która przyznała się do uprowadzenia rabina Apfulbauma i jego sekretarza? Czy Abu Bakr jest aktywnym przywódcą brygady, czy tylko duchowym?

– Czy Jezus twierdził, że jest mesjaszem – odparował Sweeney – czy to jego uczniowie powiesili mu na szyi tabliczkę z tym tytułem? Czy istniał jakiś związek między nim a powstaniem Barabasa przeciwko Rzymianom? – Wyciągnął się w fotelu. – Nieważne. Wszystko, co o nim wiem, jest w artykule.

Agent imieniem Zev postukał palcem w segregator wypełniony zdjęciami Palestyńczyków.

– Mamy tu zdjęcia tysięcy demonstrantów z okresu intifady. Oddałby pan przysługę Izraelowi, wskazując kleryka, który zaprowadził pana do tego sklepu, i chłopaka, który ma zostać kolejnym męczennikiem.

– Nic nie mówcie, niech zgadnę: jeśli będę z wami współpracował, posadzicie dla mnie drzewko na nagim wzgórzu, z tabliczką głoszącą wszem wobec, że Max – tylko bez nazwisk proszę – jest szlachetnym gojem. Tak?

Itamar rozprostował dłonią leżący na stole plan obozu dla uchodźców w Jabalii.

– Byłoby miło, gdyby wskazał nam pan, choćby w przybliżeniu, miejsce, do którego zaprowadził pana kleryk.

– Tak często skręcaliśmy i tak krążyliśmy, że nie zapamiętałbym trasy, nawet gdybym miał poczucie kierunku, a go nie mam. Posłuchajcie, nie wiem, jak dla was, ale dla mnie jest oczywiste, że ten kleryk i chłopak byli z zespołu B speców robiących reklamę islamskim ekstremistom. Wiem, że macie Palestyńczyków za durniów, ale nawet oni nie są na tyle głupi, żeby przedstawiać zespół A amerykańskiemu dziennikarzowi, którego prędzej

czy później przesłucha kilku Izraelczyków bez nazwiska. Cała ta historia, rozmowa z odnowicielem, kleryk, kolejny męczennik, to czysty PR.

– Tego pan nie napisał – zauważył chłodno David.

– Opisałem tylko, jak było. Czytelnik ma wolną rękę i może myśleć, co chce.

– Ale porwania dokładnie pan nie opisał – powiedział Itamar. – Ledwo pan wspomniał o czterech zabitych Żydach. I pominął pan sprawę obciętego palca.

Sweeney wzruszył ramionami.

– Próbuje wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia za to, że pojechałem do Gazy, żeby porozmawiać z ojcem oplakującym śmierć syna.

– Tych czterech Żydów też miało ojców – zauważył cicho J. Edgar. – Ale do ich drzwi pan nie zapukał.

– Posłuchajcie – powiedział Sweeney. – Dopóki nie narażam was na niebezpieczeństwo, zdradzając izraelskie tajemnice państwowe, to, z kim robię wywiad, jest moją sprawą.

David spróbował jeszcze raz.

– Zaprowadzono pana na spotkanie z męczennikiem, który ma zastąpić zabitego Anwara. A to już i nasza sprawa. Być może ma pan rację. Kleryk ze szpiczastą bródką, który zabrał pana do Jabalii, i młody chłopak, z którym się pan spotkał: niewykluczone, że to PR. Ale musimy założyć, że pewnego dnia ten chłopak może wejść do kina w Tel Awiwie z plecakiem pełnym materiałów wybuchowych, chyba że wskaże go pan na zdjęciu i uda nam się przekonać tych z Autonomii, żeby go zamknęli.

Sweeney stłumił ziewnięcie.

– O tej porze moglibyście przynajmniej serwować kawę i pączki.

– Więc co pan na to? – spytał układnie David. – Proszę zrobić nam przysługę i przejrzeć zdjęcia.

– Co będę z tego miał?

Itamar stracił cierpliwość.

– A czego pan chce, medalu czy forsy?

Sweeney odsunął się z fotelem i wstał.

– Pracuję nie dla was, tylko dla poważnej lewicowej gazety. Zostając agentem Szin Bet, stracę wiarygodność jako dziennikarz.

– Gwarantuję, że nikt się o tym nie dowie – zapewnił go szybko David.

– Dlaczego nie powiedzieliście tego wcześniej? Chłopak, którego szukacie, ma siedemnaście lat, brudne nogi i anielski uśmiech chórzysty. Aha, i żuje gumę. – Sweeney nie wytrzymał i parsknął śmiechem. – Posłuchajcie, mogę zaraz wymienić nazwiska trzech reporterów, którzy z wami współpracowali. Jeśli ja wiem, kim są, tym bardziej znają ich Palestyńczycy. A jeśli znają ich oni, zna ich cały Bliski Wschód. Dlatego dwóch z nich boi się wystawić nogę poza żydowską część Jerozolimy. Trzeci wciąż jeździ na Zachodni Brzeg, ale to samobójca.

Itamar gniewnie złożył plan obozu.

– Tracimy tylko czas. Ten facet napisał artykuł o rezerwiście skarżącym się na to, że kazano mu łamać ręce Palestyńczykom.

– A wy próbowaliście mnie za to deportować – przypomniał im Sweeney.

– Opuściliście, kiedy się okazało, że rezerwista rzeczywiście się poskarżył, a Palestyńczykom rzeczywiście łamano ręce.

David nacisnął mały guzik na konsoli i umundurowany strażnik otworzył drzwi.

– Wskaże panu drogę.

– Jestem już duży – odparł Sweeney. – Jakoś trafię.

– Tylko tak się panu wydaje – mruknął Itamar.

J. Edgar zszedł z parapetu.

– Nie trzeba chyba dodawać, że nasze spotkanie i to, o czym tu mówiliśmy, było nieoficjalne.

Sweeney odwrócił się w progu.

– Oj, trzeba, trzeba! Układ jest taki: wszystko jest oficjalne do chwili, aż ktoś powie, że nie jest. Dlatego obiecuję nie cytować tego, co od teraz

powiecie. – Powiódł wzrokiem po ich twarzach. – Hej, spokojnie. Opisując, jak izraelska Służba Bezpieczeństwa Ogólnego próbowała zwerbować amerykańskiego dziennikarza, podam tylko wasze imiona.

– Antysemicki kutas! – mruknął pod nosem Itamar.

– Słyszałem! – zawołał Sweeney. – Szkoda, że nie mogę tego zacytować. To by była taka wisienka na torcie.

To Baruch, ze swoim detektywistycznym zamiłowaniem do szczegółów, dopasował pierwsze dwa fragmenty układanki. Z jerozolimskiego biura zadzwonił do żony, by uprzedzić ją, że spóźni się na kolację.

– A poza tym co nowego? – spytała ze śmiechem w głosie. W domu Baruch nigdy nie rozmawiał o pracy, ale znała go i wiedziała, że będzie siedział do późnej nocy, myśląc o porwaniu Apfulbauma. – Jeśli choć raz zadzwonisz i powiesz, że wrócisz wcześniej, umrę na atak serca.

– Dzięki.

– Za co?

– Za to, że jesteś – odparł Baruch. – Za poczucie humoru. Za ciepłe jedzenie wieczorem. – I cicho dodał: – Za podtrzymywanie ognia.

– Dobrze się czujesz?

– Przecież wiesz – burknął tak niewyraźnie, że z trudem go zrozumiała.

– Mnie też tak bardzo jej brakuje... – Urwała. – Przepraszam. Mieliśmy o niej... Przepraszam.

Baruch odłożył słuchawkę, zapalił lampę i podniósł oprawione w srebrną ramkę zdjęcie córki. Zrobił je w dniu, kiedy ukończyła obowiązkowe szkolenie wojskowe. Wierzchem dłoni zasłaniała usta, próbując stłumić dumny uśmiech, lecz zdradzały ją oczy. Szczupłutka i piegowata miała dziewiętnaście lat i wyglądała ślicznie w krótkiej wojskowej spódniczce i wojskowym swetrze.

– Zrób coś dla mnie i zadzwoń, kiedy dojedziesz do bazy – poprosił, podrzucając ją po urlopie na dworzec autobusowy.

– *Aba*, jestem izraelskim oficerem, a nie małą dziewczynką. – Zrobiła minkę. – Ale jeśli masz się niepokoić, to zadzwonię.

Nie zadzwoniła. Radio przerwało program, żeby nadać komunikat specjalny. W Beit Lid eksplodowała bomba^[30]. Zginęło dwudziestu dwóch żołnierzy, w tym trzy kobiety, wielu zostało rannych. Córkę zidentyfikowano dzięki nieśmiertelnikowi, który nosiła na szyi. Następnego dnia, na pogrzebie, jego żona zasłabła, gdy odczytywano osobisty list premiera. „Żydzi umierali za Izrael w przeszłości – napisał – i będą umierali w przyszłości. Nie potrafię was pocieszyć, ale żywię niezachwiane przekonanie co do jednego: ten kraj, ten naród nie istniałyby, gdyby nie nasze córki i synowie, chłopcy i dziewczęta, których dzisiaj chowamy”. Rano w dniu pogrzebu Baruch zaczął siwieć. Trzy tygodnie później jego włosy były już białe jak mleko.

Odstawił fotografię na biurko i ponownie zerknął na zdjęcie Apfulbauma zrobione w żydowskim kibucu Yad Mordechaj ledwie kilka godzin przed wprowadzeniem. Wziął lupę i przyjrzał się jego twarzy. Czy to tylko wyobraźnia, czy w oczach rabina rzeczywiście płonęła biblijna żarliwość? Nie wiedział, kogo bardziej się boi albo kogo mniej lubi, obłąkanych Żydów czy oszalałych muzułmanów, gdyż jedni i drudzy wymachiwali fundamentalistyczną wersją starożytnych mitów, które brały dosłownie każdy biblijny czy koraniczny nakaz i zakaz, gdyż jedni i drudzy obnosili się z arogancją ludzi, którym dany jest bezpośredni dostęp do Boga, myląc subiektywny pogląd na świat z obiektywną ortodoksyjnością. Baruch pokręcił głową i sięgnął po oficjalny zapis rozmowy dowódcy jednego z jerozolimskich komisariatów z adwokatem Nabilem Abad al-Chirem, ojcem Maali.

Pytanie: Jest pan pewny, że nie ma jej w żydowskich szpitalach?

Odpowiedź: Tak. Na pewno nie uczestniczyła w żadnym wypadku.

P: A wasze areszty? Żydowskie areszty...

O: Sprawdziłem to po pańskim wczorajszym telefonie. W naszych rękach nie ma nikogo nazwiskiem Maali al-Chir

Abu Saleh.

P: A ten włoski skuter?

O: O skuterze też nic nie wiadomo. Proszę posłuchać, to nie tajemnica, że pańska córka jest żoną Abu Saleha, który zajmuje jedną z czołowych pozycji na izraelskich listach osób poszukiwanych. Więc jeśli on nie mógł odwiedzić jej, może to ona odwiedziła jego?

P: Zostawiłaby wiadomość...

O: Dziewczyny... Mam dwie córki. Uganiając się za chłopakami, zapominają czasem o rodzicach. Zadzwońię do pana, jeśli dowiemy się czegoś nowego...

Baruch odwrócił kartkę i zaczął czytać protokół z przesłuchania żony Jussufa Abu Saleha. Przesłuchał w życiu tyle osób, że umiał czytać między wierszami. Aresztowaną Maali wprowadzono pewnie do pokoju o wyłożonych gąbką ścianach i żeby było jej niewygodnie, posadzono na taborecie o przednich nogach nieco krótszych niż tylne; wszystkie cztery były przymocowane do podłogi. Potem wycelowano w nią silne reflektory. Zalana jaskrawym światłem, odwracając głowę, by od niego uciec, przesłaniając oczy przedramieniem, wyglądała pewnie jak łania schwytna w snop światła samochodowych reflektorów: przerażona i zdezorientowana, była gotowa uciec na byle trzask pękającej gałązki, tyle że nie miała dokąd. Z ciemności za baterią świateł beznamiętny głos śledczego zadawał pytania.

P: Kiedy ostatni raz widziałaś męża?

O: Mówiłam już wczoraj. I dziś rano.

P: Powiedz jeszcze raz.

O: Nie widziałam go od nocy poślubnej pół roku temu.

P: To dlaczego machałaś do niego przed Bramą Damasceńską?

O: Do nikogo (niezrozumiałe).

P: Jeśli nie machałaś do Jussufa, to do kogo?

O: Nie pamiętam, żebym w ogóle machała.

P: Widziano cię. Odsłoniłaś twarz i machałaś. Co znaczy, że musiałaś machać do ojca, któregoś z braci albo do męża, Jussufa.

O: Może to był mój młodszy brat Sami. Tak (niezrozumiałe). To musiał być (niezrozumiałe).

P: Mów głośniej. Było wpół do ósmej rano. Sami smacznie spał w domu twojego ojca w Abu Tor...

Baruch przejrzał cały protokół i zatrzymał się na ostatniej stronie.

O: Od aresztowania nie pozwalacie mi spać. Muszę się przespać.

P: Nie jesteś aresztowana. Zostałaś doprowadzona na przesłuchanie. Pozwolimy ci zasnąć, kiedy powiesz nam to, co chcemy wiedzieć. Do kogo machałaś przed Bramą Damasceńską?

O: Chcę zobaczyć się z matką.

P: Do kogo machałaś?

O: (niezrozumiałe).

P: Do kogo machałaś?

O: Światło razi mnie w oczy.

P: Skąd masz ten pierścień?

O: Jaki pierścień? Aaa, ten... Kupiłam go od Beduina, który sprzedaje biżuterię na suku.

P: Jak się nazywa? Przy jakiej ulicy ma sklep?

O: Nie pamiętam.

P: Kiedy go kupiłaś?

O: Może miesiąc temu (niezrozumiały).

P: Odprowadźcie ją do celi.

O: Zwymiotowałam na sukienkę. (niezrozumiały) zapachu.
Musicie dać mi inną...

Zapytano ją o jakiś pierścień – Baruch zauważył to dopiero teraz. Zastanawiał się, dlaczego śledczy w ogóle podniósł ten temat. Coś zwróciło jego uwagę? Baruch przerzucił kilka kartek w aktach i znalazł spis rzeczy zatrzymanej, podpisany prawie nieczytelnym pismem Maali.

Jeden skórzany portfel zawierający czterdzieści pięć szekli i dwadzieścia agorot w banknotach i monetach, izraelski dowód osobisty i dowód rejestracyjny skutera.

Jeden klucz, prawdopodobnie do domu jej ojca w Abu Tor.

Jeden złoty łańcuszek z czternastokaratowego złota, z medalionem zawierającym kosmyk włosów i czarno-białe zdjęcie mężczyzny zidentyfikowanego jako Jussuf Abu Saleh.

Jedna para srebrnych kolczyków w kształcie listka koniczyny.

Jeden pierścionek zaręczynowy z czternastokaratowego złota z lekko zadrapanym oczkiem z granatu.

Jedna obrączka ślubna z osiemnastokaratowego złota.

Jeden pierścień złotego koloru z niezidentyfikowanym herbem na niezidentyfikowanym kamieniu, z nazwiskiem „Erasmus Hall” oraz datą 1998 wyrytą po wewnętrznej stronie.

– Kto to jest Erasmus Hall? – spytał na głos Baruch.

Obrócił się z fotelem do okna i spojrzał na żydowską Jerozolimę, która rozciągała się aż po horyzont, bladofioletowa w różowym zmierzchu. Jako

imiennik skryby, który sześćset lat przed Chrystusem spisał złowróżbną przepowiednię proroka Jeremiasza, pracował w policji przez całe dorosłe życie. Jerozolima była dla niego miastem nanosów, tuzinem Jerozolim, z których każda spoczywała na ruinach poprzedniej. Gdyby zrobić odkrywkę i odsłonić je warstwa po warstwie, pewnego dnia natrafiłoby się pewnie na coś, co wyglądałoby na skałę macierzystą: Jeruzalem króla Dawida. Zastanawiał się, czy w Dawidowej stolicy też byli gliniarze. Przepiękna na pewno się zdarzały, a tam, gdzie są przepiękna, musi być policja.

– Erasmus Hall... – powtórzył i zaczął analizować warstwy osadowe tego konkretnego przepiękna.

Odwrócił się z powrotem do biurka, włączył komputer, wystukał hasło, potem nazwisko „Apfulbaum” i bębniąc palcami w blat, zaczekał, aż na ekranie ukaże się menu. Wszedł do „Pomocniczej bazy danych” i poszukał „Halla Erasmusa”. Komputer nikogo takiego nie znalazł. Zaintrygowany Baruch przeczytał dane sekretarza, Efraima, a potem trzech ochroniarzy zabitych podczas uprowadzenia i tego, który zmarł na stole operacyjnym. Jeden z nich nazywał się Ronnie Goldman. Przeglądając informację na jego temat, natrafił na wzmiankę o roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym.

Chwilę później dzwonił już do jego domu w nowojorskim Brooklynie. Odebrał ojciec.

– Nazywam się Baruch, dzwonię z Jerozolimy. Próbuję złapać morderców pańskiego syna. Przykro mi, że otwieram rany, ale muszę o coś spytać.

– Która jest u was godzina? – spytał Goldman.

– Dochodzi szósta.

– Jaką macie pogodę?

– Jest zimno, ale powietrze jest krystalicznie czyste. Za wzgórzem zachodzi słońce. Miasto tonie w złocistej poświacie.

– Ilekroć Ronnie pisał do domu, zawsze wspominał, że Jerozolima jest jak ze złota.

– Według naszych informacji pański syn ukończył szkołę średnią w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym.

– Tak, w czerwcu dziewięćdziesiątego ósmego. Chciałem, żeby poszedł do college'u i studiował medycynę. Ale on wolał pojechać do Izraela i studiować Torę.

– Jak nazywała się ta szkoła?

– Erasmus. Mieści się na rogu Flatbush i Church.

– Czy Erasmus to jej pełna nazwa?

Goldman zawahał się.

– Pełna nazwa brzmi chyba... Erasmus Hall High School. Coś w tym rodzaju.

– Czy Ronnie nosił pierścień szkolny?

Stary Goldman wydmuchał nos. Odezwał się dopiero po chwili.

– Wydał na niego trzydzieści pięć dolarów – odparł załamującym się głosem. – Dlaczego pan pyta? To takie ważne?

– Chciałbym wiedzieć, na którym palcu go nosił – spytał łagodnie Baruch i wstrzymał oddech, żeby dobrze usłyszeć odpowiedź.

Goldman nagle zrozumiał, dlaczego dzwonią do niego z Jerozolimy, podnosząc bolesny temat okaleczonych zwłok syna.

– Sprzedali mu za mały... – Zasłonił ręką słuchawkę, uspokoił się i dodał: – Jeden rozmiar. Ale zamiast go zwrócić, wolał nosić go na palcu, który według gazet obcięli mu terroryści. Na małym.

Do sali konferencyjnej wszedł Zalman Cohen, przewodniczący komisji do spraw wojskowych, trzydziestokilkuletni geniusz o dziecięcej twarzy, którego prasa nazywała alter ego Premiera. Był w zmiętych czarnych spodniach i rozpiętej pod szyją białej koszuli z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi tłuste łokcie. Siedzący na końcu długiego prostokątnego stołu Baruch i *katsa* wstali. Z cierpkim uśmiechem na nalanej twarzy Cohen zademonstrował im typowy uścisk ręki polityka – pulchnymi palcami leciutko muskając ich dłonie – podszedł do niskiego kredensu i nalał sobie szklankę wody mineralnej. Wyjął z fiolki dwie olbrzymie tabletki, wrzucił je do ust, odchylił do tyłu głowę i przełknął z gwałtownym ruchem jabłka Adama.

– Jeśli nie bierzecie witamin, to powinniście – mruknął, opadając na krzesło oddalone od nich o długość boiska piłkarskiego. – Pewnie już wiecie, że Zachary Sawyer wydzwania do premiera: zamordowano czterech Żydów, dwóch innych uprowadzono, ale Biały Dom jak zwykle oczekuje, że to my okażemy wstrzemięźliwość, dojrzałość, umiarkowanie i dyskrecję.

– Amerykanie zamartwiają się na śmierć, że sytuacja wymknie się spod kontroli i pograży traktat – zauważył *katsa*.

– Nie wymknie się, jeśli nie spuścimy z oczu nagrody, jaka nas czeka.

Baruch zamrugął z miną niewiniątka.

– A co jest tą nagrodą?

– Pokój za naszych czasów – odparł Cohen, z szyderczym uśmiechem cytując Chamberlaina, który w 1938 roku tymi właśnie słowami usprawiedliwił konieczność oderwania Sudetów od Czechosłowacji, co miało udobruchać Hitlera. Było powszechnie wiadomo, że jakakolwiek ugoda z Palestyńczykami jest dla niego wyrazem polityki ustępstw, że zamiast politycznego rozwiązania konfliktu wolałby militarne, że podobnie

jak premier pojechałby do Waszyngtonu i podpisał traktat tylko po to, żeby mieć z głowy Amerykanów i zyskać na czasie. A za sześć, osiem miesięcy, gdy Biały Dom będzie musiał zająć się innym kryzysem, rząd spokojnie rozezna się w sytuacji. Gdyby udało im się stłumić głośny krzyk tych, którzy domagali się natychmiastowego pokoju, daliby się „sprowokować” i zajęli strategiczne arterie i tereny na Zachodnim Brzegu. – Nie trzeba dodawać – ciągnął – że jeśli nam się nie uda, lwia część winy musi spaść na Palestyńczyków.

– W kwestiach politycznych – przypomniał mu Elihu – nikt się z nami nie konsultuje, ani z Baruchem, ani ze mną. Jesteśmy zwykłymi wyrobnikami, którzy działają w terenie.

– Dlatego zostaliście tu zaproszeni. Żebym mógł zapoznać was ze stanowiskiem rządu w sprawie sytuacji w terenie. Ponieważ musimy działać zgodnie, naczelną zasadą pozostaje bez zmian: nigdy nie ugniemy się przed terrorystami. Nigdy żadnego nie uwolnimy ani nie zapłacimy okupu za uwolnienie zakładników. Ani teraz, ani nigdy nie będzie żadnych negocjacji z mechabelami.

Baruch popatrzył na niego z drugiego końca stołu; miał wrażenie, że wszystkie te witaminy nadają jego skórze ziemistą barwę zwojów znad Morza Martwego.

– Nie odpowiada pan na pisemne pytanie, które przedstawiliśmy premierowi.

– Oficjalna odpowiedź na wasze oficjalne pytanie brzmi następująco: tak, możecie spróbować wszystkiego, co pozwoli nam zyskać na czasie. Premier upoważnił mnie do wygłoszenia stosownie enigmatycznego oświadczenia. Kiedy dziennikarze pytają, czy chcemy negocjować, powiemy, że niczego nie wykluczamy. Że rozważamy wszystkie opcje z naciskiem na „wszystkie”.

– W imieniu naszej grupy roboczej – powiedział Elihu – proszę podziękować premierowi za to, że poszedł nam na rękę. – Zmrużył oczy i ostrożnie dodał: – W tych okolicznościach nie chcieliśmy włączyć na gałąź i czekać, aż ktoś ją podetnie.

Alter ego Premiera pokręcił głową, jakby chciał rozruszać zeszywniałą szyję – podcinanie gałęzi było dla niego sportem halowym.

– Premier i jego gabinet dziękują, że zadaliście to pytanie, i doceniają wasz takt.

Powiedział to tak protekcyjnie, że Baruch znowu przypomniał sobie, dlaczego go nie znosi. Cohen należał do tych stworzeń politycznych, które uważały, że pokój jest kontynuacją wojny innymi sposobami, że manipulowanie nim w celu przygotowania się do kolejnej jest zbyt ważne, by pozostawić je tym, którzy nie opanowali do mistrzostwa zasad Machiavellego.

Z roztargnieniem nakręcił duży zegarek na pulchym przegubie.

– Jeśli dowiecie się, gdzie przetrzymują Apfulbauma, zróbcie nalot; podobno jesteście w tym dobrzy. Jeżeli wydostaniecie go żywego, świetnie, przypiszemy sobie zasługę. Jeśli nie... – Cohen posłał im ponury uśmiech, który skarykaturowano w tysiącach prasowych rysunków satyrycznych. – Wszyscy rozumiemy, że tego rodzaju akcje są ryzykowne. Zapewniam, że nikt nie będzie miał wam za złe, jeśli tamci zamordują rabina, zanim zdążycie go uwolnić.

– Właściwie dlaczego tak się go boicie? – spytał Baruch, nie patrząc na Elihu. – Biorąc pod uwagę liczebność i wpływy polityczne, islamscy ekstremiści są jak chmara szarańczy. Nasi jak końska mucha.

Uśmiech Cohena zgasł i na jego twarzy pozostał jedynie ślad znużonego uśmiešku.

– Końskie muchy zabija się packą – odparł cicho. – Gdybyśmy mieli wybór, wolelibyśmy naturalnie protokół sekcji zwłok, w którym napisano by, że kula, która zabiła akurat tę, pochodzi z małokalibrowego pistoletu Abu Bakra.

– Chce pan powiedzieć, że wolicie, żeby Apfulbaum zginął? – spytał beznamiętnie *katsa*.

Z miękkich ust Cohena zabrzmiał sygnał trąbki; Baruch zdał sobie sprawę, że jest to sygnał do odwrotu.

– Na litość boską, niczego takiego nie mówię. Mówię, że wolimy, by żył. Ale zrozumiemy, jeśli stanie się nieuniknioną ofiarą. Będziemy publicznie płakać i rozdzierać szaty, a na pogrzeb tego żydowskiego gówna wyślemy ministra odpowiedzialnego za oczyszczanie państwowych szamb.

Baruch zerknął na katwę. Tak jak on umiał czytać między wierszami i nie podobało mu się to, co tam wyczytał.

– Na chwilę przed śmiercią mój ojciec poprosił, żebym go uszczypnął. „Mocniej, powiedział, dopóki cię boli, wiesz, że żyjesz”. – Z kciuka i palca wskazującego zrobił pistolet i wycelował w Cohena. – Spotkanie z kimś takim jak pan przypomina mi, że jeszcze żyję.

Elihu odsunął się z krzesłem od stołu.

– Dziękujemy, że podzielił się pan z nami poglądami premiera. – Spojrzał gniewnie na Cohena i tym samym konwersacyjnym tonem dodał: – Jeśli uwolnienie Apfulbauma będzie możliwe, na pewno go uwolnimy. A pan niech idzie do diabła.

I zanim pulchny geniusz o twarzy dziecka zdążył cokolwiek powiedzieć, Elihu ruszył do drzwi. Baruch za nim. Nie spojrzeli przez ramię, ani jeden, ani drugi.

Finansowana przez okoliczne muzułmańskie stowarzyszenia darmowa przychodnia, w której pracował doktor al-Szaat i kilkoro wolontariuszy, musiała przedłużyć godziny pracy. Najpierw dwóch taksówkarzy wniosło epileptyka, który po odzyskaniu przytomności ciskał się i rzucał, dopóki Doktor nie uspokoił go zastrzykiem.

– Jerozolima jest obiecaną Arabom dziewicą – krzyczał, kurczowo uczepiwszy się pielęgniarka – ale wy wpuściliście do jej pokoju złodzieja i słuchaliście pod drzwiami, jak krzyczy, gdy ten ją defloruje!

Potem wybuchło kolejne zamieszanie, bo dwóch kleryków przyprowadziło młodego mężczyznę z powierzchowną raną od noża w kroczu; nie chciał iść do szpitala, gdzie zwróciłby uwagę izraelskiej policji. Oświetliwszy podbrzusze lampą chirurgiczną, Doktor pochylił się nad otwartą raną, mrużąc oczy, przyjrzał się jej przez słabo powiększającą lupę, następnie oczyścił ją, zaszył i zabandażował.

Kiedy zajął się ostatnim pacjentem w poczekalni, kobietą skarżącą się na ból ucha, muezini zwoływali już wiernych na wieczorną modlitwę. Pielęgniarka wprowadziła do jej ucha otoskop i przytknąwszy oko do okularu, opisała prawie niewidomemu lekarzowi to, co widzi, żeby ten mógł postawić diagnozę.

– Wyrośla przesłaniające zewnętrzny kanał są lekko zaczerwienione – zameldowała – ale w trąbce Eustachiusza nie ma płynu.

– Choruje pani na cukrzycę? – spytał Doktor.

Kobieta pokręciła głową.

– Miała pani gorączkę w ciągu ostatnich kilku dni?

Pacjentka odparła, że nie.

– Kiedy zaciśnie pani zęby, czuje pani ból w uchu? Aha, tak myślałem. Cierpi pani na zapalenie skóry ucha zewnętrznego. Przepiszę pani antybiotyk w kroplach do stosowania miejscowego. Musi pani przykładać gorące kompresy i brać aspirynę na złagodzenie bólu.

Dziesięć minut później, wyszedłszy spieszenie tylnymi drzwiami, postukując nerwowo długą bambusową laską przed szparko poruszającymi się nogami, Doktor zapuścił się w labirynt zaułków w pobliżu ulicy Greckiego Patriarchatu Prawosławnego. Wspiął się na skrzypiące schody, przeszedł przez niskie drzwi z czerwonym napisem: „Zakaz wstępu – budynek przeznaczony do rozbiórki”, a potem wyszedł przez okno na pokryty dachówką dach. Sunąc ręką po wysokim do pasa murku, pokonał ten i kilka następnych, po czym zszedł na położony nieco niżej, by dotrzeć w końcu do opuszczonej łaźni z wąskimi schodami od podwórka, prowadzącymi do kryjówki na trzecim piętrze.

– Wszystko w porządku? – spytał Petre, gdy otworzyła wzmocnione stałą drzwi i wpuściła go do środka. – Gdzie Jussuf?

Kwadrans przed jego powrotem Jussuf stanął na muszli klozetowej w malutkiej ubikacji i wyjrzał przez jedyne w kryjówce niezamurowane okno. Przez lornetkę zobaczył zieloną koszulę suszącą się na sznurku na odległym dachu, znak, że ktoś zostawił list u kulawego szewca naprzeciwko meczetu El Khanqa w Dzielnicy Chrześcijańskiej.

– Poszedł odebrać list – odrzekła Petra.

– Coś nowego w radiu?

Petra pokręciła głową.

– Żydzi ścigali skradziony samochód na Nablusie. Kiedy go zatrzymali, okazało się, że nikt go nie ukradł: nic nie mówiąc właścicielowi, pułkownik rezerwy pożyczył go, żeby wrócić do jednostki.

Umywszy ręce i uklękawszy przed mihrabem, Doktor padł na twarz cztery razy i bijąc czołem w podłogę, pogrążył się w modlitwie.

– *Allahu Akbar, Allahu Akbar...*

Kilka minut później Petra podała mu herbatę i ciasteczka na przerwanie postu, po czym nieoczekiwanie naląła herbaty sobie i usiadła z nim przy niskim stoliku.

Z najwyższą nieśmiałością wypowiedziała jego imię:

– Ismail al-Szaat...

Zaskoczony Doktor – nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak się do niego zwracała – spojrzał na nią pytająco.

Mówiła szeptem, unikając jego wzroku i nerwowo wyskubując włókna z beduińskiej szaty.

– Stara islamska tradycja głosi, że idealny wiek przyszłej żony to połowa wieku męża plus siedem lat.

Doktor wiedział, że Petra jest sierotą, i pomyślał, że prosi go o pozwolenie na wyjście za mąż.

– Tak, znam tę zasadę.

– Myśli Doktor, że jest dobra?

– Każdemu partnerowi kontraktu małżeńskiego zapewnia coś ważnego: mężowi daje młodą, chętną żonę, nad którą dzięki wiekowi i doświadczeniu będzie miał naturalną władzę, a żonie męża z ojcowskim autorytetem, który będzie nią kierował i na którym można polegać.

– Jussuf pokazał mi artykuł o darmowej przychodni, którą założyliście na Starym Mieście. Pisali tam, że Doktor ma czterdzieści sześć lat. Ja mam trzydzieści. – Petra wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Trzydzieści to połowa czterdziestu sześciu plus siedem.

Podenerwowany Doktor zanurzył ciasteczko w herbacie.

– Nie wiem, co odpowiedzieć – odparł, bo po raz pierwszy zabrakło mu słów.

– Nic. Niech Doktor zastanowi się tylko, czy nie mogłabym zostać jego żoną. Muszę wyznać, że nie jestem dziewicą. Byłam zaręczona z inspektorem wodnym, który podczas nawałnicy wpadł do wadi i utonął, zanim zdążyliśmy się pobrać. Nie szłam wtedy prostą ścieżką wskazaną przez Wysłannika i gdy ogłoszono zaręczyny, przyzwoliłam na

skonsumowanie naszego związku. Ale jestem zupełnie zdrowa i mimo znamion po ospie względnie atrakcyjna. Poza tym moi bracia obiecali mi posag. – Petrze drżały ręce. Mówiła to głośniejszy, to ciszej, w końcu załamał jej się głos. Głęboko odetchnęła, żeby zebrać siły. – Zdaję sobie sprawę, że dla kogoś tak wysoko postawionego to rzecz bez znaczenia, ale mówią o dwudziestu wielbłądach, w tym dziesięciu samicach, i o części plantacji palm daktylowych po jordańskiej stronie Wadi Araba.

– Jestem już żonaty.

– Święty Koran pozwala mężczyźnie wziąć za żonę cztery kobiety.

– „A jeśli się obawiacie, iż nie będziecie sprawiedliwi względem sierot, żeńcie się zatem z kobietami, które są dla was przyjemne, z dwoma, trzema lub czterema”^[31] – zacytował Doktor. I bardzo łagodnie dodał: – Boję się, że nie byłbym dla ciebie sprawiedliwy w tym sensie, iż nie mam czasu ani energii nawet dla żony, z którą łączy mnie kontrakt. – Pochylił głowę i wyszeptał: – Jestem mężem sprawy islamu. Prowadzę wojnę na dwóch frontach, z wrogami zewnętrznymi, niewiernymi, i wewnętrznymi, którzy próbują skumać się z krzyżowcami. Ta druga wojna jest ważniejsza, ponieważ zwycięzca będzie tym, który wyznaczy islamowi drogę na przyszłe stulecia.

Petra myślała o tym przez chwilę.

– Nawet mężczyzna w służbie islamu ma... – gwałtownie szukała stosownego określenia – potrzeby fizyczne...

– Droga Petro, jesteś dla mnie kimś więcej niż żoną. Jesteś świętą wojowniczką i moją współpracowniczką, pomagasz mi w walce o świętą ziemię, świat, o prostą ścieżkę do Boga, do którego należą wszystkie rzeczy w niebie i na ziemi.

– Mam nadzieję, że was nie uraziłam – wymamrotała cicho Petra.

– Nie, zaszczyliłaś mnie.

Petra zauważyła, że ciasteczko zupełnie się rozpadło i że herbata przestała parować.

– Przyniosę drugą – zaproponowała.

Doktor dotknął czubkami palców głębokich śladów od sznura na jej nadgarstku. Rzuciła kiedyś zgniętymi pomidorami w wojskowy dzcip i Żydzi powiesili ją za to na gałęzi drzewa.

– Przyjmij moje podziękowania – powiedział ochryple. I szybko dodał: – Za herbatę.

– Nie ma za co, Ismailu al-Szaat. – Na dziobatej twarzy Petry zagościł melancholijny uśmiech. – A już na pewno nie za herbatę.

Wrócił Jussuf. Podał jej list – zaszyfrowaną wiadomość od bojowników Abu Bakra w Gazie – ukląkł przed mihrabem i zaczął kartkować Koran w poszukiwaniu zakładki. Gdy zdjęwszy marynarkę i podwinąwszy rękawy, Doktor podszedł do zlewu, żeby umyć ręce i przedramiona, on zaczął czytać od miejsca, w którym skończył poprzedniego wieczoru.

– „O wy, którzy wierzycie! Nie bierzcie sobie za przyjaciół żydów i chrześcijan, oni są przyjaciółmi jedni dla drugich. A kto z was bierze ich sobie za przyjaciół, to sam jest spośród nich”^[32].

Doktor potrząsnął rękami, żeby je wysuszyć, włożył marynarkę i poprosił Petrę, żeby przeczytała mu rozszyfrowany list. Władze Autonomii Palestyńskiej rozpuszczały po cichu wiadomość, że są gotowe zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich za informację, która doprowadzi do aresztowania odpowiedzialnych za uprowadzenie rabina Apfulbauma i jego sekretarza, i kolejne pięćdziesiąt tysięcy za informację, która doprowadzi do ich uwolnienia. Komórka z Gazy wykryła nasilenie kontaktów między palestyńską policją i izraelskimi agentami, Palestyńczycy i przebrani za nich Żydzi przeszukali domy kilkunastu przywódców fundamentalistycznych. Doktor przemyślał to i spytał, czy Petra pamięta o posypywaniu kofeiną jedzenia dla rabina i czy poi go herbatą z bogatych w witaminę C owoców dzikiej róży, która, jeśli wypić ją późnym wieczorem, powoduje bezsenność.

Wchodząc do drugiego pokoju, zobaczył, że Aziz sadza Efraima na krześle.

– *Jahud* – Aziz wymówił słowo „Żyd” tak, jakby zostawiało nieprzyjemny posmak w ustach – ma rozwolnienie. – Założył mu kaptur. –

Załatwiał się już sześć razy.

– Choruje na strach przed śmiercią – powiedział po arabsku Doktor. Usiadł naprzeciwko rabina, trzasnął zapalką i krótkimi, nerwowymi pufnięciami przypalił gryzącego papierosa. – Każę przygotować słabą herbatę, żeby zapobiec odwodnieniu, i ryż na utwardzenie stolca. – Zdjął kaptur z głowy rabina, zbadał mu puls i wkraczając na angielską ziemię niczyją, zauważył: – Masz dzisiaj silniejszy puls.

Uwolniony od skórzanego smrodu Apfulbaum otworzył usta i wciągnął do płuc kilka haustów powietrza.

– Nie mogę spać. – Nie skarżył się, stwierdzał po prostu fakt. – Ale nie dlatego, że boję się śmierci. I nie dlatego, że mam na głowie ten cuchnący kaptur. Przyprawiacie moje jedzenie, herbatę, którą piję. Czuję to po smaku. Owoce dzikiej róży. Witamina C. Po takiej dawce nawet koń by nie zasnął. Kiedy uda mi się zdrzemnąć, twoje bandziory – pogardliwym ruchem głowy wskazał uśmiechniętych Aziza i Aowna, którzy siedzieli na polówce – krzyczą mi świństwa do ucha albo kopią w nogi krzesła. – Podniósł wciąż skute ręce i przecesał palcami rozczochrane włosy. – To nic nie da – mruknął. – Nie mogę wam powiedzieć czegoś, czego nie wiem. – Wziął kilka głębokich oddechów i już spokojniej ciągnął: – Pewnie zaproponowałeś, że wymienicie nas na dwóch, dwudziestu albo nawet dwustu palestyńskich terrorystów gnijących w izraelskich więzieniach. Obaj wiemy, że nic z tego nie będzie. Żydzi zechcą negocjować. Żeby zyskać trochę na czasie, poproszą nawet Egipcjan albo Jordańczyków o mediację. Ale nigdy nie pochwalą brania zakładników, zgadzając się na wymianę więźniów. Wiem, jak to działa: wyznaczycie im nieprzekraczalny termin. Kiedy nadejdzie, zabijecie nas.

– Na miłość boską, rabi! – jęknął zakapturzony Efraim, który przysłuchiwał się rozmowie. – Nie podsuwaj mu tych obłąkanych pomysłów!

Rabin ścisnął Doktora za kolano.

– Żeby nie było wątpliwości: wolę żyć; trzeba być chorym na umyśle, żeby przedkładać śmierć ponad życie. Ale może moja śmierć ukróci tę

diabelską szaradę z traktatem pokojowym. Może. – Apfulbaum wyprostował się i prychnął. – Wybór między wojną, niech Bóg broni, na połowie ziemi obiecanej Abrahamowi a wojną na całej. Kiedy Żydzi to rozumieją, zagłosują za wojną na całej.

– Ilekroć przychodzę tu i słyszę, jak perorujesz o wysłanniku Ibrahimie – powiedział Doktor z cichym przejęciem – mam wrażenie, że stoisz na granicy szaleństwa.

– To ty jesteś szalony – odparował rabin. Podniósł rękę i ciągnąc na łańcuchu drugą, pomachał nią nad głową. – Ty, twoi imamowie, ajatollahowie i ekstremistyczni kamikaze, którzy wysadzają się w autobusach pełnych niewinnych Żydów, wszyscy jesteście *meszuga*, *patzo*, świrami i bredzącymi szaleńcami.

Głośno oddychając przez nos, Apfulbaum opadł na krzesło. Doktor odchrząknął.

– *Ja’ani*, zacznijmy dzisiejszą rozmowę od żydowskiego ruchu oporu Keszet Jonatan na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu. W połowie lat osiemdziesiątych wasza własna policja aresztowała dwudziestu siedmiu członków żydowskiej komórki terrorystycznej, którzy zamierzali wysadzić w powietrze Kopułę na Skale. Tych samych ludzi oskarżono o zamordowanie trzech palestyńskich studentów z Islamskiego College’u w Hebronie i o to, że w wyniku eksplozji wysłanych przez nich bomb w listach ranni zostali dwaj burmistrzowie z palestyńskiego Zachodniego Brzegu, Bassam Szaka i Karim Khalef. Co ciekawe, ten gwałtowny wybuch żydowskiej aktywności zbiegł się z twoim przyjazdem do Izraela i założeniem osiedla Beit Avram. Jest powszechnie wiadomo, że kilka razy przesłuchiwała cię żydowska bezpieka. Z braku twardych dowodów nie postawiono ci żadnych zarzutów, tak twierdzą. Jednak zawsze opowiadałeś się za...

– Opowiadałem się? To niedomówienie roku. Właziłem na dach i wrzeszczałem, aż siniała mi twarz. W tej kwestii Żydzi nie mają wyboru: ciąży na nas święte zobowiązanie zasiedlenia ziemi darowanej nam przez Boga, tej, którą nazywacie okupowanym Zachodnim Brzegiem, a Tora –

Samarią i Judeą. – Rabin umilkł i zmęczonym głosem dodał: – Tak jest nam pisane.

– Twoje przywiązanie do centralnego pasma wzgórz w palestyńskim kraju, zwyczaj nazywania tych obszarów ich biblijnymi nazwami, Judeą i Samarią, to tylko skamieniała nostalgia, teologiczna obsesja granicząca z histerią. Mówisz o tęsknocie za ziemią. Zanim Hitler doszedł do władzy, do Ziemi Świętej płynął jedynie strumyczek Żydów, z których zdecydowana większość chciała osiedlić się na wybrzeżu. To dla ciebie bolesne, ale wniosek jest nieuchronny: to Hitlera, a nie Ibrahima, powinniście uważać za ojca założyciela dzisiejszego Izraela. Gdyby nie Holokaust, *ja'ani*, Żydzi wciąż mieszkaliby we wschodnioeuropejskich gettach. Wniosek psychologiczny jest zaś taki, że nie macie żadnej tożsamości, po prostu nie istniejecie. Francuz Sartre trafił w samo sedno, pisząc: „Żydem jest ten, kogo się za Żyda uznaje. Żyda tworzą antysemita”.

Apfulbaum pochylił się do przodu, żeby lepiej widzieć niewyraźną sylwetkę szyderczego Doktora.

– Jeśli ktoś tu nie istnieje, to Palestyńczycy – odparł. – Palestyński nacjonalizm jest jak słodzik, jak sacharyna zamiast cukru. W całej historii ludzkości nigdy nie było czegoś takiego jak naród palestyński, a sama Palestyna należała do południowej Syrii. Naród palestyński? To wymysł waszych spin doktorów.

– Znowu stawiasz historię na głowie...

Ale rabin zaczynał się dopiero rozgrzewać.

– Bądź odważny i przyznaj, że macie szczęście, iż jesteśmy waszymi wrogami. Kogo obchodzą dziś walczący z Turkami Kurdowie, walczący z Algierczykami Berberowie czy walczący z Chińczykami Tybetańczycy? Kiedy jakiś Rosjanin zastrzeli w Czeczenii rzucającego kamieniami nastolatka, czy BBC przerywa program, żeby nadać komunikat specjalny? Nie, nie, nie wstrzymujcie oddechu! Ale wy, tak zwani Palestyńczycy, walczyście z Żydami i cały świat jest jak zahipnotyzowany. – Apfulbaum pociągnął nosem i z obsesyjnym zachwytem dodał: – Jesteśmy najdłuższym w historii sitragiem.

– Sitragiem?

– To jeden z apfulbaumizmów – wyjaśnił spod kaptura Efraim. – Przeciwiństwo sitcomu. Tragedia sytuacyjna.

– Włącz jutro telewizor – ciągnął rabin – ten sam kanał o tej samej porze, i zobacz, co ci wybrańcy, ci potomkowie proroków i psalmistów, ta światłość narodów, co oni wszyscy robią, nie będąc już wiecznymi ofiarami. Czy zachowają się jak Amerykanie, którzy w czystkach etnicznych pozbyli się Indian? Czy jak francuscy katolicy, którzy wrzucali protestantów do rzeki z kamieniem u stóp? Och, felietoniści nie mogą się już doczekać! Jeśli Izrael użyje swojej potęgi, aby wypełnić biblijną obietnicę daną Abrahamowi, cały świat zacznie zacierać ręce z onanistycznej satysfakcji. Wy, Żydzi, zabeczają jak kozy wszyscy Sartre'owie, zanudzaliście nas na śmierć przez trzy tysiące lat tym waszym bla-bla-bla o moralności, tymczasem kiedy przyszło co do czego, okazuje się, że jesteście tacy sami jak my. Sartre'owie i wszyscy pozostali, przyklejeni do ekranu telewizora wyświetlającego bliskowschodni sitrag, wyzbędą się wyrzutów sumienia, że nie zrobili nic, by zapobiec Holokaustowi. Absolutnie nic. – Rabin wymamrotał to kilka razy, jakby dopiero teraz uświadomił sobie tę straszną prawdę. – Zero. Null. Zilch.

Pogrążony w myślach Doktor milczał przez długą chwilę. Wreszcie podniósł wzrok.

– To prawda, że Palestyńczycy mają u Żydów dług, chociaż jesteście ostatnimi ludźmi na świecie, którzy mogliby zrozumieć jego prawdziwą naturę. Uznajemy się dzisiaj za Palestyńczyków dlatego, że gdy przyszliśmy tu z zachodnimi pieniędzmi, zachodnią technologią, zachodnią muzyką i sztuką, patrzyliście na nas, jakbyśmy nie istnieli, patrzyliście przez nas. Byliśmy dla was kroplą w arabskim morzu rozciągającym się od Maroka po Irak, kimś bez kulturowych czy historycznych związków z palestyńską ziemią.

Doktor wstał, kilka razy obszedł krzesło, żeby rozprostować nogi i znowu usiadł.

– Wielu rzeczy musisz się nauczyć, rabe. Potrzebujesz instrukcji.

– A instruuj mnie, instruuj. – Apfulbaum zmarszczył czoło. – Chętnie cię wysłucham, choć jestem trochę... skrępowany.

– Tak zrobię, *ja'ani*. – Doktor mówił teraz szorstkim głosem, jakby śpiewał, trochę fałszując. – Zrozumiesz, że nie ma jednego Araba ani jednego sposobu bycia Arabem. Zrozumiesz, że to, co dzieje się na Bliskim Wschodzie, jest często przeciwieństwem tego, na co wygląda: chodzi nie o wygrywanie czy przegrywanie wojen, tylko o to, jak się w tych wojnach zwycięża, czego Żydzi nigdy, ale to nigdy nie rozumieli. Weźmy na przykład wojnę sześciodniową. Postrącaliście z nieba arabskie samoloty, zmiotliście z pola walki trzy arabskie armie. Ale tak samo jak wtedy, teraz też nie rozumiecie, że tak zwane zwycięstwo było waszą największą klęską.

Apfulbaum przewrócił oczami.

– Tak – ciągnął Doktor – klęską. Przed tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym walczyli ze sobą wyrzuceni na brzeg Żydzi i żyjący wśród nich niewidzialni Palestyńczycy. Po sześćdziesiątym siódmym, po tym, jak zajęliście Jerozolimę, trzecie najświętsze miasto islamu, po tym, jak zajęliście jej świątynie i obraziliście muzułmańską dumę i wiarę, lokalny konflikt przerodził się w wojnę między piętnastoma milionami żyjących na świecie Żydów a miliardem wyznawców islamu. Jak można tego nie widzieć, *ja'ani*? Po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym nasze ciała pozostały na okupowanych przez Izraelczyków terytoriach, lecz głowy i serca wciąż były w Palestynie. A teraz, po tym, jak intifada wstrząsnęła waszą pewnością siebie, jesteście gotowi rzucić nam kilka okruchów, dać na własność minipaństwo na skrawku od zawsze naszej ziemi, byśmy żyli tam, czując na karku oddech wielkiego żydowskiego brata. I chcecie jeszcze, byśmy z wdzięczności całowali was po rękach. Może Autonomia Palestyńska tak, ale ja całować was nie będę. Nie chcę, żeby na Zachodnim Brzegu i w Gazie powstała nędzna, okaleczona Palestyna. Zresztą co mnie obchodzą Zachodni Brzeg i Gaza? Zanim wypędzili nas Żydzi, moja rodzina mieszkała w Hajfie. Chcę Hajfy! Chcę Jafy! Chcę całej Jerozolimy! Każdego centymetra kwadratowego! Chcę całkowitego wyeliminowania narzuconego nam przez Zachód

żydostwa. Jeśli godząc się na pokój, oficjalnie zatwierdzimy istnienie waszego państwa, przegramy stuletnią wojnę z syjonizmem. Nie chcę pokoju z tej prostej przyczyny, że bez pokoju Żydzi nie mogą wygrać. Czas jest po naszej stronie. Utopicie się w arabskim morzu. Z Bożą pomocą będziemy na was patrzeć jak na rozbitych przez Saladyna krzyżowców: jak na mało znaczący epizod w historii islamu.

Aziz i Aown zasnęli, młodszy brat z głową na ramieniu starszego. Z sąsiedniego pokoju dochodził głos czytającego Koran Jussufa. Senny od monotonnych głosów Efraim próbował nadać za rozmową, lecz w końcu się poddał, by z szeroko otwartymi oczami wyobrazać sobie, jak rodzice zareagują na wiadomość o jego śmierci. Ojciec, ze ściągniętą twarzą, lecz również z dumą, zwoła pewnie konferencję prasową na trawniku przed ich skromnym domem na Long Island. Najpierw przeliteruje swoje nazwisko, żeby dziennikarze dobrze je zapisali, a potem, z zapłakaną matką u boku, odczyta przygotowane oświadczenie. Jeszcze potem, podniósłszy wzrok znad kartki, zamruga do kamer i będzie odpowiadał na pytania pytaniami. Dlaczego uważacie, że mój syn był fanatykiem? – spyta. Jaki ojciec, doda łamiącym się głosem, nie byłby dumny z syna, który poświęcił życie, by spełnić biblijne marzenie?

Złapawszy w żagle drugi wiatr, Doktor co rusz kierował rozmowę na temat Beit Avram i żydowskiego terroryzmu, któremu początek dał przyjazd rabina do Izraela. Apfulbaum ze znużeniem kręcił głową. Tak, przyznał, znał kilku Żydów oskarżonych o próbę wysadzenia Kopyły na Skale. Tak, bywał na spotkaniach, podczas których analizowano, kiedy syjonizm zboczył z kursu. Tak, on też uważa, że syjoniści powinni zapomnieć o światowej opinii publicznej, która potępia Żydów bez względu na to, co zrobią, zapomnieć i skupić się na poszukiwaniu rozwiązania problemu izraelskich Arabów. Tak, wypchnięcie ich za granicę, do Syrii, było jedną z recept, które sam zaproponował, i nie, komunizm nigdy go nie kusił, chociaż, owszem, zgadza się z Leninem, który mawiał, że nie zrobisz omletu, nie rozbijając jajek, czy coś w tym rodzaju.

Doktor wyjął duży zegarek z kieszeni i gdy go otworzył, zabrzmiał cichy kurant.

– Wpół do czwartej. – Zesztywniały mu plecy i kark. – Mamy ze sobą wiele wspólnego, rabe. Jako student medycyny w Bejrucie, a potem w różnych miastach i wioskach na okupowanym Zachodnim Brzegu, ja też brałem udział w niekończących się dyskusjach, podczas których zastanawialiśmy się, kiedy i dlaczego zbłądził syjonizm. Oddałem się dogłębnym studiom, żeby zrozumieć obsesję, z jaką dążycie do zajęcia ziemi moich przodków. Racją bytu syjonistów było początkowo ratowanie Żydów z antysemitycznej Europy Wschodniej i carskiej Rosji. Lecz każde zwycięstwo nad zacofanymi Arabami oddalało ich od tej misji w kierunku odzyskania ziem, które, jak uważali, Bóg darował Ibrahimowi. Nie trzeba Freuda, żeby zrozumieć psychologiczne powody tej zmiany. Przez dwa tysiące lat Żydzi nie mieli wojska. I nagle, wraz z powstaniem na Bliskim Wschodzie kolonialnego przyczółku zachodnich mocarstw, który nazwano Państwo Izrael, dostaliście armię, która zmiatała z pola walki niepiśmiennych i słabo uzbrojonych Arabów, jak miotła zmiata piasek z beduińskiego dywanu. Ta machabejska odnowa, jak ją nazywam, odurzyła was, poczuliście się jak po dawce LSD. Zaczęliście gloryfikować służbę wojskową, deifikować żołnierzy wojowników broniących Ziemi Świętej. Nie zauważyliście, że syjonizm odniósł sukces, ponieważ stał się surogatem zachodniego kolonializmu i tubą zacieklego antyarabizmu. Krótko mówiąc, Żydzi uzbrojeni w zachodnie samoloty i czołgi, hojnie przez ten Zachód wspomagani finansowo, zdobyli należące do nas od wieków ziemie tylko dlatego, że świat był po waszej stronie...

Apfulbaum nie wytrzymał.

– Tak, tak, świat był po naszej stronie, gdy w latach trzydziestych Brytyjczycy zabronili nam emigrować do Palestyny, skazując miliony na śmierć w hitlerowskich piecach. Bosko, co? Świat był po naszej stronie, kiedy Roosevelt i Churchill nie chcieli zbombardować linii kolejowych, którymi transportowano nas do hitlerowskich fabryk śmierci. Oczywiście, świat był po naszej stronie i w czterdziestym ósmym, gdy utworzył

żydowskie państwo, a potem nie obronił go przed uzbrojonym i wyszkolonym przez Brytyjczyków Arabskim Legionem oraz czterema innymi arabskimi armiami, które poprzysięgły utopić Żydów w morzu. Ha! Z wrogami poradzimy sobie sami, ale strzeż nas, Panie, od przyjaciół!

Z rabina uszła para.

– Bolał mnie nogi – powiedział. – I serce. Wasz problem polega na tym, że patrzycie na historię przez pryzmat pradawnej nienawiści do Żydów. Wasz Prorok i Wysłannik Mahomet posprzeczał się z nami w Medynie i zaraz potem kazał wygnąć część Żydów z oazy, a resztę zabić. Na pewno pamiętasz, co się wtedy stało: na jego rozkaz muzułmanie, którzy do tej pory modlili się z twarzą zwróconą do Jerozolimy, mieli teraz modlić się twarzą do Mekki. Od tego dnia do dzisiejszego wciąż odwracacie się i od żydowskości Jerozolimy, i od samych Żydów. Jestem praktycznie ślepy, ale widzę, że kręcisz głową. Dlaczego temu zaprzeczać? Czytałem, co wasz wspaniały Koran mówi o Żydach.

Doktor zacisnął powieki i wyrecytował werset ze Świętego Koranu.

– „A ci, którzy nie sądzą według tego, co zesłał Bóg, są niewiernymi. Przepisaliśmy im w niej: «Życie za życie, oko za oko, nos za nos, ucho za ucho, ząb za ząb, a za rany obowiązuje prawo talionu»”^[33].

Otworzył oczy i spróbował skupić wzrok na rozmazanej sylwetce zakładnika.

– „A za rany obowiązuje prawo talionu” – powtórzył. – W moim przypadku, *ja’ani*, kara wyprzedziła przestępstwo, co znaczy, że kiedy w końcu zacząłem je planować, musiało pasować do kary.

– Kary za jakie rany? Jakie przestępstwo?

– Powiem ci, za jakie rany i jakie przestępstwo. Studiowałem wtedy na Uniwersytecie Amerykańskim w libańskim Bejrucie i wracając na ramadan do domu rodziców w Hebronie, przejeżdżałem przez most Allenby nad Jordanem. W tamtych czasach tak się wstydziłem, że jestem Palestyńczykiem, że nosiłem zachodni garnitur i krawat, a jeśli ktoś mnie zagadywał, odpowiadałem po angielsku. Żydzi, którzy zawsze umieją

wypatrzeć Araba, wywlekli mnie z autobusu i do wieczora przetrzymywali w latrynie. Nie wiedząc, że jestem prawie ślepy, założyli mi przepaskę na oczy i godzinami wozili mnie po mieście, żebym się pogubił. W końcu dojechaliśmy do więzienia. Dopiero później dowiedziałem się, że jestem na terenie izraelskiej bazy wojskowej w Hanan pod Jerychem, kilka minut jazdy od mostu Allenby. Przesłuchiwano mnie czterdzieści dni i czterdzieści nocy, przez wiele dni z rzędu nie dając mi spać. Ogolono mi głowę i zgolono brodę, co dla każdego Araba jest wielkim poniżeniem. Nigdy nie zwracano się do mnie po nazwisku, byłem dla nich numerem siedemdziesiąt siedem dwadzieścia trzy. Izraelski śledczy powiedział mi, że zadenuncjowano mnie jako terrorystę z Demokratycznego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Kiedy mnie nie przesłuchiwano, siedziałem w małej celi w skórzanej kapturze na głowie, podobnym do tego, który masz teraz ty. Cuchnął potem i wymiocinami, cuchnął strachem. Raz, kiedy zasnąłem, strażnik przytknął do kajdanek elektrody do gotowania wody. Obudziłem się z krzykiem, gdy rozgrzane kajdanki wypaliły mi bruzdy w spuchniętych przegubach. Do dzisiaj mam blizny. Noszę te ciemne bransolety, żeby przypominały mi o upokorzeniu, jakiego doznałem z rąk Żydów. Mój śledczy miał w sobie coś z pedagoga. Mówił mi dokładnie, co zamierza zrobić, a potem to robił. „Będziesz całkowicie zależny ode mnie – prorokował. – Będziesz pytał mnie, czy możesz oddać mocz, czy możesz coś zjeść, pójść spać, będziesz pytał o wiadomości od rodziny. Najpierw będziesz się buntował. Potem stopniowo pogodzisz się z tą zależnością. A w końcu będziesz wdzięczny za każdy okruszek chleba, jaki ci rzucę”. Bardzo się mylił. Tak, pożerałem okruszki, ale nigdy nie odczuwałem wdzięczności. Byłem niewinny, *ja’ani*: najgorszą rzeczą, jaką zrobiłem, było to, że piłem turecką kawę i rozmawiałem o polityce w kawiarni Fajsala naprzeciwko głównego wejścia do uniwersytetu. Ale gdy po czterdziestu dniach Żydzi mnie uwolnili, stałem się przestępcą: wstąpiłem do organizacji, o której członkostwo mnie oskarżono. Wytropiłem kolaboranta, który mnie zadenuncjował, i próbowałem go udusić. Żydzi zawieźli go na sygnale do szpitala i uratowali mu życie. A mnie aresztowali za usiłowanie zabójstwa i skazali na dwanaście lat więzienia. Tam postanowiłem

zastosować skuteczniejszą metodę, jeśli kiedykolwiek będę musiał kogoś zabić.

– Marks pisze gdzieś, że człowiek nie ma natury, tylko historię – powiedział Apfulbaum. – Twoja opowieść i moja są tego dowodem. Wychowywałem się w Brooklynie, ale parę razy w roku jeździliśmy do ciotki w Jonestown w Pensylwanii. Była świetną pianistką i jedyną Żydówką w mieście, grała na organach w kościele. – Skrępowane nogi zaczynały puchnąć, więc wiercił się na krześle, żeby złagodzić ból. – Pewnego grudniowego dnia poszedłem na sanki na wzgórze przed jej domem – jechało się bardzo daleko, aż za stadninę i stodołę z końmi – i wdałem się w bójkę z miejscowym chłopakiem o to, kto będzie zjeżdżał pierwszy. Wyzwał mnie od brudnych Żydów, więc stałem się brudnym Żydem.

Doktor podniósł kaptur z podłogi i założył mu go na głowę, słysząc, jak rabin dławi się od dusznego smrodu skóry.

– Najciekawsze w tych opowieściach jest to – powiedział – że ujawniają fragmenty przeszłości, które autor chciał zapamiętać.

Spod kaptura zabrzmiało przytłumione „Amen”.

W drugim pokoju, opierając się plecami o wzmocnione stałą drzwi, z kałaznikiem na kolanach, spał na siedząco Jussuf. Petra leżała zwinięta w kłębek na kocu obok radia. Pod sufitem paliła się naga żarówka i Petra zasłoniła oczy złożoną ściereczką, żeby nie raziło jej światło. Pochyliwszy się nad nią, Doktor dostrzegł ślady otarcia od sznura na jej nadgarstkach. Kolejna bransoleta poniżenia, pomyślał. Zielone wojskowe radio było włączone i wśród trzasków z małego głośnika płynęły żydowskie meldunki z różnych części okupowanej Palestyny. Dochodziła czwarta rano i wszystko było w porządku, przynajmniej tak wydawało się Izraelczykom z ich zwichrowanymi wspomnieniami i wypaczonymi historiami.

– Ząb za ząb, a za rany prawo talionu – szepnął Doktor do hebrajskich głosów.

Jeśli miał stworzyć islamskie państwo na należących do Palestyny ziemiach, będzie musiał dotrzeć z tym przekazem i do samych

Palestyńczyków. Wzniesienie dżihadu, świętej wojny, namówienie ich do stosowania prawa talionu będzie łatwiejsze, jeśli Apfulbaum pęknie i zacznie mówić, jeśli opowie mu o żydowskim podziemiu, jego bezwzględny przywódca podpisującym się imieniem Jair i o zbrodniach, jakich dopuścił się przeciwko Świętemu Koranowi i narodowi palestyńskiemu. A kiedy już zacznie mówić, przydałby się świadek, ktoś, kto przekaże jego opowieść światu.

Wysłuchując się w paplaninę płynących z głośnika żydowskich głosów, umył ręce nad zlewem. Potem zgasił światło, zdjął okulary, kciukiem i trzecim palcem rozmasował zaczerwienione oczy, wreszcie położył się w ubraniu na przygotowanej przez Petrę pryczy z nadzieją, że pośpi chociaż do świtu.

Mandaryni z Szin Bet kipieli gniewem. Attaché prasowy ambasady izraelskiej w Waszyngtonie przefaksował im najnowszy artykuł Sweeneya, w którym dziennikarz opisywał, jak próbował go zwerbować izraelski odpowiednik amerykańskiego FBI. Wyobraźni czytelników nie pozostawiono żadnego szczegółu. Przedstawiając się na porannym spotkaniu, pisał ironicznie Sweeney, agenci podali tylko imiona. Owszem, w swoich felietonach często nawiązywał do izraelskich cięć budżetowych, lecz o tym, że dotyczą one również wywiadu, przekonał się dopiero wtedy, gdy stwierdził, że podczas rozmowy nie podadzą mu nawet kawy czy pączków. Prowadzący próbował zastrzec tajność spotkania dopiero wtedy, gdy dobiegło ono końca, a inny, agent imieniem Itamar, wściekły, że Sweeney nie chce z nimi współpracować, zamknął tę sesję uwłaczającym pomówieniem, które nie nadawałoby się do druku nawet wtedy, gdyby padło oficjalnie.

Agent, którego Sweeney nazwał J. Edgarem, irlandzki Żyd nazwiskiem Mosze Briscoe, zadzwonił do szefa rządowej cenzury, zastępcy dowódcy dywizji pancerniej, który – tak się przypadkiem złożyło – służył pod jego rozkazami w Libanie.

– Odbierz mu akredytację – warknął do słuchawki. – Odeślij sukinsyna tam, skąd przyjechał.

– Próbowałem to zrobić, kiedy napisał artykuł o rezerwistach i łamaniu rąk – odparł cenzor. – Żądanie zostało odrzucone.

– Spróbuj jeszcze raz – nalegał Briscoe. – Jeśli musisz, idź do samego premiera.

Cenzor stłumił śmiech.

– Mosze, to właśnie premier je odrzucił.

- Kto go chroni? I dlaczego?
- Masz ludzi, którzy zakładają podsłuch w telefonach i ukrywają mikrofony w staniach. Sam to sprawdź.
- Żebyś wiedział, może i sprawdzę – odparł Briscoe.

Szurając klapkami, Maali weszła do nieogrzewanego pomieszczenia, wyłożonego gumową pianką, żeby aresztanci nie mogli rozwalić sobie głowy o ścianę, a potem twierdzić, że ich torturowano. Ubrana w workowatą koszulę bez rękawów, która podrażniała skórę, objęła się wpół i usiadła na drewnianym stołku z przednimi krótszymi nogami. W jej uszach pobrzmiwał kojący szept Jussufa.

– Będę cię kochał nawet wtedy, kiedy się zestarzejesz – poprzysiągł jej w dniu oświadczyn.

– Weźmiesz sobie drugą żonę? – spytała.

– Byłabyś temu przeciwna?

– Gdybym sama ci ją wybrała, to nie.

– Nie, nigdy nie wezmę sobie drugiej żony.

– Aaa...

Oślepiające reflektory pod sufitem paliły ją w nieustannie załzawione oczy. Muzykę słów Jussufa zagłuszył płynący z półcienia głos śledczego.

– Dobrze się czujesz? – spytał płynną arabszczyzną. – Masz jakieś zastrzeżenia co do tego, jak cię tu traktują?

Znużona Maali pokręciła głową. Podczas pierwszych sześciu, siedmiu czy ośmiu przesłuchań – już dawno straciła rachubę – skarżyła się na zimno w celi, brak prywatności podczas załatwiania czynności fizjologicznych, cuchnące ubranie, które musiała nosić, spleśniały ryż, który podawano jej do jedzenia, i na to, że nikt z personelu medycznego nie chce obejrzeć wysypki na jej brzuchu. Raz dano jej plik kartek i mazak z miękkim czubkiem – długopis uważano tu za broń – zachęcając ją do napisania listu do Amnesty International. Uklękła więc na podłodze, pochyliła się i wypełniła coś, co wyglądało na oficjalny formularz. Śledczy przeczytał to

na głos, naśmiewając się z błędów ortograficznych i gramatycznych, a potem podarł kartki i powiedział, że są to wypociny analfabetki.

– Żadnych skarg. Dobrze. Zaczniemy od tego, na czym skończyliśmy. – Maali usłyszała szelest papieru. – Twierdzisz, że kupiłeś ten pierścień miesiąc temu, od Beduina sprzedającego biżuterię na suku. Że nie pamiętasz jego nazwiska ani adresu sklepu. Czy czas odświeżyć ci pamięć?

Maali pokręciła głową.

– Od naszej ostatniej rozmowy dowiedzieliśmy się czegoś więcej.

Maali przesłoniła ręką oczy, próbując wypatrzeć w mroku śledczego.

– Takich pierścieni jest dużo – zaprotestowała słabo.

– Nie, ten jest wyjątkowy. Początkowo myśleliśmy, że wyryte na nim słowa „Erasmus” i „Hall” są imieniem i nazwiskiem jakiegoś mężczyzny. Ale odkryliśmy, że Erasmus Hall to nazwa szkoły średniej w nowojorskim Brooklynie. A „1998” to data jej ukończenia. To jest szkolny pierścień, Maali.

Trzęsąc się z zimna i strachu, Maali jeszcze mocniej objęła się wpeł.

– Na pewno zainteresuje cię to, że udało nam się nawet zidentyfikować jego właściciela. Pierścień należał do Amerykanina nazwiskiem Ronnie Goldman. Studiował Talmud w jesziwie rabina Apfulbauma w żydowskim osiedlu Beit Avram na wzgórzach Hebronu.

– Czy złamałam izraelskie prawo, kupując pierścień od Beduina? – spytała niepewnie Maali. – Czy Beduin złamał izraelskie prawo, kupując pierścień od Żyda?

– Beduin – ciągnął monotonnym głosem śledczy – nie kupił go od Żyda. A ty nie kupiłeś go od Beduina. Ronnie Goldman zginął, gdy grupa terrorystyczna zwąca się brygadą Abu Bakra uprowadziła rabina Apfulbauma, który wracał z Yad Mordechaj do Beit Avram. Jeden z terrorystów obciął mu mały palec, żeby zdjąć pierścień, który potem podarował tobie. To był twój mąż Jussuf, Maali, to on dał ci go w dniu porwania. I to do niego machałaś przed Bramą Damasceńską następnego dnia rano.

– Mówiłam już tysiąc razy – powtórzyła Maali. – Nie widziałam męża od nocy poślubnej.

– W takim razie kto ci go dał?

– Nikt. Kupiłam go od jakiegoś Beduina.

Śledczy znowu przerzucił kartki.

– To, że nikt ci go nie dał, stwarza domniemanie, że to ty obcięłaś palec i zabrałaś pierścień. Muszę cię ostrzec, że dysponujemy wystarczającymi dowodami, żeby oskarżyć cię o morderstwo Ronniego Goldmana. Masz poważne kłopoty, Maali. Żaden sędzia nie uwierzy, że kupiłaś ten pierścień od Beduina. Resztę życia możesz spędzić w obozie na pustyni Negew. Dodam, że niektórzy z moich przełożonych uważają, że osobiście brałaś udział w zasadzce: wiele palestyńskich kobiet odgrywa aktywną rolę w atakach na Żydów, są na to liczne przykłady. Ja w to nie wierzę, myślę jednak, że próbujesz kogoś chronić. Choć niechętnie, to podziwiam cię nawet za niezłomność i lojalność. Ale lojalność musi mieć swoje granice. Jaki człowiek obcina palec martwemu chłopakowi, żeby ukraść mu pierścień?

Maali zwiotczyły kolana i czuła, że lada chwila zsunie się ze stołka.

– Ktoś, kto obcina palec martwemu Żydowi – wypaliła – musiał wycierpieć katusze z rąk Żyda żywego.

– A więc przyznajesz – spytał z irytującą cierpliwością śledczy – że ktoś obciął Goldmanowi palec, żeby ukraść pierścień, który następnie dał tobie?

– Niczego nie przyznaję! – krzyknęła Maali. – Przeklinam twoje oczy. Pluję na ziemię u twych stóp.

Po tym, jak przez otwór w drzwiach celi podano jej kolację, położyła się na pryczy i drżąc z zimna, zaczęła drapać się po swędzącym brzuchu. Strażnik, który co godzinę zaglądał do wszystkich aresztantów, zauważył krew na jej koszuli i wezwał dwie izraelskie strażniczki, które przez labirynt korytarzy zaprowadziły ją do izby chorych. Przerazona jej stanem żydowska lekarka, młoda poborowa na pierwszym dyżurze w więzieniu, kazała jej rozebrać się do naga, umyć specjalnym mydłem i wziąć prysznic.

Potem posmarowała brzuch maścią z antybiotykiem i wydała jej nową bieliznę oraz koszulę z długimi rękawami. Czekając na strażniczki, dała jej również mały plastikowy grzebień i plastikowe pudełko z witaminami.

– *Szukran* – wymamrotała po arabsku Maali.

– *Bevakasza* – odpowiedziała lekarka, unikając jej wzroku. – Jeśli jutro będzie cię dalej swędziało, poproś, żeby zaprowadzono cię do izby. – Zniecierpliwiona tym, że strażniczek wciąż nie ma, wezwała młodą palestyńską salową, która siedziała na korytarzu, rejestrując wszystkich wchodzących i wychodzących. – Odprowadź ją na czwarty blok – poleciła.

Salowa musiała mieć kiedyś grube warkocze i wyglądało na to, że robiąc jej więzienną fryzurę, ktoś nieumiejętnie je obciął. Maali zrównała z nią krok. Patrząc prosto przed siebie i poruszając ustami jak brzuchomówczynie, dziewczyna wymamrotała:

– Za co cię aresztowali?

– Twierdzą, że zabiłam Żyda – odparła Maali, którą nagle ogarnęła duma, że postawiono jej ten zarzut.

– Jak wpadłaś?

– Ktoś mnie wydał.

– Kto?

– Pan Hadż, cinkciarz spod Bramy Damasceńskiej.

– Skąd wiesz?

– Bo kiedy mnie tu przywieźli, to on mnie wskazał. Widziałam go na własne oczy.

– Tych, którzy prowadzą wojnę przeciwko Allachowi i jego Wysłannikowi i sieją zepsucie na ziemi, Święty Koran skazuje na śmierć, na ukrzyżowanie, obcięcie kończyn lub wygnanie. Pan Hadż nie uniknie kary z rąk Boga lub człowieka.

Podeszły do stalowych drzwi pilnowanych przez uzbrojoną w uzi młodą izraelską żołnierkę w czarnych reebokach, która kazała Maali podnieść ręce i powoli przesunęła dłońmi po jej piersiach, udach i pośladkach. Znalazłszy

w kieszeni grzebień i witaminy, skonfiskowała je, po czym otworzyła drzwi.

– Znasz surę sześćdziesiątą? – spytała szeptem Palestynka, gdy dochodziły do celi. – „Módl się do Allacha, który odpowiada na wszystkie modlitwy. Opieraj się niewiernemu duszą, ciałem i umysłem”^[34]. Pamiętaj, że „Bóg widzi dobrze, co czynicie!”^[35].

Maali weszła do cuchnącej celi; zdążyła już przywyknąć do smrodu bijącego z otwartej toalety w kącie. Palestynka zaczęła zamykać drzwi.

– Otuchy – szepnęła. – Hadż będziegnił w piekle. – Otuchy. Woda jak płynna miedź sparzy jego twarz.

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Okazuje się, że mój harwardzki kolega Henry Kissinger gruntownie się mylił, twierdząc, że brak alternatyw cudownie oczyszcza umysł. Być może sprawdza się to w świecie rzeczywistym, jednak w lustrzanych miazmatach Bliskiego Wschodu brak opcji zdaje się jeszcze bardziej dezorientować. Przykładem niech będzie mój poranny telefon do przewodniczącego Autonomii. Nie zdążyłem się jeszcze odezwać, a on już mnie pouczał, mówiąc, że nie zamierza popełniać błędu i nawiązywać współpracy z Szin Bet celem wspólnego polowania na Palestyńczyków – chociaż ci zerwali zawieszenie broni, które osobiście zatwierdził, i mogli zerwać traktat pokojowy, który gotów był podpisać.

Pozwoliłem mu się wygadać. Kiedy zrobił przerwę, żeby zaczerpnąć powietrza, rzuciłem obojętnie:

– Ale jaki macie wybór? – A gdy jedną po drugiej zaczął wymieniać dostępne jego zdaniem opcje, znowu mu przerwałem: – Powiem panu, jak widzimy to z Waszyngtonu. Nie macie żadnego.

Zaczekałem, aż to przetrawi.

– Zawsze jest jakiś wybór – powiedział w końcu. – Mogę na przykład spokojnie usiąść i poczekać, aż Izraelczycy rozwiążą własne problemy.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że jest pan za mądry, by uważać to za wyjście. Niech pan postawi się na ich miejscu. Co będzie, jeśli Abu Bakr zamorduje rabina i jego sekretarza? Co wtedy?

– Kiedy to się zaczęło, zadzwoniłem do ich premiera. Zasugerowałem, żeby posłuchał rady pani prezydent i potraktował uprowadzenie jako odosobniony incydent...

– Incydent jest odosobniony, kiedy morderstwo nie uchodzi przestępcom na sucho. Jeśli ujdzie, przypadek nie będzie odosobniony, ponieważ, co

nieuchronne, przestępcy wyciągną wniosek, że mogą zabijać do woli, a w każdym razie do chwili, kiedy wam i Izraelczykom puszcza nerwy. Proszę nie zapominać, że izraelskiemu premierowi patrzy na ręce dwieście czterdzieści tysięcy prawicowych osadników, którzy tylko czekają na pretekst do udupienia traktatu.

– „Do udupienia”? Co to znaczy?

– Do storpedowania. Udaremnienia. Zerwania. Zastopowania.

Naszej rozmowie musiał ktoś się przysłuchiwać, ponieważ dobiegł mnie szept kogoś mówiącego po arabsku.

– Co on powiedział? – spytałem z wystudiowanym sarkazmem.

Przewodniczący odchrząknął, co znaczyło, że tylko udaje spokojnego.

– Pyta, jak to jest, że Amerykanie zawsze naciskają, byśmy pomogli Izraelczykom przycisnąć Palestyńczyków.

– Odpowiem pytaniem na pytanie: jak to jest, że nie widzicie, iż cały ten Abu Bakr jest takim samym wrogiem Autonomii Palestyńskiej jak Izraela? Właściwie nawet większym.

– Jak to? Dlaczego?

– Jeśli chodzi o Izraelczyków, uzna swoją operację za sukces, jeśli zabije dwóch z nich. A jeśli Izraelczycy nie pojawią się w Waszyngtonie, żeby podpisać traktat, uzna ją za triumf. Jeśli zaś chodzi o was, uzna ją za sukces, jeśli zabójstwo dwóch Izraelczyków postawi was w kłopotliwym położeniu. Za triumf uzna ją wtedy, kiedy wraz z innymi ekstremistami będzie mógł was mordować i za was rządzić.

Słyszałem, jak przewodniczący sprzecza się z kimś po arabsku, i odnotowałem w pamięci, żeby podczas następnej rozmowy towarzyszył mi tłumacz. Odezwał się dopiero po chwili.

– Panie Sawyer, przyznam szczerze, że zgadzam się z pańską analizą. Ale w tej części świata jest duża różnica między poprawną analizą sytuacji a publicznym zajęciem stanowiska w tej czy innej sprawie.

– Panie przewodniczący, pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie: co byście zrobili, gdyby izraelscy prawicowcy wprowadzili obłąkanego

fundamentalistycznego imama i jego sekretarza, zabijając przy okazji czterech ochroniarzy? Zgodziłby się pan potraktować to jako odosobniony incydent?

Przewodniczący roześmiał się cicho; jedną z rzeczy, jakie w nim cenię, jest sporadyczna umiejętność cofnięcia się, spojrzenia z dystansu na siebie i Palestyńczyków i zobaczenia ich takimi, jakimi widzą ich inni. Empatia jest matką wiedzy o samym sobie.

– Wybrałbym pański numer – przyznał – i poprosił, żeby wywarł pan presję na Izraelczyków, aby postawili porywaczy przed sądem. Zrobiłbym to, dobrze wiedząc, że Żydom nie spieszyłoby się do...

– Panie przewodniczący, kiedy traktat zostanie podpisany, wasze narody będą musiały znaleźć jakiś sposób koegzystencji na terytorium wielkości znaczka pocztowego.

– Podpisywaliśmy już z nimi traktaty i niech pan zobaczy, co z tego wyszło. Pamięta pan Oslo? Zbudowali dodatkowe osiedla i rozbudowali stare. Wybudowali drogi bezpieczeństwa, którymi poprzecinali Palestynę, tworząc odizolowane enklawy. Wzniesli tak zwane mury bezpieczeństwa, odcinając Palestyńczykom dostęp do szpitali, uniwersytetów, do pracy i uprawianych przez nich pól. Zwlekali ze zwrotem zagarniętych terenów. Boimy się, że historia się powtórzy. – Znowu przerwał mu jeden z doradców i przewodniczący dopiero po chwili dodał: – Chyba rozsądniej by było odłożyć tę rozmowę do jutra.

Aby zaimponować moim studentom na Harvardzie, cytuję czasem Pabla Picassa. Zacytowałem go i wtedy: „Odkładaj do jutra tylko to, czego nie chcesz dokończyć przed śmiercią”. Nie udało mi się jednak ocenić, jaki skutek odniosła moja erudycja, ponieważ w słuchawce nagle zatrzeszczało i połączenie zostało przerwane.

Nie poprosiłem operatorów z Białego Domu, żeby je ponownie nawiązali. Powiedziałem to, co chciałem i postanowiłem trzymać się protokołu: ponieważ to ja zainicjowałem rozmowę, uważałem, że on powinien oddzwonić.

Ale nie oddzwonił.

Baruch odebrał Elihu z wojskowego lotniska, skręcił na wschód, na czteropasmową drogę bezpieczeństwa okrążającą położone na wzgórzu rozległe miasto-osiedle Maaleh Adumim, i pojechał z powrotem do Jerozolimy. Gdy kierując się na Jerycho, zjeżdżali ze wzgórza, *katsa* wreszcie się odezwał.

– Parszywy lot – mruknął w odpowiedzi na pytanie, którego Baruch nie zadał. – W drodze na lotnisko utknąłem w korku i omal nie spóźniłem się na śmigłowiec. Szkoda, że zdążyłem. Pilot przebił się przez chmury i grzmotnął w ziemię, jakby lądował na brzuchu F-16.

Rozmawiający przez komórkę rezerwista machnięciem ręki przepuścił przez blokadę ich steraną dwudrzwiową hondę. Baruch zażartował, że zamawia pewnie pizzę z Jerozolimy, lecz Elihu nawet się nie uśmiechnął. Był w złym humorze i żuł ustnik fajki tak gwałtownie, jakby chciał go odgryźć. Kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego podniesiony, by stawić czoło wyimaginowanej burzy, wełniany szalik owijający jak maska dolną połowę twarzy, ciemne oczy utkwione w horyzont leżący poza tym widocznym – złe nastroje stanowiły część jego legendy: prowadząc agenta, który mógł skończyć z podejrniętym od ucha do ucha gardłem, gdyby coś poszło nie tak, *katsa* zawsze zamykał się jak ostryga. Skupiając się na drodze, Baruch śmignął obok idących gęsiego wielbłądów, które prowadził poboczem beduiński chłopak w słuchawkach podłączonych do złotego walkmana. Chwilę później zobaczyli tablicę z napisem „Poziom morza”, a tuż za zakrętem północny koniuszek Morza Martwego skrzący się w promieniach porannego słońca.

– Dobrze myślę, że nie znasz Saadata Arifa? – spytał Baruch.

Elihu kiwnął głową.

– Kiedyś prowadziłem agenta, który próbował go przekupić kontem numerycznym w Szwajcarii. Saadat reprezentował wtedy OWP we Francji. Musiałby tylko sprzedać nam kilka mało ważnych informacji: obok kogo siedział Arafat na kolacji w Pałacu Elizejskim, jak OWP rozdziela wylatane kilometry, takie tam duperele. Ale nie dał się skusić.

Baruch prychnął.

– Znam go od lat. Dwa razy przesłuchiwałem go podczas intifady, latem, kiedy został zastępcą szefa wywiadu, jadłem z nim kolację w Jerychu. Jest za bystry, żeby dać się wkręcić. Zna swój fach: sprzedaje parę budżetów, a wtedy kupiec zagrozi, że jeśli nie dostanie czegoś lepszego, zamieści w gazecie całostronicowe ogłoszenie z podziękowaniami za współpracę.

– A dzisiaj? – spytał *katsa*. – O co mu chodzi?

– Nie mam pojęcia. Poprosił o spotkanie. Chce pogadać o uprowadzeniu Apfulbauma. Wspomniał coś o wspólnych interesach. Jak chcesz go rozgryźć, musisz czytać między wierszami, to klucz. – Baruchowi przypomniało się coś jeszcze. – Aha, gdyby spytał, czym się zajmujesz, powiedziałem, że jesteś arabistą z Szin Bet.

Pokonawszy dwie trzecie wybrzeża Morza Martwego, zjechali z czteropasmówki na wąską drogę meandrującą wśród wzgórz pod Jerychem. Zwolnili, żeby przepuścić grupę spoconych niemieckich turystów wracających do klimatyzowanego autokaru z wycieczki do skalnego klasztoru Świętego Jerzego w Wadi Kelt, potem minęli porzucone izraelskie okopy i zwoje zardzewiałego drutu kolczastego i znaleźli się na zielonych przedmieściach najstarszego miasta świata.

– Prosił, żebyśmy weszli od tyłu – powiedział Baruch. – Mamy ominąć palestyński posterunek przed głównym wejściem.

– Dlaczego robi z tego taką tajemnicę? – spytał podejrzliwie *katsa*.

– On nie ufa nawet własnej matce – wykrztusił ze śmiechem Baruch – tym bardziej krawężnikom z OWP.

Pokonawszy sieć szerokich, cienistych bocznych ulic w południowej części Jerycha, dojechali do bazy wojskowej, którą Izraelczycy nazwali

Camp Hanan, a którą Palestyńczycy, po przejęciu kontroli nad miastem w 1994 roku, przemianowali na Akse. Wzbijając kłęby pyłu, samochód popędził bitą drogą wzdłuż zwieńczonego drutem kolczastym wysokiego ogrodzenia. W połowie ogrodzenia była otwarta brama. Czekał w niej wąsaty cywil z kałasznikowem.

– Teraz piechotą – powiedział Baruch. Zamknął samochód i przeszli przez bramę.

Wąsacz zamknął ją i poprowadził ich piaszczystą ścieżką między dwoma długimi budynkami koszarowymi. Otworzył boczne drzwi i zrobił im przejście.

Saadat, ogolony na łyso krągły pięćdziesięciolatek w błyszczącym zachodnim garniturze, pod krawatem, siedział przy wielkim biurku pod starym brytyjskim plakatem przedstawiającym wodospad w oazie nad Morzem Martwym i opatrzonym napisem: „Odwiedź Palestynę”. Na widok gości zamknął akta, które właśnie czytał, rzucił teczkę na stos innych i położył na wierzchu nabity rosyjski rewolwer.

– Baruch, mój przyjacielu! – powiedział po angielsku. – Jakże się cieszę. – Wstał, wyszedł zza biurka, żeby uścisnąć im ręce i błyskając złotym zębem, uśmiechnął się do Elihu. – Nie znam pana, lecz moim nieszczęściem jest to, że wszyscy kojarzą mnie z pańskim chlebodawcą, który aresztował mnie więcej razy, niż mam palców u obu rąk.

Strzelił palcami i przysiadł na brzegu biurka. Dwóch asystentów przysunęło fotele i poczęstowało gości świeżo wyciśniętym sokiem grapefruitowym. Elihu, wciąż w złym humorze, zagryzł ustnik fajki.

– To prawda – rzucił – widzimy się pierwszy raz, ale znam pana ze słyszenia. – Saadat przyjął to skinieniem głowy. – Krążą różne opowieści – prowokował go *katsa*. – O tym, jak wiążecie Palestyńczykom ręce za plecami i wieszacie ich za nadgarstki, aż puszczają im stawy w ramionach. Jak tych, którzy krytykują Autonomię, zamykacie na wiele tygodni w ciasnych celach, zmuszając ich do picia własnego moczu. Słyszałem, że ostatnio zmarło tu czterech czy pięciu więźniów.

Saadatowi stężała twarz.

– Wszystkiego, co umiemy – odparł łagodnie – nauczyliśmy się od Izraelczyków. W porównaniu z wami jesteśmy jak przedszkolaki. Haki w ścianach, na których wieszamy więźniów, izolatki: to wyście je zbudowali, okupując Jerycho.

Elihu pił sok, przeszywając Saadata spojrzeniem, i najwyraźniej nie podobało mu się to, co widzi.

Baruch odchrząknął.

– W faksie napisał pan, że chce pan porozmawiać o porwaniu Apfulbauma. – Wstrzymał oddech. Rozmowa mogła potoczyć się bardzo różnie.

Saadat obszedł biurko i usiadł.

– Nie będę wytykał mu poczynań Szin Bet – powiedział, zwracając się do Barucha, lecz patrząc na katkę – jeśli on przestanie wytykać mi poczynania Prewencyjnych Sił Bezpieczeństwa Autonomii. Obaj pracujemy w organizacjach, które wierzą, że cel uświęca środki.

– Zależy od celu – mruknął Elihu. – I od środków.

– Apfulbaum – powtórzył Baruch, chcąc wrócić do tematu.

– Apfulbaum. – Na twarz Saadata powrócił złotozębny uśmiech. – Wasz premier oświadczył publicznie, że jest skłonny rozważyć możliwość uwolnienia więźniów w zamian za uwolnienie rabina i jego sekretarza. Poprosił, żeby przewodniczący Autonomii zainicjował negocjacje z porywaczami. Zachary Taylor z Białego Domu prosił z kolei, aby przewodniczący postawił się na miejscu waszego premiera. Przewodniczący rozumie, że izraelski premier próbuje zyskać trochę na czasie. Jest skłonny, a nawet chętny do pomocy: stanowczo protestuje przeciwko wszelkim przejawom terroryzmu i zdecydowanie popiera pokojowe rozwiązanie dzielącego nas konfliktu. Ale przede wszystkim nie chce narażać na niepowodzenie spotkania w Waszyngtonie i podpisania traktatu pokojowego. Sytuację komplikuje jednak fakt, że nie ma z kim negocjować. A jeśli wierzyć porywaczom – wiele razy oglądałem film, który nam przysłaliście – niebawem nie będzie czego. Albo spełnicie ich żądania i uwolnicie więźniów, albo zabiją tych dwóch Żydów.

– Dysponujecie źródłami, jakich my nie mamy – zauważył Baruch – musicie wiedzieć coś więcej o tym Abu Bakrze.

Saadat podrapał się w dziobaty nos.

– Prawdziwy Abu Bakr był pobożnym człowiekiem, pierwszym, który przeszedł na islam, teściem Proroka Mahometa, jego bliskim przyjacielem i pierwszym następcą, kimś, kogo my nazywamy kalifem, a wy chalifatem, następcą wysłannika Boga. To, że porywacze przyjęli jego nazwisko, sugeruje, że są muzułmańskimi fundamentalistami.

Elihu zagryzł ustnik fajki.

– Przejechaliśmy kawał drogi, żeby usłyszeć to, co już wiemy – powiedział.

– Islamscy fundamentaliści – kontynuował Saadat, ignorując go i mówiąc do Barucha – są wspólnymi wrogami Szin Bet i Prewencyjnych Sił Bezpieczeństwa Autonomii. Dlatego Izraelczycy dali nam wolną rękę na Zachodnim Brzegu na długo przed tym, nim Autonomia oficjalnie przejęła kontrolę nad tamtejszymi miastami i wsiami. I właśnie dlatego wieszamy tu czasem jakiegoś Palestyńczyka ze skrępowanymi na plecach rękami. Technika nie jest niezawodna, ale w dziewięciu przypadkach na dziesięć udaje nam się zdobyć potrzebne informacje. Sposób zawodzi tylko wtedy, kiedy Palestyńczyk ich nie ma albo kiedy umiera na atak serca, zanim zdąży je sobie przypomnieć.

Baruch zdał sobie sprawę, że Saadat jednak coś wie. Delektował się tylko tym, że może wystawić na próbę ich cierpliwość.

Zdjął rewolwer ze sterty papierów i położył go na blacie z lufą wycelowaną prosto w Elihu. Wyciągnął i otworzył jedną z teczek.

– Jako arabista zna pan na pewno islamską legendę, która głosi, że na przełomie stuleci Bóg zsyła na ziemię kogoś, kogo my nazywamy mudzaddidem, a wy odnowicielem, aby przywrócił islamowi świetność z czasów Proroka i pierwszego kalifa.

Katsa nachylił się w jego stronę.

– Kilka dni temu pewien amerykański dziennikarz opublikował artykuł, w którym o nim wspomina. Twierdzi, że fundamentalistyczny kleryk z Azy powiedział mu, że wielu wierzy, iż to Abu Bakr jest tym długo wyczekiwanym mudzaddidem.

W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon i przytłumiony kobiecy głos powiedział, że Saadat jest na spotkaniu.

– Pogłoski o tym zaczęły docierać do nas już w zeszłym roku – ciągnął Saadat. – Ich źródłem był Hebron, skąd rozeszły się na północ i dotarły do Jerozolimy, a w końcu do Gazy. Ludzie rozmawiali o tym i szeptali za zamkniętymi drzwiami. Odnowiciel jest podobno ślepcem, który widzi wyraźniej niż ci obdarzeni wzrokiem. Jest tak pobożny, że ma na czole coś, co Święty Koran nazywa „znamieniem od śladów wybijania pokłonów”^[36]. Naucza, że to nie islam zawiódł muzułmanów; to muzułmanie zawiedli islam. Że dzięki wierności słowu Bożemu i przykładowi Proroka pokonają żydowskich niewiernych. Często cytuje następujący fragment Koranu: „Jeśli wśród was jest dwudziestu cierpliwych, to zwyciężą dwustu; a jeśli jest stu wśród was, to oni zwyciężą tysiąc niewiernych”^[37].

– Udało wam się ustalić jego tożsamość? – spytał Baruch.

Saadat błysnął złotym zębem.

– Przed swoją przedwczesną śmiercią jeden z Palestyńczyków wiszących tu na izraelskim haku – mówiąc to, szef Prewencyjnych Sił Bezpieczeństwa Autonomii patrzył prosto na katkę – zdążył nam opowiedzieć o prawie niewidomym samozwańczym stróžu prawa, który zabija Palestyńczyków oskarżonych o współpracę z żydowskimi niewiernymi. Twierdził, że *mudzaddid* i on to jedna i ta sama osoba. Ponieważ jest praktycznie ślepy, człowiek ten ma specyficzną metodę wykonywania kary śmierci: wymacuje palcami miejsce za uchem skazańca i z chirurgiczną precyzją strzela w niego z małokalibrowego pistoletu.

Elihu spojrzał na Barucha.

– Oczywiście! Jest ślepy i musi strzelać z bliska. A ponieważ strzela z bliska, używa małokalibrowej broni, tak cichej, że nie potrzebuje tłumika.

– Przeniósł wzrok na Saadata. – Mamy doniesienia o osiemnastu takich morderstwach. – To ostatnie słowo mocno podkreślił.

– Egzekucji było w sumie dwadzieścia trzy. – Saadat z kolei podkreślił słowo „egzekucji”. – Różnica bierze się stąd, że pięciu ciał nie przekazano izraelskim władzom okupacyjnym.

– Jeden z żydowskich ochroniarzy zabitych podczas napadu – wtrącił Baruch – jak również terrorysta, którego ciało znaleźliśmy w porzuconym samochodzie, został zabity kulą kalibru pięć przecinek sześć dziesiątych milimetra wystrzeloną z przystawienia w rdzeń przedłużony.

– Zgódźmy się zatem – powiedział z niewinną obojętnością Saadat – że w uprowadzeniu rabina widać rękę ślepego mudżaddida. Będę szczery: ten człowiek jest takim samym zagrożeniem dla Autonomii i jej przewodniczącego, jak dla was. Nie sposób przewidzieć, jak zareagowałiby zwykli Palestyńczycy, odpowiadając na wezwanie do świętej wojny z Żydami, co by zrobili, uwierzywszy, że jest on zesłanym przez Boga Odnowicielem. Otworzyłyby się przed nim drzwi wszystkich meczetów, każdy muzułmanin poszedłby walczyć z niewiernymi. Pokój, który zawarli z Izraelczykami najodważniejsi Palestyńczycy z Autonomii, utonąłby w morzu fundamentalistycznych bojowników słuchających rozkazów mudżaddida. Palestyna stałaby się bastionem islamskich ekstremistów. A mnie oskarżono by o współpracę z niewiernymi i wpakowano by mi w głowę kulę z małego pistoletu. – Saadat postukał się palcem w ucho.

Czytając między wierszami, Baruch uświadomił sobie nagle, po co zaproszono ich do Jerycha: przewodniczący Autonomii i jego Prewencyjne Siły Bezpieczeństwa wypowiadały wojnę niewidomemu mudżaddidowi, porywaczowi rabina Apfulbauma i mordercy dwudziestu trzech konfidentów. Zamierzali wieszać Palestyńczyków za ręce, żeby wykryć, kim ten człowiek jest i gdzie przebywa. Ale kiedy już go znajdą, woleliby, żeby to ktoś inny go zlikwidował.

Ktoś inny, czyli Izraelczycy.

– *Lamma lo?* – rzucił, myśląc na głos. – Czemu nie? Wy go znajdziecie, my go zabijemy.

Saadat uśmiechnął się promiennie, odsunął z fotelem i wyszedł z za biurka.

– To spotkanie nigdy nie miało miejsca – powiedział. – Ci, którzy twierdzą, że doszliśmy do porozumienia, łąą jak psy. Gdybyśmy jakimś cudem odkryli, gdzie przetrzymywany jest rabin, będziecie ostatnimi, którzy się tego dowiedzą. Niech Bóg broni, żeby muzułmanin wydał mudzaddida zesłanego przez Allacha, by odnowił islam!

Piaszczystą ścieżką odprowadził gości do bramy.

– Miło było pana widzieć – powiedział do Barucha. – Proszę mnie odwiedzać, kiedy dusza zapragnie. Mój dom jest pana domem, i tak dalej, i tak dalej. – I nie przestając się uśmiechać, dodał: – A następnym razem proszę zrobić mi przysługę i zostawić waszego słynnego katę w domu.

Bracia Karamazow (jak nazywano ich w kręgach policyjnych) wpadli do gabinetu bez pukania. Azazel, w rozpiętej do opalonego pępka białej koszuli i złotym łańcuchu na szyi, z pełnym irytacji westchnieniem opadł na kozetkę. Absalom – on był w szytej na miarę bladofioletowej sportowej marynarce i zaprasowanych w kant czarnych spodniach – usadowił się naprzeciwko biurka i zaczął czytać rozkaz, który Baruch wrzucił do ich koszyka z korespondencją przychodzącą.

– „Od: Barucha”. – Podniósł wilgotne oczy znad kartki, którą trzymał starannie wymanikiuowanymi palcami. – Czyli od ciebie.

– Od niego – potwierdził z fałszywą skromnością Azazel.

– „Do: braci Karamazow”. To my.

Baruch zaczął coś mówić, lecz Azazel podniósł ręce i zakręcił nimi nad głową jak wirnikiem śmigłowca.

– Wysłuchaj go – przerwał piskliwie. – Wysłuchaj, co ma do powiedzenia.

– „Temat: igła w stogu siana”. – Absalom wyduł wargi. – Przynajmniej w tym punkcie ma rację. – Spojrzał na kartkę i ociekającym ironią głosem przeczytał: – „Odwołać urlopy, wszystkie ręce na pokład”. Och, Baruchu, czyż nie jesteśmy dzisiaj za bardzo marynarscy? „Ty, Azazel i wasi ludzie mają przekopać akta byłych palestyńskich więźniów. Lista jest oczywiście długa...

– On mówi to nam – dogryzł z kozetki Azazel. Przewrócił oczami. – O Boże.

– ...i wielu z tych nazwisk – ciągnął Absalom – nie ma jeszcze na naszych serwerach, co znaczy, że będziecie musieli przerzucić setki

zakurzonych teczek w piwnicy... ale czy coś takiego zniechęciło kiedykolwiek braci Karamazow?”.

– W normalnych okolicznościach – powiedział Azazel – pochlebstwem załatwiłbyś wszystko, ale dzisiaj nic z tego.

– A oto, czego szukamy. – Absalom posłał mu kwaśny uśmiech. – Oto, czego szuka Baruch...

– Przecież napisał czego – zdenerwował się Azazel. – Igły w stogu siana. Absalom odchrząknął.

– „Szukamy Palestyńczyka niewiadomego wieku – chociaż ma prawdopodobnie czterdzieści lub pięćdziesiąt kilka lat – który (1) jest niski i krępy, (2) mógł być aresztowany po donosie palestyńskiego agenta Szin Bet, (3) w rezultacie czego spędził kilka lat w izraelskim więzieniu, (4) wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest pobożnym muzułmaninem, (5) niedowidzi do tego stopnia, że praktycznie rzecz biorąc, można go nazwać ślepcem”.

– Czterdzieści lub pięćdziesiąt kilka lat – powtórzył Azazel. – Mógł być aresztowany. Prawdopodobnie pobożny. Prawie ślepy. Cóż, wiadomo przynajmniej, że szukamy faceta!

Dwóch byłych rosyjskich rabinów, którzy przyjechali do Izraela przed dwudziestu laty i którzy dowodzili teraz małą armią pracujących dla policji zbieraczy informacji, przewróciło oczami. Byli przedmiotem niezliczonych biurowych dowcipów, Baruch jednak uważał, że to, co dorośli ludzie robią w swoim wolnym czasie, jest ich sprawą. Zależało mu jedynie na tym, żeby idąc ledwo widocznym tropem, znaleźli ślad Palestyńczyka w przepastnych archiwach Szin Bet. Ledwie przed miesiącem na podstawie dwóch szczegółów – zamachowiec miał astmę i obgryzał paznokcie, czekając, aż żołnierze go miną – udało im się zidentyfikować Araba z Nablusu, który zaatakował izraelski patrol koktajlem Mołotowa.

Baruch usiadł wygodniej.

– Posłuchajcie, nie jestem głupi. Wiem, że znajdziecie dziesiątki niskich, krępych, niedowidzących i pobożnych Palestyńczyków, którzy trafili za

kratki po denuncjacji kolaboranta...

– Dziesiątki? – przerwał mu Absalom. – Raczej setki.

– Jeśli będą ich setki – ciągnął Baruch nieznoszącym sprzeciwu głosem – przynieście mi ich nazwiska. Mam nadzieję, że zanim zdążycie zawęzić ich liczbę do dziesiątek, zdobędziemy parę szczegółów, dzięki którym będzie ich jeszcze mniej.

Dobrze po północy Maali, która spała niespokojnie na składanej pryczy, osłaniając ręką oczy przed blaskiem dwustuwatowej żarówki, obudził głęboki, przeciągły szloch. Przez chwilę myślała, że to ona płakała przez sen. Ale spojrzała przez kraty na korytarz i zobaczyła, że izraelscy żołnierze wloką pod pachy jakąś kobietę. Zatrzymali się przed drzwiami jej celi. Szczyknął klucz w zamku, drzwi się otworzyły i wrzucili ją do środka. Upadła na cementową podłogę i drzwi zamknęły się z brutalnym trzaskiem metalu uderzającego w metal.

Przykucnąwszy przy zatrzymanej, Maali odwróciła jej głowę i ułożyła ją sobie na kolanach. Ciemne włosy kobiety lepiły się od krwi. Miała skaleczenie pod mocno zapuchniętym okiem, paskudnego krwawego siniaka na ramieniu, zakrwawione kostki i kolana i była w rozerwanej pod pachami więziennej koszuli. Otworzyła zdrowe oko i przerażona spojrzała na Maali.

– Myślą, że jak wrzucą mnie do celi z kapusiem, to powiem mu to, czego nie powiedziałam im – wyszeptała po arabsku. – Ale się mylą.

– Nie jestem kapusiem – zapewniła ją Maali.

– Idź do diabła – warknęła kobieta, z trudem poruszając obolałymi wargami.

Maali wciągnęła ją na pryczę. Zdjęła bieliznę, którą dostała od żydowskiej lekarki, zwilżyła śliną rąbek materiału i zaczęła przecierać jej skaleczenia i sińce.

– Jak ci na imię? – spytała po chwili. – Ja jestem Maali. Żona Jussufa Abu Saleha.

Kobieta – miała najwyżej trzydzieści, trzydzieści kilka lat – przekrzywiła głowę i przyjrzała się jej uważnie.

– Słyszałam o Jussufie Abu Salehu, który jest uczniem mudżaddida...

Maali uśmiechnęła się dumnie.

– Ale skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteś jego żoną?

– Bo tak mówię. Bo tu jestem. Bo cierpię tak samo jak ty.

– Mam na imię Delilah – wychrypiała kobieta. – Jestem szwagierką mudżaddida Abu Bakra. Trzy dni temu mnie i mojego męża wyciągnięto z autobusu podczas blokady na przedmieściach Jerozolimy. Od tamtej pory go nie widziałam, ale słyszałam jego krzyki, gdy torturowali go za ścianą.

Objęły się i wyściskały. Delilah przytknęła usta do ucha Maali i spytała:

– Powiedziałaś im coś?

– Ani słowa – odparła Maali. – Prędzej umrę, niż zdradzę męża.

Delilah zdołała posłać jej krzywy uśmiech.

– Bez względu na to, co zrobisz, nic mi nie mów. Tego, czego nie będę wiedziała, nie zdradzę Żydom na torturach. – Wyczerpana zapadła w niespokojny sen z głową na kolanach Maali.

O świcie przyszli po nią Izraelczycy.

– *Hatha baladna, il yahud kilabna!* – krzyczała, gdy wyciągali ją z celi. – To nasz kraj, Żydzi są naszymi psami!

Godzinę później drzwi otworzyły się i wróciła, krwawiąc z nozdrza złamanego nosa. Spazmatycznie łkając, padła w ramiona Maali.

– Myślę, że wiem, gdzie Abu Bakr przetrzymuje żydowskiego rabina – powiedziała, gdy mogła już mówić.

– A wiesz? – spytała szeptem Maali.

Delilah spojrzała jej głęboko w oczy i niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Potem zwinęła się w kłębek na pryczy i spastycznie drżąc, usnęła.

Izraelczycy zabierali ją na przesłuchanie co dwie godziny i wrzucali do celi jeszcze bardziej pobitą niż przedtem. Maali domyśliła się, że chcą upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: próbują wyciągnąć z niej informacje, jednocześnie pokazując Maali, że potrafią być okrutni dla kobiet. Gdy drzemała niespokojnie przed południem, na końcu korytarza otworzyły się

drzwi. Maali potrząsnęła nią i obudziła. Usłyszały zbliżające się kroki. Delilah rozejrzała się rozpaczliwie.

– Już nie mogę – jęknęła. – Jest tu coś metalowego? Nie musi być ostre, podetnę sobie żyły. – Nie widząc niczego odpowiedniego, przyciągnęła do siebie Maali tak blisko, że zetknęły się czołami. – Błagam: zawiąż mi na szyi jakąś szmatę i uduś mnie.

Maali odsunęła się z przerażeniem.

– To nie wchodzi w rachubę.

Weszły dwie młode żołnierki w krótkich spódnicach koloru khaki i takich samych swetrach. Jedna niosła plastikową miskę z ciepłą wodą. Druga rzuciła na pryczę kostkę mydła, ręcznik, buty na niskim obcasie i złożoną arabską sukienkę.

– Masz szczęście – powiedziała szyderczo po arabsku. – Palestyńscy adwokaci wnieśli twoją sprawę do izraelskiego sądu i sędzia nakazał cię zwolnić. Doprowadź się do porządku i możesz iść.

– A mój mąż?

– Jest w szpitalu, ma wstrząśnienie mózgu. Walił głową w ścianę, że niby go torturowaliśmy.

– Kłamiesz!

Żołnierka wzruszyła ramionami.

– Adwokaci cię do niego zabiorą, czekają na ulicy. Zawołaj, kiedy będziesz gotowa.

Maali pomogła jej zmyć zaschłą krew i włożyć obolałe ręce do rękawów czystej sukienki. Potem stanęły przed drzwiami celi i objęły się na pożegnanie.

– Znamy się dopiero od kilku godzin, a już jesteś dla mnie jak siostra – powiedziała Delilah.

– Nigdy cię nie zapomnę – zapewniła ją wzruszona Maali.

– Chcesz przekazać coś mężowi?

Maali wykorzystała okazję.

– Zostaw wiadomość dla kwiaciarza Tajzira – szepnęła jej do ucha. – U kulawego szewca naprzeciwko meczetu El Khanqa w Dzielnicy Chrześcijańskiej. Napisz, że mnie aresztowali, ale się trzymam. I że znaleźli pierścień i wiedzą, że należał do martwego Żyda.

– Znaleźli pierścień i wiedzą, że należał do martwego Żyda – powtórzyła Delilah.

– I że nie powiedziałam im, skąd go mam. Jussuf zrozumie.

Delilah odwróciła się, zanim Maali zdążyła ponownie ją objąć, zawołała do żołnierek, żeby otworzyły drzwi, i poszła przed siebie, jakby wcale nie bolały jej ręce i nogi. Chwilę później zniknęła na końcu korytarza.

Okolo szóstej wieczorem Maali usłyszała piskliwe skrzywienie wózka z jedzeniem, które rozwoziła palestyńska salowa. Skrzywienie ucichło i w podłużnym otworze w drzwiach celi pojawiła się plastikowa taca. Maali zaniósła ją na pryczę. Na tacy była plastikowa miseczka z zimnym ryżem i kawałkami kurczaka, kromka białego chleba i miseczka galaretki. Maali wiedziała, że musi jeść, aby nie opaść z sił. Nabrała trochę ryżu plastikową łyżką i wzięła chleb. Pod kromką leżała zwinięta bibułka papierosowa. Maali zerknęła na drzwi, odwróciła się, rozwinęła ją i rozprostowała na tacy. Na bibułce widniał rząd malutkich arabskich liter. „Uważaj. Żydzi podsuwają więźniom pobitą Arabkę, żeby rozwiązała im język”.

Maali przeszedł zimny dreszcz, ścięło jej krew w żyłach. Opadła na kolana.

– Co ja zrobiłam! – jęknęła.

Pochyliła się i zaczęła bić głową w cementową podłogę, powoli i rytmicznie, z każdym uderzeniem mocniej niż poprzednio.

W pokoju nad restauracją specjalizującą się w potrawach z owoców morza emerytowany generał Uri Almog rozlewał whisky Lagavulin do sześciu szklanek stojących na owalnym stole, starając się, żeby w każdej było tyle samo. Rozdał je pięciu członkom międzyagencyjnej grupy roboczej i z szóstą w ręku opadł przygnębiony na tapicerowaną kozetkę przy ścianie. Siedzący przy stole Baruch zaczął czytać na głos policyjny raport dotyczący śmierci Palestynki imieniem Maali. Strażnicy znaleźli ją nieprzytomną na podłodze w celi. Wezwano więziennego lekarza. Lekarz odnotował rozległe obrażenia czoła i rozszerzone źrenice, co wskazywało na stłuczenie mózgowia spowodowane jego gwałtownym przemieszczaniem się w czaszce. Zaobserwował również drgawki kończyn, co sugerowało obrzęk mózgu i nadciśnienie śródczaszkowe. Główny śledczy pozwolił mu przewieźć pacjentkę do pobliskiego szpitala, polecając mu jednocześnie, aby zarejestrowano ją jako ofiarę wypadku na skuterze, która od chwili zdarzenia nie odzyskała przytomności. Podczas operacji przewiercono jej czaszkę celem obniżenia ciśnienia wewnątrzczaszkowego, które jednak znowu gwałtownie wzrosło. Rezonans magnetyczny wykazał nieodwracalne uszkodzenia mózgu. Krótco po północy Maali zmarła na oddziale intensywnej terapii.

Elihu stał przy oknie i ze szklanką w ręku patrzył na fale omywające wybrzeże Jafy. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. A potem rozpętała się burza.

– Ktoś zawalił – skonstatował gniewnie Baruch, rzucając raport na stół. – Po tym, jak naszej agentce udało się ją podpuścić, nie powinni byli zostawiać jej samej.

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że coś zwęszy? – burknął Altmann.

– Na tym polega nasza praca – odwarknął Baruch.

– Właściwie dlaczego podniecamy się samobójstwem jakiejś Palestynki?
– rzucił z kozetki generał. – Ta kobieta nosiła pierścień żydowskiego chłopaka, któremu jej mąż obciął palec.

– Uri ma rację – powiedział Dror. – Spójrzmy na to z właściwej perspektywy. Jakoś nie widzę, żeby Palestyńczycy bili się w pierś z powodu śmierci czterech Żydów zabitych podczas napadu na rabina i jego sekretarza.

– Tak samo jak nie biją się w pierś z powodu ich uprowadzenia – zgodził się z nim Altmann.

– Maali to już nie problem – wtrącił Wozzeck. – Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Problemem jest kulawy szewc naprzeciwko meczetu El Khanq. Problemem jest Jussuf Abu Saleh.

Katsa odwrócił się od okna.

– Zaczniemy od szewca – powiedział. – Jest oczywiste, że to tylko *miszlasim*, skrzynka kontaktowa. Nie ma pojęcia, kto zostawia u niego listy ani kto je odbiera, dlatego nie ma sensu go przesłuchiwać. Komórki Mosadu działające w Europie wykorzystują tę technikę od lat: zostawiasz przesyłkę w skrzynce, jej właściciel wciąga na maszt flagę, adresat widzi ją i przychodzi po odbiór.

Altmann dolał sobie whisky na dwa palce.

– Jeśli zostawimy tam list do Tajzira, szewc wciągnie flagę i wywabi z lasu Jussufa. Możemy go śledzić, chociaż w wąskich uliczkach Starego Miasta to trudne. Nawet gdybyśmy go nie zgubili, mógłby nas zaprowadzić tylko do swojej sypialni.

– Trzeba go zatrzymać i zmusić do mówienia – myślał na głos Dror. – Pytanie tylko, czy zrobimy to własnymi rękami, czy chcemy, żeby wpadł w czule objęcia Saadata Arifa.

– Jussuf to nasz problem – oznajmił stanowczo Baruch. – I to my go rozwiążemy. Nie będziemy zwałać niczego na Palestyńczyków z Autonomii.

– Ktokolwiek się tym zajmie, musi działać szybko – ostrzegł Altmann. – Zegar tyka. Termin dla sekretarza mija pojutrze. Jeśli w tym czasie *katsa* nic nie wymyśli, Jussuf będzie naszą ostatnią nadzieją, zakładając oczywiście, że coś wie i rozwiążemy mu język.

– W jego przypadku – zauważył Dror – nie będzie czasu na powolne wyciąganie informacji, tak jak robiliśmy to z Maali. Ten, kto go zgarnie, będzie musiał ostro go przydusić.

Altmann pokręcił głową.

– I od razu poczuje na karku oddech tych z Amnesty International. A litościwi prawnicy zasypią go oskarżeniami, powołując się na *Habeas Corpus*.

– Litościwi prawnicy? – mruknął generał. – Saadat Arif nie powie im nawet, która jest godzina. Poza tym oni nie słyszeli o Jerychu.

– Wykorzystanie ludzi Arifa byłoby korzystne z jeszcze jednego względu – zauważył Dror. – Łatwiej by im było przeprowadzić to tak, jakby Jussuf padł ofiarą rywalizujących ze sobą arabskich frakcji, co jest ważne, jeśli nie chcemy wystraszyć chłopców Abu Bakra.

– Słusznie – poparł go Altmann. – Jeśli Abu Bakr uwierzy, że Jussufa dopadli zdradzeni przez niego dżihadyści z Hamasu, nie zapadnie się pod ziemię, pociągając za sobą rabina i sekretarza albo od razu ich zabijając.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Baruch. – Nie lubię mieć długów u Arifa. Nie znoszę, kiedy ktoś odwała za nas brudną robotę. Jussuf zabijał Żydów. Dlatego to Żydzi powinni się nim zająć.

– Głosujmy – zaproponował od okna Elihu. – Kto jest za tym, żeby zlecić to Arifowi?

Dror i Altmann podnieśli palec.

– Kto jest za tym, żeby załatwić to samemu?

Baruch podniósł rękę. Wozzeck zawahał się, lecz po chwili podniósł szklanę.

Wszyscy popatrzyli na generała.

– Z jednej strony po części jestem z Baruchem: w Bejrucie paskudnie się sparzyliśmy, zlecając brudną robotę Arabom. Z drugiej strony... – Almog wzruszył ramionami. – Sam nie wiem.

Baruch spojrzał na katę.

– Twój głos decyduje.

– Na to wygląda, prawda?

Chudy beduiński chłopiec, posługacz z kawiarni przy Christian Quarter Road, który krążył między gośćmi z tacą pełną migdałowych ciasteczek i malutkich filiżanek tureckiej kawy, przyszedł do Abdullaha, kulawego właściciela zakładu szewskiego naprzeciwko meczetu El Khanqa, kilka minut po drugiej modlitwie dnia. Abdullah był starym chrześcijańskim Arabem znającym życie suku. Popatrzył wokoło, by upewnić się, że nikt ich nie obserwuje, włożył okulary i uważnie obejrzał zaklejoną kopertę. Słabo czytał po arabsku, lecz udało mu się rozpoznać słowa „Tajzir” i „kwiaciarz” napisane atramentem na chropowatym papierze.

– Kto ci to dał? – spytał chłopca.

– Jakaś pani.

– Jaka pani?

– Była w czadorze. Widziałem tylko, że ma długie, czarne włosy. Mówiła w naszym języku. Dała mi szekla i powiedziała, że kiedy zaniosę list, dostanę tu drugiego.

Abdullah roześmiał się gardłowo.

– Łziesz jak pies. Dała ci pół szekla i powiedziała, że tu też dostaniesz pół.

Nadąsany chłopiec wzruszył kościstymi ramionami.

Abdullah sięgnął do kieszeni fartucha, wyjął monetę i rzucił ją posługaczowi. Ten schował ją i wybiegł na ulicę, mijając czterech palestyńskich robotników, którzy zrywali chodnik, żeby położyć kable telefoniczne.

Abdullah poszedł na zaplecze i pociągnął za sznurek windy, którą żona przysyłała mu z góry sok owocowy, lekarstwa i południowy posiłek. Piętro wyżej zadzwonił przywiązany do sznurka dzwoneczek.

– To ty dzwonisz? – zawołała do szybu żona.

– Wywieś moją zieloną koszulę! – krzyknął Abdullah.

Żona wyszła na dach i przypięła jaskrawozieloną koszulę do sznura rozciągniętego między anteną telewizyjną a starym kominem, nieczynnym od tureckiej okupacji. Jeśli w ogóle zastanawiała się, po co wiesza na słońcu coś suchego, nigdy nie pytała o to męża. Bez szemrania słuchała jego poleceń od czterdziestu lat i nie zamierzała mu się nagle sprzeciwić.

Minęła godzina, potem druga. Klienci przychodzili i wychodzili. Zakład minęło kilku ormiańskich księży, rozmawiając w języku, który Abdullah uznał za bardzo dziwny. Potem ulicą przeszła grupa włoskich turystów z niskim chrześcijańskim Arabem w fezie, który paradował na ich czele z dużym czerwonym parasolem w ręku. Zmierzali w kierunku Bazyliki Grobu Świętego i gdy kilka kobiet przystanęło przed sklepem z biżuterią naprzeciwko zakładu, przewodnik szybko po nie zawrócił. Zaganiając je jak pies pasterski, odpędził je od okna wystawowego, jeszcze wyżej podniósł swój czerwony atrybut władzy i grupa poszła dalej. To ciekawe, ale układający kabel Palestyńczycy nie zrobili przerwy na południowy posiłek – Abdullah zarejestrował to mniej więcej w chwili, gdy ulicą nadszedł niespiesznie Tajzir, znany mu jedynie z imienia młody Palestyńczyk, który chciał najpewniej odebrać list.

Odepchnąwszy się od warsztatu, stary szewc sięgnął po drewnianą kulę i pokuśtykał do drzwi.

– Nie! Nie! – krzyknął, celując kulą w palestyńskich robotników, z których dwóch wyskoczyło z rowu i gwałtownie pchnęło Tajzira na ścianę. W okamgnieniu założyli mu kajdanki i zakleili taśmą usta. Dwóch pozostałych wyciągnęło spod kombinezonów pistolety, zabezpieczając końce wąskiej ulicy. Grupa zaskoczonych Japończyków rozdziawiła usta, gdy jeden z napastników wyjął mały radionadajnik i warknął coś do mikrofonu. Kilka sekund później zza rogu wyjechała arabska taksówka, która z piskiem opon zahamowała tuż przed zakładem. Otworzyły się drzwi i Jussuf wylądował na tylnym siedzeniu pod beduińskim dywanem. Palestyńczycy z pistoletami zaczęli wycofywać się w stronę samochodu.

Jeden z nich wyjął z kieszeni kawałek kredy, napisał coś na ścianie i wskoczył do taksówki, która wąskimi ulicami Starego Miasta popędziła w kierunku Bramy Heroda i arabskiej części Jerozolimy.

W kryjówce nad labiryntem ulic Dzielnicy Chrześcijańskiej Doktor dreptał nerwowo za Efraimem, który ciesząc się, że wreszcie zdjęto mu kaptur, próbował maksymalnie przeciągnąć przesłuchanie.

– Nie znam się na szyfrach – mówił – więc jak mógłbym szyfrować i rozszyfrowywać wiadomości rabina?

– Nie wierzcie mu – zażartował spod kaptura Apfulbaum. – On nawet po angielsku pisze szyfrem, bo rozumieją go tylko ci, którzy robią tyle samo błędów co on.

– Jakże miałeś obowiązki jako sekretarz? – spytał Doktor.

– Pisałem listy na komputerze, który, dzięki Bogu, miał funkcję korekty. Odbierałem telefony, a w szabas włączałem automatyczną sekretarkę. Przypominałem rabemu o spotkaniach. Przelewałem na jego konto honoraria za wystąpienia i artykuły i ostrzegałem go, kiedy groził mu debet, a groził ciągle. Zabezpieczałem logistycznie jego podróże, wydzwaniałem do organizatorów, żeby uprzedzić ich, czego nie będzie jadł, to znaczy niczego smażonego, a potem wszystkiego próbowałem, żeby sprawdzić, czy nie jest za słone.

– Próbował – wtrącił rabin – ale po to, żeby nie otruł mnie jakiś obłąkany izraelski pacyfista.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś, rabe.

– Nie chciałem, żebyś przestał.

– Jeśli pisałeś listy – zauważył Doktor – to na pewno wiesz do kogo.

– Nasz rabe pisał do każdego, do wszystkich redaktorów *Listów do wydawcy* w Ameryce, praktycznie co tydzień do premiera, do Białego Domu, na Downing Street pod dziesiątkę, do Pałacu Elizejskiego, Bundestagu, na Kreml...

– Tak, tak, już rozumiem – spróbował mu przerwać Doktor.

Ale Efraim był niepowstrzymany.

– Pisał do szefów rządów Arabii Saudyjskiej, Syrii, Iraku, Iranu, Egiptu, Jordanii, Monako...

– Monako? – powtórzył zaintrygowany Doktor. – Po co?

Rabin zaśmiał się pod kapturem.

– Wysłałem księciu z bajki listę palestyńskich ugrupowań terrorystycznych, które prały pieniądze w jego bankach, i poradziłem mu, żeby zrobił z tym porządek, bo inaczej amerykańscy Żydzi zaczną bojkotować jego lilipucie księstwko. Tak, chyba tak właśnie napisałem.

– Czy napisałeś kiedykolwiek list do kogoś imieniem Jair? – spytał Doktor Efraima.

Sekretarz zastanawiał się przez chwilę.

– Był jakiś Jair w Ministerstwie...

– Mam na myśli przywódcę organizacji terrorystycznej skupiającej żydowskich osiedleńców – przerwał mu niecierpliwie Doktor.

– Panie, ja o nim nic nie wiem, a jeszcze mniej wiem o żydowskich terrorystach. Nie jestem nawet pewny, czy po tym wszystkim zostanę w Izraelu. Bo jedną rzeczą jest dać się uprowadzić komuś, kto na pewno cię uwolni, a inną komuś, kto nie uznaje szczęśliwych zakończeń.

– Palestyńscy więźniowie w izraelskich obozach też mają prawo do szczęśliwego zakończenia – warknął Doktor.

– Gdyby to ode mnie zależało, wszystkich bym uwolnił – oznajmił Efraim z nadzieją, że mu się przypochebi. – Przysięgam Bogu, że tak bym zrobił.

– Więc mamy pecha, że nie możesz.

– Poza tym – wtrącił rabin – to Bóg i tylko Bóg rozdziela szczęśliwe zakończenia.

– Jestem tego samego zdania, rabe – zapewnił go Efraim.

Doktor spojrział na głowę Apfulbauma podskakującą pod kapturem.

– Ja też – rzucił cicho.

Przedłużająca się nieobecność Jussufa, który nie wrócił z listem, zaalarmowała Petrę. Od jakiegoś czasu ani na krok nie odchodziła od radia, wsłuchując się w izraelskie komunikaty, meldunki z oddziałów rozlokowanych na Starym Mieście. I nagle jeden z komandosów zameldował o uprowadzeniu w okolicy Bazyliki Grobu Świętego. Wysłano już patrol, żeby to sprawdził. Petra podeszła do drzwi i niecierpliwym gestem ręki poprosiła Doktora.

– Jussuf nie wrócił od szewca. A Izraelczycy mówią o jakimś porwaniu.

W radiu słyhać było tylko trzaski zakłóceń, lecz po chwili z głośnika popłynął tajemniczy meldunek ze szczegółami uprowadzenia. Czterech palestyńskich robotników rzuciło się na młodego Palestyńczyka, wepchnęło go do arabskiej taksówki i odjechało. Jeden z nich napisał na ścianie słowa: „Hamas ma dobrą pamięć i długie ręce”.

Aown i Aziz wpadli w panikę. Chcieli natychmiast zabić więźniów i uciec, ale Doktor powiedział „nie”. Jeśli Jussufa rzeczywiście uprowadzili bojówkarze z Hamasu, wyglądało to na wyrównanie starych porachunków: było wiadomo, że przechodząc do brygady Abu Bakra i zabierając ze sobą pokaźny zapas broni oraz ładunków wybuchowych, Jussuf rozwścieczył swoich przełożonych. Mógł go zdradzić Abdullah, bo jeśli sprzedawał listy, mógł sprzedawać i ludzi. Mogli wypatrzeć go w zakładzie członkowie Hamasu – wypatrzyli i postanowili go porwać, gdy ponownie się tam zjawi. To niemożliwe, by wiedzieli, że ma coś wspólnego z uprowadzeniem rabina i jego sekretarza. A on sam na pewno się z tym nie zdradził, to nie leżało w jego naturze.

Wyteżając słuch, by zrozumieć płynące z radia meldunki, Petra zgodziła się z jego analizą.

– Nie mówią o nas ani słowa, nie podejrzewają, że ukrywamy się na Starym Mieście, nic na to nie wskazuje. Bylibyśmy głupi, gdybyśmy stracili zimną krew.

– Jeśli porwali go ci z Hamasu – zaprotestował Aziz – muszą wiedzieć o szewcu.

– Szewc to ślepy zaułek – zauważył Doktor. – Wie tylko tyle, że jakiś ukrywający się na Starówce Tajzir wykupił u niego skrzynkę kontaktową i płaci mu dwadzieścia szekli od listu.

Mimo to na wszelki wypadek rozdał im karabiny i granaty. Potem, zostawiwszy Petrę i braci el-Tel, wszedł do pokoju zakładników i zamknął drugie wzmocnione stałą drzwi.

– Czy izraelskie wojsko nas uwolni? – spytał podekscytowany Efraim.

– Nic na to nie wskazuje – odparł Doktor.

– *El hamdouli-lah* – wymamrotał po arabsku rabin. – Dzięki Bogu. – W głębi ducha zarówno miał nadzieję, że do tego dojdzie, jak i się tego bał. Bo gdyby nawet Izraelczykom udało się przebić do kryjówki, Doktor zastrzeliliby zakładników, zanim żołnierze zdążyliby sforsować drzwi.

– W godzinie próby wzywasz Boga po arabsku – odnotował Doktor. – Jeszcze jest dla ciebie nadzieja.

Aown rozwiązał rabinowi nogi, zaprowadził go do pozbawionej klapy muszli klozetowej i gdy Apfulbaum oddał mocz, posadził go znowu na krześle i skrępował. Potem zaprowadził do toalety sekretarza. Gdy ten zrobił swoje i wrócił na miejsce, zdjął im kaptury, dał kubek herbaty i kilka ciasteczek, po czym usiadł na polówce, patrząc, jak jedzą.

– Czytałem gdzieś – szepnął Efraim do rabina – że jeśli porywacz dobrze pozna zakładnika, nie może się przełamać, żeby zrobić mu krzywdę. – Spojrzał na Aowna i spytał: – Jak ci na imię?

Palestyńczyk nie odpowiedział.

– Ja jestem Efraim. Efraim Blumenfeld. W sumie to się cieszę, że cię poznałem. I nie mówię tego ot tak sobie. Naprawdę się cieszę. Nigdy dotąd nie rozmawiałem z żywym Palestyńczykiem. Nie zrozum mnie źle, z martwym też nie rozmawiałem. – Ruchem głowy wskazał rabina. – A to jest rabin Apfulbaum. Ale „rabin” to nie imię. Ma na imię Izaak, tak go ochrzczono. A ciebie? Ile masz lat? Ja kończę za miesiąc dwadzieścia siedem. – Ponieważ Palestyńczyk uparcie milczał, Efraim rozpaczliwie poszukał czegoś, co mogłoby przełamać lody. – Tak naprawdę to nie jestem Izraelczykiem – dodał szybko. – Jestem Amerykaninem. Pewnie uważasz, że to żadna różnica. Zastanawiałem się, czy by nie wyemigrować do Izraela, ale jeszcze nie podjąłem decyzji. Na Long Island mam matkę, ojca i nastoletnią siostrę. Woleliby, żebym został. Mówią, że to zbyt niebezpieczne. Pewnie słyszałeś o Long Island. To największa wyspa w kontynentalnych Stanach Zjednoczonych. Nazwali ją tak, bo wygląda jak długi palec zanurzony w Atlantyku. Wiesz, co to Atlantyk?

– Dość tego, Efraim – powiedział rabin. – Nie wygląda na to, żeby ten człowiek wybierał się tam w najbliższym czasie. A jeśli już, to pewnie po to, żeby podkładać bomby w żydowskich supermarketach.

- Myślałem tylko, że...
- To lepiej przestań myśleć i daj odpocząć mózgowi.
- Rabe, nie można przestać myśleć.
- Można, podczas modlitwy.
- Ale o co mam się modlić?
- O to, żeby Bóg pozwolił ci doczekać dwudziestych siódmych urodzin.
- Rabe, przerażasz mnie, kiedy tak mówisz.
- A ty przerażasz mnie, mówiąc, że mnie ochrzczono.

– Tak więc zatoczyliśmy pełny krąg i wróciliśmy do Jaira.

– Za Jaira! – Rabin przekrzywił głowę i w szyderczym toaście podniósł skute rękę. – Za długie życie! – Zachichotał nerwowo; od długiego przesłuchania rozboleło go gardło. – Dużo zdrowia! Dużo pieniędzy! Piętnastu minut sławy! Czego tam sobie chcesz.

Doktor maglował go od trzech i pół godziny. Precyzyjne pytania i obłąkane odpowiedzi odbijały się od siebie jak piłeczki na korcie tenisowym. Bracia el-Tel weszli do pokoju, żeby ich posłuchać, lecz szybko się znudzili i wyszli, Aziz po to, żeby rozebrać i naoliwić karabin, Aown, żeby przeczytać wieczorny fragment Koranu, a potem, gdy już się z tym uporali, zasiedli do partyjki tryktraka.

Grzechot kości do gry i ich przytłumione wesołe okrzyki słychać było przez uchylone drzwi. Doktor, jak zwykle z zaczerwienionymi ze zmęczenia oczami, palił nerwowo palestyńskiego farida, nie zważając ani na to, że popiół spada mu na klapy marynarki, ani na to, że skrajem galabii zamiata walające się na podłodze niedopałki.

– Przywódca żydowskiego podziemia – mówił, przypalając kolejnego papierosa – znany jest jako Jair, od Eleazara ben Jaira, bohatera Masady, który stawiał czoło Dziesiątemu Legionowi, a potem namówił obrońców twierdzy, żeby popełnili zbiorowe samobójstwo, aby nie wpaść w ręce Rzymian. W czasach bardziej nam współczesnych nazwał się tak Abraham Stern, polski Żyd, przywódca tak zwanej Bandy Sterna, terrorysta, który walczył z Brytyjczykami, dopóki ci nie zaskoczyli go i nie zabili w mieszkaniu w Tel Awiwie.

Rabin siedział nieruchomo, lecz jego stopy wystukiwały na podłodze własny rytm.

– Zrozumienie naszej natury i historii da ci do ręki lepszy oręż do świętej wojny z Izraelem.

– Zatem opowiedz mi o waszej naturze, *ja'ani*.

Apfulbaum aż się skrzywił. Wyczuł, że to mina i że bez względu na odpowiedź może wylecieć w powietrze. Zadrżał mu mięsień w chudej szyi, gdy pochylił się do przodu, żeby jak lis przechytrzyć lisa.

– Dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu każdy żyd toczy wewnętrzną walkę. Tora mówi mu, że jest wojownikiem i lwem. Holokaust, że jest ofiarą i jagnięciem. Dzisiejszy żyd w głowie nosi Torę, a w brzuchu Holokaust. Ma zwężone arterie i napięte mięśnie, słyszy głośne szmery w sercu. Te dwie tradycje, te dwie połowy rozdartej osobowości, ciągle w nim ze sobą walczą.

– Wasze kłopotliwe położenie – powiedział Doktor – nie różni się zbyt od położenia religijnych muzułmanów. My też mamy dwie tradycje, które ciągle ze sobą walczą, jak to ująłeś. Kiedy muzułmanin przestaje mieszkać w państwie islamskim albo kiedy przestaje podlegać islamskiej władzy, musi zdecydować, którą z nich wybrać: walkę zbrojną, czyli dżihad, czy też hidżrę, emigrację do kraju, w którym obowiązuje prawo islamskie. Za życia Prorok Mahomet i walczył, i emigrował. Natomiast ja wybrałem *Al jihad fi sabil Allah*, walkę zbrojną na ścieżce Boga, wojnę o wzrost muzułmańskiej potęgi i krzewienie słów Proroka. Wolę się bić, niż emigrować.

Wbrew sobie Apfulbaum zaczął odczuwać szacunek dla swojego prześladowcy.

– Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. W moim przypadku, w przypadku żydowskiego bohatera, którzy przybrał imię Jaira, wojujący żyd zatriumfował nad żydem ofiarą...

– I ma tym samym boskie przyzwolenie na okradanie Palestyńczyków z ziemi i zabijanie tych, którzy nie chcą mu jej oddać, tak? – zadrwił Doktor.

Apfulbaum pogroził mu drżącym palcem.

– Nie okradamy was z ziemi, tylko kultywujemy naszą obecność na Ziemi Obiecanej.

– Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, żebyście kultywowali ją, powiedzmy, w Ugandzie – odparował Doktor.

Rabin prychnął z satysfakcją. Zważywszy wszystko razem, lubił te słowne potyczki choćby dlatego, że na kilka godzin zdejmowano mu ten śmierdzący kaptur. Postanowił, że jeśli uda mu się wyjść z tego cało, spróbuje je odtworzyć w długim artykule. Miał już nawet tytuł: *Dzieci Abrahama: dialog głuchych, czyli rozmowa dwóch ślepych myszy*.

– Przez wiele stuleci – zaintonował śpiewnie, naśladując starego rabina instruującego mole książkowe z brooklyńskiej jesziwy, w tym małego Apfulbauma – żyliśmy rozproszeni jak niesione wiatrem nasiona, zapuszczając korzenie tam, gdzie mogliśmy, i ruszając dalej, ilekroć miejscowego cara naszła chętka na czystkę etniczną. Żyliśmy zgodnie z Torą i jak na tym wyszliśmy? Pogromy, getta, wypędzenia, inkwizycje, obozy śmierci: oto jak. Wypływający z tej historii morał jest prosty jak twój nos, gdybym miał okulary i go widział: żyć zgodnie z Torą to za mało. Musimy wypełnić dane nam przez Boga przykazanie i zasiedlić przypisaną nam w Torze ziemię. Większości z sześciuset trzynastu zawartych w niej przykazań nie da się wypełnić w Ugandzie: można to zrobić tylko tutaj. Na całej ziemi, nie na połowie. Dla kogoś przestrzegającego Tory życie w Izraelu jest największym przeżyciem duchowym, duchową orgią. Tu jesteśmy w bezpośrednim kontakcie z Bogiem. Nie to, co weekendowi wojownicy z jakiejś tam diaspory, którzy zanurzają się w żydostwie tylko po to, aby zaraz się z niego wynurzyć, i chodzą do synagogi, w której nieżonaci czy rozwiedzeni mężczyźni krążą wokół niezamężnych lub rozwiedzionych kobiet, szukając niepalących bratnich dusz. Nie jesteśmy nowojorskimi żydami, dla których żydostwo polega na rytualnym jedzeniu bajgli i wędzonego łososa co niedziela rano...

Niespokojnie drzemiący w kapturze Efraim zadrżał tak gwałtownie, że omal nie przewrócił krzesła.

– Nie umiem pływać! – krzyknął piskliwym głosem przerażonego dziecka, któremu śni się koszmar. Rozpaczliwie chwytając powietrze, jak łabędź wyciągnął szyję. – Na miłość boską, rzućcie mi koło, bo się utopię!

– Jesteś dorosły – zganił go rabin zirytowany tym, że mu przerwano. – Top się, pływaj, rób, co chcesz, byle dyskretnie. – Podrapał się w nos rozciętym rękawem i przeniósł wzrok na Doktora. – Przepraszam. Na czym to skończyłem? Aha, już pamiętam. Jeśli zaś chodzi o zabijanie stawiających opór Palestyńczyków, Mosze ben Majmon^[38], dwunastowieczny *mensch*^[39], jeśli kiedykolwiek się taki urodził, nauczał, że można kogoś zabić – a nawet trzeba! – jeśli zabójstwo uchroni Żydów przed krzywdą. Zasada ta jest znana jako *din rodef*, prawo ścigającego: przyzwoity Żyd ma prawo zabić rodefa, na przykład zamachowca z plecakiem pełnym plastiku, zanim ten wysadzi się w powietrze i zabije innego Żyda. Cytując niezrównanego Majmonidesa, wolno przelać jego krew. Jesteś zbyt inteligentny, by nie widzieć, do czego zmierzam: ktoś taki jak Jair ma prawo atakować Palestyńczyków, aby zapobiec ich atakom na Żydów.

Doktor rozwiął dym machnięciem ręki.

– Twierdzisz, że *din rodef* usprawiedliwia ataki wyprzedzające na Palestyńczyków z plecakami czy na Palestyńczyków w ogóle?

– Według twojego wspaniałego Koranu muzułmanie mają prawo brać siłą to, co uważają za swoje. Według naszej Tory mamy prawo bronić siłą tego, co nasze. – Apfulbaum stłumił śmiech. – Jeśli przyjdzie co do czego, a już dawno przyszło, jak myślisz, która księga zwycięży, twój Koran czy moja Tora?

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Rabin tak bardzo palił się do odpowiedzi, że nie wytarł nawet śliny kapiącej z kącika ust.

– Zważywszy na przykazania Koranu i sposób, w jaki manipulują nimi muzułmańscy ekstremiści, *meszugene* tacy jak ty, wszystkich Palestyńczyków należy traktować jak potencjalnych szaleńców z plecakami. – Przekrzywił głowę. – Pierwsza Księga Mojżeszowa, rozdział

drugi, werset piętnasty, przeczytaj sobie: „I wziął Pan Bóg człowieka i osadził go w ogrodzie Eden, aby go uprawiał i strzegł”. Moim ogrodem jest Izrael i strzegąc go, stosuję się po prostu do boskiego nakazu.

Niewzruszony Doktor zaciągnął się dymem.

– *Jedna Tora, jedna ziemia.* Cytujesz słowo w słowo fragment swojej książki.

Zadowolony rabin rozdziawił usta.

– Czytałeś moją książkę!

– Raczej poprosiłem kogoś, żeby mi ją przeczytał.

– Aj, Efraim mówił mi, że masz kłopoty z oczami.

Doktor roześmiał się chrapliwie.

– Można tak powiedzieć. U zdrowego człowieka łzy są odprowadzane kanalikami do woreczka łzowego, przechodzącego w przewód nosowo-łzowy, lecz u mnie przewód ten zatkał się podczas porodu, dlatego miałem nieustannie załzawione oczy. Urodziłem się, płacząc, i tak już zostało. Ucierpiał na tym mój wzrok. Zanim rodzice zauważyli, że się pogarsza, i zaprowadzili mnie do lekarza, który odetkał przewód nosowo-łzowy, było już za późno: miałem przypadłość zwaną widzeniem tunelowym i stan ten pogarszał się wraz z wiekiem. Budziłem się rano i stwierdzałem, że widzę mniej niż poprzedniego dnia, ale, co ciekawe, że więcej rozumiem. Ci, którzy znali mnie, gdy byłem dzieckiem, nie zdawali sobie sprawy, że ślepnę. Nauczyłem się kilku sztuczek: wiedziałem, gdzie co leży i wykorzystywałem palce jak czułki. Potrafiłem nalać soku do szklanek i rozdać je gościom. Ojciec miał konia, na którym jeździłem. W wieku dwunastu lat bardzo chciałem zapisać się do szkoły jeździeckiej prowadzonej przez syryjskiego kawalerzystę. Wiedziałem, że jeśli odkryje, że prawie nic nie widzę, na pewno mnie nie przyjmie. Dlatego niczym żeglarz opracowałem system nawigacji na suchym lądzie. Syryjczyk nie domyślił się, że jestem praktycznie niewidomy. – Doktor roześmiał się pod nosem. – Wciąż ten system wykorzystuję, wciąż nawiguję.

– Co jest twoim punktem orientacyjnym?

– Stwórca. Ten, który Wszystko Kształtuje, Miłosierny, Litościwy, Niezrównany i Wszechmocny. Jedyne prawdziwy Bóg. Ma jeszcze jedno imię, to najwspanialsze i ukryte przed wszystkimi oprócz najświętszych ze świętych mężów^[40]. Marzę, aby pewnego dnia je wymówić.

– Ja też wierzę w jednego Boga – powiedział rabin z tłumioną żarliwością. – *Szema yisro'eyl, adojnoj elohajnu, adojnoj ekh-o-o-odddd...* – dodał, przeciągając ostatnią sylabę słowa „jeden”. – „Słuchaj, Izraelu! Pan jest Bogiem naszym, Pan jedynie!”. Ja też mam nadzieję, że przed śmiercią wejść do Świętego Świętych w odbudowanej świątyni Salomona i wymówię niewymawialne imię Boga.

– *La ilaha illa 'llah* – szepnął chrapliwie Doktor. – Nie ma boga prócz Allacha. – Poczuję, że rozmowa wciąga go na wspólną ziemię poza granicami angielskiej ziemi niczyjej, więc odsunął się z krzesłem od więźnia i szybko zmienił temat. – Według moich notatek jesteś żonaty.

– Tak – odparł niechętnie rabin. – W Ameryce miała na imię Janet. W Izraelu przyjęła hebrajskie, Devora.

– Ile miałeś lat, kiedy się w niej zakochałeś?

– W ogóle się nie zakochałem. Ożeniłem się dla prokreacji. Dziewczyna była... odpowiednia. – Apfulbaum pochylił się do przodu. – Bóg stworzył kobietę szóstego dnia, lecz w przeciwieństwie do pięciu go poprzedzających, kiedy to podziwiając swoje dzieła, mówił, że to czy tamto jest dobre, o niej tego nie powiedział. – Rabin kiwnął głową, by podkreślić, że to ważne.

– Czy w ogóle byłeś zakochany? – zainteresował się Doktor.

Napierając nogami na płócienną taśmę, którymi przywiązano je do krzesła, Apfulbaum zniżył głos do ochrypłego szeptu. Mógł go usłyszeć Efraim i była to ostatnia rzecz, jakiej chciał.

– Kiedy studiowałem w szkole rabinicznej, tańczyłem raz z dziewczyną w hotelu St. George w Brooklynie. Było lato. Miała na sobie sukienkę bez pleców. Pamiętam, że czubkami palców wyczuwałem kręgi jej nagiego kręgosłupa. No i... podnieciłem się. Dziewczyna roześmiała się i naparła

biodrami na... moje podniecenie. A ty? – spytał zaczepnie. – Byłeś zakochany? Przyznaj się: pragnąłeś pieścić ciało kobiety ze wszystkimi jego doskonałościami i niedoskonałościami? Jesteś tylko ślepy czy obojętny na wszystkie te młode damy z opadającymi na opalone ramiona ramiączkami od stanika i kolczykami w nagich pępkach? Nie chodzi mi o platoniczną przyjaźń, myślę o permanentnej erekcji, przeciwieństwie *coitus interruptus*. Wiem, że masz stalowe nerwy. Czy kiedykolwiek przestałeś nad sobą panować?

Doktor odchrząknął.

– Moja odpowiedź cię zaskoczy. Otóż tak. Nie wstydzę się przyznać, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Już samo wspomnienie zapiera mi dech w piersi. Pragnąłem z niej pić, badać jej najskrytsze zakamarki, ulec jej, zlać się z nią w jedno. Moim największym marzeniem było umrzeć w jej nagich ramionach.

– Co się z nią stało?

– Żyje i ma się dobrze, dziękuję. – Doktor pozwolił sobie na uśmiech. – Moja ukochana ma na imię Jerozolima. Musisz zrozumieć różnicę między świeckimi muzułmanami, którzy rządzą Autonomią Palestyńską, a islamistami takimi jak ja. Tych świeckich interesuje tylko państwo jednonarodowościowe. Urzędnicy Autonomii, małe ludziki z obozów dla uchodźców w Tunisie, siedzą za wielkimi biurkami, piją kawę po turecku i w zamian za przysługi przyjmują koperty wypchane pieniędzmi. Natomiast ja mam bzika na punkcie ziemi. Powiem szczerze, *ja'ani*: spaceruję po jerozolimskich wzgórzach w sandałach i obmywam nogi z kurzu dopiero przed wejściem do meczetu.

Rabin spuścił oczy na znak, że docenia jego pobożność.

– Wiem, wiem. Ze mną jest tak samo. – Wytarł usta kciukiem i wyrecytował słowa, których nauczył się za młodu i nigdy nie zapomniał: – „Kiedy tynkujesz dom, kawałek ściany zostaw nagi, żebyś nigdy nie zapomniał o Jeruzalem. Przygotuj posiłek, lecz jakiś drobiazg zostaw nieprzygotowany, żebyś zawsze pamiętał o Jeruzalem. Powiedziane jest

bowiem: «Jeśli zapomnę cię, Jeruzalem, niech uschnie prawica moja»^[41]^[42].

– Nigdy nie przypuszczałem – powiedział wzruszony Doktor – że spotkam kogoś, tym bardziej Żyda, kto ukochał to miasto tak jak ja.

– Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Jerozolimy – ciągnął niemal pijany ze szczęścia rabin – oj, musiałem mieć wtedy szesnaście lat, jak każdy Żyd pielgrzymujący do Ziemi Świętej, trafiłem w końcu pod Ścianę Płaczu. I nagle dotarło do mnie, że się nie modłę, tylko naprawdę rozmawiam z Bogiem! Biłem głową w to, co ocalało z Drugiej Świątyni, aż posiniaczyłem czoło. A kiedy przytknąłem ucho do muru, przysięgam, że usłyszałem szcęk mieczy i tarcz, głosy Kananejczyków, Hyksosów, Egipcjan i Filistynów, Hebrajczyków, Babilończyków, Persów, Syryjczyków, Greków i Rzymian, głosy muzułmańskich wojowników z Arabii i chrześcijańskich krzyżowców z Anjou, głosy Turków i Brytyjczyków. Wbijałem palce w szczeliny jak alpinista, jakbym chciał wspiąć się na ścianę, musiano mnie od niej odrywać, odciągać. Byłem w transie, w innym świecie. Byłem w domu.

– Jesteś żydowską skamieliną – stwierdził Doktor nie bez współczucia. – Twoim duchowym domem jest Izrael królów, sędziów, płonących krzaków i burzących mury baranich rogów.

– A ty jesteś skamieliną muzułmańską – odparował ze śmiechem poruszony rabin. – Byłbyś dużo szczęśliwszy, gdyby kapsuła czasu mogła przenieść cię trzynaście stuleci wstecz, do złotego wieku islamu, gdybyś mógł podsłuchać, jak archanioł Gabriel szepcze wersety Koranu do ucha waszego Wyśłannika.

– Cofnąłbym się jeszcze dalej – przyznał Doktor. – Do zarania czasu, kiedy Ibrahim opuścił miasto Ur, kiedy niewolnica Hagar urodziła mu pierwszego syna, Ismaila, kiedy Ismail pomógł ojcu zbudować Kabe w Mekce, pierwszą świątynię jedyne prawdziwego Boga, i wbić w podłogę gwóźdź, który, jak wierzyli starożytni, jest pępkiem świata. Patrzyłbym, jak Ibrahim przykłada nóż ofiarny do szyi syna leżącego na spoczywającym w świątyni czarnym kamieniu i jak w ostatniej chwili

powstrzymuje go Bóg. Kiedy Ibrahim opuścił Ur, *ja'ani*, religia islamu już istniała. Napisane jest bowiem: „Abraham nie był żydem ani chrześcijaninem, lecz był szczerze wierzącym muzułmaninem”^[43]. Ta czysta wiara, ten islam Ibrahima, to poddanie się Bogu, to jest właśnie prosta ścieżka. Mówi nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć o ludzkich sprawach, mówi, jak rządzić, jak się myć, gdy zabraknie wody, jak modlić się i pościć, jak się ubierać, jak kupować i sprzedawać, jak kochać się z żonami, jak jeść, pić i wydalać. W planie Wysłannika nie ma miejsca na *bida*, na innowacje. Albowiem powiada Prorok: „Najszczerzym sposobem porozumiewania się jest Święta Księga, najlepszym przewodnikiem – Mahomet, a najgorsze ze wszystkiego są rzeczy nowe: każda jest herezją, każda herezja błędem, a każdy błąd prowadzi do piekła”^[44].

– Amen – mruknął rabin. – Zapraszam cię do Beit Avram. Dasz moim studentom wykład na temat innowacji.

Za Doktorem stanęła Petra.

– Jeśli mamy pojechać tam i wrócić przed wschodem słońca, musimy już iść.

– Wszystko przygotowane?

– Tak.

Doktor sztywno wstał i z nietypową dla siebie delikatnością założył rabinowi kaptur. Potem wyjął coś z kieszeni i upuścił to na jego dłoń.

– Przez dwanaście lat, jakie spędziłem w izraelskich więzieniach, pomagało mi to nie popaść w obłąd.

Dłoń rabina zamknęła się na wytartych srebrnych paciorkach. Zaczął przebierać je palcami i pierś wypełniło mu poczucie wdzięczności, a nawet sympatii.

– Wrócisz – powiedział. – Prawda?

– *Inszallah* – odrzekł Doktor. – Jak Bóg da.

Zdezelowane srebrzyste suzuki z izraelskim numerem rejestracyjnym przejechało powoli polną drogą i stanęło przed drzwiami magazynu owocowo-warzywnego na skraju Ramallah, trzynaście kilometrów na północ od Jerozolimy. Kiedy Petra zdjęła chustę, aby wykręcić palącą się nad drzwiami nagą żarówkę, kot patrolujący blaszany dach magazynu przeraźliwie wrzasnął niemal ludzkim głosem. Gdy zapadła ciemność, Doktor wysiadł z samochodu i wślizgnął się do magazynu. Z czubkami palców na ramieniu Petry przeszedł przez labirynt korytarzy między wysokimi do szyi stertami skrzynek. Smugi srebrzystego księżycowego światła, wpadające do środka przez pokryte zaciekami od deszczu świetliki, malowały mroczne cienie na cementowej podłodze. Zewsząd dochodził zapach pomarańczy, jabłek, marchewki i pietruszki. W przejściu pojawiła się otyła kobieta. Z trudem uklękła, grubymi palcami chwyciła skraj szaty Doktora i podniosła go do ust.

– Proszę – wyskamląła – błagam cię w imię Allacha, Miłosiernego, Litościwego. Daruj życie mojemu mężowi ze względu na rodzinę...

Za kobietą stanął młody mężczyzna.

– Zgodnie z islamską tradycją – jęknął zduszonym z przerażenia głosem – chcemy zapłacić diję...^[45]

– Tu chodzi nie o cenę krwi, tylko o sprawiedliwość – warknął Doktor. Obszedł ich i wraz z Petrą podążył dalej.

Pod dużym świetlikiem w głębi magazynu stał przywiązany do wspornika Hadż.

– Popełniono olbrzymi błąd – szepnął, gdy do niego podeszli; mówił tak, jakby chciał im zdradzić jakąś tajemnicę. – Nie ma w tym ani ziarna prawdy...

– Wszystko wiem – przerwał mu Doktor. – Jeśli z twoich ust padnie choćby jedno fałszywe słowo, wykonam wyrok, który ciąży nad wszystkimi palestyńskimi kolaborantami. Twoją jedyną szansą jest powiedzieć prawdę i zaufać, że okażę ci litość, którą Koran nagradza skruszonych. Rozumiesz, co mówię?

Nie odrywając wzroku od siniaka na jego czole, Hadż słabo kiwnął głową.

– Jesteś mudżaddidem, o którym mówią na suku?

Petra wypowiedziała szeptem werset Koranu:

– „Ich znamię jest na ich twarzach, od śladów wybijania pokłonów”^[46].

– Niektórzy uważają, że jestem odnowicielem – odparł Doktor. – Tylko czas pokaże.

– To prawda, współpracowałem z Żydami! – krzyknął Hadż. – Zmusili mnie!

– Kiedy cię zwerbowano?

– Latem dziewięćdziesiątego siódmego.

– Jak?

Popłynął potok słów.

– Mój syn Ahmed siedział w więzieniu pod Tel Awiwem. Zagrozili, że oskarżą go o morderstwo żydowskiego osadnika. Powiedzieli, że tylko ja mogę uchronić go przed wieloletnim wyrokiem. Grozili, że mojemu synowi Sufianowi cofną pozwolenie na przekraczanie zielonej linii i pracę w Izraelu. A on dzięki swoim zarobkom utrzymywał żonę, czworo dzieci, rodziców żony i kalekiego brata jej ojca. Zagrozili, że jeśli się nie zgodzę, rozpuszczą plotki, że już z nimi współpracuję. – Hadż cicho jęknął. – Co miałem robić? Mam trzy córki, którym muszę dać posag. Mam pod dachem jedenaścioro gąb do wyżywienia. Nie miałem wyjścia.

Doktor stanął u jego boku.

– Wyżywimy je za ciebie. Wierzysz w Boga?

– Wierzę. Wierzę. Całą duszą.

– Więc odwróć głowę w kierunku Kaby zbudowanej w sercu świętej Mekki przez Ibrahima, ojca nas wszystkich, i módl się ze mną.

– Dobrze. Dobrze.

Doktor dotknął go lekko za lewym uchem, jakby go błogosławił.

– W imię Boga Miłosiernego, Litościwego. Niech chwała będzie Bogu, Panu wszechświata. Ciebie chwalimy i prosimy o pomoc...

– Chwalimy... – powtarzał Hadż, grzechocząc protezami. – I prosimy o...

– Prowadź nas prostą ścieżką...

– Prowadź nas... – Hadżowi załamał się głos. Po jego wysuszonych policzkach pociekły łzy.

– Z twojego nazwiska wnoszę, że odbyłeś świętą pielgrzymkę^[47].

Hadż żałośnie kiwnął głową.

– Teraz pójdziesz do miejsca lepszego niż Mekka – ciągnął Doktor, jedną ręką wymacując wyraźne wybrzuszenie kości za jego uchem, a drugą wyjmując z kieszeni mały pistolet z perłowym uchwytem. – Zbliżając się, pamiętaj, by krzyknąć to, co krzyczą pielgrzymujący do Mekki: „Jestem tu, o Panie, jestem!”.

– Jakie to miejsce? – spytał zdławionym głosem Hadż, bojąc się odpowiedzi.

– Raj. Wypowiadałeś się przede mną. Twoje słowa są odnotowane w Księdze Uczynków. W Dniu Rozliczenia, gdy ziemia zostanie starta na proch, a ci, którzy zbłądzili, spłoną w Gehennie, będą poczytane na twoją korzyść. – Przytknął mu do głowy lufę pistoletu. – Jeśli Bóg znajdzie w twoim sercu dobro, da ci w zamian więcej, niż zostało ci odebrane. Jest Miłosierny, Litościwy.

– Ale...

Doktor pociągnął za spust. Hadż szarpnął się gwałtownie jak rażony piorunem, a potem zwił bezwładnie na krępujących go sznurach.

Jous-jous – z drugiego końca magazynu, zza skrzynek pomarańczy, jabłek i pietruszki, buchnął przenikliwy krzyk wdowy oplakującej śmierć męża.

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Spóźniłem się. Ale to było nieuniknione. Dziś rano zleciały się do Białego Domu jastrzębie z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Departamentu Obrony, a potem miałem ważną telekonferencję.

Jastrzębie jak zwykle przyniosły swoją ulubioną zabawę: domino.

Tak, dobrze słyszeliście. Domino, jak w słynnej „teorii domina”, dzięki której Lyndon Johnson mógł intelektualnie usprawiedliwić eskalację wojny w Wietnamie. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wyciąga ją, ilekroć chce napędzić strachu lokatorom Białego Domu. I powiem wam, że w dziesięciu przypadkach na dziesięć robi to skutecznie...

Kto? Niech przyśle notatkę. Porozmawiam z nim, kiedy ją przeczytam.

Na czym skończyłem?

Na dominie.

Spotkaliśmy się w sali gabinetowej, przewodniczyła pani prezydent. Przyszła cała wierchuszka: wiceprezydent, sekretarze stanu i obrony, przewodniczący Szefów Sztabów Połączonych, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i wasz uniżony sługa Zachary Taylor Sawyer, prezydencki doradca do spraw Bliskiego Wschodu. Dyrektor NSA, spadochroniarz Rumsfelda, byłego sekretarza obrony, ustawił kamienie domina i zaczął je przewracać, to znaczy wyjaśniać, co się jego zdaniem stanie, jeśli na Bliskim Wschodzie znowu padną strzały. Od czasu do czasu zerkąłem ukradkiem na panią prezydent: jej twarz mieniła się wszystkimi odcieniami fioletu. Nic dziwnego. To na jej biurku miał przewrócić się ostatni kamień. Pomysł nadzorowania końca znanego nam świata nieszczególnie ją bawił.

Zgoda, przesadam. Ale nie aż tak, jak myślicie.

Otóż Agencja Bezpieczeństwa Narodowego uważa, że najnowsza partyjka domina zacznie się od tego uprowadzonego rabina... Nie mogę zapamiętać jego nazwiska. Apfulbauma. Właśnie. Zacznie się od tego, że porywacze go zabiją. Wtedy ultraprawicowi Izraelczycy wywrą na nich zemstę, na co któraś z komórek skupiających obłąkanych palestyńskich fundamentalistów wywrze zemstę za zemstę. A wówczas obie strony odwołają przyjazd do Waszyngtonu i traktat pokojowy szlag trafi.

Ale to była dopiero przystawka.

Według analityków z NSA istnieje dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że jeśli Bliski Wschód znowu eksploduje, monarchia saudyjska nie przetrwa i władzę przejmą tam wahabijscy radykałowie, z których część jest jeszcze bardziej na prawo niż gość, który w dwa tysiące pierwszym zburzył WTC, niejaki Osama bin Laden. (Tak, jego nazwisko pamiętam, prawda?). Jedna czwarta światowych zasobów ropy naftowej, przypomniat nam dyrektor NSA – jakbyśmy o tym zapomnieli – spoczywa pod saudyjskimi piaskami. Jeśli upadnie Arabia, jak kostki domina upadną pozostałe kraje regionu. Na pierwszy ogień pójdzie Jordania, gdzie haszemicy Beduini i ich król rządzą narodem składającym się w siedemdziesięciu procentach z Palestyńczyków. Po Jordanii polegnie Kuwejt, Katar, Jemen, Oman i Zjednoczone Emiraty Arabskie, a nawet Algieria i Maroko. Zdajecie sobie sprawę, co oznaczałoby to dla wolnego świata – dla Europy i dla nas – gdyby te olbrzymie zasoby ropy i gazu ziemnego znalazły się pod kontrolą islamskich radykałów? Wyobraźcie sobie, jak potężne środki mogliby przeznaczyć na krzewienie islamskiej rewolucji w krajach z muzułmańską większością. Z dnia na dzień mogliby postanowić, że wypompują z ziemi milion baryłek ropy mniej, a wówczas jej cena wystrzeliłaby w górę jak rakieta, prowadząc do hiperinflacji, bankructwa całych gałęzi przemysłu, załamania się rynków giełdowych i paniki na ulicach.

Ale najgorsze miałyby dopiero nadejść. Okazuje się, że kremłowscy amerykaniści ostrzegli swoich waszyngtońskich odpowiedników, że jeśli nie rozwiążemy problemu bliskowschodniego, destabilizacji ulegnie cała

muzułmańska Azja Środkowa. Muzułmańskie kraje Azji Środkowej z kolei – pamiętajmy, że niektóre wciąż dysponują sowieckimi raketami nuklearnymi – zdestabilizują cały rosyjski maszyn lądowy. Pomyślcie o konsekwencjach, pomyślcie, że Uzbekistan czy Kazachstan może sprzedać głowice jądrowe ekstremistom z Zatoki Perskiej, tarzającym się w pieniądzach z handlu ropą. Boże, w porównaniu z tym jedenasty września byłby jak drobna stłuczka samochodowa.

Nie trzeba być analitykiem NSA, żeby wyobrazić sobie, jaki wpływ miałyby to na resztę świata. W Pakistanie, Indonezji, Malezji, a nawet Turcji władzę mogliby przejąć islamscy radykałowie. W Chinach, gdzie mieszka duża muzułmańska mniejszość narodowa, zwłaszcza Ujgurzy w Azji Środkowej, mogłaby się rozpętać wojna domowa z dążącymi do oderwania islamskimi prowincjami. Japończycy, którzy muszą importować każdą kroplę ropy, też by się szybko zorientowali, gdzie stoją konfitury. Producenci ropy, tacy jak Rosja i Wenezuela, a w końcu nawet Anglia, znaleźliby się pod olbrzymią presją, aby zwiększyć wydobycie i uchronić kraje uprzemysłowione przed niecznymi zakusami imamów z Zatoki, zrobiliby to pod warunkiem, że mogliby podnieść cenę.

Ponury obraz? Raczej czarny.

Przez cały ten czas pani prezydent siedziała przy stole, postukując obcasami w podłogę i wyginając na wszystkie strony spinacz do papieru, który w końcu pękł, ale wtedy sięgnęła po następny. Wszyscy patrzyli na jej paznokcie. Wyczułem, że ona patrzy na mnie. Kiedy dyrektor NSA skończył, zapadła cisza, którą, jak to mówią, można było kroić nożem.

– Jest pan naszym guru do spraw bliskowschodnich, Zack. – Pani prezydent powiedziała to niemal szeptem. – Co pan o tym sądzi?

Wzruszyłem ramionami i odparłem, że nie ma w tym nic nowego. Przypomniałem im stare przysłowie, które istniało na długo przed tym, nim waszyngtońscy mądralińscy wymyślili teorię domina. Z braku gwoźdźcia odpadła podkowa, z braku podkowy zabrakło konia, z braku konia nie wysłano posłańca, i tak dalej.

– A więc uważa pan, że scenariusz NSA jest trafny – skonstatowała pani prezydent.

Uniosłem brwi i parafrazując Willa Rogersa, wymamrotałem, że ich analiza jest równie dobra jak każda inna.

Tego było już za wiele dla przełożonego dyrektora NSA, który jak przystało na szefa Pentagonu, rzucił się do obrony swojego ogródka.

– Wnoszę z tego – wycedził – że prezydencki doradca do spraw Bliskiego Wschodu lepiej rozumie drażliwą sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

Pani prezydent przeszyła mnie wzrokiem, jakby chciała spytać: „Tak?”.

– Przewidywanie rozwoju wydarzeń – powiedziałem ze zmęczeniem w głosie – jest jak prorokowanie, którędy popłynie lawa po wybuchu wulkanu.

Sekretarz stanu próbował jak zwykle znaleźć wspólny grunt do dyskusji; podejmujący najważniejsze decyzje polityczne urzędnicy znowu zapragnęli stworzyć wrażenie, że ci z najwyższego szczebla przemawiają unisono.

– Jeśli dobrze rozumiem – powiedział ostrożnie – Zack porównuje egzekucję rabina Apfulbauma do erupcji wulkanu w tym regionie świata. To, którędy popłynie lawa, czyli jak się to wszystko potoczy, pozostaje w sferze domysłów.

Zauważyłem, że stojący w drzwiach szef personelu Białego Domu postukuje palcem w szkiełko zegarka, więc enigmatycznie kiwnąłem głową, rezygnując z dalszej dyskusji.

Siedziałem właśnie w gabinecie, wyobrażając sobie strużki lawy spływające zboczem wybuchającego wulkanu, gdy w trybie pilnym zadzwonili do mnie moi odpowiednicy z Downing Street 10 i Pałacu Elizejskiego. Obydwaj byli bardzo wzburzeni. (To, że zadzwonili akurat o tej porze, kazało mi podejrzewać, że ich służby wywiadowcze zdążyły już rozpowszechnić raport o teorii domina naszej Agencji). Nie tracili czasu na rozmowę towarzyską. Ich przełożeni, to znaczy brytyjski premier i francuski prezydent, uważali, że traktat pokojowy trzeba uratować wszelkim kosztem. Spytałem, czy mają pomysł jak. Zapadła dość długa cisza, jakby obydwaj

czekali, aż to ten drugi przekaże mi złą wiadomość. Ekspert z Downing Street w końcu odchrząknął.

– Uważamy, że powinniśmy zmusić Izraelczyków do ugięcia się przed żądaniami porywaczy – oświadczył.

– W tej kwestii Paryż stoi ramię w ramię z Londynem – dodał ekspert z Pałacu. – Niech w zamian za uwolnienie rabina i jego sekretarza uwolnią tych cholernych więźniów, a potem podpiszmy traktat i utworzymy suwerenne państwo palestyńskie.

– Ale dlaczego mówicie to akurat mnie? – spytałem, jakbym nie wiedział, ale chciałem, żeby wyszli z tym oficjalnie. – Dlaczego nie zadzwonicie do izraelskiego premiera i nie powiecie mu tego sami?

– Uważamy, że to amerykański prezydent musi przekazać mu tę wiadomość, i to osobiście – odparł mój odpowiednik z Downing Street. – Tylko Waszyngton ma u Izraelczyków wystarczająco duże wpływy, żeby posłuchali głosu zdrowego rozsądku.

Francuz zaczął coś mówić, ale mu przerwałem.

– Nawet tego nie próbujcie, przyjaciele. Po pierwsze, pani prezydent jest już i tak w niezręcznej sytuacji i nie zamierza się bardziej pogrążyć; jeszcze trochę i opinia publiczna obróci się przeciwko niej, a to przekreśliłoby jej szanse na drugą kadencję. Co ważniejsze, Izraelczycy bardziej się nie ugną. Do pewnych rzeczy nie da się ich zmusić, a wymiana palestyńskich więźniów na żydowskich zakładników jest jedną z nich. Z oczywistych powodów tego rodzaju wymiany są jedynie zaproszeniem do dalszych porwań.

Odezwał się Francuz, którego znałem trochę z natowskich burzy mózgów.

– Moglibyście podnieść stawkę, Zack. Sam napisał pan to w swojej książce, Wyjściu z zaklętego kręgu. Moglibyście zagrozić im...

Znowu mu przerwałem.

– Czym? Kolejną rezolucją Rady Bezpieczeństwa potępiającą Izrael?

– Francja jest gotowa przyłączyć się do międzynarodowego ruchu mającego na celu odizolowanie Izraela. Mówię tu o zamrożeniu ich

zagranicznych kont bankowych, o embargu handlowym na wzór tego, jakie przed laty nałożyliśmy na RPA...

– Eskalacja żądań to jedyny sposób – zgodził się z nim ochoczo Anglik, stary Janus o zadeklarowanych proarabskich poglądach.

– A jeśli nie ustąpią, to co? Zaminujemy port w Hajfie? Zbombardujemy Tel Awiw? Nie, panowie, nie przedstawię tego pomysłu w Gabinetcie Ovalnym. Zanim podbije się stawkę, trzeba wyczuć, jak mocno można na kogoś naprzec. Zbyt duży nacisk wywołuje opór.

Atakowali mnie trzy kwadransy. Nie ustąpiłem. Wiedziałem, że Izraelczycy nigdy nie przekroczą granicy, którą wyznaczył im świetnie wykształcony instynkt narodowy. Każda próba oznaczałaby utratę wiarygodności, jaką miało się, grożąc podniesieniem stawki. Moi odpowiednicy z Londynu i Paryża wciąż nie pojmowali bliskowschodniej rzeczywistości. Ale wiedziałem, że to, co się tam działo, na pewno ich oświeci.

Wciąż jestem bezstronny, możecie postawić na to swoje ostatnie skarpetki. Ale, co straszne, jestem również przerażony. Rozumiem, dlaczego Europejczycy panikują. Bo jeśli stracimy panowanie nad sytuacją, gdzie, ach gdzie się znajdziemy?

Sweeney był ogromnie zadowolony z siebie. W ciągu ostatnich kilku dni zadzwoniło do niego sześciu kolegów z międzynarodowej korporacji prasowej, żeby pogratulować mu artykułu o Szin Bet, a dwóch przeprowadziło z nim nawet wywiad do artykułu o jego artykule. Cóż, nie codziennie świat może zerknąć za szczelnie zamknięte drzwi tej supertajnej i superzuchwałej organizacji. Włożył skórzaną kurtkę, wrzucił do kieszeni komórkę, owinął szyję uniwersyteckim szalikiem, włożył ciemne okulary narciarskie i wyszedł na dach, na taras nad mieszkaniem. Właśnie wysłał do redakcji trzysta pięćdziesiąt słów o czymś, co wyglądało na zorganizowane przez Hamas porwanie członka rywalizującego z nimi ugrupowania fundamentalistycznego, do którego doszło tuż pod nosem Izraelczyków na Starym Mieście, i zamierzał odprężyć się przy pierwszym tego dnia kieliszku wytrawnego martini. Powietrze było idealnie czyste i zimowo rześkie. Promienie zachodzącego słońca odbijały się od złocistej Kopuły na Skale na Wzgórzu Świątynnym, czaszy ochraniającej wielki głaz, na którym – według żydowskiej tradycji – Abraham omal nie zabił swojego syna Izaaka, i z którego – według tradycji muzułmańskiej – Mahomet wstąpił do nieba na grzbiecie Al-Buraka, udając się na spotkanie z Allachem. Na południowym wschodzie, za kościołem Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny, widać było błądźca całun mgły nad Morzem Martwym, najniższym miejscem świata, a za nim rozciągały się ciemnopopielate wzgórza Moabu. Nic dziwnego, pomyślał Sweeney, że homo sapiens walczył o Jerozolimę od trzech tysięcy lat. Niektórzy badacze przypisywali jej wspaniałość ukształtowaniu terenu – najwcześniejsze osiedle powstało na skrzyżowaniu szlaków karawanowych, by rozwinąć się w ważny ośrodek handlowy. Inni twierdzili, że jej strategiczna pozycja była skutkiem odkrycia podziemnego źródła, dzięki któremu stacjonujący tu

żołnierze mieli dostęp do niekończących się zapasów wody pitnej. Ale patrząc ponad murami Starego Miasta, Sweeney wiedział swoje. Wielkość Jerozolimy, jej potęga i czar, jaki rzucała na ludzi, brała się przede wszystkim z poczucia estetyki: ilekroć się na nią spojrzeło, zapierała dech w piersi.

Zapisała komórka. Pomyślał, że to pewnie kolejny reporter z gratulacjami, że zaraz spyta go żartobliwie, którym samolotem odleci, kiedy Izraelczycy odbiorą mu akredytację.

– Tak – rzucił.

– Pan dziennikarz Sweeney? – spytał melodyjny głos.

– Przy telefonie.

– Pamięta mnie pan?

– Aż za dobrze – odparł Sweeney i przed oczami stanął mu szpiczastobrody Westalka w okrągłych niebieskich okularach i białej galabii, wrzucający izraelskie monety do automatu telefonicznego w Gazie.

– Kiedy się widzieliśmy, pytał pan o możliwość przeprowadzenia wywiadu na wyłączność. Czy wciąż jest pan zainteresowany?

– „Zainteresowany” to mało powiedziane.

– Ten, o którym mówimy, czytał pański artykuł o naszych izraelskich przyjaciółach, którzy używając tylko imion, proponowali panu pracę na część etatu. Pańska niezależność wywarła na nim duże wrażenie, nie wspominając już o prawości. Krótko mówiąc, zgodził się na spotkanie.

Sweeney nie tracił czasu.

– Jak go znajdę?

– Kiedy skończymy rozmawiać, proszę nigdzie nie dzwonić ani z telefonu stacjonarnego, ani komórkowego. Dokładnie za siedem minut, bo tyle czasu zajmie panu zamknięcie domu i wyjście na parking, wsiądzie pan do samochodu i opuści Jerozolimę. Sam. Pojedzie pan do Gazy, drogą Beit Szemesz–Kirjat Gat. Proszę zaparkować na parkingu w Erezie i przejść na naszą stronę. Tam będzie czekał na pana samochód.

– Jak rozpoznam kierowcę?

Westalka roześmiał się cicho.

– To kierowca rozpozna pana.

Połączenie zostało przerwane.

– Bingo! – powiedział na głos Sweeney i z lekkim uśmiechem zadowolenia, który wykrzywił mu usta, schował telefon do kieszeni.

Gdy Absalom wpadł na Barucha przy automacie z chłodzoną wodą, na jego opalonej twarzy wykwitł złośliwy uśmiezek z cyklu: „A nie mówiłem?”.

– Chłopcy i dziewczęta Azazela grzebią w ostatnich szafach w ostatnim przejściu ostatniej piwnicy. Jest tam tyle kurzu, że dwoje z nich zaczęło kichać i musiało pójść na zwolnienie. Sam widzisz, że to nie zabawa. Mniej więcej połowa Arabów zdradzonych przez kolaborantów skończyła w więzieniu. Połowa z nich to mężczyźni niscy i krępi. Połowa z niskich, krępych i zdradzonych to zaciekli islamiści.

– Pozostają jeszcze ci o kiepskim wzroku – zauważył Baruch.

– Dzięki kiepskiemu wzrokowi udało nam się zawęzić ich liczbę do osiemdziesięciu trzech, nie licząc czterdziestu ośmiu, których, z tego, co wiemy, nie ma już na Bliskim Wschodzie, trzydziestu sześciu zmarłych, dwóch przebywających w jordańskim zakładzie dla obłąkanych i tych, których Azazel znajdzie w ostatnich szafach. – Absalom robił wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. – Lista już się pisze.

Chcąc uniknąć korków przed wjazdem do Jerozolimy, Sweeney przeciął pasmo wzgórz za Ein Karem, pod Motzą^[48] wrócił na autostradę Jerozolima–Tel Awiw i pojechał na zachód. Kręcąc gałką radia, natrafił na talk-show po angielsku.

– Absolutnie się z tym nie zgadzam – mówił ktoś z silnym niemieckim akcentem. – Z żydowskiego punktu widzenia właściwsze jest mówienie o tradycji judeoislamskiej niż judeochrześcijańskiej.

– Dlaczego pan profesor tak uważa? – spytała jakaś kobieta.

– Można by dowodzić, że chrześcijaństwo, ze swoją zbijającą z tropu doktryną Trójcy Świętej, sprzeniewierzyło się starotestamentowemu monoteizmowi. Natomiast islam, z jego bezkompromisową wiarą w jednego Boga, zachował monoteistyczną czystość. W Koranie jest pewien fragment i jeśli tylko go znajdę... Tak, już mam. – Profesor odchrząknął. – „Wierzcie więc w Boga i Jego posłańców i nie mówcie: «Trzy!» Bóg Allach – to tylko jeden Bóg!”^[49]

– Poza tym w Kopule na Skale jest antychrześcijańska inskrypcja – dodał ktoś inny. – „Chwała niech będzie Bogu, który nie spłodził żadnego syna”^[50].

– Żydzi mają również problem z wizualną ikonografią chrześcijaństwa – zauważył kolejny dyskutant. – Dlatego w *Liście o męczeństwie* Majmonides twierdzi, że Żyd może przejść na islam, jeśli grozi mu śmierć, natomiast pod żadnym pozorem nie może przejść na chrześcijaństwo, ponieważ stałby się bałwochwalcą, co jest dla niego gorsze niż śmierć.

– Skoro Żydzi i Arabowie są bliskimi kuzynami – spytał radia Sweeney – to dlaczego od stu lat skaczą sobie do gardła?

W odpowiedzi usłyszał reklamę izraelskiej pasty do zębów, po której użyciu zęby stają się bielsze niż najbielsza biel, a oddech świeższy niż najświeższa świeżość. Dlatego odpowiedział sobie sam.

– Nie trzeba geniusza, żeby na to wpaść – wymamrotał. – Walczą o ziemię.

Przy zjeździe w Beit Szemesz minął grupę żołnierzy próbujących wrócić okazją do bazy w Negewie. Pewnie zatrzymałby się i spytał, czy któryś jedzie do Gazy, ale przypomniła mu się przestroga Westalki: masz być sam.

Ruch był niewielki i szybko dotarł na miejsce. Pod Tel Azeka^[51] w światłach reflektorów pojawiły się pomarańczowe znaki ostrzegające przed robotami drogowymi. Sto metrów dalej zobaczył rząd plastikowych pachołków w poprzek swojego pasa i ubranego w pomarańczowy kombinezon brodacza w jarmułce, który wskazał mu objazd drogą na Agur^[52]. Skręciwszy, zauważył, że brodacz rozmawia z kimś przez małe walkie-talkie. Przed rondem pół kilometra dalej stała furgonetka z angielskim napisem „Najlepsze beduińskie szaty i dywany”, a przy niej dwóch zapamiętałe machających rękami mężczyzn. Jednego z nich od razu poznał: okrągłe niebieskie okulary przeciwsłoneczne, zakończona ostrym szpicem bródka – nie sposób go było pomylić. Miał przed sobą Westalkę, tym razem w dzinsach i podkoszulku z napisem „Hard Rock Café” na piersi. Gwałtownie zahamował i otworzył okno od strony pasażera.

– No proszę, a ja myślałem, że jest pan pobożnym muzułmaninem – zawołał żartobliwie.

Westalka wetknął głowę do samochodu.

– Nie szata zdoła człowieka – powiedział poważnie. – Jeśli chce pan przeprowadzić wywiad z Abu Bakrem, dalej musi pan pojechać innym samochodem.

– Nie mogę zostawić wozu na pustkowiu...

– Pojadę nim do Gazy i zostawię go na parkingu po izraelskiej stronie. Mój znajomy zawiezie pana na miejsce.

Sweeney wziął torbę z aparatem i magnetofonem i wysiadł. Dziobaty Beduin z grubym papierosem w ustach otworzył tylne drzwi furgonetki i podniósł wieko dużego wiklinowego kosza.

– Mam się tam wcisnąć? – spytał Sweeney.

– Proszę mi zaufać – odparł Westalka z rozbajającym uśmiechem. – Szybko.

Sweeney spojrział na niego, potem na Beduina, wzruszył ramionami i wszedł do kosza. Beduin przykrył go dywanami, zamknął wieko, postawił na koszu drugi kosz, poprzestawiał pozostałe i zatrzasnął drzwi. Kierowca musiał włożyć kasetę do odtwarzacza, bo Sweeney usłyszał przytłumione dźwięki popularnej egipskiej piosenki. Furgonetka szarpnęła, włączyła się do ruchu i żeby stracił poczucie kierunku, sześć czy siedem razy objechała rondo. Potem skręciła i pojechali prosto przed siebie. Czterdzieści minut później – jego zegarek miał świecącą tarczę – zwolnili i zwinięty w kłębek pod beduińskimi dywanami Sweeney usłyszał głosy młodych mężczyzn rozmawiających po hebrajsku. Byli na izraelskim punkcie kontrolnym? Jechali na Zachodni Brzeg? Pół godziny później znowu zwolnili, pewnie na kolejnym punkcie. Zaraz potem utknęli chyba w korku, bo słyhać było trąbienie klaksonów i czyjś utyskujący głos, nie wiedział jednak, czy mówiący po hebrajsku, czy arabsku. W końcu furgonetka skręciła w brukowaną drogę, podskakując, przejechała przez labirynt ulic, wreszcie stanęła. Trzasnęły drzwi od strony kierowcy. Kilka sekund później zamknęły się drzwi jakiegoś budynku i zapadła głucha cisza.

Odrętwiały Sweeney ściągnął dywan z twarzy. Czekał. Musiał przysnąć, bo kiedy znowu spojrział na zegarek, upłynęło dwadzieścia pięć minut. Zaraz potem usłyszał czyjeś kroki i otworzyły się drzwi furgonetki. Odsunięto na bok kosze, podniesiono wieko i zobaczył dziobatą twarz młodej apatycznej Arabki. Gestem ręki kazała mu wyjść z kosza i iść za sobą. Zeskoczyła sztywno na ziemię, narzuciła chustę na krótkie włosy i szybkim krokiem zanurkowała w płataninę wąskich uliczek. Sweeney, który nie miał zielonego pojęcia, w jakim jest mieście, potruchtął za nią. W pewnym momencie kobieta podciągnęła brzeg beduińskiej szaty –

zauważył, że jest w dzinsach i butach do biegania – gwałtownie skręciła na rozchwierutane schody i przeszła przez niskie drzwi z czerwonym napisem po arabsku. W środku czegoś, co wyglądało na opuszczony budynek, czekał młody Palestyńczyk. Gdy kobieta się odwróciła, gestem ręki kazał mu się rozebrać.

– Żartujesz – powiedział Sweeney. I dodał: – Nie, chyba jednak nie.

Zaczął się rozbierać, rzucając mu ubranie, w końcu stanął nagi na zimnej podłodze. Palestyńczyk obejrzał dokładnie wszystkie rzeczy, wyraźnie szukając nadajnika radiowego. Zabrał mu buty i dał plastikowe sandały. Podczas gdy Sweeney się ubierał, on wyjął z jego torby aparat, komórkę i cztery rolki filmu. Otworzył aparat i telefon, wyjął film i baterię, huknął tym wszystkim o ścianę – nie zapominając również o jego zegarku kwarcowym – a potem uważnie obejrzał kawałki. Po namyśle zmiażdżył cegłą rolki filmu i baterię, po czym dokładnie zbadał szczątki.

– Chryste – jęknął Sweeney. – Czego to człowiek nie zniesie, żeby załatwić ciekawy wywiad.

Palestyńczyk, który najwyraźniej nie znał ani słowa po angielsku, kazał mu się odwrócić i założył mu przepaskę na oczy. Zamienił z Beduinką kilka słów po arabsku, a ta wzięła Sweeney'a za rękę i wyprowadziła go przez okno na pokryty dachówką dach. Z dołu dochodziły niewyraźne głosy mówiące po arabsku i niósł się apetyczny zapach pieczonej jagnięciny. Z jedną ręką na ramieniu kobiety i drugą na wysokim do pasa murku pokonał kilka dachów, a potem Beduinka wepchnęła go drzwiami do kolejnego budynku, sądząc po głuchym echu, z jakim zamknęły się drzwi, również opuszczonego. Na drugim końcu pomieszczenia były wąskie schody i korytarz. Kobieta zapukała do metalowych drzwi, najpierw trzy razy, potem dwa, wreszcie raz. Trzasnęły zasuw, drzwi otworzyły się i zamknęły, gdy weszli do środka.

Zdjęto mu przepaskę i spojrzał prosto w zaczerwienione oczy niskiego, krępego Araba w błyszczącej dwurzędowej marynarce na długiej białej galabii o zabrudzonym brzegu. Na czole miał fioletowego siniaka, jakiego Sweeney widział raz w Gazie u ultraortodoksyjnego muzułmanina, który

modląc się, bił głową w ziemię. Arab przyglądał mu się przez grube jak denko od butelki okulary w drucianej oprawce.

– Abu Bakr. – Wyciągnął do niego rękę. – Proszę wybaczyć te środki ostrożności, moi ludzie mają paranoję na punkcie bezpieczeństwa. Proszę, zapraszam, niech pan spocznie. Mój dom jest pańskim domem.

Usiadł po turecku na beduińskiej poduszce przy niskim stole i gestem ręki wskazał mu miejsce naprzeciwko. Skromnie unikając kontaktu wzrokowego z mężczyznami, Petra postawiła między nimi talerz słodkich ciasteczek, dwie szklanki i dzbanek soku owocowego, po czym usiadła przy radiu i włożyła słuchawki. Doktor, który widząc jedynie rozmazane kształty, lubił udawać, że ma zupełnie normalny wzrok, nalał im soku – po odgłosie poznał, kiedy przestać – i podsunął szklankę gościowi. Wążąc w rękę szklany przycisk do papieru w kształcie kuli z tonącym w śniegu sielankowym krajobrazem, Sweeney objął wzrokiem zabezpieczone sztabami pancerne drzwi, stojące w kącie kałasznikowy, młodą kobietę przy wojskowym radioodbiorniku i dużą mapę Palestyny na ścianie. Potem spojrział na drugie drzwi, też wzmocnione stałą, które prowadziły... dokąd?

– Pewnie nie zdradzi mi pan, w jakim jesteście mieście.

Doktor chrząknął.

– Zadaliśmy sobie dużo trudu, żeby się pan nie domyślił.

– Krążenie wokół ronda było bardzo skuteczne.

Doktor upił łyk soku.

– Powiem szczerze, *ja'ani*: pierwszy raz w życiu udzielam wywiadu komuś z prasy. Od dawna intrygowała mnie relacja między dziennikarzem a jego rozmówcą, ponieważ jeden usilnie próbuje wykorzystać drugiego do swoich celów. Pan, na przykład, będzie robił wszystko, bym pomyślał, że podziela pan mój punkt widzenia, aby tym sposobem skłonić mnie do powiedzenia czegoś, co koniec końców ten punkt podważy i okryje mnie wstydem. Z kolei ja będę próbował przekonać pana, że jestem człowiekiem niezwykle szczerym i otwartym, a wszystko po to, żeby opisał pan z podziwem punkt widzenia mój i tych, którzy mnie popierają. Tak więc z perspektywy zarówno pana, jak i mojej jest to relacja wielce nieuczciwa,

ale chociaż o tym wspominał, będzie pan pewnie podejrzewał, że próbuję pana omamić, prezentując się w zupełnie innym świetle.

– Bez obaw – odparł z uśmiechem Sweeney. – Nie omami mnie pan, jestem doświadczonym dziennikarzem.

Doktor przyglądał mu się zmrużonymi oczami, próbując wyobrazić sobie jego wygląd na podstawie głosu.

– Wiem. Pamiątkę po jednym z tych doświadczeń nosi pan w lewym uchu.

Sweeney dotknął aparatu.

– W Bejrucie znalazłem się za blisko nadlatującego pocisku.

– Z medycznego punktu widzenia – spytał z zainteresowaniem Doktor – właściwie co się panu stało?

– Doznałem wstrząśnienia mózgu i uszkodziłem sobie lewe ucho środkowe. Pękła błona, której nazwa wyleciała mi z głowy...

– Bębenkowa?

– Właśnie, chyba tak.

– Jakie miał pan objawy?

– Zawroty głowy, krwawienie, lekki, bo tylko częściowy paraliż twarzy, no i utrata słuchu.

– Jaki aparat pan nosi?

– Analogowy.

– Gorzej słyszy pan wysokie dźwięki czy niskie?

– Najwięcej kłopotów sprawiają mi wysokie dźwięki o małym natężeniu, „s”, „sz” i „cz”. – Sweeney roześmiał się z zażenowaniem. – Myślał pan, że zmyśliłem ten wybuch w Bejrucie? Podejrzewa pan, że w aparacie jest ukryty nadajnik, który przekazuje naszą rozmowę Izraelczykom?

– Owszem, przeszło mi to przez myśl. Młoda kobieta, która tu pana przyprowadziła, jest geniuszem radia. Kiedy założono panu przepaskę, sprawdziła skanerem, czy pański aparat nie wysyła sygnałów. –

Zakłopotany Doktor rozłożył ręce. – Ktoś w mojej sytuacji musi zachować ostrożność. Ale idźmy dalej. Dlaczego został pan dziennikarzem?

– A to co? Psychoanaliza? Ile liczy pan za godzinę?

– W ten niezdarny sposób próbuję zrozumieć, kim pan jest.

– W college’u chciałem zostać aktorem. Moja pierwszą dużą rolą był Wania w *Wujaszku Wani* Czechowa. Spapałem sceny miłosne i mnie zjechało. Recenzenci z uniwersyteckiej gazety nie przebierali w słowach. Zna pan to określenie? Doszedłem do wniosku, że bezpieczniej będzie recenzować sztuki, niż w nich grać, i zacząłem pracować w gazecie. Jedno doprowadziło do drugiego i tak zostałem panem dziennikarzem.

Zamyślony Doktor pyknął z papierosa.

– Przejdźmy do świata polityki. Co według pana leży u podstaw konfliktu arabsko-żydowskiego?

– Panie Bakr, czy to pan przeprowadza wywiad ze mną, czy ja z panem?

– Proszę o cierpliwość. Zapewniam, że w tym szaleństwie jest metoda.

Sweeney wyjął z kieszeni notes i ołówek.

– Mogę notować pańskie pytania i moje odpowiedzi?

Doktor kiwnął głową.

– Proszę.

– Zatem odpowiadam: u podstaw konfliktu leży ziemia.

– Wielu odpowiedziałoby tak samo. Ale nie ja. Zaczniemy naszą rozmowę od opowieści. Kiedyś zawieziono mnie na okupowane wzgórza Golan na konsultacje z ważnym druzem. W drodze powrotnej kazałem kierowcy zjechać na pobocze i wysiadłem, żeby oddać mocz. Słońce już zachodziło. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem cienie Libanu po prawej stronie. Za mną, w ostatnich promieniach tonącego w morzu słońca, skrzył się ośnieżony szczyt góry Hermon. W dole, w Dolinie Hula, zaczynały rozbłyskiwać światła żydowskich kibuców. Pstryk-pstryk-pstryk! Wyobraża pan sobie ten widok? Stałem na zimnych, ciemnych, pozbawionych elektryczności wzgórzach i widziałem, jak zapalają się żydowskie światła. Pstryk-pstryk-pstryk! Z każdym pstryknięciem słyszałem Zachód, który

mówi Arabom: „Walcie się, walcie się, walcie się!”. Proszę wybaczyć ten język, ale używam go, żeby jak najwierniej to oddać. Bo dokładnie te słowa słyszałem. Światła kibuców, billboardy reklamujące świecką, materialną i powierzchowną kulturę zachodnią: to wszystko, by wmawiać nam, że jesteśmy zacofani i poniżyć islam. Ziemia jest oczywiście ważną częścią problemu. Jednak kwintesencją konfliktu między Arabami a Żydami jest godność.

– Kiedy mówi pan, że kultura zachodnia jest świecka, materialna i powierzchowna, zakładam, że porównuje ją pan z kulturą islamu. Ale wpada pan tym samym w pułapkę, która zwabiła wielu pańskich współwyznawców. Ubóstwo, przestępczość, rozwiązłość, narkotyki, rasizm: porównuje pan zachodnią rzeczywistość z islamskimi ideałami zamiast z islamską rzeczywistością.

– Zachodnia rzeczywistość, kultura narkotyków i rozwiązłości, i zachodnie ideały to jedno i to samo. Wy tak żyjecie, panie Sweeney, bo uważacie, że takie życie jest najlepsze. Islamskie ideały pokazują przynajmniej, że istnieje lepsza droga. W islamskim państwie, kierującym się przykazaniami Świętego Koranu, islamska rzeczywistość pójdzie w kierunku islamskich ideałów.

– Znam Żydów, religijnych Żydów, którzy powiedzieliby to samo o Torze. – Sweeney zajrzał do notatek, żeby dokładnie zacytować słowa rabina Apfulbauma. – „Musimy być posłuszni przykazaniom, jakie Bóg dał Żydom, i zasiedlić każdy centymetr kwadratowy obiecanej nam w Torze ziemi. Dopóki naszych podeszew nie przepali pokrywająca ją lawa, będziemy duchowymi kalekami”.

– Ja też znam takiego Żyda. – Słowa te wymknęły się Doktorowi, zanim zdał sobie sprawę, że je wypowiada.

Sweeney przeszył go wzrokiem.

– Jeśli nie będzie pan ostrożny, pomyślę, że porywacz rabina i jego sekretarza ma prosemickie poglądy.

– Więcej niż prosemickie. Jako potomek Sema, najstarszego syna Noego, jestem również semitą. Ale nie myliłby się pan, używając tego słowa

w węższym znaczeniu, dla określenia Żydów. Na swój sposób podziwiam żydowską kulturę, kreatywność i energię. Ale w którymś momencie swojej trzecztyśiącletniej historii Żydzi zboczyli z drogi. I chyba wiem w którym. To było wtedy, gdy odrzucili Słowo Boże zaniesione im przez proroków i wysłanników, zastępując je oszustwem, hucpą, gdy doszli do wniosku, że hucpa jest cnotą, a nie występkiem. Na pewno zna pan klasyczną definicję hucpy. Syn zabija rodziców, a potem prosi sędziego o wyrozumiałość, bo został sierotą: tak, to jest hucpa. Ale podam panu inną definicję: roszczenie sobie pretensji do ziemi obiecanej przez Boga Ibrahimowi, chociaż ktoś ją już zamieszkuje.

Sweeney zapisał to w notesie.

– Może pan opowiedzieć mi coś o sobie, o swoim pochodzeniu?

– Moja przeszłość nie wyróżnia się niczym specjalnym. Mój ojciec był fedainem, partyzantem, i walczył z Żydami. Kiedy byłem mały, zginął, próbując przedostać się do Izraela. Prawie nie pamiętam, jak wyglądał, ale w każdej chwili mogę przywołać w pamięci jego głos. Słyszę, jak przemawia cicho do swoich synów przed wieczornym posiłkiem. Jak mówi, że muzułmanie, którzy nie mogą żyć pod islamskimi rządami, na islamskiej ziemi, żyją w czymś, co Koran nazywa *Dar al-Harb*, Królestwem Wojny, że muszą brać przykład z Wysłannika Mahometa i toczyć dżihad, zbrojną walkę z niewiernymi. Islam walczy z nimi, odkąd Mahomet napadał na mekkańskie karawany. Widzę siebie jako część tej prastarej tradycji. Ostatnio elementem naszej wojny stało się uprowadzenie rabina Apfulbauma, fundamentalisty związanego z osiedlem Beit Avram i żydowskim podziemiem, które tam powstało.

– I tak przeszliśmy do właściwego tematu. Porwanie. Co pan chce przez to osiągnąć?

– Musi pan zrozumieć, *ja'ani*, że u podstaw mojego rozumowania leży założenie o postkolonialnym spisku przeciwko islamowi. Chcą nas zniszczyć syjoniści i zwolennicy sekularyzacji z całego świata. Salman Rushdie należy do spisku zorganizowanego przez światowe żydostwo i popieranego przez amerykański imperializm. My, muzułmanie, od lat

robimy wszystko, aby ten spisek stłumić: próbowaliśmy już naseryzmu, baasizmu, kaddafizmu, chomeinizmu, hussajnizmu, a ostatnio arafatyzmu. Ale nic nie zdołało odwrócić czasu. Samobójcze zamachy bombowe Hamasu, tak jak brytyjskie i amerykańskie bombardowania niemieckich miast podczas drugiej wojny światowej, tylko jednoczą tych, którzy mieli być celem ataków. Krótko mówiąc, nie udało nam się zbliżyć do *Dar al-Islam*, Królestwa Islamu, gdzie panuje czysta wiara naszego Proroka. Nadszedł czas na świeże podejście.

Sweeney zamknął z trzaskiem notes.

– Nie sprowadził mnie pan tu, żebym wysłuchiwał pańskich teorii, że hucpa zniszczyła Żydów i że Salman Rushdie należy do syjonistycznego spisku mającego na celu obalenie islamu. – Pochylił się do przodu. – Czego pan właściwie chce, panie Bakr?

– Świadka.

Z drugiego pokoju wyszedł jeden z braci el-Tel z tacą, na której stały dwa puste talerze. Wstawił je do zlewu.

– Świadka czego? – spytał Sweeney.

– Jestem przekonany, że rabin Apfulbaum zdradzi mi szczegóły bezwzględnej antyarabskiej kampanii, którą prowadzi żydowskie podziemie, oraz tożsamość jej okrutnego przywódcy Jaira. Gdybym to ja opublikował te informacje, nikt by mi nie uwierzył. Żydzi oświadczyliby, że zeznania rabina zostały wymuszone i wszyscy by to kupili. Ale jeśli napisze o tym szanowany amerykański dziennikarz, świat, któremu wszelki terroryzm kojarzy się wyłącznie z muzułmańskimi fundamentalistami, po raz pierwszy zrozumie to, co żydowscy fundamentaliści robią nam. Zrozumienie to podważy międzynarodowe poparcie dla Izraela i wzmocni muzułmańskich radykałów takich jak ja...

Petra zdjęła słuchawki i przyjrzała się Amerykaninowi. Nie znała angielskiego, lecz wyczuła, że dyskusja osiągnęła punkt zwrotny. Nie wiedziała, czego Doktor chce od swojego gościa, wiedziała jednak, że jeśli tego nie dostanie, Amerykanin nie wyjdzie stąd żywy.

Sweeney poczuł, że ma spierzchnięte usta. Wypił łyk soku, odstawił szklankę i ostrożnie kiwnął głową.

– Podaje mi pan na srebrnej tacy artykuł mojego życia. Byłbym głupcem, gdybym odmówił. Chciał pan świadka, więc już go pan ma.

Petra gwałtownie usiadła. W pierwszej chwili pomyślała, że zbudziły ją mówiące po hebrajsku głosy na podeście schodów. Ale powoli dotarło do niej, że był to tylko sen, że śnili jej się izraelscy żołnierze mocujący laski dynamitu do pancernych drzwi. Przez trzaski zakłóceń w głośniku przebijały się czasem meldunki, że na drogach Zachodniego Brzegu panuje zupełny spokój. Ochlapawszy twarz zimną wodą, Petra poszukała wzrokiem Aowna, ale przypomniało jej się, że wieczorem, ze starym, lecz wciąż sprawnym angielskim webleyem za pasem, zaprowadził Sweeneya na górę, do przełazu nad kryjówką, gdzie dziennikarz miał spędzić noc. Zerknęła na zegarek i poszła zagotować wodę w elektrycznym czajniku. Kilka minut później z filiżanką gorącej herbaty weszła na palcach do drugiego pokoju. Aziz spał zwinięty w kłębek na polówce. Doktor był pogrążony w rozmowie z zakładnikiem; nie rozumiała tego, co mówią, ale widziała, że rozmawiają jak starzy przyjaciele. Siedzieli, dotykając się kolanami, z pochylonymi głowami, jedna centymetry od drugiej. Delikatnie klepnęła Doktora w ramię. Odwrócił się poirytowany, że ktoś mu przerywa.

– O co chodzi? – spytał ostro.

– Przyniosłam herbatę – odpowiedziała Petra.

Doktor ujął filiżankę obiema rękami i zaczekał, aż napar ogrzeje mu palce. A potem zrobił coś, co uznała za dziwaczne: zwrócił się do więźnia po imieniu.

– Izaak.

I wyszeptał coś po angielsku. Rabin podniósł wzrok; Doktor mówił, że bez okularów Żyd widzi tylko kształty i cienie. Pokręcił głową. Wtedy Doktor przemówił do niego bardziej stanowczym głosem i wcisnął filiżankę do jego związanych rąk. Rabin wzruszył ramionami i wymamrotał coś po angielsku. W połowie zdania wypowiedział jego imię.

– ...Ismail...

Potem podniósł filiżankę do ust, podmuchał herbatę i zaczął głośno siorbać. Doktor stanął za nim i masując czubkami palców jego kościsty kark, ruchem głowy wskazał drzwi. Wychodząc z pokoju, Petra słyszała, że podjęli na nowo tę szeptaną rozmowę.

– Ach, Ismailu...

– ...Izaaku...

To pewnie nowa technika przesłuchania, pomyślała: trzeba zdobyć zaufanie więźnia i przekonać go, że przesłuchujący jest jego przyjacielem, kimś, komu można się zwierzyć. A kiedy Żyd opuści gardę, Doktor wyciągnie z niego to, czego potrzebuje. Tak, na pewno, właśnie taki jest sens dziwnej więzi, jaka zaczęła się między nimi tworzyć.

Bo czy ktoś rozsądny potrafi wyjaśnić inaczej to, że Doktor pozwala Żydowi zwracać się do siebie po imieniu?

Stęchłe powietrze mieszał duży wentylator pod sufitem. Więzień przeraźliwie krzyknął z bólu. Potem zwiotczał i spuchniętymi ustami wymamrotał werset z Koranu.

– „A wszyscy, którzy zbuntują się przeciw Bogu... i Jego Posłańcowi... dla nich będzie ogień Gehenny”^[53].

Z małego przenośnego radia na półce płynął odgłos przypominający skwierczenie smażącego się tłuszczu. Punktualnie co do minuty trzaski zakłóceń umilkły i rozpoczął się *Głos Palestyny*, popularny talk-show z udziałem słuchaczy.

– Dzieeeeń dobry, Palestyno! – ryknęła do mikrofonu młoda kobieta. – Wszystkim i wszędzie, tym w kraju i za granicą, życzę poranka pełnego miłości i pomyślności. Szczęścia, Palestyno! Dobrze, dzwoni do nas pierwszy słuchacz...

Pokój wypełniły dźwięki znanej palestyńskiej piosenki, które stopniowo ucichły, gdy do stacji w Jerychu zadzwonił ktoś z Hebronu, aby poskarżyć się na brak specjalistów w miejscowych palestyńskich szpitalach.

– U mojej żony zdiagnozowano raka piersi – mówił. – Mój lekarz musiał skontaktować się z żydowskim specjalistą w Jerozolimie i wypytać go o najnowsze metody chemioterapii.

– Jak brzmi pańskie pytanie?

– Dlaczego nasze uczelnie medyczne i szpitale nie wysyłają za granicę więcej młodych lekarzy na kursy specjalistyczne?

– Ależ wysyłają – zaprotestowała prowadząca. – Problem polega na tym, jak ściągnąć ich z powrotem do kraju, kiedy przywykną już do zachodnich zarobków.

– Podkręć głośność – rozkazał Saadat Arif, zastępca szefa wywiadu Autonomii Palestyńskiej. – I daj mu jeszcze jednego kopa.

W centrum palestyńskiej bazy wojskowej Aksa na południowych przedmieściach Jerycha nagi Jussuf Abu Saleh, z przyczepionymi do genitaliów elektrodami, zwisał bezwładnie na skrępowanych z tyłu rękach, które przywiązano do haka w ścianie. Lewe ramię wypadło ze stawu i nieznośnie bolało, ilekroć Saadat ciągnął go dla żartu za kostkę u nogi.

Dał znak młodemu palestyńskiemu policjantowi, który pstryknął włącznikiem, zamykając obwód elektryczny. Jussuf zadławił się z bólu, jego ciało zeszywniało i zadrżało. Z kącików ust popłynęła kredowobiała ślina. Kiedy wyłączono prąd, ponownie zwiotczał i przeraźliwie zawył, gdy zwichnięte ramię napięło się jak struna.

W radiu taksówkarz z Nablusu pytał o brutalność policji.

– Nie twierdzę, że tak jest – mówił – ale wszyscy słyszeliśmy plotki o tym, co się dzieje z tymi, którzy otwarcie krytykują Autonomię Palestyńską.

– W nowym państwie palestyńskim, które właśnie budujemy, nie ma miejsca na brutalność policji – oświadczyła do mikrofonu prowadząca. – Jeśli zna pan jej przykłady, pana świętym obowiązkiem jest powiadomić o tym władze. Zapewniam, że osoby te zostaną surowo ukarane.

Saadat przeszedł przez pokój i spojrzał na Jussufa.

– Jesteś odważnym młodym człowiekiem, przyznaję – powiedział. – Niewielu wytrzymało tak długo jak ty. Jesteś również inteligentny. I wiesz, że w końcu pęknieš. Wszyscy pękają, bez wyjątku. Dlaczego nie zaoszczędzisz sobie bólu? Powiedz nam, kim jest ten ślepy *mudžaddid*. Powiedz, gdzie ukrywa rabina Apfulbauma. W Gazie? Hebronie? Nablusie? Wystarczy, że kiwniesz głową i cierpienie się skończy.

– To pomyłka – jęknął na wpół przytomny Jussuf. – Bierzecie mnie za kogoś innego. Jestem Bośniakiem, nazywam się Kosković Asaf.

Saadat spojrzał na czuwającego w kącie lekarza. Ten podszedł bliżej, stanął na krześle i przytknął słuchawkę do piersi więźnia.

– Dla bezpieczeństwa – powiedział – doradzałbym godzinną przerwę.

Saadat dał znak policjantom, którzy zdjęli elektrody i opuścili Jussufa na cementową podłogę, nie zważając na jego bezwładnie kołyszącą się głowę.

– Nie chcę go stracić – rzucił do lekarza, gdy ten ukląkł przy więźniu i podsunął mu pod nos fiolkę z solami trzeźwiącymi. Jussuf zatrzepotał powiekami, otworzył oczy i z mroczną nienawiścią spojrział na zastępcę szefa palestyńskiego wywiadu.

Saadat pochylił się i szepnął:

– Masz godzinę, żeby przemyśleć beznadziejność swojego położenia. Słyszysz mnie, Saleh? Bądź rozsądny. Za Abu Bakra nie warto cierpieć. Zgoda, pewna doza terroryzmu jest pożyteczna: groźba, że do władzy dorwą się fundamentaliści, wzmacnia nasz obraz jako umiarkowanej alternatywy. Ale terroryzm to kwestia wyczucia czasu i odpowiedniego dawkowania. Jeśli wasz *mudžaddid* pchnie Palestyńczyków do świętej wojny z Żydami, wszystko legnie w gruzach. A jeśli uda nam się nie odstraszyć ich naszymi bombami, porwaniami i groźbą dżihadu, za tydzień będziemy mieli państwo palestyńskie w granicach z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego. Oczywiście, za parę lat przypomnimy Żydom, że nie dostaliśmy tego, co zakładał oenzetowski plan podziału z tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego, że powinna do nas należeć również Akra oraz duża część Doliny Hula i Negewu. A potem, to stosując terroryzm, to wiarygodnie wykazując zdrowy rozsądek, wypchniemy ich za pierwotne granice z czterdziestego ósmego. Za pięćdziesiąt lat z Izraela zostanie wąski pasek wybrzeża bez szans na gospodarcze przetrwanie. Ich państwo umrze. Żydzi, którzy tu jeszcze zostaną, wyemigrują do Ameryki. Pamiętasz ten stary dowcip o tablicy na lotnisku Lod? „Ostatni Żyd opuszczający kraj proszony jest o zgaszenie światła”. Pomyśl o tym. Zwiąż swój los z Autonomią. Powiedz nam tylko, gdzie przetrzymują rabina. W Gazie? Hebronie? Nablusie? Jeśli nie powiesz, będę cię musiał znowu powiesić na haku i pęknie mi serce.

Do radia zadzwonił nauczyciel z Tulkarm.

– Za czasów intifady młodsze pokolenie dało nam przykład – mówił. – Teraz, gdy niepodległe państwo palestyńskie jest niemal w zasięgu ręki, ważne jest, byśmy dali przykład pokoleniu intifady.

– Jak najbardziej – zgodziła się z nim prowadząca. – Z bożą pomocą stworzymy pierwsze prawdziwie demokratyczne państwo arabskie w regionie i będziemy żyli obok Żydów.

Wróciwszy do biura, Saadat zobaczył tam Barucha, który siedział wygodnie w fotelu, czytając ogłoszenia matrymonialne w palestyńskiej gazecie.

– Jak miło, cieszę się, że pan przyjechał. – Wcisnął się za biurko. – Sok owocowy dla mojego przyjaciela Barucha! – zawołał do asystenta. – Tylko niech pan nie mówi, że chce pan wziąć drugą żonę. – Puścił do niego oko.

– Jestem bardzo szczęśliwy z tą, którą mam, dziękuję – odparł Baruch.

Saadat stłumił śmiech.

– Niektórym nie wystarczą cztery, które Koran pozwala wziąć muzułmaninowi. Inni mówią, że jedna to o jedną za dużo.

– Jak wam idzie z Jussufem Abu Salehem?

– Wasi specjaliści od przesłuchań powiedzieliby, że to twarda sztuka. Ale tak, powie nam w końcu to, co chcemy wiedzieć. To tylko kwestia czasu.

– A tego akurat nie mamy – mruknął Baruch.

Znał metody Saadata i gdy o nich pomyślał, zrobiło mu się niedobrze. Czytał raporty Szin Bet na temat tego, co działo się za zamkniętymi drzwiami w bazie Aksa; zastanawiano się nawet, czy nie zrobić przecieku i nie przekazać szczegółów zagranicznej prasie, pomysł jednak zarzucono, uznając, że Saadat i spółka mogą dać Autonomii więcej atutów do walki z islamskimi radykałami. Nie chcąc, żeby zastępca szefa wywiadu zobaczył jego minę, spojrział w okno i pomyślał, że Jussuf brał udział w porwaniu rabina i jego sekretarza, że uczestniczył w zabójstwie czterech młodych Żydów i jednemu z nich obciął palec, żeby zdobyć upominek dla żony.

– Czy w jego aktach jest coś, co mogłoby naprowadzić nas na jakiś trop? Nie chcemy beczynn timer czekać.

Saadat upił łyk soku grapefruitowego i otworzył teczkę.

– Abu Saleh urodził się i wychował w obozie dla uchodźców Kalandia na północ od Jerozolimy. W wieku czternastu lat pracował jako tynkarz, za dnia budując domy dla Żydów na Zachodnim Brzegu, a nocą napadając na żydowskie osiedla i burząc to, co sam zbudował. Pierwszy raz aresztowano go, gdy miał piętnaście lat, za rozdawanie antyizraelskich ulotek. Ot, historia, jakich wiele, mój przyjacielu: podczas pierwszej intifady rzucał kamieniami w wasze czołgi i wstąpił do Hamasu w Nablusie. – Saadat spojrzał na Barucha, jak zwykle z uśmiechem na okrągłej twarzy. – Stworzyliście potwora...

– Niech pan nie kończy, zgadnę – obruszył się Baruch, który tej nocy prawie nie spał. – W sześćdziesiątym siódmym powinniśmy byli przegrać wojnę i dać się wam zepchnąć do morza. Uniknęlibyśmy tych wszystkich problemów.

Palestyńczyk wzruszył ramionami.

– W latach dziewięćdziesiątych zabito mu dwóch braci, a on sam został ranny w strzelaninie z izraelskimi żołnierzami. Skazano go na pobyt w obozie prewencyjnym Ketziot na pustyni Negew, ale uciekł stamtąd w śmieciarce. Wyjechał do Gazy, przekradł się do Egiptu, a stamtąd trafił do Afganistanu, gdzie wstąpił do oddziału mudżahedinów z Al-Kaidy i walczył z Amerykanami. Kiedy talibowie przegrali wojnę, uciekł do Pakistanu, a potem wypłynął w Nablusie z bośniackim paszportem, jako Asaf Kosković z Mostaru; kiedy zgarnęliśmy go w Jerozolimie, miał ten paszport w kieszeni. Naszym zdaniem właśnie w Nablusie uległ urokowi tego samozwańczego ślepcy i uwierzył, że to długo oczekiwany islamski Odnowiciel. Resztę historii chyba pan zna. Hamas okazał się dla niego za mało radykalny, więc zdezerterował wraz z połową swoich towarzyszy z Nablusu i utworzył komórkę wierną ślepcowi. Mniej więcej wtedy przeprowadziliśmy nalot na tę wytwórnię bomb. Mogę panu zdradzić – co mi szkodzi? – że dostaliśmy cynk od miejscowych członków Hamasu, którzy byli na niego wściekli.

– Złapaliście dwóch, ale on się wam wyślizgnął – zauważył Baruch.

– Aaa, widzę, że umiemy nasłuchiwać. Ucho przy ziemi, co?

– W tej części Lewantu tych, którzy tego nie robią, może zasypać piasek.

Saadat usiadł wygodniej i przyjrzał się swojemu gościowi.

– Dziwni z nas sprzymierzeńcy, pan i ja.

– Dlaczego?

– Bo gdybyśmy mieli wybór, nigdy byśmy ze sobą nie współdziałali. – Zerknął na swój wielki zegarek. – Ale nie mamy żadnych złudzeń, dzięki czemu dobrze się nam współpracuje.

– Tak, co do pana nie mam żadnych, to prawda – zgodził się z nim Baruch. – Miałbym również mniej wątpliwości co do nowej Palestyny, gdyby nie rządili nią ludzie tacy jak pan.

– Żydzi zawsze wolą myśleć, że zapredali duszę diabłu, niż zastanowić się nad alternatywą: że to oni są diabłem.

Baruch z odrazą potrząsnął głową; Saadat nie wiedział, bo nie mógł, że czuł tę odrazę do samego siebie.

– Nasza walka o utrzymanie się na powierzchni morza Arabów zmieniła nas, niektórzy twierdzą nawet, że zdemoralizowała. Bylibyśmy inni, gdybyśmy posłuchali Anglików i utworzyli żydowskie państwo w Ugandzie.

Saadat postanowił zmienić temat.

– Sekretarz rabina. Zbliża się termin.

– Umiemy liczyć tak samo jak wy. – Baruch wstał, pochylił się nad biurkiem i napisał coś na białym papieru. – To mój bezpośredni numer. Ostatnio spiam w biurze. Niech pan zadzwoni, jeśli Saleh zacznie mówić.

Saadat zamknął oczy.

– Nie „jeśli”, tylko „kiedy” – powiedział cicho.

W drzwiach wziął Barucha za łokieć.

– À propos. Mam dla pana prezent. Coś po arabsku. Czyta pan po arabsku?

– Tylko ogłoszenia matrymonialne.

Saadat podał mu jakąś karteczkę.

– Znaleźliśmy ją w portfelu Abu Saleha. Moi ludzie nie wiedzą, po co ją nosił, chyba że jest to zaszyfrowana wiadomość. – Ruszył z powrotem do biurka i nagle odwrócił się na pięcie. – Aha, jeszcze jedno: zabito dwudziestego czwartego kolaboranta, niejakiego Hadża, który handlował walutą i pilnował walizek turystów pod Bramą Damasceńską. Zginął od pojedynczej kuli kalibru pięć przecinek sześć, którą wpakowano mu w głowę tuż za uchem. Rodzina twierdziła, że zmarł na atak serca i żeby uniknąć wstydu, chciała pochować go szybko i po cichu. Ale zwietrzyliśmy pismo nosem i zrobiliśmy sekcję zwłok. – Tłustą twarz Saadata rozciągnął przebiegły uśmiech. – Nie tylko wy chodzicie z uchem przy ziemi.

– To on widział, jak żona Jussufa Abu Saleha macha do męża – skonstatował cicho Baruch. – Gdzie go zabito?

– Gdzieś w Państwie Palestyny.

Baruch wciągnął do płuc ciepłe powietrze bijące zza drzwi.

– Nie ma takiego państwa.

Saadat uniósł brwi.

– Za niecały tydzień będzie.

Gdy minęła godzina, wrócił do pokoju przesłuchań.

– Przejrzałeś na oczy? – spytał więźnia.

Abu Saleh klęczał na podłodze, oddając mocz do plastikowego kubła. Z trudem poruszył spuchniętymi ustami.

– Nazywam się Kosković Asaf. Bierzecie mnie za kogoś innego.

Ruchem łysej głowy Saadat wskazał hak w ścianie.

– Powiesić go – rozkazał policjantom.

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Ponieważ opublikują to dopiero za dwadzieścia pięć lat, chyba mogę wam o tym opowiedzieć. Pierwszy raz w życiu brałem udział w spotkaniu rodem z filmów płaszcza i szpady albo powieści szpiegowskich. Zaczęło się od tego, że samolot naszych sił powietrznych – w manifeście figurowałem jako komandor podporucznik Philip Francis Queeg^[54] (ktoś z wydziału operacyjnego ma przednie poczucie humoru) – zawiózł mnie do Paryża. Agenci CIA przeprowadzili mnie przez odprawę na Le Bourget i dwóch uzbrojonych policjantów, którzy mieli akurat służbę, zasalutowało mi, zamiast poprosić mnie o paszport. Przed świtem samochód z ambasady zawiózł mnie opustoszałymi bulwarami na Rue de la Ferme w Neuilly. Dwóch ostrzyżonych po wojskowemu młodych mężczyzn z małutkimi plastikowymi słuchawkami w uszach zaprowadziło mnie do mieszkania kryjówki na trzecim piętrze domu. Mieszkanie urządzono w stylu à la nowoczesne CIA: kamery ukryto za lustrami weneckimi, mikrofony w bukietach plastikowych kwiatów. Metalowe żaluzje wyglądały tak, jakby je zespawano. Na okrągłym stole stała taca z małutkimi kanapkami i dzbanek soku jabłkowego.

Punktualnie o piątej w drzwiach stanęła krępa, krewka i piękna kobieta nazwiskiem Lamia Ghuri. Usiedliśmy, rozlałem sok i podałem jej szklanę.

– Pani zdrowie – powiedziałem.

Madame Ghuri – z akt wiedziałem, że ma czterdzieści dwa lata – była jedyną córką Palestyńczyka i Jordanki. Wiedziałem również, że studiowała historię Rosji i marksizm na Sorbonie, że wyszła za tajemniczego Libańczyka, który dostarczał rosyjską broń i materiały wybuchowe laickim frakcjom palestyńskim, dopóki władze Autonomii Palestyńskiej – pod

naciskiem Amerykanów – nie wzięły się i za nie, i za niego. Dla lewicowych palestyńskich radykałów była passionarią.

Tręciliśmy się szklankami.

– Lechaim – rzuciła z psotnym błyskiem w ciemnych oczach.

Trochę mnie to zaskoczyło.

– Palestynka taka jak pani wznosi toast po hebrajsku? Przyznaję, że to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem.

– Nasz spór nie dotyczy hebrajskiego ani Żydów, którzy się nim posługują – odparowała. – Mamy pretensje do syjonistycznych kolonialistów, którzy odebrali nam ziemię, którzy nas poniżyli i którzy teraz, wspomagani i podżegani przez Autonomię Palestyńską, przypartą do muru przez waszą panią prezydent, oczekują naszej wdzięczności za garść nędznych okruszków.

– Będziecie mieli swoje państwo – powiedziałem. – Dostaniecie dziewięćdziesiąt cztery procent ziemi, którą Izrael odebrał wam w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym podczas wojny sześciodniowej. Większość osiedli na Zachodnim Brzegu zostanie albo zlikwidowana, albo, jeśli mieszkający tam Żydzi zdecydują się pozostać, przejdzie pod wasz zarząd. To chyba nie okruszki.

Lamia Ghuri uśmiechnęła się leciutko i ku swojemu zdumieniu dostrzegłem w tym uśmiechu cień rozbawienia, jakby śmiała się z jakiegoś dowcipu.

– Wszystko zależy od punktu widzenia – odrzekła. – Proponuje nam się suwerenność na terenie dwudziestu pięciu procent Palestyny sprzed tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego. Proponuje nam się kontrolę nad Wzgórzem Świątynnym, kontrolę, ale już nie suwerenność. Proponuje nam się mniej niż połowę wody, chociaż pod naszymi miastami i wsiami na Zachodnim Brzegu są jej bogate złoża. Trzy i pół miliona palestyńskich uchodźców musiało usłyszeć od nas, że nie wolno im będzie wrócić do swojego domu w Izraelu. Musieliśmy zgodzić się na ograniczenie importu broni i przekazać Izraelczykom kontrolę nad naszą przestrzenią powietrzną. Dla mnie to okruszki.

– Palestyńczycy, w których imieniu pani mówi, przyjęli te warunki...

– Mówię tylko w imieniu swoim i mojego męża.

– Gdyby to była prawda, nie przyleciałbym tu aż ze Stanów.

– Kiedy mówię, że tak jest, to tak jest.

Wziąłem chyba głęboki oddech, bo zawsze to robię, kiedy ktoś kłamie mi w żywe oczy, udając, że mówi szczerze.

– Dobrze. Mówi pani tylko w imieniu swoim i męża. A jednak stanowisko, jakie mimo zastrzeżeń zajęliście w sprawie traktatu pokojowego, miało olbrzymi wpływ na niektórych Palestyńczyków.

– Podobno. Ale nie umiem tego potwierdzić.

– Zostawmy sprawę traktatu, wszystko jest już ustalone. Porozmawiajmy o Abu Bakrze. O porwaniu rabina...

Znowu zapomniałem, jak się nazywa, więc mi podpowiedziała.

– Apfulbauma.

– Właśnie, Apfulbauma. Rozumiem, że w sprzyjających okolicznościach pani i pani mąż bylibyście skłonni użyć swoich niewielkich wpływów... – Wypowiadając dwa ostatnie słowa, z trudem zachowałem kamienną twarz.

Uśmiechnęła się leciutko, czekając na ciąg dalszy.

– Abu Bakr, kimkolwiek jest, nie wygląda na palestyńskiego patriotę, co znaczy, że nie interesuje go świeckie państwo rządzone przez wybranych przedstawicieli odpowiadających przed narodem. On chce państwa islamskiego na islamskim Bliskim Wschodzie, państwa rządzonego przez mułłów, którzy odpowiadają tylko przed Bogiem. Doniesiono mi – tu zacytowałem fragment raportu CIA, który przysłano mi przed spotkaniem – że pani i pani mąż, oraz wielu jego byłych klientów czulibyście się nieswojo w islamskim państwie. Co więcej, że jako jedni z pierwszych zostalibyście prawdopodobnie uwięzieni, a może nawet straceni przez jego przywódców, którzy chcieliby ukarać dla przykładu najbardziej prominentne świeckie osobistości. Robili tak ajatollahowie po przejęciu władzy w Iranie. I talibowie w Afganistanie.

– Pańska analiza jest bardzo wyrachowana – zauważyła Lamia Ghuri. I dodała cytat, według niej z Koranu: – „Jeśli będziesz się usprawiedliwiał, nie dostaniesz w nagrodę wielbłądów”.

– Wyrachowana nie znaczy nietrafna.

Przez całą tę (muszę się do tego przyznać) dobrze przećwiczoną prezentację Lamia Ghuri patrzyła mi prosto w oczy. Teraz po raz pierwszy uciekła wzrokiem w bok, a jej uśmiech, zdawało się, że przyklejony na stałe do ust, powoli zgasł. Nagle bardzo się postarzała i dostrzegłem brzemień stresu i napięcia, z jakim muszą żyć ludzie tacy jak ona. Gdy się w końcu odezwała, była już mniej pewna siebie.

– Gdybyśmy wiedzieli, kim ten człowiek jest, informacja ta na pewno by do was dotarła. Gdybyśmy byli w stanie go powstrzymać i ocalić rabina Apfulbauma, na pewno byśmy to zrobili.

Fatalistycznie pokiwałem głową. Spotkanie z Lamią Ghuri było krokiem mającym małe szanse powodzenia. Ale stawka była wysoka i musieliśmy spróbować wszystkiego. Podsunąłem jej tacę z kanapkami, lecz się nie poczęstowała.

– Dziękuję, że zechciała pani się ze mną spotkać – powiedziałem, lecz najwyraźniej błędziła myślami gdzie indziej.

Siedziała, cicho oddychając, wydawało się, jakby minęła cała wieczność. Nie wiem dlaczego, ale miałem wrażenie, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę, co – wiem o tym z doświadczenia – nie wróżyło nic dobrego. W końcu kiwnęła głową, głośno odsunęła krzesło, sztywno wstała, wyprostowała ramiona i lekko przekrzywiła głowę. (Pamiętam te wszystkie szczegóły, ponieważ po jej wyjściu oglądałem tę scenę na filmie).

– Jest lekarzem – powiedziała cicho.

Muszę przyznać, że nie miałem najmniejszego pojęcia, o czym mówi.

– Ale kto? – spytałem jak idiota.

– Abu Bakr. Powiadają, że ma na czole znak Allacha i jest lekarzem.

Wstałem.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani od razu?

Zwilgotniały jej oczy.

– Niełatwo jest zdradzić Palestyńczyka, nawet takiego, którego wizja Palestyny może cofnąć nas o setki lat. Dla wielu z nas utworzenie suwerennego państwa to dopiero początek walki. Naszym ostatecznym celem jest wyciągnięcie Palestyny z fundamentalistycznego bagna i wprowadzenie jej w dwudziesty pierwszy wiek. Żegnam, panie Sawyer. Nie lubię Amerykanów. Nie podoba mi się wasza pani prezydent. Ani pan. Mam nadzieję, że już się nie spotkamy.

Mosze Briscoe, irlandzki Żyd, szef jednego ze sztandarowych wydziałów Szin Bet, kipiał gniewem. Baruch, który przelotnie go znał – po raz pierwszy skrzyżowali miecze, gdy przydzielono im śledztwo w sprawie samobójczego zamachu przeprowadzonego przez Hamas – słyszał, jak połyka końcówki słów.

– Przejdźmy na szyfrowanie – warknął; w hierarchii aparatu bezpieczeństwa stał wyżej niż byle gliniarz z Jerozolimy. Odezwał się po chwili, ziejąc ogniem. – Dzwonię w sprawie tego amerykańskiego dziennikarza Sweeneya...

– Co Sweeney ma wspólnego z...

– Kazałem założyć podsłuch w jego telefonie...

– Zatwierdziłeś...

– Mam prawo zatwierdzić podsłuch u wszystkich tych, którzy mogą doprowadzić nas do terrorystów.

– Słyszałem, że Sweeney jest dziennikarzem.

– Ten facet kocha Arabów.

– Co nie znaczy, że nienawidzi Żydów.

– Dzwonił do niego Arab mówiący po angielsku...

– Skąd wiesz, że Arab, jeśli mówił po angielsku?

– Może mówić po mandaryńsku, a i tak będę wiedział, że to Arab. Zaproponował mu wyjazd do Azy, miał dla niego jakąś sensację. Przypuszczamy, że chodziło o wywiad z tym najważniejszym.

Baruch nie odpowiedział.

– Słyszysz? Tym najważniejszym, Abu Bakrem, mechabelem, który porwał Apfulbauma! Z artykułu, który Sweeney napisał po wypadzie do

Azy, wynika, że Abu Bakr może być również tym słynnym odnowicielem.

– Nie rozumiem...

– Po palestyńskiej stronie przejścia w Erezie na Sweeneya miał czekać komitet powitalny. Rozstawiłem tam ludzi, żeby śledzili go, kiedy nawiąże kontakt z szoferem. Musiał zaparkować po izraelskiej stronie, bo wóz wciąż tam jest. Sęk w tym, że na arabską nie dotarł. Rozpłynął się w powietrzu.

Baruchowi krew pulsowała w skroniach.

– Mosze, posłuchaj mnie uważnie – powiedział lodowato. – Nie wiem, co teraz robisz, ale mi nie przerywaj. Kiedy powiem ci to, co mam ci do powiedzenia, odłożę słuchawkę i zadzwonię do katsy. Elihu zadzwoni do przewodniczącego komisji do spraw wojskowych przy premierze, kanalii nazwiskiem Zalman Cohen. Piętnaście minut później zadzwoni do ciebie premier, osobiście. Powie ci dokładnie to, co ja, tylko nie tak grzecznie. Zejdź ze Sweeneya. Nie podsłuchuj jego telefonów, nie wysyłaj za nim ludzi, nie zadawaj pytań i się nie stawiaj. Nadepnąłeś Elihu na odcisk. Wycofaj się, zanim zrobi z ciebie miazgę. Jeszcze raz wymienisz nazwisko Sweeneya i skończysz na ulicy, szukając pracy. W innym kraju.

Briscoe dyszał tak ciężko, jakby chcąc odebrać telefon, przebiegł przez trawnik za domem. Kiedy się w końcu odezwał, słychać było, że z trudem panuje nad gniewem.

– Nie podoba mi się ten ton, nie wspominając już...

Baruch nacisnął palcem widełki, zaczekał na sygnał i wybrał numer w Jafie. Bosonoga contessa w minispódniczce, która zapomniała kupić chudej śmietanki, połączyła go z katsą. Przeszli na szyfrowanie i Baruch szybko zapoznał go z sytuacją.

– Natychmiast dzwonię do Cohena – powiedział Elihu.

– My też mieliśmy ludzi po palestyńskiej stronie Erezu. Nie zauważyli ani agentów Briscoego, ani Sweeneya.

– O tej porze do Azy wracało dwanaście tysięcy palestyńskich robotników. Tamci zaplanowali to tak, żeby zniknął w tłumie.

Dobrze się znali i Baruch wiedział, że *katsa* próbuje to sobie wmówić i nie potrafi.

– To już prawie dwadzieścia cztery godziny – powiedział. – Powinniśmy coś mieć.

– Aza jest duża – mruknął cicho Elihu i się rozłączył.

Baruch zamówił kanapkę i piwo i jeszcze raz przeczytał ostatni list od syna, który wybrał się z kolegami w Himalaje, aby uczcić koniec trzyletniej służby wojskowej. „Jeśli uda nam się kupić od szerpów butle z tlenem – pisał Ami – spróbujemy wejść na sześć tysięcy metrów. Jeśli nie, zostaniemy na czterech i będziemy podziwiali widok, prawie taki sam jak ten z góry Hermon. Na miłość boską, tylko się nie denerwuj! Nie zrobię nic, czego ty nie zrobiłbyś w moim wieku. (Co daje mi sporo luzu!)”.

Baruch nie mógł się nie uśmiechnąć. Kiedy był w wieku syna, miał już za sobą udział w wojnie i kilka wypadów na drugi brzeg Jordanu, opłynął frachtowcem przylądek Horn i pół roku włączył się po Tajlandii i Laosie. Wyjeżdżał z Izraela, myśląc, kto wie, może już tu nie wróci. (Myślał tak prawie każdy Izraelczyk wyjeżdżający za granicę, choć nie wracało bardzo niewielu). Bo kto by chciał przeżyć życie w szybkowarze? Zmarszczył czoło. Obcokrajowcy nie rozumieli, w jakim napięciu żyją jego rodacy od dnia narodzin. Izraelczycy rodzą się starzy i szybko przybywa im lat. Czują ciężar na swych ramionach już wtedy, gdy chodzą na czworakach wokół kołyski. Baruch odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzał przez okno na żydowską Jerozolimę. Biuro mieściło się na trzynastym piętrze i widział stąd czarną bliznę na jezdni, gdzie zamachowiec samobójca wysadził w powietrze autobus numer osiemnaście, zabijając dwudziestu sześciu Żydów i raniąc pięćdziesięciu innych. Żyjemy na krawędzi, pomyślał, otoczeni milionami ludzi, którzy chętnie by nas wytepełili, gdyby tylko mogli. Świat tego nie rozumie, ale my mamy to w trzewiach od chwili, gdy w przedszkolu uczą nas chować się pod ławkę i zasłaniać głowę, kiedy zawyją syreny. Moja córka rozumiała to, czekając na autobus w Beit Lid, mój syn rozumie to, wspinając się coraz wyżej i wyżej w Himalajach, aby choć na kilka dni wyrwać się z tego świata. Nasi

wrogowie nie chcą nas podbić. Chcą nas eksterminować. Dlatego nie możemy pozwolić sobie na błędy ani podczas wojen, ani w walce z terroryzmem, ani w nabywaniu broni, ani w wydatkach budżetowych, ani w niekończących się sporach dyplomatycznych. Codziennie dokonujemy tysiąca wyborów i muszą to być wybory trafne, jeśli nie chcemy skończyć jako ofiary drugiego Holokaustu. Młody Izraelczyk wychodzący z wojska ma dość podejmowania absolutnie słusznych decyzji – chce mieć luksus popełniania sporadycznych błędów, cofania się i swobodnego ich naprawiania.

Ale właśnie tego ciężaru nie możemy zrzucić z ramion.

Baruch głęboko odetchnął, raz i drugi. Pokręcił głową, roześmiał się cicho i rozłożył kartkę, którą Saadat znalazł w portfelu Jussufa Abu Saleha. Napisana atramentem mała siódemka w prawym górnym rogu – nie miał pojęcia, co oznacza. Czy był to numer strony? A może jej siódma kopia? Jeden z młodych bystrych arabistów z głębi korytarza pobieżnie przetłumaczył tekst i okazało się, że jest to podręcznikowy opis neuronu, komórki nerwowej człowieka. Składa się z ciała, otoczki, w której początek bierze wszelka jej aktywność. Od ciała odchodzą wypustki, tak zwane dendryty. Dendryty i akson, długie pojedyncze włókno odpowiedzialne za przekazywanie informacji z ciała komórki do kolejnych neuronów. Poszczególne komórki nie stykają się ze sobą: informacje są odbierane przez synapsy leżące w miejscach, gdzie neurony się do siebie zbliżają.

Jeśli Saadat miał rację, jeśli rzeczywiście była to zaszyfrowana wiadomość, Izraelczycy z nią sobie nie poradzą. Islamscy ekstremiści do mistrzostwa opanowali prymitywny, lecz niedający się złamać jednorazowy system polegający na szyfrowaniu i rozszyfrowywaniu wiadomości za pomocą losowego klucza, istniejącego tylko w dwóch egzemplarzach: jeden miał ten, kto wiadomość wysyłał, drugi ten, kto ją odbierał. Na domiar złego klucza używano tylko raz, a potem go niszczone.

Baruch przeczytał tekst jeszcze raz. I nagle uświadomił sobie, że ten krótki opis rodem z podręcznika do biologii jest niezwykle dokładnym opisem komórki terrorystycznej. Rozkazy powstawały w jądrze. Roznosiły

je odchodzące od komórki dendryty, czyli działacze. Polecenia do innych komórek przekazywano aksonem, który wijąc się jak wąż, pełznął w kierunku innych komórek, lecz ze względów bezpieczeństwa się z nimi nie stykał. Informacje przeskakiwały przez szpary, odstępy, czyli synapsy. Jeśli Jussuf Abu Saleh był dendrytem – być może dendrytem numer siedem! – to kulawy szewc z zakładu naprzeciwko meczetu El Khanqa w Dzielnicy Chrześcijańskiej Starego Miasta musiał być synapsą, odstępem, przez który przekazywano informacje bez konieczności nawiązywania bezpośredniego kontaktu z innymi komórkami. Jeśli mam rację, pomyślał Baruch, jeśli rzeczywiście jest to schemat organizacyjny brygady Abu Bakra, na pewno nie sporządził go Jussuf Abu Saleh, który przed wstąpieniem w szeregi muzułmańskich aktywistów był zwykłym tynkarzem. Skoro nie on, mógł to zrobić tylko ten najważniejszy, by zacytować Briscoe'a: sam Abu Bakr! Abu Bakr, niemal ślepy ekstremista ze znakiem Allacha na czole. Abu Bakr, samozwańczy stróż prawa, który osobiście zastrzelił dwudziestu czterech kolaborantów pojedynczą kulą kalibru pięć przecinek sześć dziesiątych milimetra, jak ujął to Elihu na pierwszej naradzie grupy roboczej, „z chirurgiczną precyzją wystrzeloną z przystawienia w *medulla oblongata*, rdzeń przedłużony kontrolujący pracę serca i oddychanie”. „Ten opis – zauważył Baruch, gdy *katsa* opowiedział im, jak to podczas porwania niski, krępy mężczyzna o krótko ostrzyżonych włosach, ubrany w długą białą galabiję i marynarkę, przytknął ucho do ust leżącego na drodze rannego żydowskiego kierowcy – może świadczyć o tym, że facet jest pielęgniarzem albo sanitariuszem”.

Natarczywie zadzwonił telefon. Nie chcąc, żeby mu przerywano, Baruch nie odebrał. Ale po chwili z rezygnacją wzruszył ramionami i podniósł słuchawkę.

– To pan?

Baruch natychmiast rozpoznał ten głos i usiadł prosto.

– Tak, panie premierze.

– Proszę przejść na szyfrowanie.

Baruch nacisnął guzik.

– Już.

– Nie wiem, czy to, co powiem, wam pomoże. Dostałem właśnie tajną depezę od Sawyera, prezydenckiego doradcy...

– Wiem, kto to jest, panie premierze.

– Depesza jest krótka i treściwa. Amerykanie mają podstawy sądzić, że Abu Bakr jest lekarzem.

Baruch milczał.

– Słyszysz mnie pan?

– Tak, panie premierze.

– Czy to przydatny szczegół?

– Możliwe. Dziękuję za telefon.

Premier się rozłączył.

Baruch odchylił się do tyłu. Oczywiście! Nie pielęgniarz czy sanitariusz, tylko lekarz!

– Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? – Wystraszył się własnego głosu.

Bo kto, jak nie lekarz znałby anatomię na tyle dobrze, by zabijać kulą małego kalibru wystrzeloną prosto w rdzeń przedłużony? Kto, jak nie lekarz znałby biologię, by stworzyć komórkę terrorystyczną na wzór ludzkiej?

Chwycił blok powlekanego papieru i w lewym górnym rogu szybko napisał: „Od, Do, Temat”. Potem zaadresował notkę do braci Karamazow z wydziału badawczego i napisał: „Niski, krępy, prawie ślepy religijny muzułmanin, który siedział w izraelskim więzieniu zadenuncjowany przez kolaboranta, studiował medycynę. Czy to zawęzi liczbę poszukiwanych?”.

Podpisał rozkaz i położył go na biurku Absaloma, pod plastikową doniczką z plastikowym geranium. Wrócił do siebie wykończony fizycznie i psychicznie, tak zmęczony, że chyba nie mógłby zasnąć. Wziął mały kryształowy kieliszek, który jego zmarły teść przywiózł z Wilna, gdy wyemigrował do Izraela, napełnił go trzygwiazdkowym koniakiem ze wzgórz Golan, postawił telefon na podłodze, tak aby mieć go w zasięgu

ręki, i wyciągnął się na kozetce. Gdyby była tu jego żona, pewnie rzuciłaby coś zgryźliwego na temat butów. Jęknęłaby: „To, że terroryści porywają Izraelczyków, to jeszcze nie powód, żebyś kładł się w brudnych butach na czystą kozetkę”. Rozwiązałyby sznurówki, zdjęła je i przykryła mu nogi kocem. Potem puściłaby jeden z późnych kwartetów smyczkowych Beethovena na nowym odtwarzaczu, który dostał od córki na swoje ostatnie urodziny, i usiadłaby w bujaku, by odpędzić od niego złe duchy. A on leżałby z otwartymi oczami, próbując przetrząsnąć pomost między możliwościami a prawdopodobieństwem.

Briscoe podniósł słuchawkę, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek. Premier musiał wybrać numer osobiście, bo od razu usłyszał jego ochryply zrzędlivy głos.

– To pan?

– Tak, panie premierze.

– Sweeney, ten dziennikarz, dla was nie istnieje. Żadnych podsłuchów i żadnej inwigilacji, ani elektronicznej, ani innej. Szin Bet się nim nie interesuje. Czy wyrażam się jasno i wyraźnie?

– Tak, panie premierze.

– W ciągu godziny goniec przyniesie panu pisemny rozkaz. Jeśli pana wydział zlekceważy choćby najmniejszą jego część, niech pan nie traci czasu na wyjaśnienia i od razu składa rezygnację. Przyjmę ją, zanim do mnie dotrze. Jakies pytania?

– Całe mnóstwo, ale wiem, że lepiej ich nie zadawać.

Premier zlagodniał.

– Jak tam rodzina, Mosze?

– Dobrze.

– Syn wciąż u saperów?

– Tak.

– Musisz się denerwować.

– Bardzo. Zamartwiam się na śmierć o niego, zamartwiam się na śmierć o rabina Apfulbauma, zamartwiam się na śmierć o jego sekretarza.

– Ja też, Mosze. Ja też.

Sekretarzowi skończył się czas.

– Dokąd mnie zabieracie? – wyszłochał spod kaptura, kiedy Aziz rozwiązał mu nogi i pchnął go w stronę drzwi. – Nie chce mi się siusiu. Na miłość boską, rabe, nie siedź tak, powiedz coś! Spytaj ich, dokąd mnie zabierają!

Usłyszał przytłumiony głos rabina:

– No więc dokąd go zabieracie?

– Nie ma powodu do niepokoju – zapewnił ich łagodnie Doktor. Ponad dachami miasta popłynęło nagrane zawołanie muezina wzywającego wiernych na wieczorną modlitwę do meczetu El Khanqa. – On cuchnie. A tuż pod nami jest stara arabska łaźnia publiczna. Idzie pod prysznic.

– Oj, oj! – jęknął Efraim. – Naziści mówili tak Żydom w Auschwitz. – Wymacał palcami klamkę u drzwi. Uczepił się jej i ze wszystkich sił zaparł nogami o podłogę. – Na miłość boską, rabe, zrób coś! – błagał.

W pokoju rozległ się dziwnie obojętny lament rabina:

– „Jest czas rodzenia i czas umierania...”^[55].

Aziz oderwał od klamki palce Efraima i to wlokąc go, to popychając, poprowadził do wyjścia. Jego brat, uzbrojony w webleya Aown, znowu zapędził Sweeneya na strych, gdzie dziennikarz miał zaczekać na koniec całodziennego postu i kolejną rozmowę z Apfulbaumem. Aziz otworzył kopniakiem drzwi, zamknął je, brutalnie pchnął Efraima na ścianę i przycisnął go do niej policzkiem. Doktor stanął tuż za nim. W prawej ręce miał mały pistolet z rękojeścią z masy perłowej, a lewą wsunął pod kaptur i wymacał wyrzuczenie kości za uchem.

– W imię Boga Miłosiernego, Litościwego! – zaintonował łamiącym się głosem. – „O wy – niewierni! Ja nie czczę tego, co wy czcicie, ani wy nie

jesteście czcicielami tego, co ja czczę”^[56].

Petra stała obok z dużym ręcznikiem do zbierania krwi. Miała kamienną twarz.

Efraim nie potrafił zapanować nad dygotaniem ramion. Wydał długi, przytłumiony jęk przerażenia. Potem gwałtownie wciągnął powietrze i zaczął recytować jedyne słowa z Tory, jakie zdołał sobie przypomnieć.

– ...*yisro’eyl... adojnoj... elohejnu... adojnoj...*

Doktor przerwał mu jednym ze swoich ulubionych wersetów z Koranu.

– „Wy macie waszą religię, a ja mam moją religię”^[57].

Podniósł pistolet, przytknął lufę do kaptura za jego uchem i zabierając lewą rękę, nacisnął spust. Wystrzał był ledwo słyszalny. Ale potem kat zrobił coś, czego wykonując wyrok, nigdy nie robił: gdy Aziz chwycił martwego Żyda pod pachy i opuścił go na podłogę, Doktor zaczął niepohamowanie chichotać.

Petra pochyliła się nad zwłokami i przycisnęła ręcznik do szyi Efraima, żeby zebrać krew sączącą się spod kaptura. Potem wraz z Azizem szybko zawinęła ciało w stary dywan. Aziz bez słowa zarzucił go na ramię, zbiegł schodami na dół, wyszedł na dach i po dachach ruszył w stronę ulicy, gdzie parkowała furgonetka z angielskim napisem „Najlepsze beduińskie szaty i dywany”.

Z ręką na uchwycie webleya za pasem Aown otworzył nogą drzwi i stanął z boku, żeby przepuścić amerykańskiego dziennikarza. Sweeney wszedł do środka i zobaczył rabina kołyszącego się na krześle w pozbawionym okien pokoju, oświetlonym nagą żarówką zwisającą z sufitu na plecionym kablu. Ćmiąc grubego papierosa, Doktor ściągnął kaptur z głowy Apfulbauma. Skrzypek na dachu postarzał się dobre dwadzieścia lat, odkąd Sweeney widział go ostatni raz: włosy zrzedły mu i posiwiały, pod oczami miał wielkie wory, skóra na wierzchu dłoni pomarszczyła się i zwisała. Głosem to wznoszącym się, to opadającym jak znużone morskie fale rabin modlił się cicho, przesuwając kościstymi palcami srebrzyste paciorki różańca.

Doktor pociągnął go łagodnie za rękaw zmiętej marynarki.

– Masz gościa, Izaaku. – Usiadł na krześle naprzeciwko zakładnika i wskazał Sweeneyowi taboret, który Aown wnosił akurat do pokoju.

Modlitwa ucichła.

– To dzień czy noc?

– Dobrze wiesz, *ja'ani*, że zawsze przychodzę wieczorem.

Apfulbaum otworzył jedno oko i spojrzał na Sweeneya, nie skupiając na nim wzroku.

– Więc kim jest ten gość? – wychrypiał.

– To ja, Max Sweeney. Przeprowadzałem z panem wywiad w dniu, kiedy był pan w Yad Mordechaj, tuż zanim...

Rabin otworzył drugie oko.

– Niech pan dokończy, niech pan dokończy. Tuż zanim zatrzymaliśmy się, żeby pożyczyć benzynę tym śmierdzącym ultraortodoksom. Myśli pan pewnie, że zapomniałem, ale ja pamiętam. Pamiętam, że ten wysoki mówił

po hebrajsku ze śmiesznym akcentem i wciąż czuję ukłucie igły na ramieniu. – Apfulbaum przekrzywił głowę w stronę krzesła swojego sekretarza. – Efraim, do cholery! Przecież powiedziałem ci wyraźnie, żebyś nie umawiał mnie z nim na drugi wywiad, dopóki nie zobaczę, co napisał o mnie w pierwszym. – Prychnął z niezadowoleniem. – Do roboty albo wynocha!

Doktor odchrząknął.

– Boję się, że twój sekretarz... wybrał to drugie.

– Wyniósł się? – spytał tępo rabin. Przeczesał palcami włosy. – Niby dokąd?

– Przy odrobinie szczęścia do nieba.

Sweeney zapisał to w notesie i zerknął na puste krzesło. Na widok płóciennych taśm, które jeszcze niedawno krępowały nogi Efraima, zrobiło mu się niedobrze. Głośno przełknął ślinę i kilka razy głęboko odetchnął.

Apfulbaum wciąż zmagał się ze znaczeniem słów Doktora.

– Poszedł do... nieba?

– Jest czas rodzenia i czas umierania, *ja'ani*.

Czoło rabina pokryło się zmarszczkami, oczy wyszły z orbit.

– Aaa, rozumiem. Dlaczego nie mówisz prosto z mostu? Odcieleśniłeś go! – Ponieważ Doktor nie odpowiedział, wzburzony Apfulbaum pokręcił głową i zaczął gwałtownie przesuwać palcami wytarte paciorki różańca. – Ale nie jestem zaskoczony. Termin to termin. Sprawa zachowania wiarygodności. A więc biedny Efraim się wyniósł... Co znaczy, że następny w kolejce jestem ja. Ha! Proszę bardzo, w każdej chwili! Wbrew powszechnej opinii umierający chcą rozmawiać o śmierci. Ludzie unikają tego tematu, bo wprawia ich w zakłopotanie. Ale tak przyziemne sprawy jak zakłopotanie nas nie dotyczą, my jesteśmy ponad to. Porozmawiaj ze mną o śmierci, Ismailu. Powiedz, jak chcesz mnie odcieleśnić.

– Wszystko w swoim czasie, później będziemy się o to martwić...

Sweeney ze zdumieniem stwierdził, że inicjatywę przejął zakładnik. Że tryska energią, podczas gdy porywacz jest wycofany i czuje się nieswojo.

– Darujmy sobie te frazesy – wybuchnął gniewnie rabin. I krzyknął: – Chcę, żebyś opisał mi moją egzekucję! – Uspokoił się, podniósł głowę i przez zaciśnięte zęby syknął: – Szczegóły, Ismailu, podaj szczegóły!

Doktor przysunął się do niego z krzesłem.

– Robię to sam – powiedział. – Własnoręcznie.

Apfulbaum westchnął.

– To dobrze. Cieszę się, że nie jakiś brudny Palestyńczyk. Ulżyło mi.

– Jeśli do tego dojdzie, a głęboko wierzę, że nie, ale gdyby miało do tego dojść, zapewniam cię, że z medycznego punktu widzenia koniec jest zupełnie bezbolesny. Małokalibrowy pocisk przebija najniższą część pnia mózgu, która kontroluje pracę serca i oddychanie. Śmierć jest natychmiastowa.

– Nie próbujesz mnie pocieszać? Nie mówisz tego, bym zachował zimną krew?

– Allah świadkiem, Izaaku. Daję ci słowo muzułmanina.

Rabin przyjął to skinieniem głowy. Spojrzał na Sweeneya i niecierpliwie rzucił:

– Coś panu powiem. Niech pan uważnie słucha. Możesz pan notować, tylko nie przekreśl pan mojego nazwiska: Apfulbaum, z „f” po „p”. Jeśli nie zrobisz pan błędu, zmartwychwstanie mam jak w banku, albo zwrócisz mi pan kasę. No więc mówię: w innym wcieleniu mógłbym go polubić. Jego, tego tu. Jest jednym z wybrańców, jednym z nas.

Zdumiony Sweeney podniósł wzrok.

– Nie bardzo rozumiem...

Ale zamiast Apfulbauma odezwał się Doktor.

– Izaak chce powiedzieć, że podczas tych długich trudnych rozmów nawiązała się między nami nić sympatii.

– Ale sympatii – dodał szybko rabin – niemającej nic wspólnego z tymi bzdurami o porwanych, którzy zakochują się bez pamięci w porywaczu. Tamto to banał i płycizna.

– Chodzi o coś prostszego, a jednocześnie bardziej złożonego – wyjaśnił Doktor.

– Na tych spornych terenach – ciągnął Apfulbaum – odkryliśmy nie tylko angielską ziemię niczyją, ale i wspólną płaszczyznę.

– Wspólną płaszczyznę? – Sweeney nic z tego nie rozumiał.

– Patrząc wstecz – mówił dalej rabin – widzę, że to było nieuniknione. Przecież już na pierwszy rzut oka widać, że łączy nas wiele podobieństw. Obaj jesteśmy obrzezani. Obaj piszemy od prawej strony do lewej...

– Bez spółgłosek – wtrącił Doktor.

– Bez spółgłosek – powtórzył Apfulbaum. – Obaj nie jadamy wieprzowiny. Obaj modlimy się do tego samego Boga, ja trzy razy dziennie, Ismail pięć. Obaj wierzymy, że Pismo Święte jest Słowem Bożym. A to tylko wierzchołek góry lodowej.

– To prawda – zgodził się z nim Doktor – kryje się za tym coś więcej. Kwintesencją żydowskiej wiary jest szósty rozdział Deuteronomium, Piątej Księgi Mojżeszowej: *Szema*, którą odmawia się podczas liturgii porannej i wieczornej. – Zdjął okulary i masując palcami oczy, wymruczał: – „Słuchaj, Izraelu! Pan jest Bogiem naszym, Pan jedynie!”. Niczego nie pomyliłem?

– A kwintesencją wiary islamskiej – wyjaśnił rabin, z trudem wypowiadając słowa spierzchniętymi ustami – jest *Szahada*, wyznanie wiary zaczynające się od *la ilaha illa 'llah*: „Nie ma Boga prócz Allacha”. – Gdyby nie miał przywiązanych do krzesła nóg, pewnie by z niego spadł. – Na miłość boską, czy muszę to wyryć na ścianie wielkimi literami? Trzeba być ślepcem, żeby tego nie widzieć. Obydwaj jesteście dziećmi Abrahama!

– W takim razie, jak to możliwe, że jest pan w stanie go zabić? – spytał Sweeney. – A pan, rabe? Jak to możliwe, że nie nienawidzi pan kogoś, kto chce pana „odcieleścić”?

Apfulbaum pokręcił głową i zachichotał. Doktor też. Po chwili obaj trzęśli się ze śmiechu.

Doktor jako pierwszy odzyskał oddech.

– On nie rozumie, Izaaku. Nie rozumie, że zabijanie ludzi nie różni się tak bardzo od ich leczenia. Życie i śmierć to dwie strony tej samej monety.
– Spojrzał na Sweeneya. – Będąc absolutnie szczerym, mam głęboką nadzieję, że Żydzi coś zrobią, że zrobią cokolwiek, bylebym tylko nie musiał spełnić groźby i odcieleśnić Izaaka, który, tak jak Ibrahim, jest człowiekiem czystej wiary, nie bałwochwalcą.

– Dziękuję, Ismailu – powiedział skromnie Apfulbaum. – Ja z kolei mam głęboką nadzieję, że izraelski rząd nie zechce negocjować i Ismail będzie musiał mnie odcieleśnić. Dzięki niemu ujrzałem siebie jako współczesne wcielenie kogoś, kogo biblijny Izajasz nazywa Cierpiącym Sługą Pana, kogoś, komu cierpienie za grzechy innych jest pisane i kto musi za nie odpokutować. Skoro przeznaczeniem Żydów jest oświecanie narodów, moim jest oświecanie Żydów. Martwy stanę się symbolem dla tych, którzy są przeciwko porzuceniu ziemi obiecanej przez Boga Abrahamowi i jego potomkom. Mój grób będzie celem pielgrzymek i miejscem zbiórki dla wszystkich walczących z Arabami. Po mojej śmierci, dzięki mojej śmierci!, żydowskie osiedla będą się rozwijały i rosły jak paznokcie u trupa.

– Paznokcie u trupa nie rosną, *ja'ani*. Po prostu skóra się cofa, stąd takie wrażenie.

– Aha. Nie szkodzi, i tak rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem, *ja'ani*. Rozumiem.

– Odbiło wam – jęknął Sweeney. – Jednemu i drugiemu.

Rabin zatańczył skrzepowanymi nogami.

– Mówili tak, kiedy za moją namową czternaście rodzin opuściło Brooklyn, by zamieszkać w rozpadających się przyczepach kempingowych na skalistym wzgórzu z widokiem na Hebron. Przez dwa lata musieliśmy srać w przenośnych toaletach! Uznali mnie za wariata, gdy pomyślałem, że w siódmym szabasowym roku, kiedy to ziemia, według Tory, powinna leżeć odłogiem, można by hodować sałatę w doniczkach. Kazałem ją spryskać środkami owadobójczymi, które zabiły całe robactwo: sprzedaliśmy ją na jerozolimskim suku religijnym Żydom, którzy nie

chcieli ryzykować, jedząc niekoszerne mięso, i zbiliśmy fortunę. Dzięki tej niespodziewanej gratce powstało Beit Avram.

– Uspokój się, Izaaku. – Doktor wziął go za rękę i zbadał puls. – Powinniśmy skrócić tę rozmowę i dać mu odpocząć. Nie chcę, żeby się tak ekscytował.

– Nie, nie – zaprotestował rabin. – Zaraz ochłonę, przysięgam.

Doktor założył mu kaptur.

– Musisz dać odpocząć oczom, *ja'ani*. Zdrzemnij się. Niebawem wrócimy. – Wypędził Sweeneya z pokoju, ale drzwi zostawił otwarte, żeby Apfulbaum mógł go zawołać. – Niezły z niego numer, co? Sól ziemi.

– Mogę pana zacytować? – spytał sarkastycznie Sweeney.

– Ależ oczywiście. – Z radia płynęły zakłócone trzaskami meldunki izraelskich żołnierzy na Zachodnim Brzegu. – Na miłość boską, Petro, ścisz to! – warknął. – Rabin próbuje zasnąć.

Zdjął mu kaptur z głowy i łagodnie nim potrząsnął.

– Gotowy na ciąg dalszy? Obiecuję, że będziemy się streszczali.

Skrzypek na dachu podniósł związane ręce, przeciągnął się i kilka razy ziewnął, żeby odświeżyć umysł, a potem poruszał na boki szczęką.

– Dlaczego go pan nie rozwiąże i nie pozwoli mu trochę pochodzić? – spytał Sweeney.

– Zechce pan pamiętać, że jestem zakładnikiem – odpowiedział za Doktora rabin. – W każdej chwili mogą wpaść tu izraelscy żołnierze. Ze względów bezpieczeństwa jest niezbędne, bym pozostał przywiązany do krzesła. – Wstał, podciągnął spodnie, poprawił jądra i usiadł. – Jak prawdziwy McCoy^[58]. Prawda, Ismailu?

– To sprawa śmierci i życia – zgodził się z nim trzeźwo Doktor.

– Śmierci i życia – powtórzył rabin i pokręcił głową, żeby rozruszać mięśnie szyi. – W tej kolejności.

– Miałeś ciężki dzień, Izaaku, ale jeśli nie jesteś zbyt zmęczony, byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał powiedzieć coś więcej o żydowskim podziemiu, o którym już rozmawialiśmy. Wspomniałeś niedawno, że jesteś jego duchowym przywódcą...

– I jestem z tego dumny – przerwał mu Apfulbaum. – Interpretuję dla nich Torę. „Nie odcieleśnij” – nawet od tego są wyjątki. – Obrócił się na krześle i mówił teraz do Doktora, który stał tyłem do zamurowanego okna. – Każdy walczy, jak może.

Sweeney miał wrażenie, że przeprowadza wywiad z pacjentami zakładu dla obłąkanych.

– Twierdzi pan, że Beit Avram jest siedzibą Keszet Jonatan, żydowskiego podziemia?

Rabin uśmiechnął się anielsko.

– Przecież muszą mieć gdzieś dom.

– Ilu mieszkańców osiedla należy do ruchu?

– Zobaczmy... W Beit Avram mieszka trzysta dusz, w tym stu osiemdziesięciu dorosłych; dorosłym jest dla mnie każdy, kto osiągnął wiek bar micwy. Stu siedemdziesięciu ośmiu z nich popiera program Keszet Jonatan, który można by streścić tytułem mojej małej książeczki, *Jedna Tora, jedna ziemia*. Pozostałych dwóch to rumuńscy robotnicy, którzy nie mówią po hebrajsku. Ze stu siedemdziesięciu ośmiu sympatyków dwudziestu ośmiu lub trzydziestu może w każdej chwili wskoczyć do okopów.

– Powiedz mu, co masz na myśli, mówiąc okopy, *ja'ani*.

– Żołnierze frontowi są podzieleni na trzy oddziały – wyjaśnił cierpliwie Apfulbaum. – Jeden aktywnie zbiera informacje wywiadowcze na temat naszych palestyńskich wrogów w Judei i Samarii: gdzie mieszkają, z kim mieszkają, gdzie pracują, jaką trasą jadą zwykle do pracy, jaki mają samochód, i tak dalej. Drugi odpowiada za broń i materiały wybuchowe, zapewnia wyposażenie stosowne do akcji. Trzeci jest strzałą Łuku Jonatana. To oni wychodzą w teren i odwalają brudną robotę.

– Brudną robotę? – powtórzył Sweeney. – Mógłby pan to rozwinąć?

Doktor znowu wyręczył rabina.

– Wystarczy, że przejrzy pan nagłówki „Jerusalem Post” z ostatnich kilku lat. W rękach Palestyńczyków wybuchały bomby, organizowano ataki na ważne osobistości, dochodziło do zabójstw, napadów na domy i szkoły, a wszystko po to, żeby nas zastraszyć.

Apfulbaum zatkał pięścią usta, żeby stłumić śmiech.

– Ha! Nocami lubiliśmy podkładać bomby w pojemnikach na śmieci w arabskich wsiach: gdy wybuchały, wszyscy chowali się pod łóżko!

– Czy osiągnęliście coś tą brudną robotą? – spytał Sweeney.

– On mnie podpuszcza! – wykrzyknął rabin. – Podpuszczasz mnie pan, tak? Zademonstrowaliśmy Palestyńczykom, że Żydzi nie ruszą się z Judei

i Samarii, to po pierwsze. Po drugie, zmusiliśmy palestyńskich radykałów do odwetu. Brali odwet, a potem my braliśmy odwet za odwet. Z każdym żydowskim osadnikiem zaszytowanym na zakupach w arabskim sklepie do Łuku Jonatana napływało więcej pieniędzy i więcej ochotników. I coraz więcej Izraelczyków przestawało popierać tak zwany ruch pokojowy, który chce, byśmy oddali świętą ziemię Arabom.

– To, co rabin opisuje – wtrącił Doktor – to zaklęty krąg.

– Gorzej – dodał Apfulbaum. – To zaklęty zaklęty krąg.

– Taki krąg nie powstanie, jeśli obydwie strony nie będą trzymały się za ręce – zauważył Doktor.

– Ismail jak zwykle ujednoznaczniał coś wieloznacznego – powiedział ostro rabin. – Nie dostrzegałem tego faktu, dopóki mi go nie wskazał. Przecież kiedyś współpracowaliśmy! Tak, na długo przed tym, nim nasze ścieżki się przecięły, na długo przed tym, nim nawiązała się między nami nić sympatii. A teraz wkraczamy na nowy teren, po raz pierwszy mówiąc o współsprawstwie.

Doktor usiadł naprzeciwko niego.

– Idźmy dalej. Czy znasz tożsamość przywódcy Keszet Jonatan, słynnego, a raczej niesławnego Jaira?

Apfulbaum odchylił do tyłu głowę. Gdy zaczął mówić, pod fałdami miękkiej skóry widać było poruszające się jabłko Adama.

– A czy faraon znał tożsamość Boga, który wyprowadził Żydów z Egiptu? Czy Mojżesz wiedział, do kogo należy głos dochodzący z krzewu gorejącego?

– Więc kto to jest?

Rabin głośno zamknął usta. Zadrżała mu szczęka. Poruszył się niespokojnie, lecz nie odpowiedział.

Doktor spojrzał na Sweeneya.

– Są zagadki, których Izaak nie rozwiąże, nie jest jeszcze gotowy. Zdejmuje buty i staje nad brzegiem Rubikonu, lecz stóp nie zamoczy. Wciąż mi nie ufa, nie wie, co z tym zrobić.

– Nie o to chodzi! – jęknął Apfulbaum. – Naturalnie, że wiem. Odcieleśnisz Jaira. Zdyskredytujesz Łuk Jonatana w oczach świata. Tylko co z tego? Jego miejsce zajmą inni i powstanie nowy ruch.

Sweeney patrzył to na niego, to na Doktora.

– A więc nie powie pan? – spytał.

Wydawało się, że rabin skurczył się i zmałał. Gdy się w końcu odezwał, mówił głosem małego chłopca.

– Proszę, niech mnie pan zrozumie. Jeśli zdradzę mu wszystkie moje tajemnice, nie będzie miał powodu tu wracać i ze mną rozmawiać. – Zrobił zboląłą minę. – Ismailu, jesteś pewien, że Efraim poszedł do nieba? Pytam, bo zegar tyka, a z każdym tyknięciem zbliża się drugi termin, koniec postu. Przy odrobinie szczęścia pójdę tam za nim...

Drgnęła mu powieka, na szyję wystąpiła żyła. Rabin czekał na odpowiedź.

Szperając przed porannymi modlitwami w hałdzie śmieci na skraju obozu dla uchodźców w Jabalii, dwóch nastolatków, weteranów intifady, jeden z ręką w gipsie pokrytym islamistycznymi hasłami, zauważyło but, czarny reebok wystający z bagażnika spalonej taksówki. Podeszli bliżej i stwierdzili, że but jest praktycznie nowy i że tkwi w nim ludzka stopa. Wymienili łakome spojrzenia i podnieśli wypaczoną klapę. W małym bagażniku leżały zgięte wpół zwłoki religijnego Żyda w zmiętych czarnych spodniach i brudnej białej koszuli, wciąż z *cicit*, rytualnymi frędzlami wystającymi spod czarnej marynarki. Trup był w skórzanym kapturze. Jeden z nastolatków wyciągnął rękę i włożył mały palec do dziurki w kapturze w miejscu, gdzie powinno znajdować się ucho. Wyjął go jak oparzony i pokazał koledze. Paznokciec był pokryty czymś lepkiem i czerwono-brązowym. Chłopcy szybko rozwiązali sznurówki i ściągnęli buty z nóg martwego Żyda. Przeskakując nad połamanymi meblami i spalonymi oponami, popędzili ze swoją zdobyczą przez wysypisko i uciekli, tuż zanim bitą drogą, z wyjącymi syrenami i migoczącymi światłami, nadjechało sześć palestyńskich radiowozów, które z piskiem opon zahamowały przed górą śmieci.

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Na czym to skończyliśmy? A tak, na moim tête-à-tête z izraelskim premierem.

Po pięciu minutach rozmowy byłem gotowy uwierzyć w coś, co przeczytałem ostatnio w gazecie, a mianowicie, że homo sapiens ma tylko dwa razy więcej genów niż mucha czy robak. Nikt nie twierdzi, że premier nie ma powodów do wściekłości: morderstwo sekretarza i odkrycie jego zwłok na wysypisku śmieci w Gazie wystawiłoby na próbę cierpliwość – nie wspominając już o determinacji – każdego przywódcy politycznego. (W zaufaniu powiem wam, że wciąż się zastanawiam, w jakiej części jego słynny gniew jest szczery, a jaką część nakłada na twarz jak teatralny makijaż, zanim kurtyna pójdzie w górę, aby zyskać większą swobodę działania, a w tym przypadku reakcji).

– Ilu jeszcze Żydów ma zostać zamordowanych, zanim Amerykanie uznają, że odwet jest usprawiedliwiony? – spytał retorycznie. (Mam z nim do czynienia od wielu miesięcy i wiem, że większość jego pytań nie wymaga odpowiedzi; wystarczy ich jedynie wysłuchać). – Za pana radą siedziałem beczynnie, kiedy pochowaliśmy tych czterech ochroniarzy. Teraz pochowamy studenta rabinicznego, którego jedyną zbrodnią było to, że pomagał Apfulbaumowi. A za kilka dni pochowamy zapewne i samego Apfulbauma. Wtedy zadzwoni pan do mnie – mój Boże, pańskie rachunki telefoniczne muszą być wyższe niż roczny budżet Mosadu – i powie, że wasza pani prezydent i amerykański naród liczą na naszą powściągliwość. Powściągliwość! Przypominacie mi dyplomatę, który Żydom transportowanym do Auschwitz doradzał, żeby nie robili niczego, co mogłoby rozgniewać Niemców.

Zauważyłem, że w rozmowach z Izraelczykami niemal zawsze powraca temat Holokaustu. W stresie zapewniają sobie w ten sposób ujście dla emocji i jeśli się tego nie rozumie, nigdy nie zrozumie się Żydów. To nie przypadek, że każdego odwiedzającego Izrael zagranicznego gościa – znam to z autopsji – ciągną najpierw do Yad Vashem, muzeum Holokaustu, i dopiero potem pozwalają mu pogadać z przywódcami politycznymi. Wkładasz kipę i z zamkniętymi oczami stoisz w gmachu, w którym jedno po drugim głos wyczytuje nazwiska półtora miliona żydowskich dzieci straconych podczas wojny. Sara Goldstein, lat sześć, Wilno, tysiąc dziewięćset czterdzieści jeden. Israel Katz, lat cztery, Praga, tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery. Zanim z tobą porozmawiają, zmiękczają cię poczuciem winy. I to zawsze działa. Bo jak można być twardym dla kogoś, kto tyle wycierpiał?

Odpowiedzią jest dystans. Kiedy jest to konieczne, potrafię być dla nich twardy, ponieważ zmuszam się do zachowania dystansu. Do ich historii, lęków, niedoli i problemów.

Nie, żebym na ich miejscu reagował inaczej. Nawet kiedy nikt tam nie strzela, Izraelczycy są w stanie wojny: z Arabami, z samymi sobą. A w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Każdy gra takimi kartami, jakie dostał.

Ja też.

Dlatego powiedziałem premierowi, żeby nie martwił się moim rachunkiem telefonicznym. Dlatego powiedziałem mu, że ewentualny odwet uderzyłby nie w przestępców, którzy uprowadzili i zamordowali sekretarza, tylko w niewinnych cywili. Dlatego dodałem, że zabicie kilku przypadkowych Palestyńczyków nie ocali rabina. Że jedynym sposobem jest ugięcie się przed żądaniem porywaczy albo znalezienie ich, zanim go zabiją.

Musiałem poruszyć czułą strunę, ponieważ premier milczał tak długo, że myślałem, iż straciliśmy połączenie.

– Jest pan tam?

– Nigdy.

– Nigdy co? – spytałem, dobrze wiedząc, o czym mówi.

– Nigdy nie ugniemy się przed ich żądaniami. Nawet wy nas do tego nie zmusicie.

– Nie zamierzałem was o to prosić, nie popełniłbym takiego błędu.

Premier tylko chrząknął.

– Co znaczy, że pozostaje tylko jedno: znaleźć rabina, zanim tamci go zabiją.

– Niech pan mi wierzy, że próbujemy.

I tak dotarłem do sedna sprawy.

– Jeśli się wam nie uda i rabin zginie, jeśli na dzień przed podpisaniem traktatu pokojowego w Mount Washington jego ciało znajdą na wysypisku śmieci...

Premier oddychał jak po ciężkim biegu.

– Czego prezydent Stanów Zjednoczonych od nas oczekuje? – spytał, i usłyszałem, bo miałem usłyszeć, nutkę sarkazmu w jego głosie.

– Niech pan przyjmie cios, panie premierze. Weźmie to na klatę. Niech pan poleci do Waszyngtonu i podpisze traktat. Uściśnie rękę następcy Arafata, tak jak rabin uściśnił rękę Arafatowi. Może się pan zawahać, żeby pokazać, jak bardzo to panu nie w smak, ale potem niech pan to zrobi. Wtedy razem spróbujemy zmusić go do tego, żeby Autonomia Palestyńska i palestyńska policja postawiły Abu Bakra przed sądem. Może wtedy zdoła pan uchronić swoich – nie wspominając już o Palestyńczykach – przed kolejną intifadą. I może, tylko może, pośród tego religijnego i terytorialnego bałaganu uda się wam znaleźć malutką wysepkę, na której wraz z Palestyńczykami zbudujecie gmach pokoju i zręby nowej historii...

– Historia – przerwał mi premier – to fikcja. Robespierre powiedział tak, zanim na szyję spadło mu ostrze gilotyny. – Odchrząknął dokładnie tak samo jak przewodniczący Autonomii Palestyńskiej i przez chwilę nie wiedziałem, z kim rozmawiam. Potem westchnął i z bólem, w przeciwieństwie do gniewu, bardzo szczerym, zdecydował: – Dobrze. Ustąpimy i jeszcze raz nadstawimy głowę.

– Jestem winien panu przeprosiny.

– Za co?

– Za to, że myślałem, że ma pan tylko dwa razy więcej genów niż mucha czy robak.

W Jafie, w mieszkaniu nad restauracją specjalizującą się w potrawach z owoców morza, *katsa*, bardziej wygłodniały i zręczliwy niż zwykle, ciągle zaglądał do kącika telekomunikacyjnego, nie dając spokoju bosonogiej *contessie*, która stuknęła dwoma palcami w klawiaturę komputera, rozszyfrowując meldunki z Azy. Dwudziestu czterech izraelskich techników, uzbrojonych w małe czarne pudełka z aparaturą precyzyjnie nastawioną na ultrawysoką częstotliwość radiową, systematycznie przeczesywało Strefę w nieoznakowanych samochodach prowadzonych przez palestyńskich detektywów. Dokładnie osiemnaście minut przed pełną godziną i osiemnaście minut po niej przechodzili na nasłuch i do centrali zaczynały spływać raporty. Jednostki mobilne od siedemnastej do dwudziestej w Chan Junus, drugim co do wielkości mieście Gazy: nic. Jednostki mobilne od dwudziestej pierwszej do dwudziestej czwartej w Rafie: nic. Jednostki mobilne od pierwszej do dziesiątej w mieście Gaza: nic. Jednostki mobilne od jedenastej do piętnastej na drodze wzdłuż wybrzeża: też nic.

– Co to? – spytał Elihu, gdy bosonoga *contessa* zaczęła wystukiwać meldunek z jednostki szesnastej, składający się z wybranych na chybił trafił pięcioliterowych grup. Na ekranie pojawiła się rozszyfrowana treść. „M-a-m-y_k-o-n- t-a-k-t_w-s-p-ó-ł-r-z-ę-d-n-e_a-l-e-f_d-a-l-e-t...^[59]”.

– Co się dzieje? – warknął zdenerwowany *katsa*.

– Skąd mam wiedzieć? – odparła zaczepnie *contessa*.

Ona piłowała złamany paznokciec, a on chodził pod ścianą, gryząc ustnik niezapalanej fajki. Za pośrednictwem amerykańskiego satelity telekomunikacyjnego do anten na dachu w Jafie popłynął kolejny meldunek z szesnastki i na ekranie komputera znowu pojawiły się grupki liter. Chwilę

później, gdy *contessa* przepuściła je przez program deszyfrujący, litery zmieniły się w czytelny tekst.

„F-a-l-s-z-y-w-y_a-l-a-r-m_m-i-j-a-l-i-ś-m-y_p-a-l-e-st-y-ń-s-k-ą_w-i-e-ż-ę_r-a-d-i-o-w-ą_w-c-i-ą-ż_n-i-c_p-o-w-t-a-r-z-a-m_w-c-i-ą-ż_n-i-c”.

Chwilę później *katsa* rozmawiał już przez szyfrowany telefon.

– Słyszałeś o sekretarzu rabina?

– Z CNN – odparł Baruch. – Podobno znaleźli go po anonimowym telefonie do palestyńskiej policji. Zaczekaj, przysłali wyniki sekcji zwłok...

– Odezwał się po kilku sekundach. – Przyczyna śmierci: pocisk kalibru pięć przecinek, sześć wystrzelony z przystawienia w podstawę czaszki. Podpis Abu Bakra.

– Nasi właśnie się zameldowali. Nic. Zero. Coś jest nie tak.

– Sweeney nie ma w Azie – powiedział stanowczo Baruch.

Ale *katsa* nie chciał jeszcze odpuścić.

– Ten, kto do niego dzwonił, kazał mu przyjechać do Azy. Jego samochód stał na parkingu przed przejściem w Erezie.

– Jeszcze raz odegrałem taśmę z podsłuchem ich rozmowy. Ten Arab kazał mu jechać drogą Beit Szemesz–Kirjat Gat. Cholera, że też nie zauważyłem tego wcześniej. Co ich obchodziło, jak Sweeney tam dotrze? Najważniejsze było, żeby w ogóle dotarł.

– Myślisz, że zatrzymali go gdzieś po drodze, powieźli w innym kierunku, a samochód podrzucili do Erezu. Tak?

– To możliwe. – Baruch roześmiał się gorzko i poprawił: – Nie, to prawdopodobne.

Elihu zastanowił się i stwierdził:

– Jeśli masz rację i Sweeney nie ma w Azie, nie ma tam również rabina.

– Abu Bakr podrzuca nam te wskazówki od samego początku. Kalendarz Centralnego Banku Importowo-Eksportowego na ścianie, porywacz w koszuli z krótkim rękawem, mercedes z trupem terrorysty, nadana w Strefie kasety: to wszystko wskazuje na Azę. Potem Sweeney jedzie tam – z góry założyli, że podsłuchujemy jego rozmowy – i parkuje samochód

w Erezie, gdzie go oczywiście znajdujemy. A teraz na wysypisku śmieci w Jabalii pojawia się ciało Efraima.

– Jeśli po porwaniu udało im się przemyścić do Azy trupa, mogli przemyścić i Efraima, żywego, otumanionego narkotykami albo martwego, w worku.

– Prowadziły tam wszystkie drogi – ciągnął Baruch. Im dłużej mówił, tym bardziej był przekonany, że ma rację. – Co miało nas skłonić do wyciągnięcia logicznego wniosku, że rabina tam nie ma. Ale my uśmiechnęliśmy się z wyższością, zakładając, że tego właśnie chcą, i uznaliśmy, że Apfulbaum jednak tam jest. Tylko że Abu Bakr zawsze wyprzedzał nas o krok.

– Jeśli rabina nie ma w Azie, nic dziwnego, że nasze jednostki niczego nie namierzyły. Boże – skostatował Elihu – on może być wszędzie, w całej Judei albo Samarii... Od czego zacząć? Od Nablusu? Hebronu? Jeninu? Tulkarmu? Od którejś z leżących między nimi czterystu sześćdziesięciu palestyńskich wiosek? To olbrzymi teren, nie mamy tylu ludzi ani sprzętu.

– Jest jeszcze Jussuf Abu Saleh – przypomniał mu Baruch.

– Nie znoszę Saadata – warknął *katsa*. – Kiedy pomyślę, że jest po naszej stronie, robi mi się niedobrze. Ale miejmy nadzieję, że zmusi Saleha do mówienia. To może być nasza ostatnia szansa. Koniec ramadanu już blisko.

Od kilku dni „technicy” Saadata unikali jego wzroku, ilekroć wchodził do pokoju przesłuchań z chustką delikatnie przyciśniętą do nosa i ust – obracający się pod sufitem wentylator tylko mieszał smród odchodów i ropiejących ran. Lekarz badający puls i osłuchujący serce Jussufa zalecał coraz dłuższe i dłuższe przerwy, skutkiem czego „sesje robocze”, jak je nazywano, trwały coraz krócej i krócej, co z kolei powodowało, że specjaliści Saadata musieli zintensyfikować „przesłuchanie”.

– Abu Bakr cię zostawił – szeptali mu do ucha. – Dlaczego przechodzisz dla niego przez to piekło?

– Autonomia Palestyńska karze wrogów i nagradza przyjaciół.

– Bądź mądry. Nie niszcź sobie życia dla tego bydlaka.

– Nazywam się Koskowić Asaf... Bośniakiem... Bierzecie mnie za...

„Technik” kiwnął głową do kolegi stojącego najbliżej drzwi, a ten pstryknął przełącznikiem, zamykając obwód. Zabuczały przymocowane do jąder elektrody. Jussuf zakrztusił się z bólu, wykonując w powietrzu groteskowy taniec, a gdy odcięto dopływ prądu, zwiśł bezwładnie na skutych rękach, przywiązanych do haka w ścianie. Ciężar ciała naciągnął zwichnięte ramię i Palestyńczyk zawył. Lekarz o profesjonalnie obojętnej twarzy zbadał mu puls, osłuchał serce, po czym gestem ręki kazał go zdjąć. Gdy kwadrans później przyszedł Saadat, Jussuf leżał na cementowej podłodze i z oczami wbitymi w wentylator przez zaciśnięte zęby chrapliwie wciągał krótkie hausty powietrza. Saadat nachylił się nad nim z chustką na nosie i ustach.

– Chcę ci pokazać zdjęcie – powiedział. – Słyszysz mnie, Jussuf?

– Asaf – wymamrotał Jussuf. – Koskowić Asaf.

Z kieszeni na piersi błyszczącej syntetycznej marynarki Saadat wyjął kolorowe zdjęcie i przytrzymał je nad jego twarzą. Chwilę trwało, zanim Jussuf zdołał skupić wzrok. Jego mózg zarejestrował obraz dopiero pół minuty później. Saleh z trudem przełknął ślinę, wypuścił powietrze i poruszał na boki głową, jakby chciał coś od siebie odpędzić, odwrócić bieg wydarzeń.

– Poznajesz? – spytał Saadat. – Wyraźnie widać. To twoja żona Maali, martwa jak wypchany wielbłąd. Zdjęcie zrobiono, kiedy służący jej ojca ubierali ją do pogrzebu.

– Jak? – Oczy Jussufa wypełniły się łzami. – Dlaczego?

– Abu Bakr odkrył, że wydała cię Żydom, i skazał ją na śmierć – zełgał Saadat. – Otwórz oczy. Spójrz. Widać siniec na jej czole, gdzie uderzono ją tępym narzędziem. Umierała bardzo długo i w straszliwych męczarniach.

Z gardła Jussufa wydobył się jęk rozpacz.

– Abu Bakr – ciągnął Saadat – ukarał twoją żonę. To szatan przebrany za mudzaddida. Fałszywy prorok, oszust, który sztydzi z islamu. Nie jesteś mu nic winien. – Strzelił z palców na strażnika. – Napoić go.

Lekarz podniósł Jussufowi głowę i przytknął kubek do jego ust. Palestyńczyk poczuł, że do gardła spływa mu strużka wody.

Saadat włożył mu zdjęcie do zdrowej ręki i wyprostował się.

– Umyjcie go. Przynieście mu materac i ubranie. Dajcie rosołu. Wróć za pół godziny. Przez ten czas przyjrzy się zdjęciu, zrozumie swój straszny błąd i powie nam to, co chcemy wiedzieć. Prawda, Jussuf?

Kiedy wyszedł, lekarz i jeden z „techników” dźwignęli Saleha na kolana, żeby mógł oddać mocz do plastikowego kubła. Zanim wyruszyli na poszukiwania materaca i ubrania, posadzili go w skrzyśonej pozycji na podłodze, prawą rękę opierając o ścianę, a lewą, spuchniętą i zdeformowaną, zginając mu na piersi.

W południe doszedł Jussufa nagrany głos muezina wzywającego do modłów naród islamu. Strażnik, który został w pokoju przesłuchań, pobożny brodacze ze złamanym nosem, padł na twarz w kierunku Mekki.

Jussuf podniósł zdjęcie i przyjrzał się mu szparkami podpuchniętych oczu. To była Maali, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Leżała na wąskim stole, na którym służący jej ojca wyrabiali ciasto na chleb. Biała jak kreda twarz i półnagie ciało, zaczesane do tyłu długie czarne włosy, rozmyty ciemny siniak na czole – miała zamknięte oczy. Płonący w nich ogień, który ukochał nad życie, prawie tak samo jak Koran – zgasł. Jussuf przycisnął zdjęcie do piersi. Przez mgłę rozpaczy zobaczył kobietę zsuwającą z ramion koszulę nocną, zdejmującą mu przez głowę golf, przywierającą do jego ciała. „Serce moje – mruzczała – mężu mój, witaj w izbie małżeńskiej, witaj w małżeńskim łóżu”.

Wspomnienie było boleśniejsze niż elektryczne wstrząsy, jakimi torturowano mu jądra.

Saadat łągał jak pies, to oczywiste. Ktoś musiał wydać go w ręce tajnej policji, kulawy szewc z zakładu naprzeciwko meczetu El Khanqa albo ci z nabluskiego Hamasu, wciąż wściekli, że przeszedł do mudzaddida z połową bojowników komórki. To nie mogła być Maali, po prostu nie mogła, był tego stuprocentowo pewny. Prędzej by umarła, niż go zdradziła. A on prędzej by zginął, niż zdradził mudzaddida.

Podniósł wzrok. Brodacz wciąż modlił się tyłem do niego. Między nimi, na kawałku płótna, leżały elektrody. Kable biegły do prymitywnego, prowizorycznego przerywacza, a stamtąd do gniazdka w ścianie przy drzwiach. Chwyciwszy się zwisającego z haka skórzanego pasa, Jussuf podciągnął się na kolana. Potem, prawą ręką ciągnąc za sobą kubek z moczem i bezwładnie wlokąc lewą, podczołgał się bezszelestnie w stronę elektrod. Kiedy tam dotarł, usłyszał, jak strażnik mamrocze wersety z Koranu. Muzułmanie wierzą, że samobójstwo jest grzechem, ale że całkowicie usprawiedliwione jest odebranie życia komuś, kto zamierza zdradzić islam. A gdyby tortury nie ustały, prędzej czy później wydałby mudzaddida. Zmagał się z tym dylematem moralnym od wielu dni. Ale teraz po raz pierwszy ujrzał przed sobą prostą drogę. Anioł Jibril^[60] zapisze w Księdze Uczynków, że Jussuf Abu Saleh zabił kogoś, by ustrzec go przed zdradą religii. Jeszcze dzisiaj u boku Maali będzie odpoczywał w pięknych

ogrodach Raju, gasząc pragnienie wodą z płynących tam czystych rzek. Ostrożnie przypiął elektrody do sutków. Przyciągnął kubek do lewej ręki i zanurzył dłoń w moczu.

Podniósł wzrok w chwili, gdy brodacz odwrócił głowę, żeby spojrzeć na więźnia. Spojrzał, wybałuszył oczy i jęknął:

– Niiieeee!

Skoczył w jego stronę w chwili, gdy zebrał resztki sił i wyteńczył całą siłę woli, Jussuf rzucił się do przerywacza.

Elihu skończył opowiadać i zamilkł. Dla Barucha, który wysłuchał opowieści w swoim jerozolimskim biurze, cisza ta przypominała wizg silnika odrzutowego na jałowych obrotach, bo takie było tło dźwiękowe podczas szyfrowanej rozmowy telefonicznej. W końcu *katsa* odezwał się, przerywając natrętny elektroniczny jęk.

– Na miłość boską, możesz mi powiedzieć, co w pokoju przesłuchań robiły przewody pod napięciem?

– Lepiej nie pytaj – mruknął chrapliwie Baruch.

– Niech to szlag.

– Ano niech – poparł go Baruch. – Posłuchaj, muszę to z siebie wyrzucić. Dopóki żyję, nie każ mi więcej robić interesów z Saadatem czy kimś takim jak on.

Katsa popadł w zamyślenie.

– Rosjanie mają takie przysłowie – powiedział w końcu. – „Jedząc kolację z diabłem, używaj długiej łyżki”. Zauważ, że przysłowie nie sugeruje, żeby w ogóle nie jadać z diabłem. Przeciwnie, zakłada, że pewnego dnia to zrobisz, i doradza zastosowanie rozsądnego środka ostrożności. Jeśli sypiasz z diabłem, pamiętaj o prezerwatywie, jeśli z nim jadasz, jedz długą łyżką. Jeśli uznamy, że współpraca z Saadatem leży w interesie Izraela, będziemy z nim współpracowali. I kiedy ten dzień nadejdzie, nie zapomnijmy o długiej łyżce. – Przez chwilę żuł ustnik fajki. – W takim razie cóż. Trzeba mu to oddać: porazić się na śmierć prądem pod nosem strażników wymaga pomysłowości, nie mówiąc już o odwadze. Pozostaje nam jedynie czekać na koniec ramadanu, bo wtedy na wysypisku śmieci znajdziemy ciało Apfulbauma, a Abu Bakr wyjawi światu, co rabin powiedział mu o żydowskich terrorystach z Beit Avram. Mam tylko nadzieję, że Sweeney przeżyje i opublikuje wywiad.

Baruch przebiegł wzrokiem starannie napisaną listę nazwisk, którą bracia Karamazow zostawili mu na biurku wraz z rezygnacją dwóch śledczych uczulonych na kurz. Każde nazwisko poprzedzał numer, było ich w sumie sto osiemdziesiąt trzy. Na dole Absalom przykleił karteczkę. „Azazel wynurzył się właśnie z morza kurzu w piwnicy (bardziej zręczliwy niż kiedykolwiek) z nazwiskami kolejnych dwunastu kandydatów na Abu Bakra, które niniejszym załączam”. Pod nazwiskami widniał podpis: „Twój, dopóki świecą gwiazdy. Absalom”.

Bracia analizowali listę, żeby sprawdzić, ilu ze stu dziewięćdziesięciu pięciu niskich, przysadzistych Palestyńczyków miało wykształcenie medyczne, i Baruch zastanawiał się przez chwilę, czy nie zameldować o tym katsie. Ale postanowił poczekać. Karamazowie mogli zredukować ich liczbę do czterdziestu. Albo nie znaleźć żadnego. A wtedy grupa robocza znajdzie się w punkcie wyjścia: przewodniczący komisji do spraw wojskowych będzie wydzwaniał co godzina pod zastrzeżony numer w Jafie z dosadnymi komentarzami premiera, przedstawiciele Szin Bet i Mosadu będą klócić się publicznie o to, kto jest odpowiedzialny za fiasko, przywódcy opozycji będą chwalić się w telewizji, że gdyby to oni rządili, zabójstwo żadnego Żyda nie uszłoby tamtym na sucho, a jeden ze znanych rabinów z osiedli na terenach okupowanych otwarcie spyta, jak to możliwe, że rząd jedzie do Waszyngtonu, żeby podpisać traktat pokojowy z kimś, kto ma żydowską krew na rękach.

– Trzymaj się – rzucił Elihu, nie wiadomo, czy do niego, czy do siebie. Odległy wizg urządzenia szyfrującego umilkł, ustępując miejsca prozaicznemu mruczeniu, czyli zwykłemu izraelskiemu sygnałowi telefonicznemu.

Absalom wetknął głowę do pokoju.

– Najnowsze doniesienia ze świata kurzu! – zawołał, z powodzeniem naśladowując hebrajską angielszczyznę rodem z BBC. – Azazel znalazł niskiego, przysadzistego byłego więźnia, który w wojnie sześciodniowej stracił oko, nosi teraz przepaskę i wygląda jak facet z reklam koszul Hathaway. Po dwóch latach studiów wyleciał z medycyny w Kairze i otworzył aptekę w Jalazun pod Ramallah, która działa po dziś dzień. Pasuje? Wykształcenie medyczne jakieś ma. Zadenuncjowany, aresztowany, lecz zwolniony z braku dowodów. Więcej informacji wkrótce, zapraszamy!

Baruch podniósł rękę, pokazując mu zegarek.

– Jutro ostatni dzień ramadanu.

– Tańczę najszybciej jak mogę – zakwilił Absalom. Skrzywił się, jakby użądliła go osa, i zniknął w głębi korytarza.

Pielęgniarki wolontariuszki skończyły dezynfekować poczekalnię i już miały zamykać, gdy w drzwiach przychodzi stanęła dwudziestokilkuletnia kobieta w zaawansowanej ciąży. Widać było, że jest zdesperowana. Natychmiast zaprowadzono ją do doktora al-Szaata.

– Co się stało? – spytał Doktor.

Kobieta – mówiąc, nie odsłaniała dolnej połowy twarzy – wpatrywała się intensywnie w znak Allacha na jego czole.

– Za dziesięć dni rodzę – zaczęła cicho.

– Masz męża?

– Przetrzymują go w obozie dla internowanych na pustyni Negew. – Kobieta zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Przyszłam tu, bo nie mogę urodzić w szpitalu. Jestem na izraelskiej liście poszukiwanych.

– Czym zasłużyłaś na ten zaszczyt?

– Przemycalam materiały wybuchowe do Tel Awiwu, dla mojego kuzyna Daouda, który wysadził się w powietrze w centrum handlowym, idąc do nieba i posyłając do piekła dwudziestu żydowskich niewiernych. Zieloną linię przekroczyłam bez trudu, bo kiedy izraelskie żołnierki potwierdziły, że jestem w ciąży, nikt mnie nie obszukiwał. Ale ktoś ze wsi rozmawiał o mnie przez komórkę. Żydzi podsłuchali go i musiałam uciekać, żeby uniknąć aresztowania. – Kobieta ucisnęła machinalnie wielki brzuch i wygięła się do tyłu, żeby zmniejszyć ból w krzyżu. – Nie może pan odmówić. Nie chcę, żeby moje dziecko urodziło się w żydowskim szpitalu więziennym. Proszę, żeby zrobił pan cesarskie cięcie. Teraz.

Pielęgniarki znieczuliły ją dołędźwiowo i Doktor przeprowadził operację w gabinecie na stole z nierdzewnej stali. Z głową tuż nad skalpelem,

pomagając sobie palcami lewej ręki, przeciął skórę i warstwę tkanki tłuszczowej, robiąc pionowe nacięcie od pępka po kość łonową. Kiedy pielęgniarki wybrały gąbką krew z otwartej rany, przeciął powięź i wyściółkę jamy brzusznej, odsłonił macicę i szybkim ruchem naciął jej najniższą część, tuż nad pęcherzem moczowym. Następnie wcisnął głębiej pęcherz i poszerzył otwór w umięśnionej ścianie macicy, aby uzyskać dostęp do łożyska i płodu. Wtedy pielęgniarka przebiła pęcherz płodowy i powiedziała:

– Ciesz się, masz syna.

Doktor chwycił dziecko obiema rękami, wyjął je i podał pielęgniarce, a wtedy druga pielęgniarka przecięła pępowinę. Ta pierwsza chwyciła malca za nóżki i dała mu lekkiego klapsa w pośladki. Błada skóra zaróżowiła się powoli, niemowlę kilka razy niepewnie sapnęło, a potem wrzasnęło ile sił w maleńkich płucach. Leżąca na stole matka śmiała się i jednocześnie płakała. Doktor usunął łożysko i wprawnymi ruchami doświadczonego szwacza, warstwa po warstwie zaczął zamykać jamę brzuszną.

– W pokoju przy toalecie jest mały pokój – mówił podczas zszywania rany. – Ukryjesz się tam na cztery, pięć dni. Siostry będą się tobą opiekowały. Dadzą ci coś na ból, bo kiedy znieczulenie przestanie działać, będzie cię bolało. Jesteś młoda, silna i pobożna. Zaufaj Bogu i na pewno sobie poradzisz.

Kobieta przytuliła dziecko do piersi.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała. – To, że naszego pierworodnego syna sprowadził na ten niedoskonały świat sam *mudzaddid*, przynosi zaszczyt mojemu mężowi, rodzinie i całemu klanowi. A synowi damy na imię Daoud, po moim kuzynie męczenniku.

– Wychowaj go tak, aby podążył prostą ścieżką Wysłannika – szepnęła Doktor.

– Tak zrobię, przysięgam. – Kobieta wyciągnęła ręce, podnosząc dziecko. – Czy Bóg widzi jego narodziny?

– Święta Księga mówi: „I żaden liść nie spada, żeby On o tym nie wiedział”^[61].

Wzruszony porodem Doktor – z powodu słabego wzroku nie robił cesarskiego cięcia od czasów szpitalnego stażu – odczuł potrzebę podziękowania Bogu i zdecydował, że dopiero potem wróci do kryjówki w płataninie uliczek Dzielnicy Chrześcijańskiej. Postukując w bruk bambusową laską, labiryntem znanych z młodości alejek i zaułków dotarł do Dzielnicy Muzułmańskiej i długiej Bab El-Silsileh, ulicy Łańcucha. Na jej końcu była wielka brama prowadząca na Haram-asz-Szarif, wzgórze, na którym stała świątynia Salomona, dopóki nie zburzyli jej Babilończycy. Podnosząc wzrok, widział ostre jak włócznie promienie słońca odbijające się od złotej Qubbat al Sakhra, Kopuły na Skale. Zdjął buty, w białych jedwabnych skarpetkach wspiął się schodami do meczetu i obszedłszy wytarte wschodnie dywany, stanął za wielkim głazem, z którego Wysłannik Mahomet wstąpił do nieba na grzbiecie Al-Buraka. Koń zostawił podobno odcisk podkowy w kamieniu, lecz Doktor miał słaby wzrok i go nie widział.

Padł na twarz i recytując werset z Koranu, zaczął bić czołem w dywan.

– „Biada tobie i biada! I jeszcze raz biada tobie i biada!”^[62].

Delektując się tępyim bólem, po raz kolejny z podziwem stwierdził, że ból i przyjemność, jedno służebnica śmierci, drugie życia, są nierozzerwalnie ze sobą związane. W wyobraźni czuł siłę, z jaką olbrzymi głaz napiera na powierzchnię Ziemi, czuł również ciężar lekkiego jak piórko dziecka, stworzenia boskiego, które wyjął z macicy. Jaki czekał je los? Czy pewnego dnia wypełni plecak dynamitem i tak jak jego kuzyn Daoud, męczennik, którego imię miał nosić, wysadzi się w powietrze, żeby zabić kilku Żydów? Czy ma jakiś wybór, czy też jest mu to pisane? Doktor ze zdumieniem usłyszał inny cytat z Koranu i zabrzmiało to tak, jakby dobiegł go głos samego Boga. „Czy człowiek sądzi, że będzie pozostawiony bez dozoru? Czyż nie był on kroplą spermy, która wytrysnęła, potem stała się grudką krwi zakrzepłej?”^[63]. Jęknął i uderzył głową w dywan tak mocno, że zadzwoniło mu w uszach. Dzwonienie stopniowo ustało i zastąpił je inny

głos; podczas gdy tamten był melodyjny, ze śladem echa, ten zrzędził i chrobotał jak winylowe płyty na siedemdziesiąt pięć obrotów, które jego ojciec puszczał na amerykańskiej victrolu. „I nagle dotarło do mnie, że się nie modłę, tylko naprawdę rozmawiam z Bogiem! Biłem głową w to, co ocalało z Drugiej Świątyni, aż posiniaczyłem czoło. Wbijałem palce w szczeliny jak alpinista, jakbym chciał wspiąć się na ścianę, musiano mnie od niej odrywać, odciągać”.

To był oczywiście głos Izaaka, jego Ibrahimowego kuzyna, którego jutro wieczorem, po Święcie Przerwania Postu, złoży w ofierze – chyba że Bóg w ostatniej chwili powstrzyma jego rękę, tak jak powstrzymał Ibrahima przed zabiciem Ismaila. Żydzi jak zwykle wszystko przekręcili: wierzyli, że patriarcha Abraham był gotów poświęcić swojego młodszego syna Izaaka na tym kamieniu, podczas gdy każdy muzułmanin wiedział, że Ibrahim wybrał na ofiarę syna pierworodnego, Ismaila, i że chciał go ofiarować nie tutaj, tylko w Kabie, w Mekce. Doktor zadrżał, ukląkł, podparł się laską i wstał. Prawie niewidomy wyciągnął rękę i przesunął po chłodnym kamieniu czubkami palców lewej ręki, tej, która prowadziła go podczas cesarskiego cięcia, tej, którą tuż przed egzekucją znajdował wybrzuszenie kości za uchem ofiary. W nagłym przebłysku olśnienia zrozumiał, że opowieści o Ibrahimie, żydowska i muzułmańska, wcale sobie nie zaprzeczają, że te dwie wersje tej samej historii, opowiedziane przez bliskich kuzynów, na swój subtelny sposób wzajemnie się uzupełniają, że jedna tchnie życie w drugą.

Ich przesłania należało szukać nie w tym, gdzie się to wszystko działo ani kto miał zostać złożony w ofierze. Ich przesłanie głosiło, że Wysłannik Ibrahim był gotów zabić ukochanego syna, aby zademonstrować całkowite umiłowanie Boga.

Czy ślepy lekarz, niezdolny do takiego poświęcenia, mógłby tytułować się mudzaddidem?

Doktor nigdy dotąd nie zaglądał do serca komuś, kogo miał zabić. Nigdy dotąd nie odczuwał sympatii do swojej ofiary. Nigdy dotąd nie musiał

stawiać czoła komuś tak pewnemu swojej służby Bogu, że sam prosił kata o śmierć.

Na miłość boską i islamską, będzie musiał wziąć się w garść, inaczej straci zimną krew.

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Przed przyjazdem do Waszyngtonu przez czternaście lat wykładałem na Harvardzie. I przez cały ten czas ani razu nie słyszałem o Harwardzkim Kółku Obiadowym Żydowskiej Kadry Pedagogicznej. Dlatego gdy zaproszono mnie na ich spotkanie jako honorowego gościa i mówcę, pomyślałem, że ktoś robi mi głupi kawał. Ale gdy zadzwonił do mnie emerytowany profesor, który to wszystko organizował, dotarło do mnie, że Harwardzkie Kółko Obiadowe Żydowskiej Kadry Pedagogicznej bynajmniej nie jest wytworem wyobraźni jakiegoś żartownisia. I wkrótce potem stanąłem przed mikrofonem, czekając, aż ucichną krótkie i zdecydowanie chłodne oklaski. Nie musiałem czekać długo. Wszyscy przestali jeść. Widząc zwrócone ku mnie jawnie wrogie twarze, uznałem, że to zły znak, znak nawet złowieszczy.

Było oczywiste, że członkom Harwardzkiego Kółka Obiadowego Żydowskiej Kadry Pedagogicznej nie podoba się administracja wywierająca nacisk na Izrael. I że wcale nie uważają, iż podpisanie traktatu pokojowego zaowocuje pokojem.

Jak zwykle zacząłem od tego, że amerykańscy Żydzi powinni dwa razy pomyśleć, zanim skrytykują pierwszego amerykańskiego prezydenta, a właściwie panią prezydent, która przekonała Izraelczyków i Palestyńczyków do zawarcia trwałego układu pokojowego. Przyznałem, że układ ten może nie podobać się żydowskiemu lobby, ale lepszego nikt Izraelowi nie zaproponuje. Zacytowałem im to, co powiedział mój dziewięćdziesięciodwuletni ojciec, gdy spytałem go, czy cieszy się życiem. „Jeśli zastanowić się nad alternatywą – odrzekł – to tak”. Dlatego zanim zdyskredytujecie ten traktat, ciągnąłem, rozważcie, jakie macie wyjście. Zgoda, mówiłem, plan pokojowy nie jest doskonały. Jednak alternatywą dla ułomnego pokoju jest wieczna wrogość, niekończący się terroryzm

i cykliczne wojny. Przypomniałem im słynną maksymę Abby Ebana^[64], że Palestyńczycy nigdy nie przeoczą szansy, by zmarnować szansę na pokój. Poprosiłem ich, żeby sięgnęli do wspomnień i zajrzeli w głąb swojej duszy, by sprawdzić, czy słowa te nie charakteryzują również postawy Izraelczyków.

Moi słuchacze sięgnęli, zajrzeli i nie znaleźli nic na poparcie mojej tezy.

Z prawie nieukrywaną ulgą dobrnąłem do końca pogadanki i podziękowałem członkom Harwardzkiego Kółka Obiadowego Żydowskiej Kadry Pedagogicznej za to, że zechcieli mnie wysłuchać. Dwóch młodszych kadrowiczów siedzących na końcu sali zaczęło z grzeczności klaskać, ale przestało, widząc, że nikt się do nich nie przyłącza.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, nabawiłbym się co najmniej niestrawności. Prowadzący spytał, czy są jakieś pytania. Pierwsze zadał mój jedyny wśród zgromadzonych sprzymierzeniec, były student, który przed powrotem na Harvard pracował kilka lat jako asystent prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Czy mógłbym wyjaśnić, spytał, dobrze wiedząc, że mogę (kiedyś o tym dyskutowaliśmy), czym kierował się Arafat, odrzucając hojną propozycję premiera Baraka, którą ten wyłożył na stół podczas rokowań pokojowych w Camp David w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

Oczywiście mogłem i wyjaśniłem; myślałem o tym od kilku lat i zamierzałem nawet napisać esej na ten temat. Aby zrozumieć Arafata, zacząłem, trzeba najpierw uświadomić sobie, że świat arabski ze wstrzymanym oddechem czeka na drugiego Saladyna, dwunastowiecznego wojownika, który podczas trzeciej wyprawy krzyżowej pokonał Ryszarda Lwie Serce i jego chrześcijańską armię. Według mnie Arafat uważał się za jego wcielenie, za wcielenie paladyna, który nie tylko wygnał niewiernych z Jerozolimy i ziem arabskich, ale i dokonał tego za pomocą siły. Podczas pierwszej krucjaty chrześcijanie zdobyli Jerozolimę i utopili we krwi jej święte miejsca: Wzgórze Świątynne, meczet Omara^[65], a nawet Bazylikę Grobu Świętego; ofiarami bitwy i rzezi, do jakiej potem doszło, padło około czterdziestu tysięcy muzułmanów, mężczyzn, kobiet i dzieci. Po latach

poniżenia Saladyn zapragnął zemsty. Kiedy więc zza murów okrążonej Jerozolimy wyszli rycerze krzyżowi, aby negocjować warunki kapitulacji, odrzucił ich propozycję. Jerozolima należała prawnie do niego i nie chciał, żeby wyglądało to tak, jakby odzyskał miasto w rezultacie wynegocjowanego traktatu. Nie, on chciał zdobyć je siłą. Dopiero wtedy, po dziesiątkach lat upodlenia ze strony niewiernych, arabski honor i arabskie siły zbrojne zostałyby oczyszczone.

Podobnie jak on, Arafat też żądał tego, co uważał za prawowicie należące do niego: państwa palestyńskiego na palestyńskiej ziemi. Ale po latach poniżenia ze strony Żydów chciał zdobyć je siłą. Dlatego wykorzystał pierwszy lepszy pretekst, żeby rozpocząć drugą intifadę. Reszta, jak mówią, jest historią.

Drugie pytanie zadał błyskotliwy młody eseista, który od początku izraelsko-palestyńskich rozmów pokojowych zamieszczał w „New York Timesie” antyrządowe diatriby. Wypowiedź okazała się nie pytaniem, tylko tyradą. To, że nasza administracja skłania się w stronę Arabów, twierdził, wynika ze starych uprzedzeń Departamentu Stanu, odziedziczonych po Brytyjczykach, którzy byli zmuszeni zrzec się Mandatu Palestyny. Otoczone muzułmańskim morzem państwo żydowskie musiało toczyć śmiertelny bój o przetrwanie. Traktat pokojowy, który wepchnęliśmy Izraelczykom do gardła, nakazywał Żydom żyć obok wyznawców islamu, którzy w głębi serca pragnęli tylko jednego: zniszczyć ich państwo. Jeśli sprawy nie potoczą się tak, jak oczekuje tego obecny tu prezydencki doradca do spraw Bliskiego Wschodu, od lat urlopowany pracownik naukowy Harvardu, podpisze on sześciocyfrową umowę na książkę i wróci na łono względnie bezpiecznego uniwersytetu, podczas gdy izraelscy Żydzi będą musieli walczyć o życie.

Mniej więcej w tym momencie prowadzący przypomniał mu, że zgodnie z zasadami powinien zadać pytanie.

– Ależ oczywiście, że zadam – odparował młody profesor. – Czyj to był pomysł? Jaki geniusz zaprosił tu tego erystycznego apologetę arabskiego rewanzyzmu?

Kilku profesorów poparło go, kiwając głowami, chociaż wątpię, czy wiedzieli, co znaczy „erystyczny”.

Trzecie i czwarte pytanie było niewiele mniej wojownicze. Nic więc dziwnego, że to naukowe zgromadzenie zaczęło mnie wkurzać. Od dawna mam awersję do ludzi, którzy są bardziej pewni siebie niż ja – chociaż ja tylko udaję – zwłaszcza w kwestiach dotyczących Bliskiego Wschodu. Przykro mi donieść, że górę wzięła najgorsza strona mojej osobowości. Nie pamiętam kolejnego pytania. Pamiętam za to, że z pasją rzuciłem się do obrony naszej polityki bliskowschodniej, która, jak tłumaczyłem, podnosząc głos i przechodząc na nerwowe oktawy zarezerwowane dla intelektualnych konfrontacji, została skonstruowana na zupełnie oczywistej przesłance, a mianowicie takiej, że chociaż Stany Zjednoczone przez wiele lat promowały proces pokojowy, nic z tego nie wyszło. Zaletą planu pokojowego – planu, a nie procesu – jest to, że pozbawia on prawa weta garstkę ekstremistów z obydwu stron, to znaczy tych, którzy pokoju nie chcą i którzy jeszcze do niedawna podkopywali tenże proces aktami przemocy, utrzymując blisko-wschodni kocioł w stanie ciągłego wrzenia.

Wbrew temu, co myśleli członkowie Harwardzkiego Kółka Obiadowego Żydowskiej Kadry Pedagogicznej, plan pokojowy nie pojawił się na prezydenckim biurku z dnia na dzień: wypracowaliśmy go mozolnie z naszymi europejskimi sojusznikami i umiarkowanymi krajami arabskimi rejonu Zatoki Perskiej, a przede wszystkim z Arabią Saudyjską, która zademonstrowała swój umiar i wizję, gdy kilka lat temu wezwała do wypracowania „sprawiedliwego i słusznego” rozwiązania problemu uchodźców palestyńskich (w przeciwieństwie do niesławnego „prawa do powrotu”) jako części ogólnego pakietu pokojowego, zakładającego również uznanie Izraela przez świat arabski.

Mniej więcej wtedy sesja pytań i odpowiedzi wymknęła się spod kontroli. Puściliy postronki. Profesorowie zaczęli obrzucać mnie wyzwiskami. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś cisnął w moją stronę niedojedzonym deserem. Możliwe, że odpierając te obelgi, podniosłem głos. Nie wiem, naprawdę nie

pamiętam. Pamiętam za to, że zanim wyłączono mikrofon, zdążyłem wtrącić ostatnie słowo.

– Powinniście wyjść na prawdziwy świat i położyć na szali swoją reputację, próbując wpłynąć na politykę, a w końcu historię, zamiast zmagać się z gigantycznymi problemami z cyklu, czy James Joyce postawił średnik po tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Kiedyś dobrze to podsumował Henry Kissinger, mówiąc, że powodem, dla którego utarczki między naukowcami są tak zżarte, jest to, że stawki, o które się kłóćą, są tak niskie.

Nie muszę chyba dodawać, że nie oczekuję, aby Harwardzkie Kołko Obiadowe Żydowskiej Kadry Pedagogicznej zechciało mnie znowu nakarmić.

Absalom leżał bezwładnie na kozetce, według spisu wyposażenia lokalu wiktoriańskiej, według rabinicznie myślącego Azazela – przedpotopowej.

Jego ciężkie powieki były mocno zaciśnięte, choć drżały, co świadczyło, że śni mu się jakiś koszmar albo że nie może zasnąć, czekając, aż jego zakurzony pomagier wynurzy się z lochu. Niech szlag trafi Azazela i jego windofobię: pewnie znowu szedł na piechotę, sześć pięter, przystając na każdym, żeby złapać oddech i mając gdzieś to, że on, Absalom, nie wspominając już o całym izraelskim wywiadzie, niecierpliwie (i bezsennie) czeka na rezultat poszukiwań po cynku Sawyera. Pocztą pantoflową dowiedział się, że prezydencki doradca wygrzebał gdzieś istotny szczegół, a mianowicie taki, że ślepy odnowiciel ze znakiem Allacha na czole jest autentycznym lekarzem. Jego „tajna” wyprawa do Paryża nie pozostała niezauważona. Agenci izraelskiego Mosadu obserwowali palestyńskich agentów, którzy z kolei obserwowali Lamię Ghuri. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie – strata jednej passionarii nie zasmuci zbyt palestyńskiej diaspory – rzecz w tym, że Sawyer zwrócił na nią uwagę innych i Absalom martwił się teraz, jak długo Lamia pozostanie wśród żywych.

Ciężko dysząc, Azazel pchnął drzwi pożarowe, przeszedł przez pokój i stanął przed kozetką.

– Jak ty możesz spać? – wysapał. – W takiej chwili?

Absalom leniwie otworzył oczy i usiadł.

– To kwestia czystości serca – wymruczał. – Czy będziesz tak łaskaw i powiesz mi, co to jest? – spytał, patrząc na plik brązowych fiszek w miękkiej dłoni Azazela.

– Pięciu.

– Pięciu?

– Pięciu.

– Co znaczy „pięciu”?

– Widać, że jeszcze śpisz. Obudź się. Skup się. Zawężaliśmy listę do pięciu – sam przelicz – pięciu podejrzanych. Wszyscy są niscy i przysadziści, a co ważniejsze, są również żarliwymi wyznawcami islamu i lekarzami.

– Mogłeś powiedzieć tak od razu.

– Przecież powiedziałem.

Absalom powąchał fiszki.

– Baruch, niech Bóg błogosławi jego policyjną duszę, będzie wniebowzięty.

Katsa nie przykładął zbyt wielkiej wagi do wytworów wyobraźni Barucha. Nawet jeśli uznać za prawdopodobne, że ślepiec może być lekarzem, to ślepiec kierujący komórką terrorystyczną i organizujący skomplikowaną akcję uprowadzenia stał w sprzeczności z wszelką logiką. Ale zbliżał się koniec ramadanu i Elihu był gotów chwycić się brzytwy. Odebrał Drora spod izraelskiego „Pentagonu” w Tel Awiwie i dokładnie czterdzieści minut później byli już w jerozolimskim biurze Barucha.

– Dosłownie frunęliśmy w powietrzu – rzucił Dror; był w wypłowiałym mundurze polowym z matowymi belkami podpułkownika, na ramieniu miał uzi ze składaną metalową kolbą, a w ładownicach kilka zapasowych magazynków.

Baruch, który siedział przy biurku zawalonym pudełkami po posiłkach na wynos, przeglądał plik meldunków. Na podstawie najświeższej listy sporządzonej przez braci Karamazow nakazał – za niechętną zgodą *katsy* – obserwację celów: jednookiego aptekarza z obozu Jalazun; izraelskiego urologa, Araba z kataraktą, który po odsiedzeniu wyroku w więzieniu na pustyni Negew przeprowadził się do Nazaretu i wykładał w Nablusie, kiedy granica była otwarta i kiedy mógł go tam zawieźć zięć; prawie ślepego Amerykanina pochodzenia palestyńskiego, anestezjologa, który po latach pracy w chicagowskim szpitalu wrócił do kraju, by żyć z emerytury i amerykańskiego zasiłku socjalnego w domu rodzinnym w Ramallah, niedaleko miejsca, gdzie zadenuncjowano go i aresztowano, kiedy był nastolatkiem; lekarza rodzinnego z Hebronu, którego wypuszczono z izraelskiego więzienia po czterech latach ośmioletniego wyroku po tym, gdy zdiagnozowano u niego zwyrodnienie siatkówki; prawie niewidomego lekarza, który odsiedział dwanaście lat za usiłowanie zabójstwa konfidenta i który teraz prowadził darmową przychodnię na Starym Mieście

w Jerozolimie, oraz wykształconego w Ameryce krótkowzrocznego palestyńskiego psychiatrę, który siedząc w izraelskim więzieniu, nie tracił czasu i opublikował nowatorską pracę na temat wpływu, jakie uwięzienie ma na palestyńskich nastolatków.

W teren wysłano zespoły Izraelczyków – specjalnie wybranych, ponieważ urodzeni i wychowani w arabskich krajach, mówili płynnie po arabsku – aby śledzili wytypowane cele, sześciu niskich, przysadzistych islamskich fundamentalistów z izraelskimi wyrokami. Jednocześnie jednostki mobilne katsy, technicy wyposażeni w małe czarne namierniki nastawione na tę samą ultrawysoką częstotliwość, zaczęły przeczesywać okolicę, w której mieszkała i pracowała szóstka podejrzanych.

Ale jak dotąd odbierali jedynie to, co w mniej gorączkowych czasach Baruch nazywał muzyką sfer niebieskich: zakłócenia radiowe.

– Dwóch z tej szóstki – powiedział – trafiło do więzienia za mojej kadencji. Pamiętam ich. Najpierw był ten z Hebronu, Ali Abdel Issa, szef komórki Hamasu, która podczas intifady specjalizowała się w zastawianiu min pułapek. Po tym, jak kilku naszych żołnierzy zostało rannych, przeszedł do podziemia: porzucił praktykę lekarską, zmienił wygląd i codziennie nocował w innym miejscu. Odsiedział cztery lata i wyszedł, gdy po Oslo^[66] ogłoszono powszechną amnestię. Korzystając z najnowszych technologii laserowych, nasi lekarze ze szpitala Hadassah powstrzymali postępujące zwyrodnienie siatkówki, ale nie zdołali przywrócić mu wzroku. Obecnie pracuje w Hebronie jako konsultant w tamtejszym szpitalu.

– Powiedziałaś, że pamiętasz dwóch – rzucił Dror, opierając się o parapet.

– Drugim był Ismail al-Szaat. Studiował medycynę w Bejrucie i aresztowano go na moście Allenby, kiedy wracał na ramadan do rodzinnego domu w Hebronie. Szin Bet miało wtyczkę, która twierdziła, że al-Szaat należy do libańskiej organizacji terrorystycznej. Jako powołany do służby rezerwista zostałem młodszym członkiem zespołu, który się nim zajmował; nie znałem wtedy tajników przesłuchania i było to dla mnie coś

w rodzaju inicjacji. Pamiętam, że szef zespołu, kapitan rezerwy, a w cywilu psychoanalityk, jak każdemu zatrzymanemu, mówił mu, że będzie całkowicie zależny od tych, którzy go uwięzili, że to oni zdecydują o warunkach odbywania kary i o tym, czy będą do niego docierały wiadomości ze świata zewnętrznego. Żeby go złamać, próbował wszystkiego: mówił mu, że tak jak każdy aresztowany, najpierw będzie się buntował, ale z czasem będzie wdzięczny za najmniejszą przysługę, każde dobre słowo, każdy uśmiech, każdą godzinę snu i okruszek chleba. Codziennie przesłuchiwaaliśmy wtedy ponad dwudziestu Palestyńczyków, ale on się wyróżniał. Było w nim coś, czego inni nie mieli. Trochę trwało, zanim zrozumiałem, co to jest. – Baruch odwrócił się z fotelem i spojrzał w okno. – Pamiętam, że był opanowany, spokojny, poważny, a nawet oficjalny, ale to nie było to. Miał świadomość tego, kim jest. Chodził w kolczudze godności, która chroniła go przed naszymi groźbami i przymilnymi umizgami. Jeśli można go było wyprowadzić z równowagi, to nie odkryliśmy jak. Miał poważną wadę wzroku, o ile dobrze pamiętam, skutek przebytej w dzieciństwie choroby, ale rozmawiając z nim, nigdy byście na to nie wpadli. Był niezwykle taktowny, jakby nie chciał urazić naszych uczuć, mówiąc nam, jacy jesteśmy okrutni. Spokojnie twierdził, że jest niewinny, delikatnie podjadał okruszki, które mu rzucaliśmy, lecz ani wyrazem twarzy, ani zachowaniem nigdy nie okazywał nam wdzięczności.

Dror spytał, co się z nim stało.

– Musieliśmy go wypuścić z braku dowodów i pewnie odkrył tożsamość tego, kto go wydał, bo próbował go udusić.

Elihu posłał mu znękane spojrzenie.

– A więc jednak wyprowadziliście go z równowagi. Tylko tego nie okazał.

Baruch ze zmęczeniem kiwnął głową.

– Możliwe. Przesiedział dwanaście lat za usiłowanie zabójstwa. Zastanawiam się czasem, co by się z nim stało, gdybyśmy go nie zgarnęli, nie pogwałcili jego samoświadomości, robiąc z niego kogoś, kim według nas był.

– U nas to norma – zauważył Elihu. – Każdy staje się tym, kim chce widzieć go wróg. Jakbyśmy nie chcieli go zawieść. – Prychnął, pokręcił głową, spuścił oczy, doczytał meldunek, a potem zwinął go w kulkę i wrzucił ją do kosza, z którego wylewały się papierowe kubki i talerze. – Naprawdę myślisz, że któryś z tych sześciu ślepców to Abu Bakr?

Baruch zaczął tracić cierpliwość.

– Masz lepszy pomysł?

Zmierzyli się wzrokiem.

– Nie mamy nic do stracenia – wtrącił Dror.

– Przydzielono nam nieograniczone środki – wymamrotał *katsa*. – Możemy je rozmieścić wszędzie.

– Na przykład gdzie? – spytał Baruch.

– Sweeneya nie ma w Azie – przypomniał mu Dror.

– Ale mogą tam być jego zwłoki – odparł Elihu, ujmując w słowa swoje największe lęki. Zagryzł zmaltretowany ustnik fajki.

Do pokoju weszła kobieta w średnim wieku, spoglądając na nich przez okulary w jaskrawoczerwonej oprawce. Przyniosła plik meldunków z dalekopisu. Położyła je na biurku i spytała:

– Zrobić komuś kawy?

Baruch podniósł palec i zaczął przeglądać nowe raporty. Elihu też skinął głową.

– Bez czy z? – spytała kobieta.

– Bez czy z? – powtórzył z roztargnieniem *katsa*, patrząc przez okno na żydowską część miasta.

– Bez mleka czy z mlekiem. Bez cukru czy z cukrem.

– On pije czarną, jak jego nastrój – rzucił Dror.

– Cholera! – zaklął Baruch. – W Ramallah też nic. – Nachmurzony podniósł wzrok. – Aptekarz z Jalazun codziennie wymykał się tam na lunch, więc pomyśleliśmy, kurczę, Ramallah to kolebka fundamentalizmu, to może być to. Dwadzieścia minut temu nasz człowiek widział, jak facet

rozmawia w restauracji z kobietą, która okazała się jego trzecią żoną. Ot i masz terrorystę.

– Czarne pudełka, które rozmieściliśmy rano w Jalazun i Ramallah, też nic nie namierzyły – powiedział Elihu, który ciągle wydzwaniał do bosonogiej contessy w Jafie. – Co znaczy, że możemy skreślić i jego, i anestezjologa z Chicago.

Baruch zerknął na ścienny zegar – miał upiorne wrażenie, że bezsilnie patrzy na przesypujący się w klepsydrze piasek. Sięgnął po kolejny meldunek. Może przeczucie, że porywacz Apfulbauma ma wykształcenie medyczne, zawiodło ich w ślepy zaułek? Może Abu Bakr ciągle wyprzedzał ich o krok?

– No proszę, mój stary znajomy al-Szaat... Tuż przed zamknięciem przychodni na Starym Mieście pojawiła się tam kobieta w ciąży. Pielęgniarka wprowadziła ją do środka i zamknęła drzwi na klucz. Godzinę i kwadrans później lekarz i jedna z dwóch pielęgniarek wyszli. Kobieta i druga pielęgniarka zostały. Postukując długą bambusową laską, doktor al-Szaat doszedł ulicą Łańcucha do bramy prowadzącej na Haram-asz-Szarif i wspiął się na wzgórze. Siedemnaście minut modlił się w Kopule na Skale, a potem wrócił do Dzielnicy Chrześcijańskiej. W okolicy Bazyliki Grobu Świętego było pełno pielgrzymów. Lekarz wmieszał się w tłum i zniknął w labiryncie uliczek. Nasi ludzie trochę powęszyli: żaden z właścicieli sklepów w pobliżu przychodni nie wie, gdzie al-Szaat mieszka ani jak skontaktować się z nim w razie nagłej potrzeby. Dowódca zespołu obserwacyjnego przekręcił do chłopaków od czarnych pudełek i zasugerował, żeby przeczesali teren między Christian Quarter Road a Nową Bramą, gdzie widziano go ostatni raz.

Dror wyszedł z pokoju, żeby skorzystać z telefonu sekretarki – jeśli Baruch rzeczywiście na coś wpadł, zostało im bardzo mało czasu na zorganizowanie akcji. Żeby to sobie ułatwić, postanowił ściągnąć do Jerozolimy czterdziestu pięciu żołnierzy elitarnego oddziału sztabu generalnego, ale chciał to zrobić bez rzucania się w oczy. Jakiś przemądrzały dupek dziennikarz mógłby coś zwęszyć, a tego nie chcieli.

Nie trzeba było geniusza, żeby domyślić się dlaczego. Broń, kamizelki kuloodporne, noktowizory – żołnierze pakowali to wszystko do bagażników prywatnych samochodów, po dwóch, po trzech przyjeżdżali chyłkiem do miasta i zbierali się w kinie w Dzielnicy Niemieckiej, którego właściciel był kiedyś zastępcą dowódcy oddziału. Dror zadzwonił do swojego adiutanta, który założył centrum dowodzenia w biurze kina. Przyjechało już trzydziestu ośmiu. Oliwili broń, ostrzyli noże, dzwonili z komórek do żon i przyjaciółek, grali w remika albo drzemali. Jeden przywiózł laptop i pisał pracę magisterską z historii sztuki.

– Mamy pełny zestaw map Samarii i Judei – zameldował adiutant. – Wiadomo już, gdzie jedziemy?

– Wszędzie albo nigdzie – odparł Dror.

Sekretarka w okularach w jaskrawoczerwonej oprawie przyniosła nową porcję meldunków i tacę z papierowymi kubkami z colą i kanapkami z ciemnego żytniego chleba z tuńczykiem. Baruch przejrzał raporty i podał je Elihu siedzącemu po drugiej stronie biurka. Wszystko wskazywało na to, że mogli skreślić z listy dwóch kolejnych podejrzanych: arabskiego urologa z kataraktą, którego znaleziono w sanatorium w Akrze, gdzie dochodził do siebie po operacji biodra, i wykształconego w Ameryce psychiatrę, który od początku stycznia prowadził seminarium na Uniwersytecie Alfreda w stanie Nowy Jork. „Dorastać z pretensjami do całego świata” – tak zatytułował cykl swoich wykładów.

Telefon satelitarny w kieszeni katsy mrucał, ilekroć bosonoga contessa przysyłała mu kolejne raporty. Wciąż nic. Osiemnaście minut przed pełną godziną i osiemnaście minut po przeczesano cały Hebron. Wszystkie cztery cykle transmisyjne nie wychwyciły ani jednego sygnału na ustalonej czy choćby zbliżonej częstotliwości.

Atmosfera zrzędliviego rozdrażnienia w biurze Barucha musiała być zaraźliwa. Przechodzący korytarzem pracownicy rozmawiali półgłosem, jak w szpitalu czy na cmentarzu. Gdzieś na piętrze przeraźliwie zadzwonił telefon i ktoś mówiący po angielsku z silnym izraelskim akcentem ryknął:

– Nie, to nie jest żydowska liga obrony praw gejów! To jest Miszteret Yisra’el, policja!

– *Szeket!* – krzyknęła po hebrajsku jakaś kobieta. – Cisza!

Nieświadom niczego Baruch po raz kolejny przeczytał najnowsze raporty. Przez szyfrowany telefon zamienił kilka słów z koordynatorem akcji w Hebronie, potem znowu spojrzął w okno. Niebo pokryło się chmurami, zaciął zimny deszcz. Baruch patrzył na autobusy i samochody przesuwające się bezgłośnie ulicami. Skupiwszy wzrok na spływających po brudnej szybie kroplach, pomyślał, że w Izraelu pogoda idealnie dostosowuje się do nastroju: wszyscy widzieli, że jest przygnębiony. Z traktatem czy bez traktatu, Izraelczycy mieli poważne wątpliwości co do tego, czy Autonomia Palestyńska poradzi sobie ze swoimi ekstremistami, i wyglądali teraz czegoś tak zwykłego i ożywczego jak wiosna, chociaż zdawało się, że przyjdzie im na nią czekać całą wieczność. Wspomnienie tryskających złotem akacji i czerwonych jak krew dzikich zawilców należało do Jerozolimy z innej planety, a nie do miasta, którego mieszkańcy wypatrywali końca zimy i złowieszczonego ramadanu.

Kilka minut przed północą sekretarka z nocnej zmiany przyniosła pojedynczy meldunek prosto z dalekopisu. Baruch przeczytał go i jęknął.

– Ali Abdel Issa, specjalista od min pułapek z hebrońskiego Hamasu, od ośmiu miesięcy siedzi w więzieniu w Jerychu, u Saadata. To go eliminuje.

– Jest jeszcze ten niewidomy lekarz...

– Al-Szaat.

– ...który po południu zniknął w uliczkach Starego Miasta.

Elihu machnął fajką.

– Nie ukryliby zakładnika tuż pod naszym nosem.

– Nos to często najlepsze miejsce – zauważył Baruch, choć bez większego przekonania w głosie.

Dror wzruszył ramionami. Zorganizować nalot z zaskoczenia w labiryncie wąskich uliczek Starego Miasta – z technicznego punktu

widzenia perspektywa ta zupełnie mu nie odpowiadała. W tych warunkach potajemna dyslokacja żołnierzy wydawała się prawie niemożliwa.

Dwadzieścia dwie minuty po drugiej nad ranem w kieszeni Elihu zamruczał telefon. *Katsa* przytknął aparat do ucha. Dror drzemał na sofie. Baruch podniósł głowę z biurka. Dobiegł go nosowy głos bosonogiej *contessy*, ale nie rozumiał, co mówiła. Nagle Elihu szeroko otworzył oczy. Wyjął z ust ustnik fajki.

– Niech go namierzą – rozkazał cicho. I przerwał połączenie. Spojrzał na Barucha. – Masz u mnie kielicha. Odebrali pojedynczy sygnał, dwustumetrowy wektor. Ze skupiska budynków na północ od ulicy Greckiego Patriarchatu Prawosławnego i na wschód od hospicjum przy Casa Nova.

– Pasuje! – wykrzyknął Baruch. – Z górnych pięter tych budynków Jussuf Abu Saleh mógł widzieć zieloną koszulę kulawego szewca z zakładu naprzeciwko meczetu El Khanqa. – Pozbawiony wszystkiego oprócz nadziei, opadł na fotel i powiódł wzrokiem po planie Starego Miasta. – Namierzenie rabina było chyba najłatwiejsze... – wymamrotał.

W kinie Dror porozmawiał jeszcze raz ze swoim zastępcą i oficerem odpowiedzialnym za planowanie, potem wdrapał się na scenę i powiódł wzrokiem po skupionych twarzach młodych żołnierzy, którzy wkrótce mieli iść do boju. Karabinki szturmowe, snajperki, pistolety maszynowe, skrzynki granatów i plastycznych materiałów wybuchowych ustawili pod ścianą, po czym usiedli na składanych drewnianych krzesłach w pierwszych rzędach widowni. Oficerowie mieli zaopatrzone w tłumik pistolety w parcianych kaburach pod pachą. Wszyscy byli zaprawionymi w boju weteranami, wszyscy przeszli szkolenie w wojskach desantowych i siłach specjalnych. Należeli do elity elit izraelskiej armii.

Były zastępca dowódcy oddziału, obecnie właściciel kina, siedział zamyślony obok Elihu i Barucha w pierwszym rzędzie na balkonie, opierając nieogolony podbródek na rękach złożonych na niskiej mosiężnej poręczy. Wciąż sprawny fizycznie – codziennie jeździł na rowerze – oddałby kino, nie wspominając już o duszy, za możliwość udziału w akcji, wiedział jednak, że lepiej o to nie prosić. Z tyłu, po jego lewej stronie, siedziało dwóch dwugwiazdkowych generałów ze sztabu generalnego i brzuchaty cywil z wydziału operacyjnego Szin Bet. Z ostatniego rzędu krzeseł na scenę spoglądał Zalman Cohen, przewodniczący komisji do spraw wojskowych, na którego okrągłej, lubieżnej twarzy jak zwykle gościł słynny cierpki uśmiezek.

Dror postukał czubkiem palca w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa.

– Panowie... – „Panowie”, powtórzyły jak echo dwa wielkie ściennie głośniki. Dror pokręcił gałką potencjometru i spróbował ponownie. – Panowie, kiedy tylko się ściemni, jedziemy na Stare Miasto, mamy więc dwanaście godzin na szczegółowe przygotowania. – Odchrząknął; nie lubił przemawiać. – Zaczniemy od zarysu ogólnego operacji. Następnie

rozbierzemy ją na części, każdą część dokładnie przeanalizujemy i złożymy wszystkie w całość. Potem zrobimy to drugi raz i trzeci. Będziemy to powtarzać, aż poznacie je tak dobrze, jak znacie trzydzieści siedem kawałków metalu, z których składa się karabinek szturmowy. Wtedy nabijemy broń i pojedziemy załatwić sprawę.

Dał znak obsługującemu projektor kapralowi. Na ekranie ukazał się pierwszy slajd, napowietrzny widok Starego Miasta.

– Mamy powody uważać, że Abu Bakr, niemal na pewno w towarzystwie kilku terrorystów, bylibyśmy idiotami, myśląc inaczej, zaszył się gdzieś tutaj. – Postukał w ekran długim wskaźnikiem. – Nie wiemy tego na sto procent, ale przypuszczamy, daj Boże, aby tak było, że jest tam również wprowadzony zakładnik, rabin Apfulbaum. Jesteśmy całkowicie pewni, że przebywa tam amerykański dziennikarz, Sweeney. Dobrze. Budynek, który jest naszym celem, znajduje się czterdzieści metrów od ulicy Greckiego Patriarchatu Prawosławnego, w labiryncie uliczek, podwórek i przejść na poziomie ulicy oraz na dachach.

Sina blizna od szrapnela na policzku Drora płonęła jak neon. Żołnierze chłonęli każde jego słowo. Wielu było z nim w akcji: nad rzeką Litani, w Dolinie Bekaa i w Iqlim el Tuffah w południowym Libanie. Inni znali go z reputacji; podobno był zastępcą katsy podczas jego słynnej ostatniej misji w Nablusie za drugiej intifady.

– Abu Bakr i towarzyszący mu ludzie są zatwardziałymi fundamentalistami i terrorystami – ciągnął. – Zabili czterech Żydów podczas zasadki na rabina, zamordowali jego sekretarza, kiedy upłynął pierwszy termin. Dlatego nie muszę wam chyba mówić, że poleje się krew. Ta odprawa jest po to, żeby była to ich krew, a nie nasza. Gdybyś mógł puścić następny slajd... Naszym celem jest budynek pośrodku tego skupiska domów. To arabska łaźnia, opuszczona od sześćdziesiątego siódmego, od początku naszej okupacji. Na tym starym zdjęciu widać tylne drzwi i rampę. Następny slajd poproszę... Dobra. Tu mamy orientacyjny plan budynku, sporządzony na podstawie opisów z przewodnika z lat pięćdziesiątych i wspomnień oficerów, których oddział zabezpieczał ten

teren w sześćdziesiątym siódmym. Jak widzicie, budynek ma trzy piętra. Parter to płatanina korytarzy i przebieralni, jest tam również recepcja i biuro. W tych miejscach raczej nikogo nie będzie. Są tam dwie klatki schodowe, to znaczy kiedyś na pewno były; prowadziły do sal kąpielowych na pierwszym piętrze. Z tyłu były również wąskie schody prowadzące na drugie piętro i do kilku w pełni umeblowanych dwupokojowych mieszkań, które wynajmowano ważnym osobistościom arabskim odwiedzającym Jerozolimę. Tu zaczyna się zgadywanka, ale przypuszczamy, że Abu Bakr zabarykadował się właśnie tam, a to dlatego, że nie licząc tych w przebieralni, są tam jedyne w budynku toalety. Zakładamy, że od czasu do czasu musi z nich korzystać. – Odpowiedział mu wybuch nerwowego śmiechu. – Nad mieszkaniami i biurem jest strych, gdzie można wejść tylko po drabinie i przez klapę. Nie mamy pojęcia, co tam jest, ale po rozpoczęciu akcji, ani sekundy wcześniej, dwóch ludzi zabezpieczy klapę, a trzech innych strych.

Poprosiwszy o następny slajd, Dror wypił łyk wody.

– Kiedy dojdziemy do omawiania rozkazów dla poszczególnych grup, każdy z was dostanie broszurę z wydrukiem wszystkich slajdów. Tymczasem ogólnie o schemacie akcji. Proponujemy zablokować kilka ulic, tę, tę, tę i tę. Zabezpieczyć wszystkie drzwi wejściowe i rampę. Oraz dachy, w tym miejscu, tym i tym. Na dach hospicjum przy Casa Nova wyślemy snajperów, bo jest stamtąd dobry widok na interesujący nas obiekt. Kiedy odetniemy terrorystom drogę ucieczki i kiedy snajperzy zajmą pozycję, do akcji wkroczy grupa uderzeniowa; nadejdzie od północnego zachodu, po dachach. Żeby uniknąć ostrzału własnego, wszyscy biorący udział w szturmie dostaną opaskę na ramię; będą ją nosić na lewej ręce, nad łokciem. Czerwone strzałki na slajdzie pokazują drogę, którą grupa uderzeniowa dotrze na miejsce. Będzie w niej szesnastu żołnierzy pod moim dowództwem. Mój pierwszy będzie osłaniał tyły i zastąpi mnie, jeśli zostanę wyłączony z akcji. Drugi będzie szedł dwadzieścia metrów za nami z grupą medyczną i przejmie dowodzenie, jeśli tamci wyeliminują pierwszego. Pierwsza grupa pójdzie w noktowizorach i zabezpieczy schody.

W operacjach tego rodzaju wszystko, dosłownie wszystko, zależy od zaskoczenia. Aby je uzyskać i tym samym uwolnić rabina, trzeba wejść tam bez jednego wystrzału. Dlatego jeśli pierwsza grupa kogoś napotka, wyeliminuje go za pomocą wytłumionego pistoletu lub noża, w zależności od tego, jak daleko będzie znajdował się cel. W tej fazie operacji nie bierzemy, powtarzam, nie bierzemy, jeńców. Grupa numer dwa będzie wyposażona w materiały wybuchowe. We wszystkich dotychczasowych nalotach na kryjówki terrorystów musieliśmy forsować drzwi, często wzmocnione stalowymi płytami. Saperzy przymocują taśmą ładunek z radiowym zapalnikiem, co nie powinno im zająć więcej niż dwie minuty, i wycofają się, ustępując miejsca grupie uderzeniowej. Grupa uderzeniowa wysadzi drzwi i wtargnie do kryjówki. Dobrze. Jakieś pytania?

– Czy w kryjówce są okna? Chodzi mi o źródło światła i potencjalną drogę ucieczki.

– Na filmie, który przysłali nam terroryści, widać rabina i jego sekretarza siedzących na tle zamurowanego okna. To znowu zgadywanka, ale przypuszczamy, że zamurowali wszystkie, żeby nikt z zewnątrz nie zauważył oznak życia w mieszkaniu, takich jak na przykład światło elektryczne w nocy. – Dror zaznaczył coś na fiszce i podniósł wzrok. – I tak doszliśmy do porwaczy i porwanych. – Na ekranie ukazała się twarz rabina Apfulbauma, en face i z profilu. – Przyjrzyjcie się tym twarzom bardzo uważnie. Każdy z was dostanie zdjęcia. Nauczcie się ich na pamięć. Poznajcie je lepiej niż twarze waszych ojców i braci. Pamiętajcie, że Apfulbauma poddano najpewniej długiemu przesłuchaniu. Ma pięćdziesiąt trzy lata, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, odstające uszy i wydatny nos, jest bardzo chudy – waży około sześćdziesięciu kilo – i przygarbiony. Będzie najpewniej nieogolony, rozczochrany i niedomyty. Bez okularów, które znaleziono na miejscu uprowadzenia, jest praktycznie niewidomy i będzie mrużył oczy. Mówi po angielsku, hebrajsku, arabsku i w jidysz.

Kolejny slajd i na ekranie zmaterializowała się twarz Sweeneya, również en face i z profilu.

– To jest amerykański dziennikarz Max Sweeney. Czterdzieści trzy lata, wysoki, szczupły, kędzierzawe włosy, wysokie czoło i wydatne kości policzkowe. Słucha rozmówcy z lekko przekrzywioną głową, bo nie słyszy na lewe ucho. Mówi po angielsku i zna kilka słów po hebrajsku, ale nie potrafi nawiązać rozmowy w tym języku. Dlatego grupa uderzeniowa składa się wyłącznie z żołnierzy mówiących płynnie po angielsku. Niewykluczone, że w zamieszaniu będziecie musieli kazać rabinowi i Sweeneyowi paść na podłogę. Dlatego wszystkie rozkazy będą wydawane po angielsku.

– Czy Sweeney też jest zakładnikiem? Czy tamci mogą go zabić?

– Tego nie wiemy – odparł Dror, nie patrząc na Barucha i Elihu siedzących na balkonie. – Ruchem głowy poprosił o kolejny slajd. – To jedyne znane zdjęcie Abu Bakra, przywódcy tak zwanej Islamskiej Brygady Abu Bakra. Naprawdę nazywa się Ismail al-Szaat. To zdjęcie zrobiono dwadzieścia trzy lata temu, gdy został aresztowany za usiłowanie zabójstwa. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata, co znaczy, że teraz ma czterdzieści sześć. Jest lekarzem i prowadzi darmową przychodnię na Starym Mieście. Jest niski i przysadzisty. Może być w zachodniej marynarce na długiej galabii. Nosi grube okulary, ale cierpi podobno na widzenie tunelowe i nawet w okularach jest praktycznie niewidomy. Nie dajcie się jednak temu zwieść: ten człowiek przesiedział w więzieniu dwanaście lat za usiłowanie zabójstwa. Po wyjściu własnoręcznie zamordował dwudziestu czterech kolaborantów, strzelając im w głowę z przystawienia. Podczas porwania własnymi rękami zabił kierowcę samochodu rabina, a potem jego sekretarza. Jest prawdopodobnie uzbrojony w pistolet kalibru pięć przecinek sześć milimetra, ale może strzelać tylko z bardzo małej odległości. – Dror zrobił pauzę. – Należy go natychmiast zabić, tak jak wszystkich Palestyńczyków w kryjówe.

– Czy to dotyczy również kobiet?

– To dotyczy również kobiet, tak.

– I dzieci?

Dror wziął głęboki oddech.

– Co znaczy „dzieci”? Każdy, kogo tam znajdziemy, będzie aktywnym członkiem Islamskiej Brygady Abu Bakra i jako taki będzie uzbrojony. Jeśli ich nie zastrzelicie, oni na pewno zastrzelą was.

– Mówiłeś, że Abu Bakr prowadzi przychodnię. Dlaczego nie możemy przechwycić go w drodze do pracy?

– Byłoby za późno. Termin upływa wraz z *Id al-Fitr*, Świętem Przerwania Postu, czyli końcem ramadanu. Ramadan kończy się dzisiaj o zachodzie słońca, punktualnie sześć minut po szóstej wieczorem. Zaczniemy zajmować pozycje, kiedy nad Starym Miastem zapadnie ciemność, to znaczy około dziewiętnastej. Księżyc, w pełni, wzejdzie o dziewiętnastej czterdzieści osiem. Daje to nam czterdzieści osiem minut całkowitej ciemności: w tym czasie musimy tam wejść i stamtąd wyjść.

– Jeśli termin upływa wraz z końcem ramadanu, skąd pewność, że terroryści będą zwlekali dwie godziny?

Dror zerknął na Zalmana Cohena na balkonie.

– Dzisiaj o piętnastej premier ma konferencję prasową, na której ogłosi, że rząd, uginając się pod presją Stanów Zjednoczonych, zgodził się spełnić żądania brygady Abu Bakra. El Sayyid Nosair, Palestyńczyk odbywający karę dożywotniego więzienia za zabójstwo rabina Meira Kahany, oraz pozostali palestyńscy więźniowie zostaną uwolnieni dziś o dwudziestej na granicy libańskiej. Zakładamy, że terroryści się wstrzymają i do dwudziestej nikogo nie zabiją, a o dwudziestej będzie po akcji.

Wstał niski żołnierz z drugiego rzędu.

– Mówiłeś, że mieszkania na drugim piętrze składają się z dwóch pokojów. Co będzie, jeśli po sforsowaniu frontowych drzwi okaże się, że są tam drugie?

– Dobre pytanie – odparł Dror. – Jeśli Abu Bakr i zakładnik lub zakładnicy zabarykadowali się za drugimi, kiedy wysadzimy frontowe, będą oczywiście wiedzieli, że już tam jesteśmy. Spróbujemy namówić ich do poddania się, zaproponujemy wymianę, ich życie za życie zakładników. Kiedy zajmiemy Abu Bakra rozmową, saperzy zaminują drugie drzwi.

W zależności od jego reakcji tamci albo je otworzą i wyjdą z rękami do góry, albo odpalimy ładunek, licząc na szczęście.

– Jeśli, co mało prawdopodobne, terroryści się poddadzą, bierzemy jeńców czy nie?

– Nie. Jeśli to zrobimy, ich kumple wezmą innych zakładników i zażądają wymiany. Pamiętajcie, że Abu Bakr jest seryjnym mordercą. Ci, którzy mieczem wojują, od miecza giną. W oficjalnym komunikacie powiemy, że zginęli podczas szturm, którego celem było odbicie rabina i amerykańskiego dziennikarza.

– Czy rabina i Sweeneya da się uprzedzić o szturmie? Pytam dlatego, że gdyby się dało, mogliby zaatakować terrorystów albo odwrócić ich uwagę, co umożliwiłoby nam sforsowanie drzwi. Kiedy zaczęłaby się strzelanina, w ostatniej chwili ukryliby się pod stołem i...

– Odpowiedź brzmi: mamy taką nadzieję. Bez wdawania się w szczegóły powiem tylko, że być może uda nam się ich ostrzec. Ale nie możemy liczyć na to, że nam pomogą. Musimy tam wejść i zrobić to sami.

– Jak poszczególne grupy będą komunikowały się ze sobą podczas akcji?

– Nie będą. Poznają swoje zadania tak dobrze, że nie zajdzie taka potrzeba. Do końca operacji pod żadnym pozorem nie wolno wam przerwać ciszy radiowej. – Dror rozejrzał się. – Jeśli nie ma więcej pytań...

Zalman Cohen pomachał z balkonu pulchną ręką.

– Na początku odprawy wspomniał pan, że wszystko zależy od elementu zaskoczenia. Jak zamierza pan przemyścić na Stare Miasto czterdziestu pięciu ludzi – czterdziestu siedmiu, wliczając w to pana i Barucha, który, jak rozumiem, pójdzie z grupą medyczną – licząc na to, że nikt nie zadzwoni do CNN i nie zawiadomi ich o trwającej akcji?

W tym momencie, jak na umówiony sygnał, wahadłowymi drzwiami na końcu sali weszło dwóch żołnierzy z wózkami wyładowanymi stertami kartonów. Dror uśmiechnął się ponuro.

– Nie dowie się o tym ani CNN, ani Arabowie – powiedział. – Dlaczego? Dlatego, że przed akcją przejdziemy na... chrześcijaństwo.

Id al-Fitr, Święto Przerwania Postu, rozpoczęło się w chwili, gdy ponad dachami Starego Miasta popłynęło nawoływanie muezina, transmitowane z meczetu El Khanqa.

– *Allahu Akbar, Allahu Akbar...*

Kuśtykając niepewnie na zdrętwiałych nogach, z ręką na lewym ramieniu Doktora, rabin Apfulbaum szedł za nim do frontowego pokoju.

– Prowadził ślepy ślepego – rzucił żartobliwie Doktor, kierując się do niskiego okrągłego stołu w kącie.

– Boże, czuję się jak ryba bez wody – jęknął rabin, rozmasowując nadgarstek w miejscu, gdzie kajdanki obtarły i podrażniły ziemistą skórę. Wygładził ręką wygniecioną marynarkę, kościstymi palcami przecesał rozczochrane włosy i pozwolił się posadzić na leżącej przy stole poduszce.

– To zupełnie normalne, że jesteś zdezorientowany. – Doktor podciągnął galabiję i usiadł obok niego. Machnął ręką, wskazując Sweeneyowi poduszkę po drugiej stronie stołu.

Czując się nieswojo (żaden z nich nie łamał się jak dotąd chlebem z Żydem), bracia el-Tel usiedli naprzeciwko rabina. Aown wyjął zza pasa starego webleya i położył go na podłodze obok uda. Gotując ryż, cukinię i kotlety jagnięce na małym turystycznym kocherze, Petra coś do siebie nuciła. Była w bardzo dobrym humorze.

– Kolacja będzie gotowa za pięć minut – oznajmiła nieśmiało.

Skonsternowany rabin zmrużył oczy.

– Jaka kolacja? Kto w takiej chwili miałby apetyt? Na litość boską, Ismailu, nie przedłużajmy tego.

Doktor nachylił się i poklepał go po ręku.

– Izaak, mam dla ciebie wspaniałą wiadomość.

Apfulbaum uśmiechnął się krzywo.

– Wiem, wiem. Dziś wieczorem będę zasiadał po prawicy Boga.

– Nie o to chodzi! – wypalił Doktor. – Izraelczycy ugięli się przed naszymi żądaniami. Dziś o trzeciej wasz premier ogłosił to osobiście na konferencji prasowej.

Sweeney przekrzywił głowę, żeby lepiej słyszeć.

– Jest pan tego pewny?

– Powiedziałbym ci wcześniej – ciągnął Doktor – ale nie chciałem, żebyś zadręczał się fałszywymi nadziejami. Czekałem na międzynarodową konferencję prasową, żeby to potwierdzić. W radiu od trzeciej nadają komunikat za komunikatem. Żydzi nie mówią o niczym innym. Opozycja oskarża premiera o ustępstwa wobec terroryzmu. Matka żołnierza odcielesnionego przez zamachowca samobójcę mówi, że życie każdego Żyda jest święte, i bierze stronę premiera. Petra słyszała nawet, jak na wojskowych częstotliwościach ktoś potępiał haniebną kapitulację rządu wobec islamskich terrorystów. Tak czy inaczej, pomyślałem, że kiedy zasiądziesz z nami do wieczerzy na koniec postu, będzie to dla ciebie cudowna niespodzianka.

Oszołomiony rabin zakołysał się lekko i zachwiał. Otworzył usta, przewrócił oczami i zachichotał. Chichot przeszedł w niedający się opanować śmiech. Apfulbaum śmiał się i śmiał, aż się zakrztusił, aż żołądek podszedł mu do gardła, aż jego zapadnięte policzki spłynęły łzami.

– Ismailu, Ismailu... – jęknął. Pokręcił głową i znowu się roześmiał.

Zaskoczeni bracia el-Tel wymienili spojrzenia. Rabin odetchnął głęboko i wierzchem rozciętego rękawa wytarł oczy.

– To, że ktoś jest ślepy – powiedział, kiedy mógł już mówić – nie znaczy, że nie widzi oczywistego. Izraelczycy chcą cię oszukać...

– Izaak, może nie wyraziłem się dostatecznie jasno – przerwał mu Doktor. – Izraelczycy nie mówią, że chcą negocjować, nie grają na czas. Mówią, w obecności zagranicznych dziennikarzy, przed kamerami telewizyjnymi, na oczach całego świata, że o ósmej wieczorem, na granicy

z Libanem, uwolnią El Syyida Nosaira i palestyńskich więźniów. O ósmej, za niecałe dwie godziny. – Włożył do ust palestyńskiego farida, trzasnął zapalką i kilka razy płytko zaciągnął się dymem. – Jak mogliby kłamać, *ja'ani*? Na oczach całego świata? Kiedy więźniowie przekroczą libańską granicę, arabscy dziennikarze zrobią z nimi wywiad. Kiedy tylko usłyszymy ich głos, zaczniemy przygotowywać się do twojego uwolnienia. – Wyciągnął rękę, chwycił rabina za szyję i przyciągnął go tak blisko, że niemal zetknęli się czołami. – Nie mam wątpliwości, że kiedyś zasiądziesz po prawicy Boga, mój przyjacielu – dodał cicho. – Ale dzięki Jego łasce na pewno nie dzisiaj. Dzisiaj uczcisz z nami koniec ramadanu i początek reszty swojego długiego życia.

– Robi pan wrażenie niezadowolonego, rabe – zauważył Sweeney. – Na pana miejscu każdy skakałby z radości...

Rabinowi drgnęła powieka. Na jego szyi wystąpiły żyły.

– Ismailu, co to za błazen? – Zanim Doktor zdążył odpowiedzieć, zacisnął szponowate palce na jego nadgarstku. – Jesteś naiwny, *ja'ani*. Nigdy nie ufaj Żydowi. – Zarechotał dziko, śmiejąc się ze swojego dowcipu, lecz szybko się opanował. – Wyznaczyłeś termin, *ja'ani*. Ramadan właśnie się skończył. Nadeszła chwila prawdy. Licytuj albo milcz. Masz karete, ale ja liczę na pokera. Postawisz dwudziestaka, ja postawię dwa.

Z radia przy drzwiach popłynęły zakłócone trzaskami głosy izraelskich żołnierzy meldujących po hebrajsku z okupowanej strefy.

– Arabowie... świętują... Fajerwerki... Nastolatki... setki... tańczą... Płonie jakaś stodoła... Krzyczą: Abu Bakr, *mudžaddid*, Abu Bakr, *mudžaddid*... Słyszać ich aż tutaj... na wzgórzach za miastem...

Rabin wybałuszył oczy i zerknął w stronę drzwi.

– Co to jest?

– Monitorujemy ich częstotliwości wojskowe – wyjaśnił Doktor, strząsając popiół na podłogę.

– Na miłość boską, Ismailu – prychnął drwiąco Apfulbaum. – Przecież oni o tym wiedzą. Myślisz, że powiedzieliby wam przez radio, co naprawdę knują?

Petra wrzuciła do gorącego kuskusu kotlety, cukinię i oliwki. Ściągnęła chustę na szyję i końcami owinęła ręce, podniosła garnek, postawiła go na stole i zaczęła nakładać jedzenie do miseczek.

Rabin powąchał swoją i nozdrza jego jastrzębiego nosa rozszerzyły się gwałtownie.

– Na twoją cześć – oznajmił zadowolony z siebie Doktor – wieczerza jest koszerna. – Zmrużył oczy i spojrzał na Sweeneya. – Niech pan zamieści ten szczegół w swoim artykule. „Arabski terrorysta podaje koszerne jedzenie żydowskiemu zakładnikowi”. – Podsunął miseczkę Apfulbaumowi. – Kazałem Petrze kupić jagnięcinę u koszernego rzeźnika w Dzielnicy Żydowskiej Starego Miasta. Pomyślałem, że połączenie naszych rytuałów sprawi ci przyjemność.

– Nawet oliwki są koszerne – wtrąciła Petra, która wychwyciła z rozmowy słowo „koszerny”. – Muszą takie być, bo kupiłam je w żydowskim sklepie obok rzeźnika.

Chwilę trwało, zanim rabin to przetrawił. W końcu zrozumiał.

– Myślałem, że jestem w Azie...

– W ósmym wieku imam Ali^[67] powiedział: „Jeśli chcesz zobaczyć zakątek raju, spójrz na Jeruzalem”.

– Talmud Babiloński^[68] mówi – wtrącił z uczuciem rabin – że na dziesięć miar piękna, które Bóg dał światu, dziewięć przypadło Jerozolimie.

– Gdyby nie zamurwane okna – powiedział Doktor – ujrzalbyś święte miasto waszego króla Dawida.

– Dziękuję, Ismailu, Bóg zapłać. Jeśli mam umrzeć, niechaj umrę w Jeruzalem.

– Nie rozmawiajmy już o umieraniu, *ja’ani*. – Doktor wziął szklanekę soku grapefruitowego i wzniosł ją jak do toastu. – *Ad meja v-esream*. Obyś żył sto dwadzieścia lat.

Rabin wzruszył kościstym ramieniem.

– Zobaczysz – mruknął ponuro. – Minie ósma, minie dziewiąta i dziesiąta, a po libańskiej stronie granicy nie będzie ani Palestyńczyków, ani dziennikarzy. Ha! Okaże się, że to jednak ostatnia wieczerza.

Sweeney wyjął z miseczki kotleta i zaczął go skubać. Zastanawiał się, czy uda mu się odtworzyć tę rozmowę z pamięci. Była surrealistyczna. „Prowadził ślepy ślepego”, powiedział Doktor. Prowadził wariat wariata byłoby dużo celniejsze. Postanowił dopiec rabinowi.

– Skoro to ostatnia wieczerza, jest pan mesjaszem. Z dziennikarskiego punktu widzenia byłaby to sensacja stulecia. Islamski odnowiciel i żydowski mesjasz w tym samym pokoju! Przy jednym stole!

Apfulbaum przysunął się z poduszką bliżej Doktora i spojrzeli sobie w niewidzące oczy.

– Nie mam wątpliwości, że Ismail jest odnowicielem, na którego islamski świat od dawna czeka z zapartym tchem – powiedział żarliwie rabin, nie zważając na to, że z kącika ust ścieka mu strużka śliny. – Jeśli zaś chodzi o mnie... – Zadrżała mu szczeka. Wyjął z kieszeni srebrne paciorki i zaczął przesuwac je kościstymi palcami. – Ismailu, nikomu tego nie mówiłem. Kiedy studiowałem Talmud w brooklyńskiej jesziwie, niektórzy szeptali, że jestem mesjaszem. Podczas gdy moi rówieśnicy wciąż uczyli się czytać, ja wprawiałem nauczycieli w osłupienie swoimi interpretacjami Tory. Powiadano, że jeśli wychodzę w burzę na dwór, po mojej lewej i prawej stronie pada deszcz, lecz na mnie świeci słońce. Że jeśli w piątek wyruszam w podróż i zachód słońca zastaje mnie w drodze, po mojej lewej i prawej stronie jest już szabas, lecz dla mnie nie skończył się jeszcze piątek. Mój ojciec, sprzedawca w A&P przy Albany Avenue, niech Bóg ma go w opiece, ukuł dla mnie przydomek w dzieciństwie. „Spytaj mesjasza z Eastern Parkway”, mawiał, gdy nie umiał na coś odpowiedzieć. – Wierzchem dłoni wytarł dużą łzę w kąciku oka. – Nie twierdzę, że jestem mesjaszem, nie twierdzę, że nim nie jestem, mówię tylko, co ja właściwie mówię?, że to możliwe. Ha! Odnowiciel ramię w ramię z mesjaszem! Cóż za potęga! Razem moglibyśmy pchnąć świat na prostą drogę. Nie muszę

tego mówić, ale powiem, bo co mam do stracenia? Jezus z Nazaretu był fałszywym prorokiem. Tak mówi Koran, przekonani są co do tego wszyscy muzułmanie i wszyscy żydzi.

Doktor zgasił papierosa na podeszwie buta i wrzucił niedopałek do popielniczki na stole.

– W islamie – wykrzyknął, dając się porwać fantazji Apfulbauma – nie ma miejsca dla boga, który pozwala ukrzyżować się swoim wrogom!

– Tak jak w judaizmie – zgodził się z nim ochoczo rabin. – Domniemany syn Boży, król żydowski, oj, oj, być może nigdy nie chodził po wodzie, lecz jedną część mitu wypełnił jak trzeba: mesjasz musi umrzeć za swój lud!

– O czym on gada? – spytał brata Aown.

– Zapach koszernej jedzenia musiał zamieszać mu we łbie – odparł Aziz.

Sweeney patrzył to na rabina, to na Doktora. Było oczywiste, że strach przed śmiercią wytrącił Apfulbauma z równowagi. W sytuacjach takich jak ta ofiara często zakochiwała się w porywaczu, aby chronić życie. Ale wyglądało na to, że rabin zakochał się w śmierci. Odnowiciel! Mesjasz! Kompletnie im odbiło!

– Nie jestem doskonały, ale któż jest? – ciągnął Apfulbaum oktawę wyższym głosem. – Zresztą mesjasz nie musi być doskonały. Król Dawid nie był. Kiedy zapragnął Batszeby, odcieleśnił jej męża Uriasza, wysyłając go na pewną śmierć w bitwie.

– Nawet Święty Wysłannik Mahomet nie był doskonały – zauważył Doktor. – Jeśli dobrze pamiętam, w siódmym wersecie dziewięćdziesiątej trzeciej sury Bóg stwierdza, że Prorok zbłądził i udziela mu wskazówek.

– Doskonałość jest jak horyzont. Od rana do nocy pędzisz ku niemu motorówką, lecz gdy dzień dobiega końca, widzisz, że jest wciąż poza zasięgiem – powiedział rabin, cmokając z zadowoleniem na końcu każdego zdania.

– Pięknie powiedziane, *ja'ani*.

Apfulbaum spojrział na Sweeneya.

– Pan nie jesteś z naszej ligi, panie, jak ci tam. Rozmawiamy innym językiem. Tak zwany zachodni liberalizm, którym tak się chlubicie, jest nastawiony na człowieka. Jego dumą i chwałą są hollywoodzkie filmy, kolorowe czasopisma z nagimi kobietami na okładce i karierowicze z Wall Street, którzy po trupach pną się na wierzchołek góry śmieci zwanej zachodnią cywilizacją. A na wierzchołku tej góry jest co? Oj, powiem panu co! Są tam luksusowe apartamenty na najwyższym piętrze wieżowców, z wielkimi głośnikami stereo grającymi wyuzdany rap, są tam narkotyki, rozwody i aborcja na żądanie, nie mówiąc już o zdradach i małżeństwach jednopłciowych. Małżeństwa jednopłciowe! Boże, co oni jeszcze wymyślą?

– Słowa płynęły mu z ust tak szybko, że aż się zasapał. – Powiedz mi, panie, jak ci tam – spytał, z trudem łowiąc powietrze – jaki jest pańskim zdaniem największy wkład Ameryki w rozwój Bliskiego Wschodu? Powiem panu jaki. Klimatyzowane supermarkety ze śmieciowym jedzeniem po jednej stronie przejścia i zdrową żywnością po drugiej. – Zniżył głos. – Na miłość boską, niech pan nie drukuje tego w gazecie, ale kiedy Izraelczyk chce dobrze zjeść, idzie do arabskiej restauracji.

Na znak zgody Doktor pokiwał się jak rozmodlony żyd.

– W poszukiwaniu dobrej opieki medycznej Arab idzie do żydowskiego lekarza. To powszechnie znany fakt.

– A jakich to przeciwników ma w dzisiejszych czasach wasz zorientowany na człowieka zachodni liberalizm? – Apfulbaum przekrzywił głowę i syknął. – Powiem panu jakich: judaizm Tory i islamizm Koranu. To bliscy kuzyni zorientowani nie na człowieka, tylko na Allacha. Ich dumą i chwałą jest Bóg i Jego słowo. A na wierzchołku ich góry jest raj...

– „Nagroda ich u pana – tchnął Doktor – będą Ogrody Edenu, gdzie w dole płyną strumyki”^[69]. – Spojrzał na rabina i wyteńczywszy zamglony wzrok, by dostrzec zarys jego świętego oblicza, dodał: – „Bóg będzie z nich zadowolony i oni będą z Niego zadowoleni. To będzie dla tych, którzy obawiają się swego Pana”^[70].

Apfulbaum delirycznie pokiwał głową i odpowiedział komplementem na komplement.

– „Błogosławieni są, którzy cię błogosławią”^[71] – wyszeptał chrapliwie.

– Za dużo mówisz, za mało jesz – zazartował Doktor. – Jedz, musisz nabrać sił. Pomyśl o konferencjach prasowych, które cię czekają. Pomyśl o programach telewizyjnych, do których cię zaproszą. Będziesz miał u stóp cały świat! – Podsunął mu miseczkę.

Apfulbaum wziął widelec i zaczął bawić się jedzeniem. Włożył do ust trochę kuskusu i kawałek cukinii i wypluł to do miseczki. Był zbyt podekscytowany, by jeść. Zerknął na Petrę i eleganckim arabskim zwrotem wymamrotał przeprosiny. Petra zasłoniła twarz chustą, lecz po zmarszczkach w kącikach jej oczu było widać, że jest zadowolona i się uśmiecha.

Na dany przez Doktora znak zebrała miseczki i postawiła na stole kubki oraz cynowy imbryk pełen gorącej słodzonej herbaty. Potem usiadła z tyłu po turecku, a Doktor sięgnął po imbryk. Zaczynał nalewać, dotykając dzióbkiem brzegu kubka, następnie wprawnym ruchem podnosił imbryk, tak że herbata lała się z góry długą kaskadą. Po odgłosie poznawał, kiedy ma przestać. Z ulicy doszło podekscytowane zawodzenie głośnika. Stopniowo narastało i stawało się wyraźniejsze. W końcu usłyszeli je wszyscy siedzący przy stole. Rozmowy ucichły. Sweeney przekrzywił głowę.

– To po hebrajsku – powiedział. – Co ona mówi?

– To izraelska furgonetka loteryjna – wyjaśnił rabin. – Głos zachodniego liberalizmu wmawia ludziom, że jeśli obstawią właściwy numer, mogą wygrać dwanaście milionów szekli.

– Pierwszy raz słyszę ich na Starym Mieście – powiedziała Petra.

– Przynajmniej są na tyle przyzwoici, że poczekał do końca ramadanu – zauważył Apfulbaum.

Sweeney chwycił Aowna za nadgarstek i podwinął rękaw jego koszuli, żeby spojrzeć na zegarek. Poirytowany Aown wyszarpnął rękę.

Doktor podsunął dziennikarzowi kubek. Zagubiony w myślach Sweeney zmarszczył czoło.

– Co? Nie, nie, dziękuję. Nie przepadam za herbatą.

– Cóż, nie będziemy nalegać. Prawda, Izaaku?

Lecz zamglone oczy rabina błędziły w innym świecie.

– Jeśli przyjdzie mi jednak przetrwać – szepnął – nie ma już dla mnie nadziei. – Nagle przypomniała mu się słynna maksyma Herzla^[72] i pojaśniała mu twarz. – „Źródłem sukcesu w wielkim przedsięwzięciu – wymamrotał – jest brak nadziei”.

Jego usta formowały słowa długo po tym, jak zamilkł.

Aksamitny zmierzch osiadł na dachach Starego Miasta jak sadza. Złocista kopała wielkiego meczetu na Wzgórzu Świątynnym zmatowiała w gęstniejącym mroku. Właściciele sklepików w wąskich brukowanych uliczkach opuszczali metalowe żaluzje w oknach wystawowych, ostatni turyści wracali do hoteli. Arabowie w zachodnich ubraniach tłoczyli się w kawiarniach, gdzie zdejmowali z półek plansze do tryktraka i przyciszonym głosem rozmawiali o oszałamiającym triumfie Abu Bakra nad Żydami. O siódmej przerwali grę, by stanąć przed wielkimi kolorowymi telewizorami i obejrzeć najświeższe wiadomości: na północ od Hajfy widziano dwa autobusy z zaciemnionymi szybami, które w obstawie policyjnych radiowozów zmierzały w kierunku libańskiej granicy. Izraelski premier, pod ciężkim ostrzałem ze strony opozycji wzywającej do przegłosowania wotum nieufności w Knesecie, zapowiedział kolejną konferencję prasową, która miała odbyć się za godzinę. W wielkim meczecie Al-Aksa na Wzgórzu Świątynnym wierni dziękowali już Allahowi za uwolnienie palestyńskich wojowników.

Bramą Jafską do Starego Miasta wjeżdżał duży autobus. Angielski napis na tekturowej tablicy w jego oknie mówił, że jest to pielgrzymka „Braci Machabejskich ze Świętego Zakonu Prawdziwego Krzyża”. Gdy autobus zatrzymał się u stóp schodów prowadzących do Wieży Dawida, nikt nie zwrócił na to uwagi – na ulicach Starego Miasta widywano księży, zakonników i mnichów wszelkich zgromadzeń. Drzwi otworzyły się z sykiem i z autobusu wysiadło czterdziestu siedmiu braci. Wszyscy byli w identycznych zgrzebnych brązowych habitach i kapturach, wszyscy mieli nisko pochylone głowy i złożone na piersi ręce. Ustawiwszy się dwójkami, ruszyli ulicą Łacińskiego Patriarchatu. Brzegi habitów omiały ziemię, dzięki czemu nikt nie widział, że wszyscy byli w czarnych reebokach.

Słyszając brzęk uderzającego metalu o metal, zakonnik z pierwszej dwójki odwrócił głowę i spiorunował wzrokiem brata idącego za nim. Kilku zamykających sklepy chrześcijańskich Arabów zrobiło im przejście i przeżegnało się. Jakaś pobożna staruszka pochyliła się nisko, pozdrawiając zakonnika idącego na czele, a ten się jej odkłonił. Na ulicy Świętego Piotra procesja skręciła w prawo, potem w lewo i opustoszałymi już uliczkami dotarła na zaplecze hospicjum przy Casa Nova.

Gdy bracia minęli rzadko używane tylne drzwi, ośmiu idących na końcu zniknęło w budynku. Pozostali poszli dalej, kierując się w stronę ulicy. Pod murem hospicjum uklękli jak do wspólnej modlitwy, rozmywając się w mroku. Prowadzący ich zakonnik zlustrował wzrokiem okolicę i dał znak ręką. Sześciu braci natychmiast wstało i zniknęło w bocznych uliczkach odchodzących od Casa Nova. Trzy minuty później w ich ślady poszedł ostatni. Labiryntem zaułków i wąskich przejść wszyscy zmierzali do tego samego celu: do opuszczonej łaźni.

Przed baterią telefonów w zaciemnionym gabinecie wojennym premiera chodził nerwowo Zalman Cohen, wachlując nalaną twarz plikiem dokumentów. Elihu stał nieruchomo przy oknie, patrząc na swoje odbicie, lecz go nie widząc. Zazdrościł młodszemu i sprawniejszemu fizycznie Baruchowi, który wprosił się do zespołu jako przedstawiciel międzyagencyjnej grupy roboczej. Czekanie okazało się prawdziwą torturą; z psychologicznego punktu widzenia łatwiej było brać udział w akcji, niż siedzieć w centrum dowodzenia, bojąc się każdego telefonu. Szef sztabu generalnego, potężnie zbudowany generał z karmazynowym beretem wetkniętym pod epolet, warkliwym głosem wydawał rozkazy przez szyfrowany telefon satelitarny: jeśli – a raczej kiedy – izraelscy żołnierze zastrzelą tak zwanego mudzaddida, na pewno wybuchną arabskie protesty, dlatego sztab musiał rozmieścić wojsko. Szefostwo Szin Bet, minister obrony i dwóch innych członków gabinetu stało przy niskim kredensie i pijąc sok owocowy, cicho rozmawiało. Premier, jedyna spokojna osoba w pokoju – słynął z zimnej krwi – siedział samotnie przy owalnym stole konferencyjnym, paląc papierosa, na którego rzadko sobie pozwalał. Od czasu do czasu chwycił go kciukiem i trzema palcami – przejął ten nawyk od polskiego wuja – wyjmował z ust i spoglądał na rozżarzony czubek, jakby tkwiła tam wiadomość, którą chciał rozszyfrować. Na leżącej przed nim podkładce do pisania czekały dwie wersje oświadczenia przygotowanego przez Cohena na konferencję prasową. Obydwie mówiły, że zapowiedź uwolnienia palestyńskich terrorystów miała dać sztabowi generalnemu czas na przygotowanie i przeprowadzenie szturmu na kryjówkę Abu Bakra, gdzie przetrzymywano rabina Apfulbauma, oraz że wszyscy terroryści, których uwolnienia domagali się porywacze, wciąż przebywają w izraelskich więzieniach i długo z nich nie wyjdą. Pierwsza

wersja oświadczenia zawiadamiała, że izraelscy komandosi odnieśli sukces i odbili rabina. Druga, że porywacze zamordowali go przed interwencją żołnierzy. Obie kończyły się solenną deklaracją, że rząd nigdy nie ugnie się przed terrorystycznym szantażem. „W wojnie z terroryzmem islamskich fundamentalistów – napisał Cohen – nie ma zaplecza. Nie ma tych, którzy nie walczą. Wszyscy obywatele – szeregowiec patrolujący drogi na Zachodnim Brzegu, matka jadąca przez Jerozolimę autobusem numer osiemnaście czy rabin wracający z Yad Mordechaj – wszyscy są na pierwszej linii frontu”.

Cicho zaterkotał czerwony telefon na stole. Pijący sok mężczyźni umilkli i odwrócili się. *Katsa* zrobił dwa kroki w stronę Cohena, który gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę.

– Cohen – mruknął. Kiwnął głową raz, kiwnął drugi i położył słuchawkę na widełkach. – Są na Starówce – powiedział. – Operacja Szymon Bar-Kochba^[73] jest w toku.

Aziz i Aown klęczeli przy planszy do tryktraka, rzucając kośćmi ze skórzanych kubków i becząc jak owce, ilekroć któryś zbił pionek przeciwnika. Petra kręciła gałką potencjometru, próbując wychwycić głos izraelskiego oficera, dowódcy konwoju jadącego drogą nadbrzeżną na północ od Akry. Podłączyła słuchawki i podała je Doktorowi. Ten włożył je i po chwili powiedział:

– Mijają zjazd na Misrafot. Są pięć kilometrów na południe od granicy libańskiej i dziesięć kilometrów na południe od posterunku wojsk ONZ w Nakurze. Która godzina?

– Dwadzieścia pięć po siódmej.

– Jeszcze dwadzieścia minut i powinni być wolni.

Siedzący przy stole rabin siorbał drugą już szklankę słodzonej herbaty. Jej strużka ściekała z kącika ust na porośnięty szczecinę podbródek, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Sweeney zerknął w stronę wyjścia: obydwie sztaby były założone, opancerzone drzwi szczelnie zamknięte. Sweeney przeciągnął się, wstał, obszedł stół i przysiadł się do Apfulbauma.

– Rabe...

Rabin wesoło zacmokał, zamknął jedno oko, a drugim spojrzał na zamazaną sylwetkę dziennikarza.

– Proszę, proszę, czy to nie nasz stronniczy gojowski dziennikarz? Możesz mi pan nie wierzyć, ale zamierzałem wydać oficjalne oświadczenie w związku z moim uwięzieniem. Masz pan ołówek? Umyłeś pan uszy? – Zachichotał z nosem w szklance. – Tylko nie przekręć pan mojego nazwiska – nazywam się Apfulbaum, z „f” po „p” – i dokładnie mnie pan zacytuj, bo wtedy moje argumenty oprą się wszelkim próbom ich zniekształcenia.

Sweeney zerknął przez ramię. Doktor wciąż siedział przy radiu. Aziz zbił właśnie pionek brata i zirytowany Aown gwałtownie zamachał ręką.

– Rabe... – Sweeney chwycił rabina za ramię. – Muszę powiedzieć panu coś bardzo ważnego...

– To prawda, powiedziałem, że judaizm Tory i islamizm Koranu są zorientowane na Allacha, ale chciałbym to rozwinąć, umiejscowić w kontekście. Byłem zbyt zajęty studiowaniem Tory, żeby pójść do dentysty, dlatego nie udało mi się jak dotąd porządnie wgryźć w Koran.

Sweeney zacisnął palce na jego ramieniu.

– Izraelczycy wiedzą, gdzie pan jest...

– Jestem absolutnie przekonany, że gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym stworzyliśmy Rajski Ogród, „Eden, gdzie w dole płyną strumyki”, było to wydarzenie religijne. Notujesz pan słowo w słowo? Postawisz pan przecinek w złym miejscu i trafisz na listę nazwisk, którymi się podcieram. Pierwej Gehenna zamarznie, nim udzię panu kolejnego wywiadu. Prawda jest taka: strzelałbym do wrogów zamiast do przyjaciół, gdybym miał broń bystrą na tyle, by ich od siebie odróżnić.

– Na miłość boską – przerwał mu błagalnie Sweeney – niech pan posłucha! W każdej chwili mogą wpaść tu izraelscy żołnierze...

Apfulbaum postawił szklankę na stole, przesunął palcami po jej brzegu i szklanka wydała cichy jęk.

– Dla mnie sercem Koranu jest ósmy werset siedemnastego rozdziału Genesis, w którym Allah darowuje Ibrahimowi i jego potomkom cały Kanaan na wieczne posiadanie... – Otworzył drugie oko i nachylił się ku niemu jak pijany. – Coś pan powiedział?

– Niech pan wstanie i spokojnym krokiem wyjdzie ze mną do drugiego pokoju. Jeśli Doktor spyta, gdzie idziemy, powiem, że musi pan się załatwić.

Apfulbaum otrząsnął się jak mokry pies, który uciekł z deszczu.

– Arabowie za długo byli ludem bez odnowiciela... – Umilkł. Skrzywił się i podstępnie spytał: – A skąd pan wiesz, że wpadną?

Sweeney znowu zerknął przez ramię.

– Furgonetka loteryjna – szepnął. – To znak. Że są gotowi do ataku. – Pociągnął rabinę za rękaw. – Mogą już minować drzwi. Musimy wyjść do...

– Minować drzwi – powtórzył Apfulbaum. Przekrzywił głowę i zagryzł wnętrze policzka. – Do drugiego pokoju... – Nagle wykrył niespójność w słowach Sweeneya. – A jak mnie znaleźli?

– Znaleźli mnie!

Rabin rozdziawił usta, odsłaniając rząd zepsutych zębów. Z jego gardła dobył się żalostny jęk.

– Is-ma-il!

Zaskoczeni bracia el-Tel spojrzeli na niego znad planszy. Doktor też odwrócił się w jego stronę. Apfulbaum zamiótł ręką stół, przewracając szklankę i dzbanek, wylewając herbatę.

– Ten gojowski dziennikarz jest żydowskim szpiegiem! – krzyknął chrapliwie. – Ta furgonetka to był znak! – Mówiąc, bryzgał śliną. Chciał uderzyć Sweeneya, lecz ten bez trudu odparował cherlawy cios. Jego policzki spływały łzami. – Och, mówiłem ci, że to będzie ostatnia wieczerza, ale nie chciałeś mnie słuchać, prawda? Libańska granica? Oni nikogo tam nie wiozą, oni są za tymi drzwiami!

Sweeney głośno przełknął ślinę.

– On bredzi...

Doktor zrobił gest palcem. Aown rzucił webleya Petrze i wraz z bratem skoczył do karabinów.

– Rabin mówi, że Amerykanin jest żydowskim szpiegiem – warknął po arabsku Doktor. – Szybko, wyprowadźcie ich. Jeśli usłyszycie wystrzały, natychmiast ich zabijcie.

Dźgając Sweeneya lufami, Petra i Aziz wyprowadzili go do drugiego pokoju. Doktor przytknął ucho do drzwi i zamknął oczy. Przywołał Aowna.

– Wyślizgniesz się i rozejrzysz. Jeśli Żydzi naprawdę tam są, wypuść co najmniej jedną serię, żeby nas ostrzec. Jeśli ich nie ma, usiądziesz na

korytarzu plecami do drzwi. Wpuszczę cię, kiedy będziemy pewni, że Izraelczycy uwolnili pierwszą grupę więźniów.

Aown schował do kieszeni dwa zapasowe magazynki i dwa granaty, przestawił kałasznikowa na ogień ciągły, trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika i złożył kolbę, aby móc używać karabinu jak pistoletu.

– Gdyby mnie zabili...

Doktor dotknął lekko jego czoła.

– Tych, którzy giną w walce, czeka wieczne życie.

Aown odsunął pierwszą sztabę.

– Życie jest piękne, ale śmierć męczennika jest jeszcze piękniejsza – szepnął drżącym głosem.

Doktor wyjął z kieszeni berettę i odciągnął zamek, wprowadzając nabój do komory. Petra wyniosła już z pokoju skrzynkę z magazynkami, granatami i maskami przeciwgazowymi. Doktor wyteżył słuch, skinął Aownowi głową, a wtedy ten odsunął drugą sztabę, uchylił drzwi i wyslizgnął się z mieszkania. Doktor zasunął sztaby, szybko wszedł do drugiego pokoju, zamknął drzwi i zabezpieczył je sztabami, tak jak frontowe. Aziz zdążył już przywiązać nogi Sweeneya do ciężkiego krzesła, na którym siedział niedawno sekretarz rabina, i właśnie krępował mu drutem nadgarstki. Kręcąc głową, zirytowany Apfulbaum opadł na drugie krzesło i też wyciągnął ręce.

– Musisz mnie skuć – jęknął jak dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

Petra spojrzała na Doktora. Gdy ten skinął głową, podniosła z podłogi kajdanki i zacisnęła je na kościstych nadgarstkach rabina. Apfulbaum chrapliwie stęknął z ulgą. Doktor usiadł naprzeciwko drzwi z pistoletem na kolanach. Aziz, który zamartwiał się na śmierć o brata, odbezpieczył karabin i usiadł pod kalendarzem Centralnego Banku Importowo-Eksportowego w Gazie. Petra zakręciła bębenkiem rewolweru i upewniwszy się, że jest nabity, odciągnęła kurek, chwyciła webleya obiema rękami i powoli osunęła się na podłogę pod ścianą.

– *Ogro-dy Ede-nu* – zaśpiewał cichutko rabin eterycznym głosem
młodego chórzysty. – *Gdzie w do-le pły-ną stru-my-ki...*

Pieszcząc palcem zimny spust kałasznikowa, Aown przyklęknął na jedno kolano na szczycie wąskich schodów. Wiele razy zwiedził po ciemku każdy zakątek budynku i znał go tak dobrze jak zaułki Abu Dis, palestyńskich przedmieść wschodniej Jerozolimy, gdzie się wychował. Pochylił się do przodu i wsłuchał w głuchą pustkę łaźni. Próbował wyobrazić sobie, jak będzie w raju. Czy w ogrodach, gdzie łązy jego matki zmieniały się w róże i jaśminy, w każdej porze roku rosą inne kwiaty? Czy płynące tam strumienie wysychają latem jak wadi? Czy niebo przesłaniają czasem chmury? Czy są tam burze, czy zawsze świeci słońce? Bo jeśli zawsze świeci słońce, to czy niebiański pałac wiecznej szczęśliwości ma dach? Czy jego skóra zrobi się czarna jak u Afrykańczyka? Lubił patrzeć, jak podczas burzy psy wpełzają pod łóżko z podwiniętym ogonem, drżąc przy każdym uderzeniu pioruna. Lubił czuć wilgotny oddech chłodnego powietrza po letniej nawałnicy. *Mudžaddid* Abu Bakr zapewniał, że wieczne życie go nie rozczaruje. A już na pewno nie wtedy, gdy umrze śmiercią męczennika. Ale jeśli nie ma tam suchych lat i burz z piorunami...

Jego oczy przywykły już do ciemności. Ocierając się o ścianę, ruszył powoli na dół. Kilka stopni zatrzeszczało pod jego ciężarem. W połowie schodów przystanął i znowu wyteżył słuch. Gdzieś na dole, w labiryncie kabin, po splekanych płytkach podłogowych przebiegł szczur. W zewnętrzną ścianę cicho uderzała okiennica. Czy to możliwe, że ten amerykański dziennikarz doprowadził jakoś Żydów do łaźni? To, że Doktor, którego Aown uważał za nieomylnego, kazał mu iść na zwiady, znaczyło, że tak. Musi być ostrożny, nie może przestraszyć się własnego cienia, inaczej zaalarmuje okolicznych mieszkańców i zdradzi położenie kryjówki. Ale jeśli zobaczy, że ktoś się tam porusza, wpakuje w niego cały magazynek, wszystkie trzydzieści nabojów. Zszedł na dół i nisko pochylony, szerokim

łukiem omiatając lufą każde drzwi, ruszył przez labirynt wyłożonych kafelkami pomieszczeń. Na szczycie szerokich schodów prowadzących na parter znowu przystanął i przez chwilę nasłuchiwał. Słyszał nawet szept wieczornego wiatru w płątaniu korytarzy i przebieralni pod nogami.

Wpatrzony w czarną pustkę ruszył na dół. Jedną po drugiej, zbadał wszystkie szatnie ze zwisającymi na zawiasach drzwiami i dziurami po ceramicznych haczykach, które polujący na pamiątki handlarze i turyści już dawno temu wyrwali ze ścian, przeczesując opuszczony budynek. Skręciwszy, dostrzegł zarys wielkich podwójnych drzwi w sali recepcyjnej. Przyklęknął pod ścianą od strony korytarza, spojrzął w ciemność, wyteżył słuch, a potem wyskoczył zza rogu i wpadł do sali, lądując na kupce miękkich, zgrzebnych tkanin, których tam przedtem nie było. Wstał i kopnął je, zastanawiając się, skąd się tu wzięły. Bo logicznie rzecz biorąc, kto przechowywałby tkaniny w opuszczonej łaźni, gdzie każdy mógł wejść i je ukraść? I gdy tak myślał, z ciemności wypłynęła świetlista zjawia. W okamgnieniu przeistoczyła się w sylwetkę człowieka z wielkimi wybałuszonymi oczami i długim, szczerbatym, poczernionym nożem w ręku, którego ostrze wbiło się Aownowi między łopatkę i żebro, przecinając arterię płucną. Nie było żadnego bólu, tylko nagła i całkowita utrata władzy nad mięśniami. Gdy z czerni wychynęły ludzkie ręce, by podtrzymać go i bezszelestnie opuścić na podłogę, gdy usłyszał szelest kroków mijających go ludzi, namacalnie poczuł, jak jego dusza opuszcza ciało. I kiedy czerni ustąpiła miejsca oślepiającej jasności, nagle go olśniło. Oczywiście! Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Ani jedno zdanie, ani jedno słowo nie znalazło się w Koranie przypadkiem. Przecież anioł Jibril nie wyszeptał do ucha Wysłannikowi słów: „Ogród Edenu”, tylko: „Ogrody Edenu”. Co pewnie znaczy, że w jednym ogrodzie wiecznie świeci słońce, a inny jest dla takich jak on, dla tych, którzy lubią słyszeć huk letniego gromu i czuć na policzkach wilgotny oddech chłodnego powietrza po burzy.

Czas włókł się niemiłosiernie. Aziz nie odrywał wzroku od pancernych drzwi, w które wpatrywał się tak intensywnie, jakby przez nie widział, a jeśli już odrywał, to tylko po to, by zerknąć na zegarek. Wyobrażał sobie, jak brat skrada się płataniną korytarzy i pomieszczeń na pierwszym piętrze i na parterze łaźni. Jeśli są tam Żydzi, na pewno ich wyczuje: wturla granat do przebieralni, wyskoczy przez okno i zniknie w labiryncie ciemnych uliczek.

Ale z trzewi budynku wciąż nie dochodził żaden odgłos.

– Nie ma go już osiem minut – powiedział w końcu.

Petra opuściła rewolwer.

– Gdyby tam byli – szepnęła – już by się na nich natknął.

– Mówiłem, że rabin bredzi – rzucił przywiązany do krzesła Sweeney.

– Do tanga trzeba dwojga – denerwował się Apfulbaum. – Z wiarygodnego źródła wiem, że zakłęty krąg nie powstanie, jeśli obydwie strony nie będą trzymały się za ręce.

– Izaak, co on ci właściwie powiedział? – spytał Doktor.

Apfulbaum wpatrzył się w nagą żarówkę dyndającą pod sufitem, wytrzeszczył oczy i włożywszy do ust paciorek różańca, zaczął go ssać. Odpowiedział dopiero po chwili.

– Spotkaliśmy się na angielskiej ziemi niczyjej. Powiedział, że furgonetka loteryjna to znak. Że Żydzi zaraz uderzą. Spytałem go, jak mnie znaleźli. A on, że znaleźli jego. *Ogro-dy Ede-nu, gdzie w do-le pły-ną strumy-ki, la-li-la...*

Sweeney nerwowo poprawił się na krześle.

– Nie widzicie, że on zwariował?

– Ale jak to możliwe, że ich do nas doprowadził? – spytał po arabsku Doktor. Spojrzał na Petrę. – Na pewno nikt was nie śledził?

– Zastosowaliśmy maksymalne środki ostrożności – odparła. – To wykluczone.

– Zniszczyłem jego aparat, komórkę i zegarek – dodał Aziz. – A nawet zapasowe rolki filmu.

– Zostawiliśmy mu tylko aparat słuchowy – wtrąciła Petra.

Doktorowi przypomniała się ich pierwsza rozmowa:

– „Doznałem wstrząśnienia mózgu i uszkodziłem sobie lewe ucho środkowe. Pękła błona, której nazwa wyleciała mi z głowy...

– Bębenkowa?

– Właśnie, chyba tak”.

Podszedł do drzwi i potarł czołem o pancerną płytę. Chłód stali odpędził czającą się w głowie migrenę. Westchnął.

– Otwórzcie go – rozkazał. – I opiszcie, co jest w środku.

Petra szybko wstała i wyjęła aparat z ucha Sweeneya. Położyła go na podłodze, rozbiła uchwytem webleya i rozgarnęła szczątki.

– Są tu jakieś mikroobwody, wyglądają jak małe tranzystory. Jest malutki głośniczek i cieniutka bateria...

Sweeney napiął związane z tyłu ręce.

Doktor zmarszczył brwi.

– Mikroobwody mogą wysyłać sygnał...

– Sprawdziłam skanerem – przypomniała mu Petra.

– Można je zaprogramować tak, że wysyłają krótkie serie sygnałów z przerwami w określonych odstępach czasu. Jeśli sprawdzałaś, kiedy nadajnik milczał... – Doktorowi przyszło do głowy coś innego. – W kącie jest moja walizeczka, wyjmij z niej otoskop. To taki wziernik, zagląda się nim do ucha. Pstrykniesz włącznikiem na uchwycie, zapalisz lampkę, zajrzysz mu do ucha i opiszesz mi dokładnie, co widzisz.

Kiedy Petra podeszła do Sweeneya, ten odchylił głowę. Aziz wbił mu lufę karabinu w zdrowe ucho. Petra przyklękła, wsunęła końcówkę otoskopu do drugiego ucha i zapaliła ukrytą w aparacie lampkę. Nachyliła się, zamknęła jedno oko, a drugie przytknęła do okularu.

– Widzę trzy wystrzępione dziurki w czymś, co wygląda na błonę. Dwie są na tyle duże, że przejdzie przez nie ołówki. Mają obwódki z tkanki łącznej. Sama błona jest szarobrązowa i pokryta strupkami. Nad jedną z perforacji jest coś w rodzaju malutkiej perełki, białej, twardej i błyszczącej...

– To perlak, zgrubienie podnabłonkowe. Dalej.

– Przez jeden z otworów widać coś białego w kształcie... żarówki. Albo jadalnego końca zielonej cebulki. I jakby pływało...

– Podstawa strzemiączka! – zawołał triumfalnie Doktor i spojrzał na Sweeneya. – Musiała odpaść podczas tego wybuchu w Bejrucie. Co znaczy, że pana ucho jest martwe: ten aparat nie służy wzmocnieniu słuchu, ponieważ uszkodzona podstawa strzemiączka uniemożliwia przekazywanie dźwięków do ucha wewnętrznego. – Przeszedł na arabski. – To moja wina, powinienem był wpaść na to wcześniej. Jego aparat wysyła sygnały. – Znowu przeszedł na angielski. – Jak często, panie Sweeney?

Sweeney wziął drżący oddech. Izraelczycy mogli wpaść do kryjówek lada moment, dlatego jego jedyną szansą było odpowiadać na pytania, z nadzieją, że Doktor zada ich więcej.

– Powiedziano mi, że to będzie seria pięciu sygnałów trwających jedną dziesiątą sekundy każdy, nadawanych osiemnaście minut przed pełną godziną i po pełnej godzinie.

– Sygnałów o jakim zasięgu?

– W zależności od pogody i tego, czy są emitowane z zewnątrz czy wewnątrz, od dwustu do dwustu pięćdziesięciu metrów.

– Odcielesnij go, odcielesnij go, na miłość boską! – załkał rozdrażniony rabin, przebierając nerwowo stopami. – On nas zdradził, zasługuje na

śmierć! Przekręć jego nazwisko w Księdze Uczynków, wyślij go do ognistych pieców Gehenny i niech szczęście po drodze!

Przerażonemu Sweeneyowi zrobiło się słabo. Zamknął oczy. Miał płytki, kwaśny oddech. Do gardła podeszła mu żółć. Był koszmarnie znużony, jakby nagle wyssano z niego całą energię. Od Seattle, przez Bejrut do Izraela – przeszedł długą drogę. Szczęście, które towarzyszyło mu, gdy obok jego samochodu wybuchł pocisk z mózdzierza, opuściło go w tym obskurnym pokoju z zamurowanymi oknami na drugim piętrze starej łaźni w Jerozolimie. Zaskakujące było jedynie to, że tak długo stało u jego boku.

– Zastrzel go – rozkazał Doktor.

Aziz chwycił poduszkę z łóżka – chciał wytłumić hałas – pochylił karabin, przestawił go na ogień pojedynczy i ruchem głowy kazał Petrze stanąć z boku. Ta zrobiła krok w stronę polówki.

– Na co czekasz? – krzyknął rabin. – Zastrzel sukinsyna, zanim...

Przerwała mu seria suchych trzasków, stłumionych wybuchów – brzmiało to tak, jakby w głębi domu ktoś odpalił kilka chińskich noworocznych petard. Sztaby puściły, opancerzone frontowe drzwi wyleciały z zawiasów i runęły na wyłożoną terakotą podłogę. Ktoś głucho stęknął i do frontowego pokoju wpadli ludzie. Aziz przyklęknął na jedno kolano za Sweeneyem, wstrzymując oddech, ponownie przestawił broń na ogień ciągły i wycelował w drzwi. Petra chwyciła rewolwer z polówki i przywarła plecami do ściany. Spod drzwi sączył się do pokoju ostry zapach nitrogliceryny. Wstrząśnięty Doktor przykucnął obok Apfulbauma.

– Zrób to, co przysiągłeś zrobić – ponaglił go rabin. – Niech ta śmierć będzie moim skromnym udziałem w utrzymaniu zaklętego kręgu.

Zza ściany dobiegł czyjś stanowczy głos.

– Doktorze al-Szaat, wiemy, że pan tam jest – mówił po angielsku przez megafon. – Jeśli chce pan ocalić siebie i swoich towarzyszy, niech pan nie zabija rabina, niech pan nie zabija dziennikarza. Wymienimy ich za pana i tych, którzy są z panem.

– Żarówka – szepnął Doktor.

Aziz stanął pod zwisającą spod sufitu żarówką, ujął ją przez chustkę do nosa i wykręcił. Pokój pogrążył się w całkowitej ciemności.

– Wiem, że pan mnie słyszy – mówił głoś. – Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Porozmawiajmy jak żołnierz z żołnierzem. Szanujemy tych, którzy z nami walczą, pod warunkiem że nie zabijają bezbronnych...

– Minują drzwi – ostrzegł Apfulbaum. – Na litość boską, Ismailu, zastrzel mnie, zanim obojwaj stracimy zimną krew!

Doktor wymacał wybrzuszenie kości za jego uchem.

– Zabłądziłem – tchnął cicho. – Nie widzę już prostej drogi.

– Poprowadzę cię.

– Rabinie Apfulbaum, panie Sweeney! – zawołał głoś. – Odezwijcie się, jeśli możecie.

– Jeżeli chcecie żyć – dodał po arabsku ktoś inny – nie róbcie krzywdy rabinowi i dziennikarzowi! Jeśli ich zabijecie, bądźcie pewni, że my zabijemy was!

– Co zrobiliście z moim bratem?! – krzyknął histerycznie Aziz.

– Palestyńczyk, który zszedł schodami na dół, poddał się bez walki – odpowiedział mu po arabsku megafon. – Żyje, jest cały i zdrowy, wzięliśmy go do niewoli.

– Łżesz jak pies! – wrzasnął rozwścieczony do łez Aziz.

– Ismailu – szepnął natarczywie rabin – teraz mogę ci już powiedzieć. Nie jestem duchowym przywódcą żydowskiego ruchu podziemnego Keszet Jonatan. Stoję na jego czele. To ja próbowałem wysadzić w powietrze Kopułę na Skale. To ja wysyłałem bomby w listach do arabskich burmistrzów. To ja odcieleśniłem tych trzech Arabów z Islamskiego College’u w Hebronie. Ja, Ismailu: Jair!

– Nie wierzę ci, *ja’ani*. Mówisz tak, żeby mnie sprowokować.

– Przysięgam, że to prawda, Bóg mi świadkiem. – Poruszonemu rabinowi zaschło w ustach, załamał mu się głos. – Przynieś mi tylko stos Biblii, a sam zobaczysz.

W ciemnym pokoju rozbrzmiał echem nieśmiały głos Sweeney’a:

– Ja mu wierzę.

Apfulbaum zacisnął palce na nadgarstku Doktora.

– Ismailu, bracie mój, kuzynie i krewniaku – poprosił spiętym głosem. – Przyczynmy się razem do mojej śmierci. Zniweczmy ten cuchnący traktat, zanim podpiszą go obłąkani politycy. – Coraz trudniej było mu znaleźć odpowiednie słowa, z coraz większym trudem je wypowiadał. – Czy ty tego nie widzisz? W pojedynkę Mesjasz i Odnowiciel znaczą mniej niż źdźbło trawy na pastwisku. Ale razem zasieją wiatr, który zniszczy cały ten proces pokojowy. Mój Boże, w porównaniu z nim chamsin z piekielnego pieca będzie niczym. Pomyśl o zaklętym kręgu: zabij mnie i moi mnie pomszczą, a potem twoi pomszczą swoich. – Rabin obnażył zęby i zachichotał z głębi trzewi. Czuł, że Doktor się waha. – Porwałś mnie, sprowadziłeś tu tego gojowskiego dziennikarza, żebyśmy przyparli cię do muru. Zaprosiłeś świadka, żeby wszyscy poznali twoje imię, żeby cała ta historia zakończyła się męczeńską śmiercią. Moją. I twoją. To jest ostateczna hidżra, ostateczna ucieczka od niewiary. Ismailu, Ismailu, widzisz jak w tunelu, ale nawet ty powinieneś dostrzec prostą ścieżkę. Skoro nie możesz żyć w islamskim państwie, którym rządzi islamskie prawo i przykład Mahometa, skoro ja nie mogę żyć w państwie żydowskim, którym rządzi Tora i przykład naszych proroków, poszukajmy religijnego azylu w raju, zasiądźmy tam wraz z prorokami, królami i kalifami. Ty i ja, Ismailu, islamski odnowiciel ramię w ramię z żydowskim mesjaszem. Co za *simcha*, co za radość!

Mimo to Doktor wciąż nie mógł się przełamać i zastrzelić przyjaciela.

– Nie mogę odebrać ci życia, Izaaku. Jesteś kafirem, niewiernym, który odrzuca przesłanie islamu. Zostaniesz skazany na wieczne piekło, gdzie ciała potępionych smażą się w ogniu, gdzie ich twarze zalewa roztopiona miedź. Jak mógłbym ci to zrobić?

– Doktorze al-Szaat, wasz czas się kończy. Otwórzcie drzwi i wyjdźcie z podniesionymi rękami, a potraktujemy was jak jeńców wojennych. Nikomu nic się nie stanie.

Kiedy drugi głos powtórzył to samo po arabsku, rozwścieczony Aziz syknął:

– Moim jedynym życzeniem jest zabić przed śmiercią jak najwięcej Żydów!

– Ismailu, chyba znalazłem rozwiązanie – powiedział szybko rabin. – Ponieważ wierzymy w jednego Boga, w swoim *Liście o męczeństwie* rabin Mosze ben Majmon pisze, że żyd może uratować życie, przechodząc na islam. Jak mogło mi to umknąć? Skoro żyd może przejść na islam, aby uniknąć śmierci, może też przejść na islam, aby uciec od życia!

– Naprawdę nawróciłbyś się...

Apfulbaum zaczął kiwać się do przodu i do tyłu w tradycyjnej żydowskiej pozie modlitewnej, recytując *Szahadę*, muzułmańskie wyznanie wiary, które niewierny recytuje, przechodząc na islam, a muzułmanin w chwili śmierci.

– *Asz’hadu an la illahu ila Allah wa’asz’hadu anna Muhammadan rasulu Allah* – zaświadczam, że nie ma innego boga poza Bogiem Jedynym i że Mahomet jest wysłannikiem Allacha. – Pochylił głowę, jakby oddawał cześć Bogu. Z jego oczu płynęły łzy najwyższego uniesienia. – „Oto poprowadził mnie mój Pan ku drodze prostej, jako religii prawdziwej, społeczności religijnej Abrahama, prawdziwie pobożnego... Moje życie i moja śmierć należą do Boga, Pana światów!”^[74].

– Odwaliło wam, jednemu i drugiemu – szepnął Sweeney.

– Doktorze al-Szaat, to ostatnie ostrzeżenie...

Doktor gorączkowo pomacał palcami i znalazł wybrzuszenie kości za uchem rabina. Podniósł pistolet, dwa razy chuchnął na wylot lufy, aby go ogrzać, i przystawił go do głowy Apfulbauma.

– Gdybyś urodził się w świecie Koranu – szepnął po hebrajsku – byłbyś moim bratem.

Rabin zamknął płonące szaleństwem oczy.

– Gdybyśmy czytali razem Torę w brooklyńskiej jesziwie – powiedział po arabsku dziecięcym głosem – bylibyśmy rodziną.

Pistolet cicho kaszlnął. Martwy Apfulbaum osunął się w ramiona Abu Bakra. Doktor przyjął ten ciężar jak dar od Boga.

– Przed upływem dnia – szepnął – znajdziesz się w Świętym Świętych Trzeciej Świątyni, będziesz wymawiał niewymawialne imię Boga, które tylko najpobożniejszym wolno jest...

W gabinecie wojennym premiera już dawno ucichły rozmowy. Zegar ścienny pokazywał za dwanaście ósmą – dwa piętra niżej tłoczyło się już pięćdziesięciu dziennikarzy czekających na konferencję prasową. Z papierosem zwisającym spomiędzy grubych warg premier po raz dwudziesty czytał obie wersje oświadczenia, gdy cicho zaterkotał czerwony telefon. Zalman Cohen podniósł słuchawkę, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

– Cohen. – Przez chwilę słuchał bez słowa. – Chwileczkę – rzucił cierpko. Podał słuchawkę Katsie. – To Baruch. Mówi, że będzie rozmawiał tylko z panem.

Katsa podszedł do stołu.

– Elihu... – Kiwnął głową raz, potem drugi i trzeci. W końcu powiedział: – Dzięki, Baruch. – Odłożył słuchawkę i długo nie odrywał od niej wzroku.

– No i? – nie wytrzymał Cohen.

– Jak poszło, Elihu? – spytał łagodnie premier.

– Mój człowiek żyje. Był przywiązany do krzesła. Kiedy nasi wysadzili drzwi, odchylił się do tyłu i przewrócił. Od uderzenia w podłogę boli go głowa, oberwał również dwie kule w mięśnie ramienia, ale nic mu nie będzie. Kamizelki kuloodporne uratowały chłopców, którzy wpadli tam jako pierwsi. Dwóch jest rannych, jeden w szyję, drugi w rękę, ale to nic poważnego.

– A Apfulbaum?

– Nie żyje.

– Zabili go? – spytał Cohen. – Kto go zabił?

– On też był przywiązany do krzesła. Zginął od pojedynczej kuli małego kalibru wystrzelonej z przystawienia w głowę.

Cohen rozpromienił się.

– Abu Bakr!

– Właśnie – wtrącił szef sztabu generalnego. – Co z Abu Bakrem i resztą?

– Abu Bakr strzelał ze swojej pukawki, celując w rozbłyśki z luf naszych chłopców. Pierwszy wpadł tam Dror. Ponieważ wszystkie rewolwery ściągają w prawo^[75], idąc za głosem zdrowego rozsądku, on skoczył w lewo, co pewnie uratowało mu życie. Wpakował mu kulę w oko.

– Strata kuli, ten sukinsyn był już ślepy – zażartował Cohen, ale nikt się nie uśmiechnął.

– Noktowizory dały naszym przewagę – ciągnął Elihu. – Wystrzelona z uzi seria pocisków z miękkim czubkiem prawie odstrzeliła głowę drugiemu terrorysty. Kiedy opadł dym, nasi zobaczyli młodą kobietę kulącą się pod ścianą z lufą rewolweru w ustach. Zanim zdążyli ją zastrzelić, pociągnęła za spust.

– Wyszliśmy z tego czyści jak łaża – ucieszył się Cohen. – Odnowiciel zabija bezbronnego rabina. Nasi zabijają odnowiciela. Wet za wet. Czy można było wymarzyć sobie lepsze rozwiązanie?

Mandaryni z Szin Bet wymamrotali coś na znak zgody.

– Tak – odparł Elihu ze stłumioną siłą w głosie. W pokoju zapadła cisza. Czuł na sobie wzrok premiera, generałów i mandarynów z Szin Bet. – Wróciliśmy do punktu wyjścia. Do czasów, gdy organizowałem wypadki na teren okupowanej Palestyny i zabijałem terrorystów w łózkach. – Przypomniał mu się werset z Tory, który zacytował żołnierzom przed swoją ostatnią akcją w Nablusie, więc przytoczył go i teraz: – „Oko twoje nie ulituje się: życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę”. Brygada Abu Bakra ma to samo credo. Któryś z nich się zemści, a my wyrzemy zemstę za zemstę.

– „Na teren okupowanej Palestyny”! – nie wytrzymał Cohen. – *Katsa* chyba się zapomina.

– Elihu, popraw mnie, jeśli się mylę – powiedział ze smutkiem premier. – Nie pamiętam, żebyś tak kiedyś mówił.

Lecz Elihu nigdy nie dawał się nikomu zastraszyć.

– Najwyższa pora zacząć nazywać rzeczy po imieniu – odparował. – Obląkany rabin Apfulbaum i jego kumple nazywali Judeę i Samarię „wyzwoloną Palestyną”. Dla całego świata jest to Palestyna „okupowana”. Okupacja nas zdemoralizowała. Nasza armia obywatelska utworzona po to, by bronić skrawka żydowskiego państwa przed zalewem arabskiego morza, stała się armią okupacyjną.

Premier wstał z widocznym trudem.

– Cieszę się, że Sweeney wyszedł z tego cało. Przekaż mu, proszę, moje osobiste podziękowania. – Zmiał w kulkę jedną z wersji oświadczenia i wrzucił ją do kosza. – Napiszesz i przyślesz mi swoją rezygnację, a ja ją przyjmę, choć z wielką niechęcią. Toczymy niekończącą się wojnę o przetrwanie, a ty zbyt długo walczyłeś na pierwszej linii frontu. Wypaliłeś się, musisz zmienić otoczenie, potrzebujesz odpoczynku. – Ruszył do drzwi i gestem ręki dał znak Cohenowi, aby ten mu towarzyszył. – Chodźmy. Pora zejść na dół i opowiedzieć światu, jakimi jesteśmy bohaterami.

Wyjątki z harwardzkiego projektu Historia na żywo

Zerkając jak zwykle na ekran telewizora, trafiłem na dziennik i zobaczyłem izraelskiego premiera. Miał ponurą minę, choć odczytał przygotowane oświadczenie z wyraźną ulgą. Kiedy okazało się, że nie będzie odpowiadał na pytania dziennikarzy, CNN przełączyło się na wywiad z przewodniczącym Autonomii Palestyńskiej – on z kolei wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z ciężkiej grypy żołądkowej. Moja pierwsza reakcja? Śmierć Abu Bakra i śmierć rabina: pełna równowaga. Nie chcę być okrutny, ale dla nas, dla traktatu pokojowego, to najlepsze, co mogło się wydarzyć. Wszyscy mają teraz święty spokój.

Przewodniczący Autonomii nie skończył się jeszcze wypowiadać, gdy zadzwonił do mnie Zalman Cohen.

– Kulę, która zabiła rabina, wystrzelił Abu Bakr – zaczął radośnie; po jego głosie poznałem, że strasznie go to cieszy. – Ogląda pan CNN? Ten sukinsyn niewiele nam pomógł, nasi znaleźli go sami. Co było do przewidzenia. Musi pan zrozumieć, że tym ludziom nie można ufać. Publicznie potępiają terroryzm, ale w głębi serca cieszą się, że w tym kotle ciągle wrze. Cóż, skoro nikt tu u nas nie strzela, możemy polecieć do Waszyngtonu i podpisać ten wasz traktat. Tylko że jeśli Palestyńczycy oczekują, że dotrzemy naszych zobowiązań, muszą przydusić błaznów Abu Bakra.

Wiem, dlaczego nikt go nie lubi. Cohen to Kasandra w najgorszym wydaniu. Wierzy, że jeśli coś ma pójść nie tak, to na pewno pójdzie. Kłopot z tego rodzaju podejściem jest taki, że bardzo często robi się z tego samospełniająca się przepowiednia.

Chwileczkę. Tak, odbiorę.

...

Chryste! Jesteś pewny?

...

Jak się dowiedzieliście?

...

Dziękuję, że dałeś mi znać.

Przepraszam, muszę zebrać myśli.

Tak, straszna wiadomość. Ta Palestynka, którą poznałem w Paryżu, Lamia Ghuri. Dziś rano znaleziono ją martwą pod mostem.

Jak umarła? Przywiązano ją do filaru i zabito pojedynczą kulą małego kalibru, z chirurgiczną precyzją wystrzeloną z przystawienia w rdzeń przedłużony. Ktoś próbuje przysłać nam wiadomość: brygada Abu Bakra ma długie ręce.

Boże, to przeze mnie! Naprowadziłem ich na jej trop! Jestem winny jej śmierci!

Srebrzysty świt zalał judejską pustynię, a potem wślizgnął się chyłkiem pod niskie, posepne chmury, kąpiąc we krwi kamienne domy i kręte uliczki prastarego Hebronu, wijące się jak strumień lawy z południa na północ w suchej dolinie wadi między wzgórzami. Na jej skraju, u wejścia do starej Kasby^[76], jest gruby forteczny mur, zbudowany ponoć przez Heroda Wielkiego, który otacza Grotę Patriarchów, grobowiec tego, kogo Żydzi nazywają Prorokiem Abrahamem, a Arabowie Wysłannikiem Ibrahimem. Na niższych tarasach otaczających miasto wzgórz, między wysokimi do pasa wiekowymi murami przecinającymi sady, ogrody i winnice, widać było kobiety prowadzące osiołki z wiązkami drewna na grzbiecie. Nieco wyżej, wśród srebrzystozielonych drzew oliwnych, leniwie pasły się kozy.

Zboczem jednego ze smaganych wiatrem wzgórz, bitą drogą biegnącą do małego żydowskiego cmentarza pod ogrodzeniem z siatki znaczącym granicę osiedla, szła procesja żałobników z Beit Avram. Idący na jej czele religijni Żydzi w czarnych jarmułkach i czarnych garniturach, z przeciętymi na znak żałoby kłapami, nieśli na wojskowych noszach okryte białym całunem ciało. Z boku biegali filmujący pogrzeb kamerzyści.

Daleko w dole, na jednej z chronionych przez mury, wychodzących z doliny ścieżek, pojawił się orszak żałobny religijnych muzułmanów. W białych czapkach modlitewnych i białych szatach nieśli na ramionach ciało owinięte w biały całun. Gdy po stromym zboczu zaczęli piąć się w kierunku muzułmańskiego cmentarza, o rzut kamieniem od siatki, kamerzyści popędzili w ich stronę.

Małymi grupkami po jednej i drugiej stronie ogrodzenia stali izraelscy żołnierze w mundurach koloru khaki i ubrani na niebiesko palestyńscy policjanci, wszyscy z długimi pałkami i plastikowymi tarczami do tłumienia zamieszek. Od czasu do czasu słychać było metaliczny głos

walkie-talkie, urwany w połowie meldunek. Odpowiedzialny za utrzymanie porządku izraelski pułkownik gawędził przez siatkę ze swoim palestyńskim odpowiednikiem. Na skraju żydowskiego cmentarza, przy białym wozie transmisyjnym z talerzem anteny satelitarnej na dachu, stał Baruch pogrążony w rozmowie z Maksem Sweeneyem.

– Jak zaczął pan dla nas pracować? Elihu mi nie powiedział.

– To krótka historia. – Sweeney uśmiechnął się gorzko; miał obandażowane prawe ramię i rękę na temblaku. – Mój ojciec był katolikiem, robotnikiem z Cork, do szpiku kości Irlandczykiem i wielbicielem whisky. Wyjechał do Stanów, bo skusiły go wyłożone złotem chodniki i Bóg wie jakim cudem trafił do Seattle, gdzie zakochał się w mojej matce, która była żydówką; jej matka przeżyła obóz w Bergen-Belsen. Dwa miesiące przed moimi siedemnastymi urodzinami ojciec uciekł z sekretarką swojego szefa. Chcąc, bym zszedł z linii ognia, matka wysłała mnie na lato do kibucu w Galilei. Wtedy odkryłem swoje żydowskie korzenie i zakochałem się w tym kraju. Chciałem tu osiąść i pewnie bym osiadł, gdyby nie to, że pracująca w kibucu sekretarka okazała się łowczynią talentów z Mosadu. Zanim się spostrzegłem, rozmawiałem już z Elihu, który przekonał mnie, że jeśli naprawdę chcę służyć Izraelowi, powinienem wrócić do Seattle i zostać dziennikarzem. Wydaje się, że od tego czasu minęły całe wieki. Ukończyłem dziennikarkę i zanim dostałem tę pracę, pisałem dla kilku małomiasteczkowych gazet. Potem cztery lata siedziałem w Rzymie, gdzie nawiązałem pierwsze kontakty z Palestyńczykami z Autonomii. W swoich artykułach zawsze byłem im przychylny – zważywszy na reputację gazety, dla której pracowałem, jej wydawcy chętnie puszczali do druku każdy antyizraelski komentarz. Palestyńczycy występujący w moich tekstach byli Dawidami dzielnie walczącymi z izraelskimi Goliatami. Ponieważ wśród Arabów zaczęło mi się palić pod stopami, na cztery lata przeniesiono mnie do Bejrutu. Tamtejsi Palestyńczycy też mi z czasem zaufali. Szedłem do hotelu St. George, kupowałem whisky po osiemdziesiąt dolarów za flaszkę i do

rana piłem z nimi w ich apartamentach. A potem przekazywałem katsie ich adres, plan mieszkania i numer rejestracyjny wozu.

– A więc to pan dostarczał namiary naszym komandosom, którzy organizowali wypadki do Libanu i atakowali ze śmigłowców samochody na drogach, niszcząc je raketami...

– Między innymi ja, tak. Po tym, jak w szczytowym nasileniu libańskiej wojny domowej obok mojego wozu wybuchł pocisk, wróciłem do Seattle na serię operacji, a jeszcze potem wysłano mnie do Jerozolimy. To Elihu wpadł na pomysł z aparatem słuchowym: dzięki temu Mosad zawsze wiedział, gdzie jestem. Gdy po uprowadzeniu rabina zaproszono mnie na spotkanie z przyszłym zamachowcem samobójcą w Gazie, jego ludzie od razu mnie namierzali i dowiedzieli się, gdzie przeprowadzam wywiad.

– Bardzo pan ryzykował.

Sweeney wzruszył zdrowym ramieniem.

– Ponieważ aparat rzeczywiście wzmacniał dźwięk i wysyłał sygnały krótkimi seriami osiemnaście minut przed pełną godziną i osiemnaście minut po pełnej godzinie, uznaliśmy, że to zupełnie bezpieczne.

– Kiedy zacząłem zajmować się tą sprawą, Elihu kazał panu napisać serię artykułów, które ostro wkurzyły naszych cenzorów...

– Tak, moje antyizraelskie i proarabskie nastawienie bardzo umocniło moją wiarygodność wśród Palestyńczyków.

Katsie, który obserwował pogrzeb ze skraju żydowskiego cmentarza, towarzyszył oficer Mosadu, jego świeżo mianowany następca. Podlegający mu agenci, kryjówki, szyfry – wszystko to przekazał oficerowi już w tajnej siedzibie Mosadu w Jafie. Teraz wprowadzał go w sprawę rabina Apfulbauma. Zauważywszy rozmawiającego ze Sweeneyem Barucha, ruszył w ich stronę, gdy tymczasem pod czujnym okiem nowego katsy Żydzi składali ciało rabina do grobu w czerwonej jak rdza ziemi.

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz – mruknął. – Miejmy nadzieję, że ten nieszczęsny epizod na tym się skończy.

– Widział pan wczoraj Saadata na CNN? – spytał Sweeney.

Baruch wykrzywił twarz.

– Ten szczur oskarżył nas o morderstwo niewidomego mudzaddida i zażądał międzynarodowego śledztwa. Takie zarzuty z jego ust to czysta ironia.

– Mieliśmy nie brać jeńców – przypomniał mu Elihu.

Zakłopotany Baruch wbił wzrok w ziemię.

– Masz krótką pamięć.

– O czymś zapomniałem?

– Zapomniałeś, że zabijając czterech młodych Żydów, ochroniarzy Apfulbauma, Abu Bakr nie miał zamiaru brać jeńców. Zapomniałeś o Efraimie, którego ciało znaleźliśmy na wysypisku śmieci w Azie. Zapomniałeś, że rabin, choć być może obłąkany, był mimo wszystko Żydem. Zapomniałeś o dwudziestu czterech Palestyńczykach, których zabito, ponieważ z nami współpracowali. – Baruch przyjrzał się jego twarzy; w ciągu tygodnia *katsa* postarzał się o dziesięć lat. – Co cię gryzie, Elihu?

Elihu kopnął rdzewiejący pojemnik po gazie łzawiącym.

– Te pogrzeby. Chowają ich jak bohaterów narodowych, a przecież to byli mordercy.

– Czy to znaczy, że Apfulbaum naprawdę przewodził żydowskiemu podziemi? – spytał Sweeney.

Baruch posłał Elihu mroczne spojrzenie.

– Był obłąkany, zanim jeszcze dopadł go Abu Bakr. Jako policjant mogę panu poradzić, żeby nie brał pan dosłownie niczego, co przy panu powiedział.

– Kiedy przyznał, że jest Jairem, czułem, że to prawda – odrzekł cicho Sweeney.

– To bez znaczenia – wtrącił Elihu. – Niech pan na nich spojrzy: są tu dziesiątki Jairów i dziesiątki Abu Bakrów, a każdy tylko czeka, żeby zająć ich miejsce.

Jeden po drugim, żałobnicy z Beit Avram zaczęli przechodzić obok otwartego grobu. Każdy rzucał na całun garść ziemi. U stóp grobu stał wysoki smukły Żyd o dziwnie przenikliwym spojrzeniu. Miał długą, wystrzępioną brodę i kiwał się na obcasach znoszonych czarnych butów. Z tańczącymi na wietrze pejsami, brzegiem sięgającego kostek czarnego płaszcza muskając świeżo rozkopaną ziemię, zaintonował Kadysz, modlitwę za zmarłych.

– *Yisgaddal v'yiskaddash shmey rabboh b'olmoh dee v'roh chirusay...*

Na muzułmańskim cmentarzu opuszczano do surowej krypty ciało doktora al-Szaata. Stojący u jej stóp młody ascetyczny imam ze starannie przyszytą brodą recytował wersety z Koranu. W grubych szklach jego okularów igrały promienie słońca, jego słowa niosły się wysoko i daleko.

– „Zaprawdę, Bóg kupił u wiernych ich dusze i ich majątki, w zamian za co otrzymają Ogród. Oni walczą na drodze Boga i zabijają, i są zabijani, zgodnie z Jego prawdziwą obietnicą w Torze, Ewangelii i w Koranie. A kto wierniej wypełnia swoje przymierze anizeli Bóg? Cieszcie się więc z handlu, jaki z Nim zrobiliście!”^[ZZ].

Elihu przesłonił ręką oczy i spojrzał na wschód. Spuchnięte słońce sunęło do góry ku podbrzuszu chmury. W uskoku za łańcuchem gór, z Galilei do Morza Martwego płynął Jordan. Za morzem widać było wzgórze Edomu, przycupnięte na horyzoncie jak rozmyta smużka dymu, które barwiły się ognistą czerwienią, gdy zachodzące słońce tonęło w Morzu Śródziemnym. Z miejsca, gdzie stał, mógł dostrzec wąskie, głębokie doliny ciągnące się w kierunku Morza Martwego. Podczas długiej służby wojskowej patrolował je dziesiątki razy; w porze deszczowej żołnierze rozbierali się i kąpali w lodowatych wodospadach spadających kaskadami ze ścian wadi. A w przecinających je zamaskowanych wąwozach rosły dzikie brzoskwinie i śliwy. To właśnie tam, w jaskini w jednym z tych wąwozów, tysiąc lat przed Chrystusem ukrył się młody Dawid, zabójca Goliata, uciekając przed gniewem oszalałego króla Saula. Obszar między grzbietem przecinających Judeę wzgórz, na którym stał Elihu, a wybrzeżem Morza Martwego należał do najdzikszych i najwspanialszych miejsc na ziemi.

Co takiego było w tych suchych dolinach i wąwozach, tych czerwonych jak krew kamiennych murach, że wędrujący po judejskich wzgórzach ludzie odkrywali w sobie czyhające tuż pod pięknem okrucieństwo?

Żałobnicy ze skraju obydwu orszaków zaczęli już odchodzić w stronę siatki. Nie wiadomo, kto rzucił pierwszą obelgę i pierwszy kamień, ale w ciągu kilku sekund rozgorzała bitwa. Grupa religijnych Żydów wdrapała się na ogrodzenie, chcąc dopaść Palestyńczyków, którzy tłukąc w siatkę kijami, zasypali ich gradem kamieni. Dwóch Żydów spadło z zakrwawionymi głowami. Jeden z arabskich chłopców oberwał tak mocno, że stracił przytomność, drugi trzymał się za złamany nadgarstek. Szykując materiał do wieczornych wiadomości, kamerzyści filmowali to z obu stron siatki, co jeszcze bardziej prowokowało biorących udział w starciu. Starym jak świat gestem młodzi Arabowie naciągnęli na twarz kefije, zasłaniając wszystko oprócz płonących nienawiścią oczu. Nadbiegli izraelscy żołnierze i palestyńscy policjanci – chcieli rozdzielić walczących. Nadjechało kilka karet pogotowia z wyjącymi syrenami – trzeba było zabrać rannych. Zboczem wzgórza potoczyły się granaty z gazem łzawiącym. Mówiące po hebrajsku i arabsku głosy nawoływały przez megafon do rozejścia się.

Elihu, Baruch i Sweeney poszukali schronienia za telewizyjnym wozem transmisyjnym. Gdy niczym poranna mgła wzgórze przesłoniła chmura gazu, w zdrowym uchu Sweeneya zabrzmiał rechot rabina. „Poszukajmy religijnego azylu w raju, zasiądźmy tam wraz z prorokami, królami i kalifami. Ty i ja, Ismailu, islamski odnowiciel ramię w ramię z żydowskim mesjaszem. Co za *simcha*, co za radość!”.

– Zna pan *Wujaszka Wanię* Czechowa? – spytał katę. – Grałem w tej sztuce w swoim poprzednim wcieleniu. Jest w niej scena, w której ktoś pyta Wanię, co nowego. Nic, odpowiada Wania. Wszystko po staremu. – Sweeney stłumił nerwowy śmiech. – To wszystko, te wzgórza, doliny, ten krwawy spór między plemionami czczącymi tego samego Boga, dosłownie wszystko jest po staremu. – Zrozpaczony pokręcił głową. – Jeśli ci szaleńcy

naprawdę tam są, jeśli zasiadając po prawicy Boga, oglądają swój własny pogrzeb, muszą pękać ze śmiechu.

W nos zaszczytał go gaz. Cofając się, coś zauważył i wstrzymał oddech. Na małych pagórkach po jednej i drugiej stronie tłumu walczących stali ascetyczny młody imam w białej szacie i ubrany na czarno wysoki smukły Żyd. Nie zważając na smugi gazu wijące się po kamienistej ziemi, mierzyli się wzrokiem ponad głowami swych uczniów. Przerażliwie sepleniąc, zagrały cykady i niebo pociemniało, jakby słońce przesłonił rój zwiastującej nieszczęście szarańczy.

A potem wśród judejskich wzgórz rozbrzmiał echem suchy trzask karabinowego wystrzału.

Przypisy

[1] Rdz. 16:11-12-15. Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z *Biblii, Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu z Apokryfami*; Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990.

[2] Rdz. 17:19.

[3] 5:44-45. Wszystkie cytaty koraniczne pochodzą z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego; PIW, Warszawa 1986.

[4] Tytuł grzecznościowy stosowany w kulturze muzułmańskiej: nauczyciel, duchowny, pan, mistrz, znawca Koranu.

[5] Pwt.19:21.

[6] UJA, agencja odpowiedzialna za pozyskiwanie i rozdzielanie funduszy ze zbiórek gminnych, przeznaczonych dla społeczności żydowskich w Izraelu i innych państwach.

[7] Wysuszone formy dolinne występujące na obszarach pustynnych. W porze deszczowej wypełniają się wodą, tworząc rzeki.

[8] 1 dunam=1000 m².

[9] Szahada, muzułmańskie wyznanie wiary; jego trzykrotne publiczne wypowiedzenie decyduje o przyjęciu islamu przez daną osobę. Istnieje wiele jego przekładów, z których najpopularniejszym jest: „Nie ma boga prócz Allacha”.

[10] 2Sm:22.

[11] *Słuchaj, Izraelu – Szema*: jedna z dwóch najważniejszych modlitw w judaizmie. Składa się z fragmentów Pwt 6:4-9, Pwt 11:13-21 i Lb 15:37-41.

[12] Kwadratowa chusta zakrywająca włosy, uszy i szyję.

[13] 4:74.

[14] W islamskiej eschatologii powiedziane jest, że Jezus powróci jako prawdziwy muzułmanin.

[15] Hebr. terrorysta.

[16] Hebrajska nazwa Gazy.

[17] *Krąg pierwszy* w przekładzie Jerzego Pomianowskiego.

[18] Tryktrak.

[19] Amerykańska aktorka filmowa i teatralna (1902–1968).

[20] Raj, inaczej „wieczny dom”, „dom pokoju”, „ogród rozkoszy” lub „zgromadzenie prawych”.

[21] 6:103.

[22] Miasto w północnej części Samarii.

[23] 1:1-7.

[24] 4:45-46.

[25] 4:69.

[26] 6:135.

[27] 10:20.

[28] 4:78.

[29] 68:44-45.

[30] Był to samobójczy zamach Islamskiego Dżihadu, tzw. Masakra w Beit Lid. 22 stycznia 1995 r. w tłum izraelskich żołnierzy, czekających na przystanku autobusowym, wmieszal się palestyński terrorysta z pasem wypełnionym materiałami wybuchowymi. Trzy minuty później w tym samym miejscu wysadził się w powietrze drugi, zabijając rannych podczas pierwszego wybuchu i wielu spieszących na pomoc ludzi.

[31] 4:3.

[32] 5:51.

[33] 5:45.

[34] Słów tych nie ma w surze 60.

[35] 60:3.

[36] 48:29.

[37] 8:65.

[38] Mojżesz Majmonides, największy średniowieczny badacz Talmudu.

[39] Jidysz: człowiek prawy i honorowy.

[40] Tradycja muzułmańska mówi, że Stwórca ma sto imion, ale setne jest znane tylko Jemu. W Koranie występuje dziewięćdziesiąt dziewięć.

[41] Psalm 137:5.

[42] Słowa przypisywane rabinowi Joszui po zburzeniu Drugiej Świątyni i wygnaniu Żydów z miasta w 70 r.

[43] Doktor nadinterpretuje słowa Koranu, który nazywa Ibrahima nie muzułmaninem, tylko „hanifem” (3:67). Hanifowie byli przedislamskimi pustelnikami arabskimi, ascetami wyznającymi nieznaną formę monoteizmu.

[44] Słowa przypisywane Mahometowi przez jego wyznawców.

[45] *Dija* lub *arsz*, przewidziana w Koranie „cena krwi”, „wyrównanie”, „równowaga”, rodzaj odszkodowania w zamian za odstąpienie od wykonania kary.

[46] 48:29.

[47] Hadż (hadżdż) – pielgrzymka do Mekki.

[48] Ein Karem i Motza – osiedla mieszkaniowe w zachodniej Jerozolimie.

[49] 4:171.

[50] W innych przekładach Koranu wersety te są tłumaczone inaczej: „Chwała niech będzie Bogu, który nie wziął sobie żadnego syna”. 17:111.

[51] Miasto biblijne w północno-wschodniej części Judy, utożsamiane z dzisiejszym Tell Zakarie.

[52] Moszaw, spółdzielnia rolnicza w dystrykcie Jerozolimy.

[53] 73:23.

[54] Bohater filmu *Bunt na okręcie*, grany przez Humphreya Bogarta.

[55] Koh 3:1-11.

[56] 109:1-3.

[57] 109:6.

[58] Bohater serialu *Star Trek*.

[59] Pierwsza i czwarta litera alfabetu hebrajskiego.

[60] Archanioł Gabriel.

[61] 6:59.

[62] 75:34.

[63] 75:36-38.

[64] Izraelski dyplomata i polityk, minister spraw zagranicznych podczas wojny sześciodniowej, zwolennik zwrotu Arabom zagarniętych wówczas terytoriów w zamian za pokój.

[65] Błędna nazwa Kopuły na Skale, która nie jest meczetem, to rodzaj pomnika, oprawa dla świętego głazu.

[66] Porozumienie z Oslo – wzajemne uznanie Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny zawarte w 1993 r., podstawa prawna istnienia Autonomii Palestyńskiej.

[67] Ali ibn Abi Talib – brat stryjeczny, przybrany syn i zięć Mahometa, mąż Fatimy.

[68] Istnieją dwa Talmudy: Talmud *Jeruszalmi*, Jerozolimski, zwany również Palestyńskim albo Talmudem Ziemi Izraela, i Talmud *Bawli*, Babiloński.

[69] 98:8.

[70] 98:8.

[71] Lb:9.

[72] Theodor (Benjamin Ze'ev) Herzl, „człowiek, który wymyślił Izrael”, żydowski dziennikarz, twórca i główny ideolog współczesnego syjonizmu.

[73] Dowódca drugiej wojny żydowsko-rzymskiej w latach 132–135, zwanej Powstaniem Bar-Kochby.

[74] 6:161-162.

[75] Błąd autora: Abu Bakr strzela z małokalibrowego pistoletu Beretta, najprawdopodobniej kieszonkowego modelu Beretta 950, nie z rewolweru.

[76] Dzielnica Hebronu.

[77] 9:111.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści
Roberta Littella:

W GĄSZCZU LUSTER, POWIEŚĆ O CIA
2005

LEGENDY, CZYLI MASKI SZPIEGA
2006

EPIGRAM NA STALINA
2010

MŁODY PHILBY
2013

WREDNY TYP
2015